

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum  
METRO  
2033



PAWEŁ MAJKA  
CZŁOWIEK OBIECANY



**PAWEŁ MAJKA**

# **CZŁOWIEK OBIECANY**

 **Insignis**

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2016

Copyright © Paweł Majka, 2010

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033 Dmitry Glukhovsky, 2009

Projekt okładki Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii Jacek Doroszenko, [www.doroszenko.com](http://www.doroszenko.com)

Redakcja  
Piotr Mocniak

Korekta  
Pracownia 12 A

Konwersja  
Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2016  
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-65315-88-5



Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[@insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media)

Snapchat: [insignis\\_media](#)

## Prolog

Potem nie potrafił sobie zbyt wiele przypomnieć. A przecież jego dawni towarzysze pomagali mu, jak mogli. Najpierw tylko zadawali pytania. Gdy to nic nie dało, bo zamiast odpowiadać, potrząsał głową i poddawał się atakom histerycznego śmiechu, zaczęli go bić. Pierwszego ciosu prawie nie poczuł, uderzenie dłonią w policzek miało go tylko rozbudzić i uświadomić mu, że powinien traktować sprawę równie poważnie jak ci, którzy przyszli go wysłuchać.

Zdaje się, że rozzłościł ich, gdy znowu się roześmiał. Nie rozumieli, że ani mu w głowie z nich kpić. Bardzo chciał im wszystko opowiedzieć, bo w ten sposób również sobie wyjaśniliby, co właściwie się stało. A przecież pamiętał tylko przebudzenie: jak leży na poboczu, bolą go plecy i głowa i nie może przestać się śmiać.

Po pierwszym uderzeniu posypały się kolejne. Bili coraz mocniej, zapamiętałe. Głównie ze złości i frustracji. Gdy wywrócił się razem z krzesłem, do którego go przywiązali, nie podnieśli go, ale zaczęli kopać. Już nie zadawali pytań, tylko go wyzywali. Aż reszcie ktoś rozsądniejszy musiał wpaść między nich i siłą odciągnąć od więźnia.

Wtedy podarowano mu nieco wytchnienia. Przyszedł nawet lekarz. Pomamrotał coś, nawet nie spróbował łagodzić bólu, tylko opatrzył rany. Więzień zemdlał, gdy przemywano mu głębokie rozcięcie na plecach spirytusem.

Gdy się ocknął, znów zadano mu pytania. Podczas tej jednostronnej rozmowy zerwano mu paznokcie z trzech palców lewej stopy. Tracił przytomność za każdym razem, a gdy ją odzyskiwał, nadal potrafił tylko się śmiać. A przecież bardzo się starał tego nie robić. Ten śmiech doprowadzał go do szału, sprawiał ból niemal równie wielki jak tortury. Wydawało mu

się, że każdym spazmem histerycznego rechotu jego organy wewnętrzne są szarpane i rozrywane. Nabrał pewności, że zabije go albo ten śmiech, albo gniew przesłuchujących.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Może kilka godzin, a może dzień? Ledwie odzyskał przytomność tego, a może już następnego wieczora – trudno to było ocenić w ciasnej, podziemnej klitce – wepchnęli mu w usta kawał sztywnej szmaty, stopy włożyli do miski z wodą i spróbowali przywrócić pamięć i rozsądek, rażąc prądem.

Osiągnęli tylko tyle, że przestawał się śmiać, gdy jego układ nerwowy płonął od przeciążeń. Nadal nic nie pamiętał.

Wtedy się naradzili. Rozmawiali tak głośno, że nawet on ich usłyszał i zrozumiał. I przestraszył się po raz pierwszy, bo groza tego, co miało nadejść, przebiła się nawet do jego oszołomionego mózgu, który przez cały ten czas trwał pomiędzy ciemnością a histerią.

Tamci klócili się zawzięcie. Więzień kibicował frakcji obawiającej się, że ostatni, rozpaczliwy sposób, którego chcieli się chwycić, może nieodwracalnie zniszczyć mu umysł. W końcu jednak ulegli. Dali się przekonać nieustępliwością przesłuchiwanego, którą fałszywie interpretowali, a także pokusie, by poeksperymentować na nowy sposób. Uważali się za naukowców, zbawców ludzkości – nie za oprawców.

Przyprowadzili niuchacza.

Więzień nie pamiętał dokładnie, czym było to stworzenie, wiedział tylko, że miał się czego bać. Ale gdy poczuł zimne, oślizgłe dotknięcie myśli tamtego, gdy głód tamtej istoty stał się przez chwilę jego głodem, przypomniał sobie wszystko.

Najpierw niuchaczy. Ofiary eksperymentów, jakie Kombinat przeprowadzał od tygodni, starając się wycisnąć ile się tylko da z potencjału jeńców. Spieszono się, bo najcenniejszy z nich umierał. Nie rozumiano, dlaczego tak się działo – wszak rany, jakie mu zadano, nie były śmiertelne. Ale szybko stało się jasne, że nie pozostało mu wiele czasu.

Utrzymywano go w stałym oszołomieniu, a równocześnie starano się tresować podając narkotyki i uzależniając go od nich. A potem zaczęto przyprowadzać do niego innych jeńców,

a jego zmuszać, by zmieniał ich wedle życzeń zarządu Kombinatu. Większość popadała w szaleństwo, kilku próbowało zabić jeńca albo strażników. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę robił z umysłami ofiar. Nie była to już prosta, czysta jednomyślność. Kombinatowi chodziło o osiągnięcie ciekawszych efektów.

Poniekąd się to udało. Wprawdzie ginęło dziewięciu na dziesięciu z tych, których poddano wpływowi naćpanego po uszy, konającego Króla, ale ci, którzy przeżyli, zmieniali się w interesujące bestie. Berserkerów musiano wprawdzie cały czas trzymać w klatkach, bo ich szaty bojowe były całkowicie bezrozumne, ale niuchacze zachowali nieco inteligencji. Byli spokojni i potulni.

Gdy Król zmarł, poszatковано jego ciało. Podobno próbowano nawet wszczepiać fragmenty jego mózgu niektórym jeńcom, ale to musiały być legendy. Nikt w Kombinacie nie znał się na neurochirurgii. Wszyscy ci mieniący się naukowcami ludzie tak naprawdę działali na ślepo. Nie byli ludźmi nauki, ale dziećmi nieznanymi odpowiednich metod i nieposiadającymi odpowiednich narzędzi. Nie tyle prowadzili badania, ile bawili się w wyjątkowo okrutny sposób.

Co nie zmieniało faktu, że niuchacze im się udały.

O ile przesłuchiwany wiedział, istniało ich tylko trzech. Jeden rozwiewał właśnie mgłę w jego umyśle. I nagle przesłuchiwany przypomniał sobie swoje imię. Mikołaj. Dowódca tramwaju bojowego Kombinatu.

Potem poszło już gładko. Pobudzony przez niuchacza mózg Mikołaja przywołał obrazy, które ktoś starał się ukryć albo może wymazać.

Jeńcowi przypomniawszy się młoda dziewczyna w zaawansowanej ciąży, która przyszła do niego pewnego poranka. Nie powinna się ruszać ze swojej celi, trzymano ją przecież pod strażą. Ale mężczyźni, którzy mieli jej pilnować, przyszli razem z nią. Twarze mieli wykrzywione w nienaturalnych uśmiechach, a wzrok nieobecny. To wtedy Mikołaj poczuł w mózgu to dziwne dotknięcie, nieco

przypominające jednomyślność, ale trochę jednak odmienne. Dziewczyna, która nie powinna mieć aż tak wielkiego brzucha, bo przecież minęły ledwie dwa miesiące, odkąd ją schwytali, coś mówiła. Że jest w niebezpieczeństwie, że dziecko, że śmierć, że eksperymenty... Mikołaj ledwie ją słyszał, bo umysł wypełniały mu obrazy bólu i śmierci. Poczł cudzy lęk i przepełnił go cudze pragnienie ucieczki. A także tęsknota za czymś, czego nie rozumiał. Dojmująca i nieznośna, sprawiająca, że zapragnął natychmiast rzucić się do ucieczki, biec przed siebie, jak najdalej od Kombinatoru i Nowej Huty, gdzieś daleko ku wielkiej budowli strzeżonej przez potwory, które w tamtej chwili wydawały mu się braćmi. Gdy dziewczyna wyjaśniła wreszcie, czego oczekuje, usta Mikołaja otwarły się, a tramwajarz usłyszał własny głos oznajmujący, że oczywiście, że pomoże, że zrobi wszystko, czego oczekują. Ona się uśmiechnęła, a umysł Mikołaja na moment ogarnęło uczucie niewyobrażalnej błogości.

Następne, co mu przypomniano, to jak przemykali się ku bramom Kombinatoru. Strażnicy, którzy zmienili się w gwardię dziewczyny, zarznęli wartowników, a potem, zupełnie kretyńsko, wszczęli alarm, strzelając z kusz na wszystkie strony, do kogo popadło. Mikołaj rozpędzał już wtedy tramwaj. Pomagali mu obcy ludzie, zupełni dyletanci. Ale udało się. Gdy obstawa dziewczyny ginęła, oni już śmigali w stronę centrum.

Kombinat rzucił na nich wszystko, czym dysponował. Nawet więcej niż do bitwy przeciwko hordzie Króla. Gdy Mikołaj zdał sobie sprawę, że utracili wszelkie szanse, że pościg z pewnością ich dopadnie, roześmiał się szaleńczo, zakręcił gwałtownie tramwajem, wbijając się w opuszczony posterunek Federacji Schronów Nowej Huty znajdujący się naprzeciw starego kina, o który Federacja tak niedawno toczyła rozpaczliwe boje z szarymi. Metal rozorał dyktę, rozłupał drewno, roztrzaskał surogat podmurówki z fragmentów płyt chodnikowych, ale nie podolał postawionej na sztorc szynie stanowiącej oś posterunku. Cenny pojazd zatrzymał się na niej, stęknął, a potem odbił w prawo i gubiąc równowagę, stoczył się w rów, który był niegdyś jednym z tuneli wykopanych przez ludzi,

zniszczonym po bitwie z hordą. Kombinat nakazał rozkopanie części korytarzy, by światło wywabiało niedobitki oszalałych ludzi i zwierząt.

Gdy go dopadli, Mikołaj leżał we wraku rozbitego tramwaju i śmiał się histerycznie.

Dopiero teraz, dzięki pracy niuchacza, przesłuchujący pojęli przyczyny tego śmiechu.

– Oszukała go – głos mężczyzny, w którego niedźwiedziowałej posturze Mikołaj rozpoznał Pitalę, kapitana Straży Wewnętrznej, brzmiał zarazem jak warczenie i jak jęk. – Oszukała nas wszystkich.

Wtedy także Mikołaj zrozumiał. Tej dziewczyny, Ewy, nie było w jego tramwaju. On miał tylko odciągnąć pościg, zaangażować wszelkie siły Kombinat, żeby zdołała uciec inną drogą. Wszystko pozostałe było udziałem oszukanego umysłu. Znów, jak wtedy gdy roztrzaskał tramwaj, zaczął się śmiać.

– Co z nim? – zapytał jeden z oprawców.

– Biedny dureń. Ale oficjalnie zdrajca. Jeżeli nie jest wam już potrzebny, możemy zrobić tylko jedno – odparł Pitala.

– Niuchacze mogliby się nim pobawić – zaproponował ktoś. – Zawsze jest szansa, że dowiemy się czegoś nowego.

– Zatem niuchacze – zdecydował Pitala i wyszedł. A wraz z nim wszyscy, poza tymi, którzy mienili się naukowcami.

Zachęcony niuchacz znów wtargnął w umysł Mikołaja, wyszukując wszystkie wspomnienia i tęsknoty, lęki i każdą zawstydzającą mężczyznę chwilę, o jakiej ten starał się zapomnieć. A Mikołaj śmiał się mimo to. Śmiał się, bo uznał, że wszyscy zostali oszukani na dziesiątki sposobów i że to dopiero początek kłopotów.

Aż wreszcie niuchacz dotarł do echa owej tęsknoty, którą Mikołaj poczuł podczas kontaktu z dziewczyną. I teraz potwór zatrzęsł się ze zgrozy, bo dopadła go niezrozumiała dla człowieka tęsknota, by w mgnieniu oka wypełnić go niczym ogień, którego nic nie zdoła ugasić.

Niuchacz odskoczył od Mikołaja. Ku zdumieniu i przerażeniu swoich twórców uciekł w kątek pokoju przesłuchań, skulił się i zaczął przejmująco skowyczeć.



A Mikołaj śmiał się coraz głośniejsze i gwałtowniej. Wbrew sobie, bezmyślnie. „Naukowcy” spoglądali to na niego, to na niuchacza, aż wreszcie uciekli, zostawiając obu z ich szaleństwem.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## Człowiek obiecany

### Rozdział 1

Najważniejsza na świecie jest miłość.

To znaczy zaraz po jedzeniu, picciu i paru solidnych tonach żelbetonu nad głową, zapewniających bezpieczeństwo przed zabójczym wiatrem ze wschodu oraz apetytami nocnych. Gdy człowiek ma już wszystko to, co zapewni mu przeżycie, zaraz zaczyna mu brakować czegoś więcej. I wtedy, jeśli ma pecha albo szczęście, pojawia się miłość.

Szurnięty Stach siedział w swoim bezpiecznym i wcale nieźle zaopatrzonym „pałacu”, gapiąc się na kartkę papieru, na której nabazgrał portret ukochanej. Jajowata głowa przykryta na czubku czymś, co równie dobrze mogło być włosami, jak i ośmiornicą, upiększona została twarzą składającą się wyłącznie z ogromnych oczu i ust. Nawet ktoś tak bezkrytyczny wobec siebie jak Stach musiał przyznać, że kompletnie nie radzi sobie z rysowaniem nosa. Zrezygnował więc z niego. Bezpośrednio spod głowy wyrastała para ogromnych piersi, pod którymi od razu rozkwitał bujny krzew trójkątnego bohomazu. Całość nie przypominała człowieka, nawet wedle dość zaniżonych po Pożodze standardów, jednak siła wyobraźni i wspomnień Szurniętego Stacha pozwalała mu widzieć ukochaną, tak jak ją zapamiętał, ilekroć spojrzął na portret.

„Ninel” – szeptał, a zafalszowane przez szaleństwo i wpływ czasu wspomnienia napływały natychmiast i znów widział

najpiękniejszą kobietę świata tańczącą z nim w ramionach, całującą go namiętnie bądź spoglądającą na niego pełnymi miłości oczami. Stach nie widział powodu, by nie ubarwiać nieco wspomnień, tak jak ubarwiał swoje spojrzenie na cały otaczający go świat. Dawno już uznał, że skoro rzeczy nie zawsze są takie, jakie być powinny, można trochę pomóc rzeczywistości wyobraźnią. Dzięki temu mógł „pamiętać” wiele upojnych chwil z Ninel, szaloną wojowniczką, która przybyła do niego, by przemocować w jego „pałacu” i na zawsze skraść mu serce. Popijał więc wino zrobione przez popielnych i po raz kolejny przeżywał wszystkie te upojne chwile, które nigdy nie miały miejsca, a które niespodziewanie przydały jego życiu sensu.

Ostatnie miesiące nie były dla Szurniętego najlepsze. Jeden prawie cały spędził, kryjąc się przed łowcami Kombinat. Nie dość, że najpierw przez okolicę przetoczyła się horda jednomyślnych, porywając niemal wszystkich, którzy nie zdążyli przed nią uciec, to potem, po dwóch tygodniach względnego spokoju, Kombinat postanowił wyłapać niedobitki.

Gdy zagon hordy przebiegł przez ruiny, Szurnięty Stach także poczuł dotknięcie jednomyślnych. Przepelniony obietnicami zew dotknął jego umysłu i odbił się od niego. Choć samozwańczy dziedzic imperium Konopków pozostawał dla jednomyślności niczym otwarta księga, równocześnie na swój sposób był na nią odporny. Wzruszył więc ramionami i wygnał hordę ze swoich myśli wyobrażając sobie, jakby to było fajnie przetrzebiać ją wraz z Ninel.

Z łowcami Kombinat nie poszło mu już tak łatwo. Dzięki wziętym do niewoli popielnym ci z Kombinat dowiedzieli się o istnieniu Szurniętego Stacha, jego powiązaniach z Farmą Konopków mieszczącą się w podziemiach Szpitala Rydygiera, a także o większości jego kryjówek. I choć znaczna część popielnych utrzymywała, że Stach zmyślił wszystko, co opowiadał o Konopkach, to jednak ktoś w Kombinacie uznał, że gra jest warta świeczki.

A to dlatego, że Konopkom udało się oprzeć tak hordzie, jak i Kombinatowi. Hordzie być może dzięki temu, że Farmę

ominęła główna fala jednomyślnych. Kombinatowi zaś dzięki silnym umocnieniom, fanatyzmowi wyhodowanych na Farmie wojowników i strategicznemu sojuszowi z tymi, których Ninel nazywała faszystami. Szalony Stach też zaczął ich tak nazywać, ale nigdy nie robił tego w obecności tych ogolonych na łyso, wytatuowanych w dziesiątki starożytnych, pogańskich symboli i zawsze uzbrojonych po zęby osiłków. Zdaniem Stacha musieli być szaleni oddając cześć rozmaitym Perunom i Swaróżycom – bóstwom, które wymarły wieki przed Pożogą. Nie można jednak było odmówić łysołom skuteczności.

Nieustępliwość Farmy sprowadziła na Stacha kłopoty. I choć czuł się mile połączony faktem, że wreszcie ktoś uwierzył w jego królewskie pochodzenie, sukces ten oznaczał, że musiał na jakiś czas porzucić pałac i ukrywać się w płataninie podziemnych korytarzy, które kopał przez ostatnie dwanaście lat. Łączył je czasem potajemnie z korytarzami popielnych, tworząc szalony labirynt, w którym tylko on się orientował. A i to nie zawsze.

Przez dwa tygodnie spał w paskudnych, śmierdzących ziemiankach, marząc o powrocie do swego pałacu. A gdy wreszcie łowcy Kombinatu skapitulowali i Szurnięty Stach mógł wrócić do domu, ten wydał mu się pusty i ponury. Nie dlatego, że ci z Kombinatu ukradli wszystko, co celowo zostawił niepokrywane, by wydawało im się, że odnieśli nie wiadomo jaki sukces. Szurnięty raz-dwa otworzył nietknięte, sprytnie zamaskowane schowki i w ciągu godziny ponownie napełnił wszystkie pomieszczenia śmieciami, które tak kochał. A jednak nie był szczęśliwy, bo wciąż tęsknił za Ninel.

Męczył się przez kolejny miesiąc. Od faszystów dowiedział się o wielkiej bitwie i upadku hordy oraz Federacji i Muzeum. Świat najwyraźniej bardzo się zmienił i Szurnięty czuł, że jego ukochana musiała mieć z tym wiele wspólnego. Spróbował dowiedzieć się czegoś o niej na Farmie, ale tam albo rzeczywiście nic nie wiedzieli, albo ukrywali przed nim prawdę. Wartownicy, którzy tym razem nie przepuścili go przez bramy, i owszem, zainteresowali się Ninel i oświadczyli, że patriarcha z pewnością zapłaciłby dobrą cenę za tak silną i zdrową

kobietę. Stach skłął ich i odszedł. Przez kolejny tydzień przeżywał męki, aż wreszcie uznał, że dłużej tak nie może, i podjął decyzję.

Wyruszy szukać Ninel.

Nigdy dotąd nie zapuszczał się dalej niż pół dnia drogi poza pałac. Żył z tego, co udało mu się znaleźć bądź ukraść, ze sprzedaży popielnym nic niewartych śmieci, które potrafił łączyć na cudaczne sposoby, tworząc zabawki oparte na dźwigniach i wiatrakach. Popielni uważali, że miały one działanie magiczne, i płacili za nie żywnością i alkoholem. Czasem Stachowi udawało się od nich wykupić jakąś w miarę zdrową dziewczynkę, za którą dostawał dobrą cenę na Farmie. Podróżował niechętnie, przyjmując nie bez racji, że dłuższe wędrówki zawsze wiązały się z niebezpieczeństwem.

Dlatego przygotował się starannie. Wygrzebał plecak turystyczny, prawdziwy skarb ze starych czasów, zaopatrzony w porządne szelki i pasy, które dawały się regulować i zapinać, by lepiej trzymał się ciała. Zappełnił go jedzeniem poupychaniem w starych puszkach, drzazgami na opał, kilkoma butelkami wódki na handel, dwoma butelkami oleju do lampy i jeszcze paroma drobiazgami, do których był przywiązany. Przypiął jeszcze śpiwór i namiot. Co do tego ostatniego nie miał pewności, czy jeszcze się do czegoś nadaje i czy w ogóle będzie umiał go rozbić. Od dnia kiedy się znalazł w jego rękach, nie wyjmował go nawet z ochronnej folii, na której wciąż pozostała naklejka z ceną.

Podniósł plecak i prawie upadł pod jego ciężarem. Westchnął. Co też z człowiekiem wyprawia ta miłość! Napił się wódki dla nabrania sił i jeszcze raz spróbował wstać. I tym razem dał radę.

Po kilku minutach czółgania tunelem, w którym na powrót musiał zdjąć plecak, by ciągnąć go za sobą, wyszedł nareszcie na powierzchnię. Pospiesznie zapiął kurtkę pokrytą osłoną z połączonych na gorąco starych worków foliowych, narzucił na głowę głęboki kaptur i założył przyciemniane gogle narciarskie, bo słyszał kiedyś, że letnie słońce potrafi oślepić. Nigdy nie widział świata na zewnątrz bez osłony, która przytłumiała

kolory, toteż bez względu na pogodę wydawał mu się on nieco ciemniejszy i bardziej ponury. Jego pałac był zdecydowanie przyjemniejszym miejscem.

Obrócił się jeszcze raz, by spojrzeć na swoją siedzibę. Westchnął. Jaki to pech, że miłość była jednak najważniejsza na świecie, ważniejsza nawet od jedzenia, picia i bezpieczeństwa, jaką dawał porządny schron. Łyknął znów wódki z manierki i wyruszył na poszukiwania ukochanej. Wiedział, że Ninel musi gdzieś na niego czekać i tęsknić równie mocno jak on. Spodziewał się zastać ją w niewoli u jakichś wyjątkowo wrednych drani (oby nie u kanibali, nie wiedział, jak poradziłby sobie z kanibalami, których bał się szczególnie). Wydawało mu się, iż to nawet dobrze, że będzie mógł ją uratować i ostatecznie zasłużyć sobie na jej dozgonne oddanie.

Na początek skierował się ku siedzibie czerwonych. Skoro Ninel była komunistką, może wiedzieli coś o jej losie? Wprawdzie faszyci utrzymywali, że cała komuna została porwana przez hordeę, ale Szurnięty Stach nie wierzył im w tej sprawie. Jeśli Pożoga i wszystkie następujące po niej katastrofy czegoś go nauczyły, to tego, że zagłada nigdy nie jest ostateczna. Zawsze coś zostawało. Niedobitki, które starały się odtwarzać cywilizację, albo przynajmniej jakieś łupy do zebrania.

Zerknął odruchowo na niebo i zamarł. Dwa ciemne punkty szybowały tam po nierównych, ale wyraźnie celowych trajektoriach. Ptaki! Nie potrafił ocenić, czy to drapieżniki. Instynkt podpowiadał mu, że powinien natychmiast poszukać schronienia, że tam gdzie są dwa ptaki, zaraz może pojawić się całe ich stado. A jednak nie ruszył się z miejsca.

Pamiętał czas, gdy niebo wydawało się miejscem pełniejszym życia niż ziemia. Choć Pożoga i je obróciła w ruinę, oczyściło się szybciej. Miasta wciąż pokryte były pyłem, budynki nie podniosły się z upadku, a ludzie prawie w nich już nie mieszkali, preferując piwnice, schrony i wąskie, ciemne korytarze, na wykopanie których mieli dwa dziesięciolecia. Nikt nie budował już domów próbujących sięgnąć nieba, nikt nie wysyłał samolotów ponad chmury. Nawet wszechobecne

niegdyś sygnały radiowe nie krążyły teraz w powietrzu.

Przetrwały tam tylko owady i ptaki. Kiedy opadł zabójczy pył, powróciły na odnowione niebo i zajęły je na wyłączność. Zamiast jednak stać się znakiem odnowy, okazały się jeszcze jednym symbolem klęski ludzi – istot, które same sobie odcięły skrzydła.

A jednak ludzie przetrwali. I może udało im się nawet lepiej niż ptakom, bo tych było teraz niewiele na nowohuckim niebie. Do dwóch przyglądających się Szurniętemu Stachowi nie dołączyły następne. Nie pojawiło się żadne stado. Najpierw Król zgarnął dla siebie wszystkie, tak jednomyślne, jak i niejednomyślne, a potem Kombinat wybił te, które nie zdołały uciec.

Natchniony wiarą w zdolności przystosowawcze ludzkości, opierającą się między innymi na wybitnej zdolności zabijania wszystkiego, co ośmielało się żyć w jej pobliżu, Szurnięty Stach zmierzał ostrożnie ku terenom Nowej Huty, których nigdy dotąd nie odwiedzał, a które znał jedynie z opowieści. Wiedział na przykład, że powinien trzymać się z dala od ronda Czyżyńskiego, gdzie mieszkali kanibale, oraz że lepiej uważać na siebie w okolicach Teatru Ludowego, największego legowiska nocnych. Do Ronda nie zamierzał się zbliżać, natomiast teatr postanowił minąć, cały czas się czołgając. Zmarnował przy tym mnóstwo czasu i sił, kompletnie nie radząc sobie z sinymi pnączami, porastającymi tę okolicę znacznie ściślej i gęściej niż siedliska plemienia Wandy, w którego sąsiedztwie mieszkał. Klął na czym świat stoi, przebijając się przez ten gąszcz, i tak w nim zmitrężył, że ani się obejrzał, a zastała go w nim noc. W samym środku terytorium upiorów!

– Coś musisz teraz zrobić, brachu – szepnął sam do siebie, gdy dotarły do jego uszu pierwsze niepokojące odgłosy, świadczące, że nocni zaczęli wychodzić ze swoich dziennych kryjówek. – Myśl szybko, albo przepadniesz!

Jakkolwiek jednak wysilał umysł, zdobył się tylko na to, by skulić się wśród pnączy i wstrzymywać oddech na tak długo, jak to tylko możliwe, by czynić jak najmniej hałasu. Bał się, że

jeśli choćby drgnie, tamci mogą go usłyszeć. Nie obawiał się natomiast, że wyczują jego zapach. Podczas przedzierania się przez siny las rozeźlony przeciął kilka pnączy, a one mściwie spryskały go cuchnącym sokiem. Pachniał więc teraz jak siny las. W myślach pobłogosławił swą zapobiegliwość i spryt, natychmiast uznając, że ów atak złości, podczas którego siekł wszystko w okolicy starą, kupioną od faszystów maczetą, był w istocie zaplanowanym atakiem, efektem słynnej przemyślności Szurniętego Stacha.

Teraz bał się choćby sięgnąć po maczetę spoczywająca w pochwie przypiętej do pasa. To przecież także byłby jakiś ruch, a ruch mógł stać się załącznikiem dźwięku.

Leżał więc, drżąc na całym ciele. Pierwszy raz przebywał nocą poza bezpiecznym schronieniem, na zewnątrz, pod gołym niebem, z którego również dobiegały ciekawskie pokrzykiwania jakichś istot. Odkrył, jak pełen dźwięków jest nocny świat. W dzień nie dobiegało ich aż tyle, jakby światło tłumilo je w jakiś magiczny sposób. Gdy zabrakło słońca, każdy szelest nabierał mocy i stawał się słyszalny dla Stacha. Słyszał kroki miękkich łap, jakieś popiskiwanie, szelest nagle pobudzonych skrzydeł. Prawie krzyknął, gdy jego uszu nagle dobiegło gniewne warknięcie w pobliżu.

Spędził tak całą noc. Czasem zapadał w drzemkę, by zaraz budzić się z niej ze strachu, że coś może go dopaść we śnie. Nic jednak go nie dopadło. Gdy wstało słońce, odczekał jeszcze, aż wzniosło się wyżej, ostatecznie przeganiając noc, i wreszcie spróbował podnieść się z ziemi. Zajęło mu to chwilę, bo przeciw woli Stacha buntowało się całe jego ciało. Łyk wódki rozgrzał go i dodał mu sił. Zdołał usiąść. Potem podczołgał się pod ruiny najbliższego bloku, z ulgą oparł o nie plecy i wyjął z kieszeni kurtki porcję suszonego mięsa, by z satysfakcją zacząć je przeżuwać.

– Nie dopadli cię! – mruknął. – Z wprawą zamaskowałeś się między pnączami, bohatercko nie drgnąłeś przez całą noc. Choć kusily cię dźwięki szalonych syren, choć podchodzili cię nocni łowcy, nie uległeś pokusie ani strachowi. Wykonałeś plan i przetrwałeś.



W nagrodę za swoje męstwo pociągnął z manierki.

– Teraz powinienes się przespać. Ale wtedy pewnie będziesz spał do nocy i wszystko się powtórzy. Musisz więc ruszać dalej.

Jęknął, wstając. Noc spędzona w lesie nie należała do relaksujących. Miłość jednak przydała mu sił. Spróbował spojrzeć w niebo w poszukiwaniu ptaków, które widział poprzedniego dnia, ale splątane pnącza przesłaniały mu widok. Wprawilo go to w ponury nastrój. Ruszył szybszym tempem, niż początkowo zamierzał. I choć kłął przy każdym kroku, udało mu się je utrzymać.

Nawet nie zauważył, że bał się nieco mniej niż pierwszego dnia podróży. A przez to zrobił się także mniej ostrożny. I przegapił mężczyznę, który wyłonił się z ruin Teatru Ludowego, by ruszyć jego tropem. A przecież był to prawdziwy olbrzym, uzbrojony w charakterystyczny, przesadnie potężny topór. Stach rozpoznałby go natychmiast.

Gdyby tamten chciał, by go dostrzeżono.

## Rozdział 2

Szurnięty Stach błędził blisko godzinę, nim udało mu się znaleźć przedszkole komunistów. Pamiętał je z dzieciństwa, kiedy wszystkie budynki naokoło wydawały się takie same. Przybysze z Krakowa krążyli między nimi zagubieni. Nie pomagała im ani specyficzna architektura Nowej Huty, ani chaotyczne dla nich nazwy osiedli i numery domów. Nie potrafili rozpoznawać drobnych szczegółów oczywistych dla każdego tubylca znajdującego na pamięć topografię swojego miasta.

Pożoga przekształciła urodę Nowej Huty, odmieniając każdy z podobnych niegdyś budynków. Jedne zawały się kompletnie, inne tylko częściowo. Niektóre spłonęły doszczętnie, większość straciła dachy i okna. Potem ogołacano je ze wszystkiego, co mogło się przydać Federacji. W efekcie, dwadzieścia lat po Pożodze, Nowa Huta przypominała olbrzymią twierdzę pełną zrujnowanych kaszteli i baszt, opianych obecnie wyłącznie przez rośliny, które piętro po piętrze zdobywały niegdysiejsze ludzkie schronienia. Na ulicach i parterach budynków dominował oczywiście siny bluszcz, ale wyżej rozpanoszyły się mchy, wcześniej często uprawiane na ścianach domów przez Federację, która potrafiła je przerabiać na dodatek do papki żywnościowej. Na rozsypujących się balkonach Stach dostrzegał wpijające się w szczeliny, obsypane dziwnymi czerwonymi owocami krzewy, a nawet młode rachityczne drzewka, zapewne także dogłądane przez Federację.

To bogactwo życia oszołomiło go. Mieszkańcy Federacji żyli w przepychu niedostępnym dla popielnych. W okolicach Wandy każda roślina stanowiła skarb. Ludzie albo pożerali ją, albo ostrożnie wykopywali i starali się posadzić w prowizorycznych donicach, które Stach produkował ze

śmieci, wykorzystując okazję niezłego zarobku. Nie istniało nic takiego jak dobro wspólne; najdrobniejszy pęd trawy, który ktoś zostawił w spokoju, stawał się łupem kogoś innego. Tylko pnączami sinego lasu nikt się nie interesował.

W Federacji spokoju roślin strzegła władza. Twardzi, bezwzględni ludzie, wysyłający żołnierzy, by karali każdego, kto bez zezwolenia zaburzył roślinny spokój. Choć Stach cenił swoją wolność, ten jeden raz zaczął sobie wyobrażać, jak by to było żyć w takim bogactwie.

No cóż, przekona się, gdy tylko wreszcie uznają jego prawa wśród Konopków. Zamieszka wtedy między nimi ze swoją Ninel bogaty jak nigdy w życiu.

Na razie błąkał się wśród ruin, starając się przywołać wspomnienia z dzieciństwa i porównywać je z nową topografią miasta. Nie przychodziło mu to łatwo, ale wreszcie odnalazł ruiny przedszkola.

Długo stał przed wejściem, nim zdecydował się wejść do środka. Tu mogła czekać na niego Ninel i myśl ta zaskakująco go onieśmielała. Dodatkowo oszałamiała Stacha cisza. Kiedy sam się nie poruszał, nie było w okolicy nikogo, kto wydawałby jakiegokolwiek dźwięki. Nie wiał tu teraz nawet wiatr. Zabrakło ludzi i zwierząt. Horda jednomyślnych dokończyła dzieła Pożogi. Zabrała ze sobą i poprowadziła ku zagładzie większość z tych, którym udało się przetrwać pierwszy kataklizm.

– Cóż – szepnęła Stach onieśmielony brakiem tych dźwięków, które napawały go takim strachem w nocy. – Jeśli ja i Ninel nie zaludnimy tej ziemi na nowo, stanie się ona światem roślin.

Zachichotał i tak przewycięzył onieśmielenie.

Drzwi przedszkola ustąpiły zaskakująco łatwo. Nikt ich nie strzegł, co może dałoby Stachowi do myślenia, gdyby nie porwało go teraz podniecenie na myśl o możliwości rychłego spotkania z Ninel. Wewnątrz przedszkola nie czuł się zagubiony. W dzieciństwie chodził wprawdzie do innego, ale w czasach gdy powstawały te placówki, wszystkie budowano w ten sam sposób. Bez trudu odnalazł schody prowadzące w dół ku schronowi i dopiero na widok jego otwartych na oścież wrót zamarł.

Prawie wyrwano je z zawiasów. Ciężkie żelazne drzwi wyszarpanięto, wybito na zewnątrz. Nie padły ofiarą ataku kogoś, kto przybył spoza przedszkola. To mieszkańcy schronu musieli w panice z niego uciekać. Czyżby poddali się szałowi jednomyślnych? A może wyhodowali wśród siebie jakiegoś potwora? Albo coś przerażającego wypęzło spod ziemi, w której, jak wszyscy inni ludzie, którzy przetrwali Pożogę, kopali coraz głębsze i dalej sięgające korytarze?

Nieznośna wyobraźnia podsuwała Stachowi dziesiątki scenariuszy, każdy wydawał się straszniejszy od poprzedniego. Zamknął oczy i dziesięć razy powtórzył szeptem imię Ninel. To pomogło mu zapanować nad galopadą coraz bardziej rozszalałych myśli. Wyobraźnia, która, w jego mniemaniu, dawała mu taką przewagę nad innymi, czasem potrafiła być też problemem.

Niemniej przydała się na tyle, że go otrzeźwiła. Podniecenie zniknęło. Wyjął z plecaka lampę olejową. Podkręcił ostrożnie knot, a potem przez chwilę bawił się hubką i krzesiwem, by za pomocą jednej z drzazg przenieść płomyk na knot. Dopiero wtedy, ostrożnie, wszedł w ciemność schronu.

Zaraz natrafił stopą na coś miękkiego. Przykucnął, by oświetlić przedmiot światłem. Szmaciana lalka, całkiem spora. Zdaje się, że miała przypominać pluszowego misia, istotę mityczną dla dzisiejszych dzieci. Odruchowo, wiedziony instynktem zbieracza, wyciągnął rękę ku zabawce. Nie ma takiej rzeczy, której zdolny kupiec nie potrafiłby sprzedać. Zamarł jednak, gdy wydało mu się, że lalka drgnęła. Choć był niemal pewny, że musiało to być złudzenie, być może wywołane drżeniem płomienia w lampie, cofnął dłoń. Kto wie, jakie duchy potrafiły się kryć w zabawce? Skąd ona w ogóle się tu wzięła? Jakie dziecko porzuciłoby taki skarb?

Wyprostował się powoli i jeszcze trochę podkręcił knot. Niech tam, zaoszczędzi na oleju innym razem, w ostateczności wróci do domu po zapasy, gdyby skończyły mu się te, które miał w plecaku. Teraz potrzebował mocniejszego światła.

Pluszowy miś nie był sam. Cały korytarz usiano porzuconymi przedmiotami. W zasięgu wzroku wałały się części ubrań,

prymitywne narzędzia, puste i pełne toboły. Stach dostrzegł nawet taki skarb jak stary, wyszczerbiony nóż o cienkim ostrzu. Ludzie musieli uciekać stąd w panice, przerażeni tak bardzo, że aż bezmyślnie porzucali swój majątek. Coś takiego nie mieściło się w głowie. Pierwsze, o czym myśleli ludzie wychowani przez Pożogę, to ocalić jak najwięcej przedmiotów, które później mogły im ocalić życie. Stach mógłby jeszcze uwierzyć, że jakieś dziecko zgubiło w tłumie lalkę. Ale ten leżący kilka metrów dalej nóż? Albo tamten bezkształtny strzęp falistej blachy, z której można by zrobić prawdziwe skarby? Albo ten porwany koc? Garnek?

Istniało tylko jedno wytłumaczenie: ci ludzie zwariowali.

Może oszaleli od narkotyków, które produkowali? A może dopadła ich jednomyślność i zmieniała w zwierzęta?

Tak czy owak, należało się strzec. Stach przełożył latarnię do lewej ręki, a prawą wyciągnął maczetę. Coś mogło czyhać na niego w ciemnościach. Może jakiś oszalały od narkotyków człowiek, a może coś jednomyślnego? Przestał wierzyć, że znajdzie tu Ninel, nie mógł jednak ryzykować. Istniała, niechby i maleńka, szansa, że ukryła się z garstką ostatnich obrońców w jakimś głęboko wykopanym bastionie. Jeśli ktoś miał się okazać na tyle silny, by przetrwać zagładę komuny, musiała być to jego Ninel.

Gdy zbliżył się do porzuconego noża, odłożył na moment latarnię i schylił się, by sięgnąć po cenną zdobycz. Cóż, nawet jeśli nie znajdzie ukochanej, wyjdzie stąd lepiej zaopatrzony.

I wtedy kłęb szmat tuż przed nim naprawdę się poruszył. To już nie mogła być gra światła. Coś tu żyło. Stach wetknął zdobyczny nóż za pas, chwycił lampę i szybko cofnął się o krok.

Kłęb szmat podążył za nim. Pełził za człowiekiem niewprawnie, kołysząc się na boki, jakby poruszanie sprawiało mu trudność. Aż wreszcie zsunął się na bok i zamarł w bezruchu, a spod niego wyczołgał się przypominający chrabąszcza, ale wielki niczym męska dłoń robal o czarnym chitynowym pancerzyku, sześciu odnóżach i łebku zaopatrzonym w parę chwytnych żuwaczek oraz w długie, przypominające kocie wąsy czułki. Uniósł czarny jak reszta

ciała łeb i zamachał cienkimi czułkami.

Stach przyglądał mu się z ciekawością, zastanawiając się, czy strułby się, gdyby przypiekl cielsko robala nad żarem. Pod tym pancierzem musiało znajdować się trochę mięsa. Zjadał już mięso owadów, zwykle okazywało się całkiem smaczne. Może opłacałoby się urządzić tu małe polowanie i zgromadzić zapasy na dłużej?

Dopiero gdy coś rozbłysło na wysokości jego dłoni w świetle lampy, Stach dojrzał, że wyrastające nieprzerwanie z ciała robaka ni to czułki, ni to włosy zbliżyły się do niego. Kilka dotarło do butów i wpiło się w ich podeszwy. Inne wspinały się ku jego dłoniom. Stach spróbował przeciąć je maczetą, ale tylko okręciły się wokół jej ostrza. Szarpnęły się. Cholerstwa były mocne, nie puszczały.

Dotarło do niego, że to nie on tutaj polował.

Zaklął, jednym skokiem dopadł robala i z całej siły nastąpił na niego, starając się drania rozdeptać. Pancierz stwora pękł z chrzęstem, a robal nim zdechł, wydał z siebie przenikliwy pisk. Włosoczulki natychmiast opadły i odczepiły się od butów i maczety.

– Zadarłeś ze Stachem, to masz za swoje! – zawołał triumfalnie Szurnięty. – Nie tacy próbowali...

Ostatnie słowo dokończył szeptem, bo wydało mu się, że ze wszystkich stron zaczęły dobiegać piski podobne do tego, jakie wydał umierający robal, tyle że mniej rozpaczliwe. Raczej nawołujące.

W kręgu światła rzucanego przez latarnię Stach dostrzegł, że wiele z zalegających na ziemi szmat zaczęło się poruszać. Większe i mniejsze robale wypełzały spod nich, unosząc się na odnóżach i kierując ku człowiekowi włosoczulki.

Nie były jednomyślne. Kilka, najwyraźniej przestraszonych, wybrało ucieczkę w głąb schronu. Ale tych, które postanowiły zapolować, i tak zostało zdecydowanie zbyt wiele.

Stach rozdeptał dwa, które stanęły mu na drodze, ale czuł, jak włosoczulki pozostałych zaczynają wpijać mu się w ubranie. Okazały się zaskakująco silne. Któraś z nich przebiła się przez rękawicę i wgryzła w dłoń. Ukąszone miejsce natychmiast

zapieкло jakby dotknięte żywym ogniem.

Przeżony wizją, że te mikre ścierwa jak nic go tutaj pożrą, Stach cisnął latarnią w kierunku największego zgrupowania robali. Szkło szczęśliwie pękło, olej rozlał się i zapłonął. Przerazający pisk płonących bestii wypełnił cały korytarz.

Stach stracił latarnię, ale był wolny. Pędem ruszył ku wyjściu. Gdy minął wrota, nie zatrzymał się, ale biegł dalej, przez korytarz przedszkola, ku zbawczemu światłu. Wmówił sobie, że robale muszą bać się słońca, i z całego serca w to wierzył.

### Rozdział 3

Złośliwi utrzymywali, że kapitan Pitala mógł bez obaw przechadzać się nocą ulicami Nowej Huty, ponieważ nocni najpewniej wzięliby go za swojego. Nie dość, że posturą przypominał niedźwiedzia, to jeszcze jego twarz przywodziła skojarzenia z pyskami gargulców, o których powiadano, że wylazły po Pożodze z samego piekła. Nie pomagało, że niewielu widziało Pitalę bez czarnego, sięgającego mu do kostek, skórzanego płaszcza. Dokądkolwiek przybywał, wydawało się, że przygasają światła bądź ciemniało niebo. Wizerunku dopełniał wykonany na jego zamówienie pistolet, obciążający wiszącą u pasa kaburę. Była to broń o wątpliwej skuteczności, ładowana ołowianymi pociskami od lufy – podobnie jak muszkiet. Używanie jej wymagało sporej wprawy i cierpliwości, a przy tym nie gwarantowało sukcesu w starciu z pojedynczym przeciwnikiem; za to próba zmierzenia się z większą liczbą wrogów skazywała użytkownika na pewną śmierć. Pitala uważał jednak, że siłą jego broni był nie tyle ołów wylatujący z lufy pistoletu w rzygu ognia i chmurze dymu, ile efekt psychologiczny, jaki robiło samo patrzenie w jego lufę. Tę samą, w którą spoglądał teraz Szurnięty Stach.

Gdy wypadł pędem z przedszkola, potknął się o kawałek wystającej spod ziemi płyty chodnikowej, która jakimś cudem nie padła łupem szabrowników, wywinął kozła i grzmotnął o ziemię. Zaklął siarczyście, spróbował wstać i prawie nadział się okiem na wielką lufę czegoś, co widział pierwszy raz w życiu, ale co musiało być bronią. Spoglądał w ogromny, ciemny otwór, a wszystko poza nim wydawało mu się niejasne i rozmazane. Dlatego Pitala był dla Szurniętego Stacha jedynie ciemną plamą, mrocznym kształtem na wzór burzowej chmury.

– Nieznajomy – zagrzmiała chmura, odciągając koślawy i brzydki, ale skutecznie krzeszący ogień kurek. – Kim jesteś



i co tu robisz?

– Uciekajmy! – Stach zawsze uważał, że najlepiej od razu zjednywać sobie ludzi, budując złudzenie, że tworzy się z nimi jakąś wspólnotę. Dlatego prędko łączył siebie z obcymi w jakies bliżej niesprecyzowane „my”. – O, przyjacielu, zabierajmy się stąd w cholere, nim nas załatwią!

– Kto? – zdziwiła się chmura.

Oderwanie wzroku od hipnotyzującej otchłani lufy stanowiło nie lada wyzwanie, ale Szurnięty Stach mu podołał. Obejrzał się przez ramię. Żaden z robali nie wyszedł za nim z przedszkola.

– Gonily mnie takie żuki... Cały rój! Wielki i groźny!

– Żuki? – to pytanie nie zostało skierowane do Stacha. Pitala spojrzal gdzieś za siebie, a stamtąd nadplynęła odpowiedź:

– Nerwożuki, kapitanie. Pół roku temu zaczęły przyłazić z pustyni. Dobiły resztki czerwonych. Nie pchają się na słońce.

– Jesteś tu bezpieczny, nieznajomy – oznajmił Pitala. – O ile odpowiesz na moje pytania. Kim jesteś?

– Och, tylko zwyczajnym szperaczem. Łazę sobie tu i tam. Słyszałem, że wiele się zmieniło i...

Lufa dotknęła czoła Stacha i wsparła się o nie.

– Z tej odległości pocisk po prostu urwie ci głowę i rozerwie ją na strzępy – warknął Pitala. – Uderzy z taką siłą, że kawał twojego zakłamanego mózgu może nawet doleci do przedszkola. A tam zeżrą go żuki. Okłam mnie jeszcze raz, ścierwo, a tak właśnie stanie się.

– Kiedy... – Stach przełknął ślinę. – Kiedy nie kłamię! No dobra! Dobra! – krzyknął, bo wydawało mu się, że nacisk lufy się nasilił. – Nie szukam byle czego! Szukam Ninel!

– Co to jest Ninel?

– To moja kobieta! Jakby żona! Ona jest stąd!

Pitala cofnął pistolet. Pochylił się nad Stachem i odsunął gogle na czoło, by spojrzeć mu w oczy. Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Stach drżał, Pitala milczał. Wreszcie poklepał Szurniętego po policzku, chwycił go za poły kurtki i szarpnięciem postawił na nogi.

– Skąd jesteś? – zapytał.

– Z Wandy. Tam sobie żyłem, aż...

– Z Wandy. Dobrze. Posłuchaj człowieku z Wandy, będziesz naszym przewodnikiem. Jeśli nas okłamiesz, zginiesz. Jeśli będziesz nas zwodził, zginiesz. Jeśli przyjdzie ci do głowy wprowadzić nas w jakąś pułapkę, zginiesz. Jeśli nie wykonasz mojego rozkazu...

– Zginę – odgadł Stach.

Teraz, kiedy stał, mógł zobaczyć towarzyszy człowieka chmury. Nie przypadli mu do gustu. Czterech z nich przypominało żołnierzy Federacji, którzy czasem wpadali z wizytą do pałacu Stacha. Ale dwaj pozostali... Siedzieli na ziemi, opierając się o siebie plecami. Nie mieli masek ani hełmów. Jeden o najbardziej szalonych oczach, jakie Stach widział, bezustannie kręcił głową na boki, targając nią gwałtownie na wszystkie strony, jakby rozglądał się w przekonaniu, że zewsząd czeka niebezpieczeństwo. Gdy spojrzął na Stacha, spróbował zerwać się z ziemi i skoczyć ku niemu. Powstrzymał go sznur, jakim był połączony z tym drugim. Uwiązano go niczym smycz u obroży ich obu. Nie mogąc dopaść Stacha, tylko wyrzucił ku niemu ręce i zakrzeczał. Jego równie nędznie wyglądający towarzysz zachichotał, po czym zawołał:

– Strach! Strach! Kobieta! Strach! Śmierć!

Pitala nie zwrócił na nich uwagi.

– Nie zabierzemy ci twoich rzeczy – zwrócił się do Stacha. – Nawet broni. Od tej pory jesteś przewodnikiem zwiadu Straży Wewnętrznej Kombinat... Mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Stach.

– Szurnięty! – zachichotał jeden z trzymanyh na smyczy mężczyzn. – Szurnięty Stach!

Człowiek chmura zmarszczył brwi.

– No dobra! – zdecydował. – Dajcie tu niuchacza. Niech go sprawdzi na wszelki wypadek.

Jeden z żołnierzy unieruchomił Stacha, przytrzymując go za ramiona. A drugi poprowadził ku niemu połączonych smyczą mężczyzn. Ten, który co chwila chichotał nerwowo, popatrzył na Stacha jakby ze smutkiem. Skrzeczący sapnął z satysfakcją, gdy wreszcie mógł dotknąć nowej ofiary. Oparł dłonie o czoło

Szurniętego i ten nagle poczuł w głowie coś, co przypominało zew jednomyślności, było jednak obrzydliwsze. Jednomyślni tylko muskali jego umysł, dawali się oszukać i zbyć. Niuchacz, czymkolwiek był, wpił się we wszystkie myśli i wspomnienia Stacha. Przeczesał je gwałtownie, jakby przeszukiwał jego rzeczy. Stach krzyknął ze wstrętu. Znów osunął się na kolana. Z oddali usłyszał chichot tego drugiego, a następnie potok słów opisujących jego życie. Stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, człowiek chmura pochylał się nad nim.

– Nienawidzę korzystać z tego niuchacza – warknął. – On, rozumiesz, oszalał. No, ale oprócz niego mamy tylko dwóch, więc jest cenny. Słuchaj, gnoju, bo więcej nie będę powtarzał. Nic przede mną nie ukrywaj. Nigdy. Rozwaliłbym cię tu, a twoje ścierwo rzucił żukom. Ale zginęło cholernie dużo ludzi, a my mamy słabe rozeznanie w terenach poza Federacją. Ciągłe uważam, że możesz się przydać. Ale nic więcej przede mną nie ukrywaj. Zrozumiano?

Stach zacharczał, próbując coś powiedzieć, ale nie potrafił jeszcze wydobyć z siebie głosu. Skinął więc tylko głową.

– Doskonale. Jeszcze raz poczuję się niezadowolony z twoich usług, to najpierw każę niuchaczowi pożreć twoją durną duszę, a dopiero potem cię zabiję. Nazywam się Pitala. Kapitan Pitala. Od tej pory należysz do mnie. Ogarnij się, bo za chwilę ruszamy.

Schowal pistolet do ukrytej pod płaszczem kabury.

– Kapralu Smutny! – zwrócił się do żołnierza trzymającego na smyczy niuchacza i chichotka. – Wyczuli coś?

– Wyczuwa trop kapitanie. Wiedzie ku Teatrowi Ludowemu.

Chichotek jęknął.

– Jest jeszcze coś! – zawołał ochryplym głosem. – Jeszcze! Jeszcze!

Niuchacz zaskomlał potwierdzająco.

– Mów, Mikołaju – głos Pitali nieco złagodniał, jakby zwracał się do dziecka.

– Ktoś tu jest! Ktoś... – Mikołaj przerwał, by zachichotać po swojemu. – Ktoś obcy tu krąży. Blade, słabe echo. Obce.

– Gdzie?

– Wszędzie! – śmiech Mikołaja zabrzmiał jak płacz. – Nie wiemy! Ale jest blisko!

Pitala rozejrzał się po okolicy. Zaklął.

– Ty, Szurnięty! Spotkałeś kogoś po drodze?

– Nie, panie kapitanie. Pusto. Przez tę całą horde, tak myślę. Wszystkich wybiła.

– Mikołaju, wypatrujcie z niuchaczem tego obcego. Może to tylko ta suka nas zwodzi, ale kto wie. Zbieramy się. Szurnięty, trzymasz się blisko mnie. Pogadamy.

Wypytywał Stacha o okolicę i o najlepsze szlaki prowadzące ku siedliskom plemienia Wandy. Równocześnie nie kierował się jego wskazówkami, ale podążał tam, dokąd prowadził szcepiony z Mikołajem niuchacz. Stach szybko zorientował się, że ci dwaj tworzyli jedną całość. Mikołaj chyba jako jedyny rozumiał niuchacza. Porozumiewali się bez słów, połączeni jakąś więzią, zapewne tą wypaczoną jednomyślnością, której wspomnienie przepełniało Stacha wstrętem i strachem. Niuchacz nie odzywał się wcale, jakby zapomniał ludzkiego języka. Gnał przed siebie czasem jak człowiek, a czasem jak zwierzę – na czworaka. Przystawał nagle, rozglądał się na boki, popiskiwał, po czym wyrwał do przodu, by zaraz zawrócić, pomrukując niezrozumiale. Przysiadywał, skomlał. Znow się rozglądał, by po jakimś czasie wydać z siebie dziwaczny okrzyk i znow ruszyć do przodu. Mikołaj tłumaczył jego zachowanie tylko wtedy, gdy ktoś o to zapytał. W innych przypadkach jedynie chichotał po swoim. Cały czas zerkał nerwowo na boki, jakby oczekiwał ataku dosłownie zewsząd. A że niuchacz co chwila zmieniał zdanie, to ganił zygzakami, prawie zupełnie ignorując niebezpieczeństwa.

Stachowi nie podobali się ci dwaj.

Zresztą cała ta sytuacja mu się nie podobała. Ten Pitala sprawiał wrażenie okrutnego i bezwzględnego człowieka. Niby jak Stach miał odnaleźć Ninel w takim towarzystwie? Chyba że...

– Ta kobieta? – zapytał. – Ta, której szukacie. Czy to może moja Ninel?

– Twoja Ninel nie żyje – odparł Pitala. – Wszyscy czerwoni

albo trafili do nas, albo polegli. Przesłuchiwałem ocalałych. Nie było wśród nich żadnej Ninel.

– Żyje! – krzyknął na niego Stach. – Nic nie byłoby w stanie jej zabić! Zresztą jej raczej nie było w schronie. Poszła ze Szramą...

– Z kim?

Stach wyłapał nagle czujne spojrzenie Mikołaja.

– Szraaama! – zawył mężczyzną połączony z niuchaczem. – Szrama! – zachichotał. – Szrama zdechł!

## Rozdział 4

– Nie możemy tam wejść! – upierał się Stach.

Stali przed wejściem do piwnic Teatru Ludowego. Zapadał zmierzch. Zmarnowali po drodze wiele czasu przez niuchacza, który wciąż mylił tropy i urządzał niespodziewane postoje, szukając nowych. Tylko podczas nich Stachowi udało się coś przegryźć albo wypić parę łyków wody. Pitala poganiał ich bowiem przez cały czas. Żołnierze nie skarżyli się, widać przyzwyczajeni, ale Stach miał już dość.

Wstrząsnęła nim wieść o śmierci Szramy. Nie darzył może ponurego żołnierza wielką przyjaźnią, miał go jednak za niezniszczalnego. Szrama i jego ludzie wychodzili cało z każdej awantury, w jaką zdarzało im się wdepnąć. A że mieli nielichy talent do pakowania się w kłopoty, to należeli do najbardziej doświadczonych zwiadowców w całej Nowej Hucie.

No i była z nimi Ninel. Jeśli zginął Szrama...

Stach uznał, że musi wypytać o całą sprawę Mikołaja. Jeśli jednak wejdą do schronu pod Ludowym, może nie mieć ku temu okazji.

– Nie możemy tam wejść! – powtórzył. – To największe siedlisko nocnych!

– Mikołaju?

– Nic tam nie ma. Niuchacz nic nie wyczuwa. Oprócz niej. Mogła tu być.

Ponieważ cały czas chichotał po swojemu, Stach nie dawał się przekonać. Jak można zaufać komuś tak szalonemu?

– Wchodzimy! – zdecydował Pitala i popchnął Stacha ku wejściu.

Podczas mającej miejsce kilka lat wcześniej secesji części schronów pragnących uniezależnić się od Federacji to właśnie podziemia pod Teatrem Ludowym stanowiły największe ognisko oporu. Secesjoniści odpierali tam wszystkie szturm

Federacji. Upadli dopiero, gdy nocni przerwali linie ich obrony i pożarli wszystkich. Odtąd teatr stał się najbardziej przeklętym miejscem w całej Nowej Hucie. Nikt nie wiedział, jak doszło do tego, że nocni, zwykle zwaśnieni między sobą samotnicy, uznali schron pod teatrem za terytorium neutralne i nie zabijali się w tej kryjówce. Nocni nie byli inteligentni. A jednak ten jeden raz zmutowane, przywykłe do życia po zmroku zwierzęta w jakiś sposób się porozumiały i zawarły swoisty rozejm. Walczyły między sobą i polowały na siebie nawzajem, ale tylko poza schronem. Jednak nawet wtedy najchętniej wybierały inne ofiary.

Na przykład ludzi. W ciągu miesiąca wybiły wszystkich popielnych mieszkających w okolicach teatru. Ruiny osiedli otaczających siedlisko nocnych stały się ich królestwem. Triumf Federacji nad secesjonistami przyniósł gorzki owoc. W miejsce jednego wroga pojawił się następny. Federacja nie zyskała nic poza zaspokojeniem pragnienia zemsty.

A Pitala kazał się zatrzymać na noc właśnie w tym przeklętym miejscu!

– Kim wy jesteście? – mamrotał rozeźlony Stach. – Niby bierzesz mnie pan na przewodnika, ale zupełnie nie słuchasz! To jest najgorsze miejsce w całej Hucie! Nocni...

– Nie ma nocnych! – warknął Pitala. – Niuchacz by ich wyczuł!

– Ten wasz niuchacz... Wariat, nie? A może on chce nas wszystkich zabić?

– Zamknij się.

Stach umilkł więc, zwłaszcza że uświadomił sobie, iż sprzeczką może obudzić łowców albo przyciągnąć ich uwagę. Szedł więc, milcząc, w prawie całkowitej ciemności rozjaśnianej tylko słabym światłem olejowej latarni niesionej przez żołnierza na szpicie. Poruszali się ostrożnie, szukając drogi ku schronowi. Nic ich nie atakowało. Wewnątrz panował zaduch potęgowany przez jakiś rodzaj bluszczu, porastającego ściany i wydzielającego mdły, słodkawy zapach.

Natykali się czasem na porzucone kości, zarówno ludzkie, jak i zwierzęce, ale nie spotkali nic żywego.

– Widzisz? Nie ma nocnych – syknął z zadowoleniem Pitala.

– Pewnie wyszli na żer. Zeżrą nas, jak wróca.

Przewodnik znalazł wejście do schronu. Wrota były rozerwane jakby od wybuchu. Minęli je ostrożnie i zagłębili się w korytarze, które od lat nie widziały człowieka. Tam znaleźli jeszcze więcej kości, ale nikogo żywego. Tylko bluszcz był tu gęstszy.

Zatrzymali się na moment w największej sali, gdzie natknęli się na niewielki szkielet obrośnięty bluszczem. Roślina wrosła w kości, unosiła je w górę i utrzymywała w całości. Małą, chyba dziecięcą, czaszkę pnącza owinęły dokładnie i spływały z niej niczym ciemne włosy.

– Uważam, że powinniśmy się stąd wynosić w cholere – spróbował jeszcze raz Stach. – Może nie ma tu nocnych, ale to zielsko też pożera ludzi. Słabo mi od jego zapachu.

Niespodziewanie poparł go kapral Smutny.

– Powinniśmy to wszystko spalić – mruknął.

Pitala podszedł do wiszącego na ścianie szkieletu. Odebrał od przewodnika latarnię i zbliżył ją do kości. Ramiona zmarłego były skrzyżowane na piersi, czaszka opadała ku nim.

– To nie ona – Pitala mówił jakby do siebie, ale jego mrukiwy, jednak silny głos niósł się daleko i wszyscy go słyszeli. – Rozkład nie byłby tak całkowity. Nie zostałyby z niej same kości, nie po kilku dniach.

– Chyba że to zielsko wszystko z niej wyssało! – nie ustępował Stach.

Pitala odwrócił się do niego, przyświecił latarnią prosto w oczy.

– Rzeczywiście, ten bluszcz jest dziwny – przyznał. – Ale wtedy znaleźlibyśmy tu dwa szkielety. Chyba. Cholera. Dobra, nie zostajemy tutaj. Nie podoba mi się ten zapach. Przenocujemy wyżej, w piwnicach.

Mimo protestów Stacha rozpalili ognisko, by ugotować nad nim zupę gulaszową.

– Nie ma nocnych – bagatelizował obawy Stacha Pitala. – Horda porwała ich za sobą. Większość wyginęła, a niedobitki uciekły.



- Słyszałem wczoraj wiele głosów!
- To niedobitki. Niuchacz ich wyczuje i ostrzeże nas w razie czego. Śpij spokojnie.

Akurat!

Stachowi znów wydało się, że nie spał przez całą noc. Nasłuchiwał chrapania śpiących żołnierzy i pogwizdywania tych, których postawiono na warcie. Pogwizdywania! Popielni, gdy noc zaskakiwała ich poza schronami, starali się zachowywać jak najciszej, by nie przyciągać niczyjej uwagi. Ale żołnierze Kombinatów wychowali się w bezpieczeństwie i luksusie. Nie mieli wielu okazji, by wyrobić w sobie odpowiednie odruchy.

Sprowadzą na niego śmierć, jeśli nie znajdzie sposobu, by im uciec. Ale najpierw musi się dowiedzieć, co wiedzą o Ninel.

Szukał sposobu, by podejść do Mikołaja, ale ten zasnął kamiennym snem. Ale nawet teraz chichotał nerwowo. Budził się tylko wtedy, gdy niuchacz zrywał się ze snu, po swojemu na wszystkie strony, wpatrywał ze smutkiem w palce ukryte pod szmacianymi rękawicami, po czym znów zasypiał jakby nigdy nic.

Stach poddał się wreszcie. Wstał, podszedł do kociołka, by postukać w nim łyżką, niby to szukając resztek jedzenia. Upił wody. Zbliżył się do wartownika i spróbował poczęstować go wódką.

– Nigdy na służbie – pokręcił głową żołnierz.

– No co ty! – mrugnął do niego Stach i sam pociągnął łyk dla zachęty. – Gorzałka rozgrzewa. Wzmaga czujność. Masz.

– Płyn, wszarzu. Myślisz, że rozmawiasz z jakimś popielnym? Albo cieniem z Federacji? My jesteśmy ze Straży Wewnętrznej.

– Straż Wewnętrzna! – parsknął Stach. – Elita, co? Znałem takich „cieniasów z Federacji”, co by cię rozgnietli jednym palcem.

– Poszedł won!

– Źle zaczęliśmy – nie ustąpił Stach. Potrafił znieść dowolne obelgi, jeśli służyło to lepszej sprawie. – Nie znamy się. Ty jesteś elita, nie pijesz. Rozumie się. Dyscyplina. Straż

Wewnętrzna... – Gwizdnął, niby to z podziwem. – Nie pij. Nie namawiam. Ale może zjesz ze mną trochę suszonego mięsa?

– A z czego to?

– Grunt, że nie ludzkie.

– Czego ty, człowieku, ode mnie chcesz?

– Zasnąć nie mogę. Przyszedłem pogadać. No masz, dobre – podsunął żołnierzowi kawałek mięsa, a ten wziął je po chwil wahania.

– Niezłe! – ocenił.

– Bo ja umiem pichcić jak mało kto. Jestem Stach. Specjalista od przetrwania. Nazywają mnie „Szurnięty”, tak z przekory.

– Młócka. Szeregowy. Ale szeregowy u nas, w SW, to jak sierżant gdzie indziej. Zapamiętaj.

– No jasne, że zapamiętam, Młócka! Bracie, kogo my właściwie ścigamy? Bo ten wasz kapitan nic mi nie powiedział. A przecież bym pomógł więcej, jak bym więcej wiedział. Już zjadłeś? No to masz jeszcze kawałek. Przecież nie pożałuję kumpłowi.

Młócka nie odpowiedział od razu. Pożuł mięso, wyciągnął łapę po następne. Znów pożuł, po czym oznajmił, że to tajemnica.

– Dla innych tajemnica! – machnął ręką Stach. – Ale między nami, w oddziale?

– Aha! Bo ty już teraz z naszego oddziału, tak?

– Sam pan kapitan tak powiedział!

– Że niby kiedy?

– Jak mnie werbował pod przedszkolem. Powiedział, że jestem przewodnikiem Straży Wewnętrznej, nie? Czyli jestem wasz. Jeden z oddziału. Z SW!

– Gadać to ty potrafisz, nie ma co – roześmiał się Młócka. – Ale tajemnica to tajemnica.

– Wielka tam tajemnica! – wzruszył ramionami Stach. – Jak już wiem, że szukacie młodej dziewczyny, to jakbym wiedział wszystko, nie?

– Skąd wiesz, że młodej?

– Skąd wiem, to wiem – uśmiechnął się Stach, pociągając jeszcze łyk wódki. – Tajemnica.

– Ty! Ty przed nami nie możesz mieć tajemnic! Gadaj! Bo jak

powiem kapitanowi, to się wkurzy!

– Wie, że szukamy młodej dziewczyny, bo oglądałem ten szkielet na dole – dobiegł ich mrukliwy głos Pitali. – Młócka, powiedz mu, kogo ścigamy, bo nikt tu nie zaśnie przez te wasze gówniane konspiracje.

– Ja nie konspiruję, kapitanie! – obruszył się żołnierz. – Ale skoro pan rozkazuje... No więc – ściszył głos, czy to dlatego, że miał mówić o tajemnicach, czy też obawiając się zakłócać sen kolegów i przełożonego. – Z hordą jednomyślnych szedł ich Król i jego żona, taka młoda dziewczyna. Jej szukamy, bo uciekła.

– Z tym Królem? Bo kapitan mówił, że byłyby dwa szkielety.

– No Król... – zawahał się Młócka.

– Powiedz mu! – stęknął Pitala. Głos miał senny, zmęczony.

– Król zdechł. A zostałyby dwa szkielety, bo była w ciąży. Dość zaawansowanej.

## Rozdział 5

Musiał zabić trzech nocnych, nim nastał świt. Nie byli silni. Dwa współpracujące ze sobą szczury wielkości kucyków próbowały zająć go sprytnie. Jeden, robiąc sporo hałasu i symulując szarżę, miał go zagnać na przyczajonego za ruinami kiosku kompana. Halny najpierw zabił naganiacza, a potem tego drugiego, gdy ten ruszył na pomoc swemu towarzyszowi. Pierwszemu odrąbał łeb, drugiemu rozplątał brzuch. Tak czy owak, kryjówkę musiał opuścić, bo zapach krwi z pewnością przyciągnąłby innych drapiezców.

Na trzeciego nocnego wpadł po drodze na dach bloku naprzeciwko teatru, w którego piwnicach nocowali tamci. Zwierzę, które wśród swoich przodków miało zapewne psa, było wychudzone, chore. Ledwie trzymało się na nogach. Nie zaatakowało od razu. Przypatrywało się człowiekowi wszystkimi czterema oczami, jakby go rozpoznawało. A i Halnemu wydało się znajome. Musiało należeć do sfory spod teatru. Prawie swojak. Człowiek opuścił rękę, w której trzymał topór, i usunął się zwierzakowi z drogi. Niech ma, przy odrobinie szczęścia zdąży do ścierw szczurów i naje się do syta.

Nocny spojrzał na niego smutno, zaskomlał, a potem skoczył na Halnego bez nadziei na zwycięstwo. Topór rozorał go na pół, zabijając na miejscu. Mężczyzna głąskał wstrząsane drgawkami ciało, póki nie zamarło.

– Może powinienem zrobić jak ty – szepnął. – Też zostałem sam.

Miał jednak jeszcze to i owo do zrobienia.

Gdy zostawiał tę okolicę, tętniła życiem. Stada nocnych wędrowały wokół teatru, patrole Federacji strzegły przeszukujących coraz dalsze zakątki szperaczy, a plemiona popielnych uwijały się wśród ruin. Po niebie latały stada ptaków.

Teraz większość z nich zginęła, a on nie wiedział dlaczego.

– Nosi cię – powiedział ledwie parę miesięcy wcześniej Kot. – Ja takie rzeczy wyczuwam.

Siedzieli wówczas na polanie naprzeciw Szpitala Rydygiera, obserwując, jak strażnicy Konopków nadzorowali prace niewolników uprawiających skarłale warzywa na polach wokół szpitala. Konopkowie wiedzieli o ich obecności, ale ignorowali ją. Nie spodziewali się problemów ze strony Federacji uwikłanej w wojnę z szarymi.

Kot bawił się jakimś świecidełkiem, jak to on. I po swoim zaskoczył Halnego. Zajmował się jednym, a myślał o drugim. Cholerny Kot!

– Czuję wiatr – warknął Halny. – Ten wiatr.

Ilekoć wiało od gór, krew w żyłach Halnego zaczynała krążyć szybciej i coś dziwnego działo się z jego mózgiem. Podobno wszyscy tak mieli. Wiatr halny, od którego przyjął imię, od wieków budził w ludziach niepokój i gniew. Wy tłumaczył mu to kiedyś ten śmieszny jednooki aktor, który wszędzie wścibiał nos, domagał się opowieści o życiu żołnierzy, by mógł je spisywać w swoich kronikach. Gdy wiał halny, ludzie popełniali więcej zabójstw i częściej odbierali sobie życie. Nieznajomi albo wrogo do siebie usposobieni zostawali nagle kochankami. Poeci wpadali w twórczy szał. Działo się tak w górach, ale i daleko od nich – tam, dokąd tylko docierał budzący szaleństwo wiatr. Pożoga, choć wyrzuciła świat do góry nogami, nie zdołała tego zmienić.

A Halny, jeden z największych i najbardziej szalonych żołnierzy z oddziału Szramy, odczuwał wiatr, od którego przyjął imię, szczególnie mocno. Kiedy inni stawali się niespokojni, on wpadał w szał. Kiedy inni narzekali i kłócili się częściej niż zwykle, on gotów był urywać łby przyjaciołom. Wiatr kradł mu rozum, przemieniał go w zwierzę. W bestię.

– Wszyscy to wiemy – prychnął Kot, drugi, niemal równie szalony, żołnierz Szramy. – Od dwóch dni cię nosi. Szef kazał ci przekazać, że możesz sobie iść w cholere, jak to nie ustąpi.

– Dziękuję. Ale nie zostawię cię samego.

– Weź, spadaj. Nie ma tu nic groźniejszego dla mnie niż ty.

Wtedy widział Kota po raz ostatni.

Szrama, dowódca ich oddziału, znał dobrze przypadłość Halnego. Kiedy żołnierz zaczynał szaleć, odsyłał go. Gdy raz tego nie zrobił, Halny omal ich wszystkich nie pozabijał. Odtąd, ledwie pojawiał się wiatr od gór, wyruszał na dalekie samotne patrole.

Od pewnego czasu większość z nich spędzał w norze nocnych pod Ludowym. Odkryli ze Szramą jego tajemnicę: wyhodowany przez mieszkających w nim dawniej ludzi bluszcz potrafił niwelować agresję, jeśli tylko uda się znaleźć żywy przekaźnik przenoszący kojące sygnały z roślin do umysłów zwierząt i ludzi. Halny schodził pomiędzy zmutowane zwierzęta, a one przyglądały mu się zmrużonymi oczami, jakby był jednym z nich. Może i miały rację? Siadywał u stóp dziewczynki zrosniętej w jedno z rośliną<sup>1</sup> i opowiadał jej bajki. Dzięki jej opiece wiatr nie miał do niego dostępu. Wiał gdzieś daleko, odmieniał ludzi i zwierzęta, ale nie Halnego.

Tym razem jednak żołnierz nie zszedł do schronu pod teatrem. Wyczuł w wietrze coś nowego, groźniejszego. Jakby miał spaść na niego nowy rodzaj gorączki. Pożegnał Kota i wyruszył na zachód, ku terenom, na które dotąd się nie zapuszczał. Pomiędzy ruinami domów, pod którymi nie przetrwali żadni ludzie, i dalej ulicami o spękany asfalcie, zachowanym dzięki temu, że nikt go tu nie zdzierał. Mijał oazy bogactwa, czekającego tylko, by się po nie schylić: wraki samochodów, ruiny nieprzeszukanych budynków. Nie zwracał na nie uwagi. Po dwóch dniach podróży gnał go już ślepy szal. Gdy się ocknął w ruinach wielkich sklepów, których ściany rozpadły się, ustępując biorącej odwet za stulecia krzywd roślinności, nie wiedział nawet, ile czasu minęło. Ubranie miał sztywne od zaschłej krwi, w ustach czuł smak surowego mięsa, a wokół walały się szczątki upolowanych zwierząt. Kiedy kradnące resztki psy spostrzegły, że się obudził, uciekły, skomląc. Potarł twarz, by po długości zarostu ocenić upływ czasu i przeraził się. Wiatr musiał wyłączyć go na ponad dwa

---

<sup>1</sup>Patrz: opowiadanie *Halny* w zbiorze *Echo zgasłego świata*, Insignis 2016.

tygodnie. Choć halny nigdy nie wiał tak długo, szął noszącego jego imię mężczyzny uzależniony był od siły wiatru. I za każdym razem trwał trochę dłużej.

– Kiedyś się nie ockniesz – mruknął, przyglądając się odbiciu w kawałku lustra znalezionym na podłodze wśród szczątków mebli. Prawie sam siebie nie rozpoznawał. Przypominał raczej bestię niż człowieka.

Zdjął uwalane krwią ubranie, zastępując je czystym, przygotowanym na zmianę, czekającym w worku, który porzucił wśród ruin i którego musiał dość długo szukać. Ponieważ żył w świecie, w którym wiecznie wszystkiego brakowało, przywykł niczego nie marnować; dwie godziny poświęcił na znalezienie czegoś, co przypominało balie, napełnienie jej wodą z pobliskiego źródła i przepkanie ubabranych rzeczy. Krwi nie udało mu się zmyć całkowicie, zresztą nie spodziewał się tego, ale pozbył się jej zapachu, który mógłby przywabić drapieżniki. Nożem zgolił brodę, przez którą swędziała go skóra twarzy.

Gdy skończył przygotowania, zapadł już zmrok. Nie chciał włóczyć się po nocy, ale nie zamierzał też pozostawać w ohydnej jamie – cuchnęła krwią i śmiercią. I tak spędził w niej zbyt dużo czasu. Oddalił się na drugi koniec wielkiego sklepu, wspiał na półkę ocalałą po zawałonym piętrze, zwinął się w kłębek i zasnął. Nic go nie niepokoilo, choć słyszał odgłosy uczyty i walki dobiegające z porzuconej jamy. Zwierzęta prawdopodobnie wpadły na jego trop, ale wciąż bały się zbliżyć do szalonego mężczyzny.

Tydzień szukał drogi powrotnej do domu. Nie pamiętał, jak dotarł w te dziwne, opustoszałe okolice, gdzie szął kazał mu uwić gniazdo. Prawie ucieszył się, gdy wpadł na niewielką grupę kanibali. Musiał ich ścigać, bo rozpoznali go z daleka i rzucili się do ucieczki. To od tego, którego pozostawił przy życiu, dowiedział się, że w Nowej Hucie wszystko się zmieniło.

Upadła Federacja!

Rozkopywał groby, szukając swoich. Znalazł tylko ciało Szramy, które rozpoznał po kombinezonie. Co stało się z pozostałymi?

Porozmawiał z niedobitkami popielnych. Od nich usłyszał, że lepiej unikać patroli Kombinat, który porywał ludzi w nieznanym celach. Raz zaatakował taki patrol, ale jego żołnierze nic nie wiedzieli.

Czaił się więc. Czekał. Szukał sposobów na przeniknięcie przez mury otaczające Kombinat. Dawniej można było przejść przez jego bramę, udając kupca. Teraz pozostawała zamknięta dla obcych. Zresztą nikt pod nią nie przybywał, Nowa Huta stała się miastem niemal wymarłym.

Aż którejś nocy nareszcie coś się wydarzyło. Rozległ się alarm, z Kombinat z szaloną prędkością wyjechał tramwaj. W pościg za nim ruszyły inne pojazdy, z których prowadzono zawzięty ostrzał z balist i kusz. Zapamiętali w szale żołnierze próbowali przeskakiwać na dach tramwaju, gdy ich wozy zrównywały się z nim. Chwyтали się blach służących mu za pancerz, wspinali ku wąskim, opancerzonym oknom. Wtedy z wnętrza wychylali się obrońcy, by odrąbać im ramiona. Jakiemuś olbrzymowi udało się wspiąć na dach rozpędzonego tramwaju, gdzie stoczył pojedynek z półnagim, wyjąłym niczym zwierzę tramwajarzem. Obaj spadli, krzycząc, w ciemność, gdzie bluszcz pochłonił ich na zawsze.

Z umieszczonego na rufie tramwaju miotacza buchnął jęzor ognia, uderzając prosto w półpancerną, osłoniętą jedynie po bokach, ale pozbawioną dachu, uliczną drezynę napędzaną siłą rąk czterech niewolników naciskających na przemian na ramiona dźwigni. Wrzeszczeli, płonąc, ale przykuci do dźwigni, nie potrafili się wyzwolić. Pojazd uparcie pędził za uciekinierami, a strażnicy próbowali przeskakiwać zeń na tramwaj. Nawet gdy większość pościgu zniknęła Halnemu z oczu, wciąż mógł dostrzec płomień dopalającej się drezyny pędzącej szaleńczo przed siebie.

A rano z Kombinat wyruszyły oddziały, które najwyraźniej kogoś szukały. Halny na wszelki wypadek usunął się im z drogi. Wpadł za to na Szurniętego Stacha. Ucieszył się, bo już dawno chciał go przepytac, ale Stach przepadł gdzieś i Halny uwierzył, że padł ofiarą łowców ludzi z Kombinat.

Stach zachowywał się dziwnie. Ten ostrożny, wręcz tchórzliwy



zazwyczaj człowiek zapuszczał się teraz na dawne tereny Federacji. Zaciekawiony Halny postanowił go śledzić. Obserwował, jak Szurnięty dotarł do siedliska Komuny, a potem uciekał z niej przerażony, by wpaść prosto w ręce tych z Kombinat.

Halny wyruszył ich śladem. Poczłł gniew, przyglądając się, jak wchodzili pod teatr. To było święte miejsce. Wiedział już, że nie znajdą tam nikogo żywego, odwiedził je wcześniej. Strażniczka teatru nie przetrwała konfrontacji z hordą. Umarła, a bluszcz pożarł jej ciało. Nocni powędrowali z Królem i zginęli. Mimo to Halny czuł gniew. Powinni zostawić jej kości w spokoju.

O co im chodziło? Kogo ścigali?

Śledził ich ostrożnie. Kilka razy wydawało mu się, że poczuł czyjeś dotknięcie myśli. Przypadał wtedy do ziemi i rozglądał się, szukając na niebie jednomyślnych ptaków, szepcząc litanie bezsensownych wierszyków, które potrafiły zmylić łowców i oczyścić umysł. Ale rzadko dawało się teraz zobaczyć jakiegokolwiek ptaki. One także padły łupem hordy, a potem Kombinat.

Wszystko tu umierało.

Śledził przez cały dzień oddział, z którym wędrował Szurnięty Stach. Obserwował, jak dotarli pod ruiny Wandy, przeszukali je, a potem skierowali się dalej, ku muzeum. Choć ich tempo było duże, on znał te tereny lepiej, poruszał się po nich szybciej i pewniej. Zorientował się też, że zmierzali prosto w pułapkę, nim jeszcze w nią wpadli.

## Rozdział 6

Pierwszy zginął Młócka.

Od rana szedł na szpicy, choć od razu widać było, że kompletnie się do tego nie nadaje. Nie żeby miał go kto zastąpić. Im dłużej Szurnięty Stach przyglądał się ludziom Pitali, tym mniejszą ochotę miał wędrować w ich towarzystwie. Widywał w akcji duchy, widział, jak przez siny las przedzierali się ludzie Szramy. Tamci poruszali się ostrożnie, zawsze czujni i przygotowani do walki. Żołnierze Pitali zachowywali się tak, jakby Pożoga nigdy nie nastąpiła, a oni akurat wybierali się spacerkiem na niedzielny obiad.

Młócka zatrzymał się gwałtownie, wybelkotał coś, cofnął się o pół kroku. Gdy obracał głowę ku dowódcy, by podzielić się z nim zdziwieniem nad okrucieństwem świata, opadał już na kolana. Nie powiedział zbyt wiele, bo usta wypełniała mu ciemna, bulgocząca krew. Potem drugi dziuryt ciśnięty zza archaicznej barykady wzniesionej z bezużytecznych wraków samochodów przewrócił żołnierza na plecy. Dzięki temu chybił go trzeci, ale tego już Młócka nie widział.

Stach zresztą także nie przyglądał się dalszym wydarzeniom. Dał susa w bok, przypadł do ziemi i zaczął pospiesznie odczołgiwać się jak najdalej od grupy. Szło mu to nadzwyczaj dobrze, bo w czym jak w czym, ale w czołganiu i ucieczkach miał niebagatelną praktykę. Niestety, wybrał zły kierunek. Zresztą może nie było właściwych kierunków, bo łowcy otoczyli grupę Pitali ze wszystkich stron.

Wyjąc potępieńczo, wypadali ze swoich kryjówek: zza pordzewiałej barykady, z szałasów złożonych ponoć przed dekadą przez jakiegoś bohatera duchów z resztek kilku kiosków, a nawet z płytkich dołów przykrytych świeżo ściętymi pnąciami. Byli wszędzie.

Kapral Smutny okazał się jednym z tych kretynów, dla których

starannie wypracowane procedury bywają ważniejsze od odruchów. Mruknął pod nosem coś złowrogiego i zaczął nabijać muszkiet. Może i miał w tym niezłą wprawę, ale napastnicy byli zdecydowanie lepsi w swojej robocie. Dopadło go trzech. Wprawdzie małych i chudych, ale wystarczająco sprawnych, by w ciągu kilkunastu sekund zadać mu serię ciosów niewielkimi nożami. Wiedzieli, gdzie uderzać, i Smutny umarł, zanim zdążył choćby sięgnąć do sakwy przy pasie po łożowaną kulę.

Pitala nie strzelał. Pierwszego wroga obalił potężnym uderzeniem pięści, drugiemu rozplątał brzuch cudacznym nożem o zakrzywionym, szerokim ostrzu, który błyskawicznie wy dobył spod czarnego płaszcza. Odrzucił kopniakiem następnego. Ktoś zaszedł go od tyłu i uderzył w głowę. Kapitan jakby tego nie zauważył. Wbił swój nóż w czaszkę kolejnego przeciwnika. Szarpnął ostrze, ale utknęło. Zawahał się, a wtedy dopadło go czterech wyjców.

Stach w tym czasie prześlizgnął się między dwoma napastnikami zbyt ogarnięty szalem zabijania żołnierzy, by zwracać uwagę na to, co pełzło pod ich nogami. Prawie gratulował sobie niezaprzeczalnej przytomności umysłu i błyskotliwości, gdy nagle przed jego twarzą pojawiła się cudza.

Aż się zatrzymał, bo w życiu nie widział czegoś tak paskudnego. Gęba posiadała wprawdzie dwoje oczu, jednak rozstawionych z pogardą dla symetrii. Lewe oko znajdowało się dobre dwa centymetry wyżej od prawego i wydawało się cokolwiek skośne, podczas gdy prawe było niemal idealnie okrągłe. Wielgachny nos sprawiał wrażenie, jakby ktoś wielokrotnie go łamał – za każdym razem gdy tkance udało się na powrót zrosnąć. Usta wydały się Stachowi olbrzymie. Przypominały jamę strzeżoną przez grube robale krwistoczerwonych warg, zza których wychylały się ciekawsko zęby tak pokrzywione, że wydawało się niemożliwością, by stwór mógł zamykać usta bez ich ranienia.

– Móóóóóój! – zaskowyczał stwór i rąbnął Stacha wielgachną pięścią, uzbrojoną w kastet równie pokraczny jak

gęba, ale skuteczny. Uderzył raz, drugi i trzeci. Trzeciego Stach już nie czuł.

Ocknął się w ciemnościach tak głębokich, że przez chwilę nie był pewny, czy aby naprawdę powrócił do świata żywych. Jednak gdyby nadal pozostawał nieprzytomny, nie czułby przecież tego wszechobecnego, dławiącego smrodu.

Bolało go wszystko, ale najbardziej zmiążdżone usta i rana pod lewym okiem. Poruszył językiem. Trzy zęby chwiały się nieprzyjemnie. Dobrze choć, że nie wypadły – może da się je uratować. Na Farmie mieli nawet dentystę i pozwalali czasem Stachowi go odwiedzać. Wesolutki ponad miarę staruszek potrafił zadać swojemu pacjentowi wiele bólu w zamian za nieco bimbru. Ale, co musiał przyznać Stach, ten ból zwykle okazywał się opłaczalny, bo zapobiegał większemu.

Spróbował dotknąć zranienia pod okiem i dopiero wtedy zorientował się, w jak żalonym położeniu się znalazł: ręce skrępowano mu na plecach, nogi w kostkach i...

O, cholera, wisiał głową w dół.

– Hej! – zawołał. – Jest tu kto?

– Ja jestem – odpowiedział głos z prawej. Mężczyzna. Jakiś znajomy.

– Pan Pitala? – odgadł Stach.

– Kapitan Pitala – upomniał go tamten surowo.

– Dobra, dobra... Pan kapitan też wisi?

– Głową w pieprzony dół.

– A inni?

– Nie żyją. Oprócz niuchacza i jego przewodnika wszyscy nie żyją... Ale ich tu nie ma. Więc może już zostali zjedzeni.

– Zjedzeni?!

– Nie rozpoznałeś barw wojennych, znakomity przewodniku? To pieprzeni kanibale!

– Pierwszy raz ich spotykam, to jak miałem rozpoznać? Proszę mnie nie winić. To nie ja szedłem na przedzie, nie? Ja znam, proszę pana kapitana, drogę, a nie obyczajnie degeneratów. Ja, proszę pana kapitana, bym was doprowadził wszędzie. Ale za ochronę odpowiadaliście wy. Jeśli więc ktoś coś tu koncertowo spieprzył, to na pewno nie jego wysokość

Stach! I powiem jeszcze panu kapitanowi, że...

– Czy nie możesz się choć raz zamknąć? Na chwilę? Próbuję myśleć!

– No jasne, że mogę – naburmuszył się Stach. – Ale jednego jestem ciekaw. Czemu pan kapitan do nich nie strzelał?

– Z czego?

– Z tego swojego pistoletu, co to podobno urywa głowy.

– Nie miałem czasu go nabić.

– To nie był cały czas nabity?

– Pistoletu ładowanego przez lufę nie da się nosić bez końca nabitego... Zamknij się nareszcie!

– Aha. Czyli że wtedy, jakżeś mnie pan kapitan straszył, to też był nienabity, co? Trochę wstyd, że się tak dałem podejść. No, ale teraz to ja jestem sprytniejszy. Myśleć już nad żadnym ratunkiem nie trzeba, bo ja już wszystko wykoncypowałem.

– Że co?

– Plan ucieczki. Musimy tylko się rozkołysać w swoim kierunku. Jak będziemy blisko, jeden drugiego złapie i...

– Czym złapie?

– No dłońmi, jak będziemy się mijać plecami. Trzeba się mocno złapać, a potem rozwiązać sobie więzy i już prawie będzie z głowy. Potem uwolnimy nogi i...

– Stach!

– Tak?

– Łeb mnie napierdala. Nic nie widzę. I rzygać mi się chce od twojego pieprzenia.

– Czyli nie będziemy się kołysać?

– Nie.

– Jak pan kapitan chce. Ale nic lepszego pan kapitan nie wymyśli.

Zamilkł jednak. Żał mu było pomysłu z kołysaniem. Pamiętał z dzieciństwa, z telewizji, że w podobnych opalaczach tak właśnie ratowali się prawdziwi bohaterowie. Znajdywali też zawsze kawałki szkła albo metalu, o które mogli przecinać więzy. Poza tym trzymali na specjalne okazje noże ukryte w....

Zaraz! Przecież Stach też miał kawałek złamanego noża ukryty w cholewie! Nosił go ze sobą przez całe życie, właśnie na

wypadek kabały takiej jak ta! Gdyby tylko udało mu się go dosięgnąć.

Ręce miał wprawdzie związane na plecach, ale może udałoby mu się wyjąć nóż zębami. Napiął mięśnie brzucha, próbując unieść się ku nogom. I natychmiast bardzo pożałował, że nie był równie gibki i umięśniony jak jego bohaterowie z dzieciństwa. Choćby nie wiadomo ile się wysilał, udawało mu się jedynie sięgnąć podbródkiem piersi.

Następnym razem będzie musiał ukryć ostrze gdzieś tam.

Bo Szurnięty Stach nie miał wątpliwości, że jakiś następny raz nastąpi. Skoro wstąpił już na ścieżkę poszukiwań Ninel, z pewnością ponownie wpadnie w jakąś kabałę. Najwyraźniej do uroku najpiękniejszej kobiety świata należało przyciąganie kłopotów.

Tego, że może zginąć, Stach w ogóle nie brał pod uwagę. Przecież urodził się pod szczęśliwą gwiazdą, jego przeznaczeniem było władanie Farmą, jak tylko patriarcha Konopków uzna nareszcie, że skończył się dla Stacha czas próby, i przyzna mu należne prawa.

Zasiadał wtedy z Ninel w sali tronowej Farmy, a wszyscy Konopkowie i ich słudzy pokłonią się przed nimi. Pomimo bólu Stach uśmiechnął się do tych marzeń. Utonął w nich i stracił poczucie czasu, aż ktoś odchylił z hukiem żelazny wąż i do wnętrza więzienia Stacha i Pitali wlało się niemrawe światło. Wystarczyło go, by zrozumieć, skąd brał się wypełniający je nieznośny smród.

Trafili do spizarni.

Na jej podłodze walały się starannie oczyszczone z mięsa kości, których nie przerobiono jeszcze na broń i narzędzia. Ludzkie czaszki leżały obok zwierzęcych, najwyraźniej kanibale nie widzieli między nimi różnicy. Stach przyglądał się z ciekawością olbrzymiej wydłużonej czaszce jakiegoś stworzenia, które za życia musiało mieć ogromne rozmiary. Nie miał pojęcia, co to było. Może smok? Pamiętał z dzieciństwa opowieści o smoku żyjącym pod Wawelem. Kto wie, co przyniosła zagłada? Może zaczęły się rodzić smoki?

Wolał skupiać się na pozostałościach po mitycznym

stworzeniu niż na częściowo tylko odartych z mięsa ciałach wiszących całkiem blisko niego. Było ich zaskakująco dużo. Kanibale nie głodowali ostatnimi czasy. Najwyraźniej, gdy skończyły się rządy Federacji, dla nich nastąpiły złote czasy. Już nikt nad nimi nie panował. Kiedyś musieli godzić się na rolę zwierząt tropionych przez patrole, teraz sami zmienili się w łowców. I nieźle się rozzuchwalili, skoro porwali się na żołnierzy Kombinatu.

Możliwe zresztą, że podobnie jak Stach, zorientowali się, iż mają do czynienia z patałachami.

Czterech kanibali opuściło się do spizarni. Bezceremonialnie odcięli Stacha i Pitalę od stropu, a gdy więźniowie upadli z jękiem na podłozie pośród kości i strzępów przegniłych ubrań, kanibale chwycili za sznury, na których wisiały ofiary, i wyciągnęli je na zewnątrz. Tam wlekli je oświetlonymi pochodniami korytarzami, ciasnymi, jak większość wykopywanych przez ludzi zmuszonych od dwudziestu lat do życia pod ziemią i długo zbyt przerażonych, by wychodzić na zewnątrz. Gdy na ludzkość spadała zagłada, tylko nieliczni mieli szczęście i schowali się w przestronniejszych i lepiej wyposażonych schronach. Większość trafiła do ciasnych kryjówek pod blokami. Wedle planów tych, którzy je przygotowywali, mieli tam wytrzymać tylko kilka do kilkunastu godzin, by później wrócić do pracy w Kombinacie. Stare czasy jednak minęły, spodziewana wojna nie wybuchła. Przeszły dekady spokoju, a gdy żar w końcu spopielił świat, zapomniano o dawnych planach i nikt nie przybył po ludzi kulących się pod ziemią. Pierwsi z nich zaczęli wychodzić na zewnątrz, gdy wygnał ich tam głód. Wracali pospiesznie przerażeni tym, co zobaczyli. A potem zaczęli kopać korytarze, w których czuli się bezpieczniej. Ludzkość zmieniła się w krety i stworzyła krecie państwo – Federację Schronów.

Stach zmrużył niechronione goglami oczy, gdy wywleczono go na zewnątrz. Kanibale nie bali się nieba. Pokrzykiwali i choć nie rozumiał ich słów, bez trudu zorientował się, że to radosne okrzyki. Być może cieszyli się na rychły posiłek. Gdyby nie to, że zapewne planowali zjeść jego, Stach chętnie cieszyłby się

wraz z nimi. Też był głodny.

Ciągnięto go brutalnie po ziemi. Jego głowa uderzała o kamienie i kawałki betonu. Ktoś go kopnął. Bez złości i niezbyt boleśnie, jakby należało to do rytuału, a nie wynikało z osobistych uczuć kanibala. Został opluty, podrapany. Wszyscy kanibale złali się mu w jedną, rozkrzyczaną masę. Nie miał pojęcia, ilu ich było. Nagle zaczął się zastanawiać, co zrobili z jego plecakiem. Co w nim zastanie, gdy go odzyska? Czy kanibale mogli obrabować go ze zwykłego suszonego mięsa?

Chwilę trwało, nim zorientował się, że udręka podróży dobiegła końca. Już go nie ciągnęli. Porzucili go tuż obok Pitali. Leżeli z kapitanem tak blisko, że niemal dotykali się nosami.

– Teraz pewnie pan żałuje, że nie chciał się rozhuścić, co? – stęknął Stach.

Żołnierz tylko przewrócił oczami. No tak, pewnie mu wstyd, uznał Szurnięty.

Ktoś szarpnął nim gwałtownie. Podniósł na kolana, przytrzymał, gdy więzień się zachwiał.

– Tam patrz, mięso! – warknął prosto do ucha. – Przed siebie!

Łatwo powiedzieć! Nie dość, że słońce oślepiło Stacha, to jeszcze kręciło mu się w głowie. Potrzebował dłuższej chwili, by skupić wzrok na tyle, by zobaczyć w miarę wyraźnie przed sobą kanibala w zbroi z kości i w hełmie z czaszki kolejnego nieznanego Stachowi zwierzęcia.

– Jest prawo – oznajmił kanibal, a jego towarzysze wyszeptali: „Prawo! Prawo!”. – A my jesteśmy wierni prawu. Każdy, kto przeżyje, ma prawo przystąpić do ludzi. Wy dwaj walczyliście i przeżyliście. Możecie zyskać godność. Stać się ludźmi.

Stach odczuwał potrzebę, by wytłumaczyć tamtemu pomyłkę. Przecież był człowiekiem i zdecydowanie miał swoją godność. Właściwie gdy przyjrzał się kanibalom, uznał, że i godności, i człowieczeństwa może mieć nawet nieco więcej od nich. Sprawiali wrażenie, jakby daleko odeszli od tego, co kiedyś nazywano cywilizacją. No i wydawali się Stachowi bardziej



zdeformowani niż popielni – a to ich dotąd postrzegał jako najbardziej pod tym względem skrzywdzonych. Możliwe jednak, że źle ich oceniał, a dziwaczny wygląd zawdzięczali dość szczególnej modzie na ubieranie się w kości i ludzkie skóry. Odchrząknął, bo zaschło mu w gardle po tym, jak ciągnięto go przez dobrych trzydzieści metrów, jeśli nie więcej. Ale nie zdążył nic powiedzieć, bo uprzedził go Pitala.

Kapitan najwyraźniej nie był przyzwyczajony do rozmawiania na klęczkach. Zacisnął zęby, stęknął, ale wstał. Zachwiał się, lecz utrzymał równowagę. Usta drgnęły mu jakby w uśmiechu.

– Jest prawo – oznajmił głosem ochryplym, ale dość donośnym, by kanibale usłyszeli go i odruchowo powtórzyli, jak za swoim przywódcą: „Prawo! Prawo!”. – Jedno prawo. Prawo Kombinat. A ja jestem jego przedstawicielem. Macie natychmiast podporządkować się prawu Kombinat, a wtedy, może, przeżyjecie. Kombinat potrafi być elastyczny. Być może pozwoli wam zachować wasze... – tu się zająknął – tradycje. W pewnych uzgodnionych granicach. Rozwiążcie mnie, a zyskacie szansę na przeżycie. Nie zdajecie sobie sprawy z potęgi Kombinat.

– Uch, to nie była dobra przemowa, nie – wymamrotał Stach, kręcąc głową.

– Jest jedno prawo – zgodził się z Pitalą wódz kanibali. – Prawo ludzi. Są tylko ludzie i bydło. Chcecie być bydłem jak ten wasz Kombinat? Wasza wola. Ale lud daje wam szansę zostania ludźmi. Decydujcie.

– Ja zdecydowanie chcę być człowiekiem! – zawołał Stach, nim kapitan zdążył ponownie unieść się dumą. – O tak, ludzie są świetni! To jak, podpisujemy jakąś umowę? Mam złożyć przysięgę?

– Prawie człowiek zdecydował! – ogłosił wódz.

Jakiś kanibal podbiegł do Stacha, pomógł mu wstać i nawet rozwiązał. Stach z ulgą rozmasował nadgarstki.

– Wystarczy okazać nieco uprzejmości – szepnął do Pitali. – Trzeba być dyplomatą. Ucz się ode mnie, kapitanie.

Na znak wodza kanibale rozstąpili się przed Stachem, odsłaniając całkiem spore ognisko.

– Pokaż, że jesteś człowiekiem – ogłosił wódz. – Że stoisz ponad bydłem. Jedz!

– Ja! Ja! – zawołał jeden z kanibali, wrywając się przed szereg. Dopiero gdy niezgrabnie podbiegł do ogniska, by odciąć soczysty kawał piekącego się nad nim mięsa, i skierował się ku Stachowi, ten zorientował się, że po pierwsze ów kanibal był kobietą, a po drugie posiadaczką owej najpaskudniejszej na świecie gęby, której widok sparaliżował go podczas potyczki. – Móóóóój! – zawołała jak wtedy paskuda, gnając ku Stachowi w podskokach. – Taaaki pięęęęknny!

Wszystko to zrobiło na Stachu piorunujące wrażenie. Nie tak potężne jednak jak uświadomienie sobie, że mięso, które piekło się nad ogniskiem, było korpusem kaprala Smutnego – poznał to po zwisających zeń resztkach munduru, na których jakimś cudem zachowały się dystynkcje.

– Rzeczywiście, wystarczy odrobina uprzejmości – zaśmiał się ponuro Pitala. – Musisz tylko zjeść swojego towarzysza.

– Mięso to mięso – bąknął Stach.

Kapral Smutny już nie żył, więc co mu zależało? A on, Stach, miał szansę przeżyć. Ugryzie kawałek ludzkiego mięsa. Wielka sprawa. Przecież to pod przymusem, więc tak jakby się nie liczyło. Zresztą chodzi o to, żeby przeżyć. Co Stachowi z wielkich etyk i świętych zasad, kiedy skończy jako pieczeń? Pieczeń już niczego nie dokona, może najwyżej przyprawić kanibala o niestrawność. A Stach miał jeszcze wiele do zrobienia w życiu. Czekwały na niego: Ninel i przeznaczenie. Przecież najważniejsza na świecie jest miłość. Miłość, nie jakieś tam zasady umarłego świata. Ci, którzy postanowili, że jedzenie ludzi jest wstrętne i zakazane, pozabijali się potem nawzajem bombami i obrócili Ziemię w perzynę. Znaleźli się etycy.

– Maaasz, pięęęęknny! – koszmarna gęba wyciągnęła ku niemu gorący kawał kaprala Smutnego. – Jeedz i bądź móóóóój!

## Rozdział 7

Halny nie darzył kanibali nienawiścią równie zapiekłą jak Kot czy na przykład Jurand. Oczywiście Jurand miał swoje powody: kanibale odebrali mu rodzinę. Halny pomagał jednookiemu żołnierzowi w ich zabijaniu, nie czerpał z tego jednak większej satysfakcji niż z pokonywania innych przeciwników. Po Pożodze każdy próbował sobie jakoś radzić.

– Kanibalizm! – prychnął Szrama, gdy Halny spróbował z nim kiedyś o tym porozmawiać. – To ostatnia granica, rozumiesz? Niżej już nie upadniesz.

– Sam mówiłeś, że też jakby zjadamy swoich zmarłych.

– Mówilem. Żeby pokazać, jak się upadlamy. Przerabiamy umarłych, jakby byli zwierzętami. Na nawóz, na przedmioty. Ale nie zjadamy ich mięsa. Jak kiedyś zaczniemy, nie będzie się już o co bić.

Pogarda, jaką Szrama żywił dla niemal całej ludzkości, byłaby przykra dla jego ludzi, gdyby ich także nią obdarzał. Ale dla swojego oddziału – i może dla duchów – Szrama robił wyjątek. I jeszcze dla Pana Onufrego, śmiesznego grubasa z bielmem na oku, opanowanego obsesją zachowania kulturowego dziedzictwa ludzkości.

Ciekawe, co stało się z Onufrym i jego trupą teatralną, zastanowił się Halny, obserwując z ukrycia przedstawienie, jakie urządzili kanibale. Pewnie też zginęli. Cała ich wiedza, wszystkie te sztuki o wielkich herosach z przeszłości nie potrafiły ich obronić.

Ruszył tropem kanibali, gdy zorientował się, że nie zabili ani oficera, ani Szurniętego, ani tych dwóch dziwnych mężczyzn połączonych smyczą. Ci dwaj nawet nie próbowali walczyć. Przysiedli i przyglądali się bez słowa, jak ginęli ich towarzysze. W pewnym momencie jeden z nich nawet odwrócił głowę w stronę kryjówek Halnego. Patrzył tak, jakby go widział. Drugi

zachichotał wtedy po swojemu. A potem i ich związano, i pociągnięto ku rondu Czyżyńskiemu, przekłętej podziemnej fortecy kanibali.

Dawniej opuszczali ją jedynie podziemnymi korytarzami ciągnącymi się podobno całymi kilometrami na zachód, podchodzącymi pod terytoria faszystów i Muzeum. Tylko od Federacji trzymali się z daleka, zdając sobie sprawę, że z nią nie było żartów. Gdyby obywatele Federacji zaczęli znikać ze schronów, kariera kanibali dobiegłaby końca. Można było przymknąć oko na śmierć jakiegoś nieostrożnego szperacza, ale próba wtargnięcia na jej podziemne terytoria doprowadziłaby do otwartej wojny. A żołnierze Federacji mieli swoją renomę. Nawet Kombinat wołał z nimi nie zadzierać.

Kiedyś. Bo wystarczył jeden atak szalu Halnego, parę tygodni nieobecności i wszystko się zmieniło. Z wielkiej Federacji nie zostało nic. A oddział Halnego przepadł.

A teraz facet, który zawsze wiedział wszystko o wszystkich, który znał Szramę, dał się złapać kanibalom. Niech to szlag! Po co wyłaził z tej swojej nory na tak ryzykowną wyprawę? Nigdy tego nie robił!

Ponieważ stanowił dla Halnego najlepszy, a może nawet ostatni trop, samotny żołnierz nie zwlekał. Nie mógł otwarcie zaatakować całego plemienia. No, chyba że w ostateczności. Postanowił więc raczej wykraść Szurniętego, niż go odbijać. Wiedział o kanibalach wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, że najpierw zjedzą kóregoś ze świeżo zabitych, resztę zostawią sobie na później. A jeśli prawdziwe były opowieści o tym, że niektórym jeńcom dawali szansę przyłączenia się do wyjąłowanego przez mutacje i chów wsobny plemienia, szansę Szurniętego na przeżycie by wzrosły.

Na wszelki wypadek Halny podkradł się do jednego ze strażników, skrzył mu kark i odciągnął między ruiny. Zdarł z ofiary jego obrzydliwy uniform i narzucił go na siebie. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien najpierw zdjąć kombinezonu, część kanibali ganiała ubrana tylko we wdzianka ze skór i kości. Mógłby jednak nie odzyskać potem swojego ubrania, a tego chciał uniknąć. Zajął miejsce na posterunku

oddalonym o dobrych dwadzieścia metrów od centrum forticy. Oparł się o wywrócony billboard reklamowy. Topór, zbyt dobry jak na broń kanibali, położył na ziemi. Zdjął maskę i umazał twarz krwią zabitego. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien zwrócić na niego uwagi.

Tym bardziej że tamci tak bardzo skupili się na przygotowaniu uczty, iż prawie nie zauważali reszty świata, być może wierząc w czujność rozstawionych strażników.

Zuchwałość kanibali zdumiała Halnego. Organizowanie uczty pod gołym niebem graniczyło z brawurą. Coś takiego jeszcze całkiem niedawno musiałoby przyciągnąć uwagę patroli Federacji, zagony szarych, zwiadowców nienawidzących kanibali faszystów, zwyczajne drapieżniki czy jednomyślne ptaki. Nie przypadkiem ludzie woleli żyć pod ziemią i nie afiszować się przetrwaniem. Już nie oni czynili sobie ziemię poddaną. To pokorni i cisi – nieprzyciągający uwagi – ją odziedziczyli.

A jednak ta banda prymitywów poobwieszanych kośćmi i strzępami ludzkich skór nic nie robiła sobie z tych wszystkich zagrożeń. O tym, że nie musieli już obawiać się Federacji, Halny wiedział. Zorientował się już także, że zniknęły gdzieś jednomyślne stada. Mimo to zachowanie kanibali nie mieściło mu się w głowie.

Z czystej ciekawości podszedł nieco bliżej, by obserwować, jak obrabiali ludzkie ciało. I tu cechowała ich zaskakująca beztroska. Niby zdarli z żołnierza kombinezon, ale nie do końca. Jakby cieszyło ich rwanie stroju ofiary, ale nie przywiązywali do tego większego znaczenia. Wszystkie pozostałe frakcje w Nowej Hucie ceniły każdy zdobyczny strzęp, a kombinezon Kombinatoru zdecydowanie należał do wartościowych łupów. Kobiety kanibali tam gdzie im przeszkadzał, po prostu pocięły go nożami, w innych miejscach pozostawiając niemal bez szwanku. Potem wytrzebiły męczyznę i starannie oczyściły go z wnętrzości, które ostrożnie przekładały do wielkiej misy. Gdy skończyły, część kobiet zabrała naczynie, by zacząć segregować i dodatkowo obrabiać jego zawartość. Pozostałe odcięły ręce i nogi żołnierza,

po czym nadziały jego korpus na rożen, który zawiesiły nad ogniskiem.

Wtedy liczące na oko czterdzieści osób plemię zebrało się wokół swojego wodza, chudego starucha o splątanych siwych włosach opadających wzdłuż gęby wykrzywionej w chytrym grymasie. Nakazał sprowadzić ocalałych jeńców. Pierwszych przyciągnięto tych nieco szalonych, powiązanych ze sobą smyczą. Nie stawiali oporu. Jeden rozglądał się ciekawie, a drugi wciąż nerwowo chichotał.

Szurniętego i oficera przyciągnięto związanych. Ponieważ uwaga wszystkich kanibali była całkowicie skupiona na nich, Halny znów przysunął się bliżej. Zastanawiał się, co robić, jeśli okaże się, że plemię postanowiło pożreć tych dwóch. I Szurnięty, i oficer mogli posiadać informacje, na których zależało Halnemu. Czy jednak mógł rozpętać bitwę z całym cholernym plemieniem? Sam?

Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, zdjął plecak i z jednej z jego kieszeni wyjął torbę, w której trzymał ostatnie petardy, które zrobili kiedyś ze Szramą. Ich oddział nigdy nie starał się porywać na niepotrzebną bohaterszczyznę. Woleli wykorzystywać zaskoczenie, strzelać wrogom w plecy, a w razie czego odwracać uwagę zamieszaniem. Kupowali bądź kradli siarkę i proch, choć nie używali muszkietów, które Szrama uważał za broń zbyt powolną. Jednak chętnie produkowali dla siebie prymitywne petardy i granaty. I choć to przede wszystkim w zamkniętych przestrzeniach schronów bądź ciasnych podziemnych korytarzach potrafiły one narobić większych szkód, Halny miał nadzieję, że w razie czego i pod gołym niebem dadzą mu nieco przewagi.

Najgorzej, że musiałby najpierw pozapalać lonty, co mogłoby przyciągnąć uwagę kanibali. Chyba że wykorzysta ognisko. Przysunął się jeszcze bliżej. Z ilu metrów zdoła celnie rzucić? Oby nie musiał próbować.

Gdy wódz kanibali złożył jeńcom propozycję przyłączenia się do plemienia, Halny poczuł niekłamaną ulgę. Jeśli tylko ci dwaj zachowają się rozsądnie, może wszystkim uda się przeżyć.

Oficer nie zamierzał zachowywać się rozsądnie. Wygłosił jakąś

durną napuszoną mowę, z której Halny zrozumiał tyle, że facet w czarnym płaszczu musi być idiotą. Co z Szurniętym?

Ten, o dziwo, okazał się mądrzejszy. Że chce przynależeć do ludzi, wyrzeszczał tak głośno, że słyhać go było pewnie i w Kombinacie. Kanibale wyraźnie się ucieszyli, a jakaś pokurczona, zdeformowana baba pobiegła do ogniska, by odkroić kawał mięsa z lekko tylko przypieczonego żołnierza. Szurnięty dopiero teraz zrozumiał, na czym polega inicjacja. Wybałuszył oczy. Stojący za nim oficer powiedział coś, czego Halny nie dosłyszał, choć przysunął się już niebezpiecznie blisko i stał tuż za plecami kanibali.

– Mięso to mięso – odparł Szurnięty, ciągle drący się, jakby chciał, żeby niebo go usłyszało.

Po jego minie Halny poznał, że mimo wszystko Szurnięty wciąż nie był pewny, co robić. Żołnierz trochę mu się dziwił, a trochę nie. Choć też uważał, że „mięso to mięso”, nie sięgnął przecież po kawałek jakiegoś trupa, nawet gdy był głodny. Nie wiedział, czy było tak dlatego, że wciąż rządziły nim zasady sprzed Pożogi, czy też obawiał się reakcji Szramy. Dowódca oddziału mógł być twardy i bezlitosny, ale na pewne rzeczy nie przyzwalał. Tliło się w nim coś, co zdaniem Halnego musiało mu kiedyś przynieść zgubę. Jakaś resztką starego, zbyt cywilizowanego człowieczeństwa.

Szurnięty przemógł się i wyciągnął rękę do zdeformowanej kobiety, która podbiegła z mięsem. Halny odetchnął z ulgą. Niech teraz nawet zabiją tego oficera, jakoś się z tym pogodzi. Szurnięty zostanie kanibalem, więc przeżyje. A Halny odbije go za dzień albo dwa i dokładnie wypyta. Jest dobrze. A w każdym razie odrobinę mniej do dupy niż zwykle.

– Maaasz, pięęęęknny! – zawołała kanibalka, wyciągając ku Szurniętemu gorący kawał mięsa. – Jeedz i bądź móóóóój!

„Jedz!” – ponaglił go Halny w myślach, widząc, że Szurnięty jeszcze raz się zawahał. – „Przeżyjesz! I będziesz mój!”

Palce Szurniętego zawisły tuż nad dymiącym mięsem. Kanibalka kiwała zachęcająco głową.

– Chwileczkę – ton, jakim odezwał się Szurnięty sprawił, że Halnemu ciarki przeszły po plecach. To był głos człowieka

ogarniętego obsesją, którego nic nie zmusiłoby do zejścia ze ścieżki jego prywatnego szaleństwa. – Co to znaczy, że będę twój?

– Móóóóój! – roześmiała się kanibalka i mlasnęła.

– Czy to jakiś rodzaj małżeństwa? – dopytywał się Szurnięty, zdaniem Halnego potwierdzając właśnie, że w pełni zasługiwał na swój przydomek. – Obawiam się, że w takim razie muszę odmówić. Widzicie, państwo, jestem już zaręczony z inną kobietą. Z kobietą, którą kocham.

– Nie będziesz jadł? – zapytał wódz kanibali.

– Miłość jest najważniejsza – odparł Szurnięty, krzyżując ręce.

Halny nie czekał. Najpierw cisnął w ogień petardę, a dopiero dwie sekundy później granat, a potem schylił się po topór.

Jeśli istnieją jacyś bogowie, lepiej, żeby mieli ich wszystkich w opiece przez parę następnych minut. Później Halny jakoś poradzi sobie sam. Taką miał nadzieję.

A jeśli zginie? Do diabła, nie ma nikogo, kto by po nim płakał.



## Rozdział 8

Pitala nie wierzył własnym uszom. Pogodził się już ze śmiercią. Zastanawiał się nawet, czy kanibale nie każą temu świrowi, którego z braku kogoś lepszego wziął na przewodnika, zabić i pożreć właśnie jego. On by tak zrobił z nowym, niesprawdzonym rekrutem. Sam też wystawiał aspirujących do wstąpienia w szeregi Straży Wewnętrznej na ciężkie próby. Lojalności nie potwierdza się ot tak.

Szurnięty zdecydowanie był gotów pożreć kaprala Smutnego. Najwyraźniej należał do dzikusów, dla których prawa nie miały znaczenia. Pitala już wcześniej nim gardził, ale teraz poczuł, że chciałby zabić tego śmiecia gołymi rękami. Tacy jak on nie zasługiwali na to, by przetrwać i służyć prawu.

A wtedy ten gnój niespodziewanie zmienił zdanie. Odrzucił szansę przeżycia ze względu na jakieś niezrozumiałe sentymenty.

– Miłość jest najważniejsza – oświadczył i nawet się uśmiechnął.

Kanibale mieli wprawę w przyjmowaniu odmów. Ich wódz skinął tylko głową i kilku stojących najbliżej wyciągnęło zza pasów noże. Pitala uśmiechnął się do tych, którzy ruszyli ku niemu. Niech to szlag! Żałował, że nie udał, iż też się zgadza. Miałby rozwiązane ręce i skreśliłby kark chociaż jednemu z nich.

– We mnie jest prawo! – wrzasnął w twarz dzikusowi unoszącemu nóż do ciosu.

– Ty zdechniesz, ja przeżyję – odpowiedział kanibal i uśmiechnął się krwiożerczo.

I wtedy rozpętało się piekło.

Najpierw potężny huk ogłuszył ich wszystkich. Kanibal stojący przed Pitalą zamarł na chwilę. Kapitan, bardziej nawykły do hukowi broni palnej – a założył, że to ktoś przybywający

z odsieczą wystrzelił z muszkietu – natychmiast doskoczył do niego, odchylił gwałtownie głowę, po czym z całej siły przywalił czołem w twarz tamtego. Chrupnęła kość i kanibal runął na ziemię. Pitala na wszelki wypadek zmiażdżył mu krtań obcasem.

Wtedy huk rozległ się ponownie. Tym razem potężniejszy. Ognisko dosłownie eksplodowało, rozrzucając na wszystkie strony szczątki nieszczęsnego kaprała Smutnego. Ale nie tylko. Strzępy metalu przecinały powietrze, okaleczając stojących najbliżej ogniska kanibali. Paskudnej kobiecie, której zaloty odrzucił Szurnięty, odłamek roztrzaskał głowę. Stach wrzasnął, gdy twarz załała mu jej krew i szczątki mózgu. Pitala ruszył ku niemu. Zawsze to sojusznik albo przynajmniej ktoś, kto raczej go nie zabije.

– Przetnij mi więzy! – wrzasnął.

Szurnięty poparzył na niego nic nierozumiejącymi, szeroko otwartymi ze strachu oczami.

– Uwolnij mi ręce, debilu!

Szurnięty otarł twarz z krwi i tkanki. Skinął głową, ale chyba dalej nic nie rozumiał, bo zamiast schylić się po nóż tkwiący za pasem leżącego u jego stóp trupa, zaczął gmerać w cholewie buta. Pitala zaklął. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś innej pomocy.

Dostrzegł niuchacza i związanego z nim byłego tramwajarza Mikołaja. Obaj siedzieli bez ruchu, nic a nic nie przejmując się panującym wokół zamieszaniem. Kapitan zrozumiał, że nie ma co na nich liczyć. Cholera, jeśli wyjdzie cało, pogada z tamtymi dwoma.

Część z ocalałych kanibali zaczynała dochodzić do siebie. Niektórzy wciąż rozglądali się nieprzytomnie, niemniej oszołomieni od Szurniętego, ale kilku podniosło się z ziemi i sięgnęło po broń. Gdy zorientowali się, że w powietrzu nie latają już śmiertelnie niebezpieczne odłamki, ruszyli ku jeńcom.

Szurnięty wydobył z buta coś, co wyglądało jak ostrze, i dopadł do Pitali.

– Lepiej stąd zwiewajmy, co? – zawołał. – Bo coś mi się widzi,

że ci tutaj...

Pchnął kapitana ku temu, co zostało z ogniska, gdzie wciąż dopalały się rozrzucony na boki szczapy i gdzie leżało najwięcej martwych kanibali.

– Ręce! – ryknął doprowadzony do furii i rozpaczony Pitala. – Uwolnij mi, kurwa, ręce!

Ale biegł posłusznie. Niech to szlag! Niech diabli porwą wszystko i wszystkich!

Ktoś chwycił go za ramię i mocno pociągnął. Kapitan zachwiał się i stracił równowagę. Zaraz chwyciły go czyjeś ręce.

– Szurnięty! – zawołał przerażony.

Tamten nawet się nie obejrzał. Gnał przed siebie najszybciej, jak potrafił. Pieprzony, samolubny zdrajca!

Wtedy z dymu i krwi wyskoczył zbawca – anioł zagłady. Wyglądał jak jeden z kanibali, miał na sobie i kości, i strzępy skóry, a wykrzywioną we wściekłym grymasie twarz pokrywała zaschnięta krew. Pitali wydał się ogromny. Jakby degeneracja genetyczna kanibali doprowadziła tym razem do narodzenia nie karłów i pokurczy, a prawdziwego olbrzyma. Uniósł do ciosu dwuręczny topór o dwóch szerokich ostrzach i opuścił go, zanim Pitala zdążył choćby pomyśleć o uchyleniu się.

Ostrze zmasakrowało ciała kanibali za kapitanem. Olbrzym pochylił się nad nim i pomógł mu wstać.

– Więcej za tamtym – ryknął.

– Ręce! Uwolnij mi ręce!

– Potem! Więcej!

Pitala zdążył jeszcze zobaczyć, jak pięciu kanibali biegnie ku nim, wrzeszcząc. Więcej już się nie oglądał. Uciekł. I choć starał się biec najszybciej, jak potrafi, niuchacz i Mikołaj zdołali go wyprzedzić.

Olbrzym ponaglał ich, więc nawet gdy już nie mieli sił, wciąż szli przed siebie. Pitala nie wspominał już o tym, by uwolniono mu ręce. Nie miał siły mówić. Zataczał się, rzeził, ale szedł przed siebie. Prawie nie zwracał uwagi na okolicę. I tak jej nie znał. Przebiegli przez ruiny wielkiego centrum handlowego oczyszczonego przez kanibali bądź ich przodków ze wszystkiego, co wydało im się użyteczne. Zostały tu głównie

nadpalone, rozsypujące się ściany, tworzące wielki labirynt. Tam jeszcze nasłuchiwał tyleż rozwścieczonych, co bolesnych nawoływań kanibali. Wydawało mu się, że słyszał płaczliwy lament kobiet.

Potem przebiegli ulicą, gdzie roślinność dawno już wygrała wojnę z resztkami asfaltu, wpadli na plac, na którym przetrwało kilka wraków samochodów. Wspomnienia podpowiedziały kapitanowi, że musiał to być niegdyś parking, jeden z nielicznych w mieście, w którym zawsze brakowało miejsca dla pojazdów. W czasach gdy ludzie nie doceniali rajy, w jakim żyli, prawie każdy posiadał własny samochód i miasto zdawało się od nich puchnąć. Na tych samych ulicach, które teraz porastał mech i siny bluszcz, tłoczyły się niegdyś pojazdy pełne zmęczonych, coraz bardziej złych kierowców. Pitali przyszło do głowy, że od tego natężenia złości świat musiał w końcu wybuchnąć. To nie polityka doprowadziła do Pożogi, ale narastająca frustracja ludzi, którzy posiadali zbyt wiele, a wciąż byli przekonani, że mają za mało.

Za parkingiem pokonali mizerną pozostałość niewielkiego osiedlowego boiska i wbiegli między zrujnowane bloki, wśród których były zarówno wysokie, wyższe, niż można sobie wyobrazić i aż trudno było uwierzyć, że ryjąca dziś nory jak zwierzęta ludzkość była w stanie je budować, jak i mniejsze, ledwie czteropiętrowe. Pitala potknął się o fragment wystającego z ziemi krawężnika i zapewne wyłożyłby się jak długi, gdyby nie podtrzymał go Mikołaj. Razem z niuchaczem trzymali się teraz blisko kapitana i nie pierwszy już raz uratowali go przed upadkiem. Jeśli mieli nadzieję, że zasłużą tym na wybaczenie, to mogli się przeliczyć. Ale póki co Pitala był im wdzięczny. Nie powiedział im tego tylko dlatego, że nie miał siły mówić.

Za to Szurnięty gadał za wszystkich. Skamlał za utraconymi w forcie kanibali bogactwami, narzekał na nieszczęsny los, który uczynił go tak atrakcyjnym dla kobiet, i wołał ciągle do jakiejś przekłetej Ninel.

Kapitan nie marzył już ani o odpoczynku, ani o wodzie, jedzeniu czy nawet uwolnieniu rąk, ale tylko o tym, żeby

cholerny świrus nareszcie się zamknął.

Olbrzym, który ich uratował, szedł na końcu. Poganiał ich warknięciami, ilekroć się zatrzymywali. Czasem zostawał nieco z tyłu, po czym doganiał uciekinierów, by znów ich popędzać. Poza tym się nie odzywał. Przeprowadził ocalonych przez wielką pustą płaszczyznę, o której powiadano, że w czasach gdy do ludzi należało także niebo, była lotniskiem, dopiero niedługo przed Pożogą obudowanym blokami.

Słaniając się na nogach, dotarli do jednej z najniezwykleszych budowli, jakie Pitala dotąd widział. Pomiędzy rozkołysanymi powiewami wiatru sinymi trawami stał wielki budynek przypominający dziób statku. Niegdyś, jak można się było jeszcze domyślić, biały, dziś pokryty mchem i bluszczem, w wielu miejscach osmalony, wyrastał ponad całą okolicę. Otwierał się ku przybyszom marnotrawstwem smukłych, pozbawionych szyb okien, a tak wysokich, że trzeba było zadziwiać głowę, by dostrzec ich zwieńczenia.

– Do środka! – warknął olbrzym i popchnął kapitana we właściwym kierunku.

Przeszli przez roztrzaskaną bramę, by znaleźć się w zaskakująco jasnym wnętrzu o szerokiej, otwartej przestrzeni zaburzonej tylko białymi niegdyś kolumnami udającymi, że podtrzymują strop. W Kombinacie można było spotkać pomieszczenia podobne do tego, nigdy jednak nie marnowano ich w taki sposób. Pitala rozglądał się po wnętrzu budynku, znów przywołując wspomnienia sprzed wojny. Co to mogło być? Kościół? Daleko przed sobą dostrzegł jakąś rzeźbę. Gdy podeszli bliżej, zorientował się, że przedstawiała mężczyznę trzymającego w dłoni bochen chleba. Czczono tu widać bóstwo płodności. Kapitan słyszał o odradzających się wśród dzikusów religiach. Nawet Federacja uznała za stosowne zachować jakąś sprzed Pożogi. Kombinat nie pozwalał na takie dyrdymały. Każdego, kto zaczynał marudzić o bogach, wysyłano do pracy w obozach na wschodzie, gdzie najczęściej padał ofiarą wiatrów wiejących od pustyni, na której wciąż utrzymywał się wysoki wskaźnik radioaktywności. Gdzieś tam uderzyła bomba, zmieniając wiele kilometrów kwadratowych w krainę wiecznej

mgły i radioaktywnego pyłu. Przez lata nic tam nie mogło przeżyć. A gdy już wreszcie pojawiło się życie, przybrało przerażające formy. Żaden ze zwiadowców wysłanych na pustynię nie powrócił. Za to przyłaziły stamtąd inne rzeczy... I to właśnie żeby je powstrzymać, Kombinat chwycił się każdej, choćby najmniejszej iskierki nadziei. Dlatego Pitala musiał znaleźć sukę Króla i jej szczenię. Inaczej mogło nie być ratunku.

– Szybciej! – ponaglił go olbrzym.

Minęli wyjątkowo dobrze zachowaną rzeźbę, przeszli do pomieszczenia, które też wydało się Pitali w nadzwyczaj dobrym stanie. Jakby nikt go nie plądrował. Uznał, że to efekt przesądów. Jak widać, czasem przydawały się na coś. Może należało to rozważyć? A gdyby Straż Wewnętrzna otoczyć jakimś świętym nimbem? Uczynić ją narzędziem odpowiednio wymyślonego boga? Dzięki temu w oczach prostaczków stałaby się jeszcze potężniejsza.

Olbrzym sam przesunął ciężki regał, odsłaniając ukryte drzwi. Chwilę pomajstrował przy zamku, nim je otworzył, a gdy weszli w korytarz – starannie je zamknął. Maszerowali w ciemnościach, dotykając ścian, by utrzymać kierunek. Korytarz okazał się ślepy. Olbrzym przecisnął się ku odcinającej dalszą drogę ścianie. Pochylił się, szarpnął za niemal niewidzialny w ciemnościach właz.

– Tam jest drabina – poinstruował uciekinierów. – Zasuwaszcie w dół, aż nie będzie dokąd iść.

– Teraz to już naprawdę muszę mieć wolne ręce – przypomniał o sobie Pitala.

– Teraz już tak.

Olbrzym przeciął mu więzy i kapitan nareszcie mógł rozetrzeć dłonie i nadgarstki. Ależ bolały! Nie był pewny, czy zdoła się utrzymać na drabinie.

Olbrzym znów szedł ostatni. Zatrzasnął za sobą właz. Schodzili długo, bez słowa, do czasu aż, jak zapowiedział, nie było dokąd iść. Najwyraźniej ich doskonale radzący sobie w kompletnych ciemnościach wybawca odnalazł kolejne drzwi i, podobnie jak wcześniej, otworzył je, majstrując przy zamku.

Każdego z nich popchnął w odpowiednim kierunku.

– Uwaga na głowy! – rzucił tylko.

Tym razem czuć było wilgoć i ziemię. Wędrowali już nie drogą przygotowaną przed wojną, ale jedną z licznych krecich nor, jakie ludzie kopali pod całą dzielnicą po Pożodze ze strachu przed poruszaniem się na powierzchni. Od pewnego momentu Pitala musiał iść zgięty wpół, tak nisko opadał strop. Zmęczony, w kompletnych ciemnościach, stracił poczucie czasu. Równie dobrze mogli wędrować godzinę, jak i dzień.

Gdy prowadzący grupę Szurnięty zatrzymał się przed kolejną ścianą, Pitala zatoczył się i wpadł na niego. Gdyby nie było tak ciasno, mógłby się wywrócić.

– Spokojnie, jesteśmy na miejscu – olbrzym ponownie jakimś cudem przecisnął się obok niego.

Otworzył jeszcze jedne drzwi, kazał im poczekać, a potem zapalił olejną lampę, oświetlając wnętrze ciasnego, sprawiającego jednak wrażenie przytulnego podziemnego schronu. Znalazło się w nim miejsce dla przedwojennych krzeseł, niezbyt starannie zbitego z desek stołu, ale także dla przegniłej, postrzępionej wersalki, prawdziwego skarbu w powojennej rzeczywistości. Pitala miał ochotę na niej usiąść, ale Szurnięty okazał się szybszy i rozwalił się na niej całym cielskiem.

– Dzięki, Halny! – zawołał – O, jak mi teraz dobrze!

– Poznałeś mnie, co? – warknął żołnierz, ponownie zamykając drzwi na klucz. Podszedł do jednej ze ścian i pogmerał w przytulonej do niej rurze. Odślonił jej wylot. – Starajcie się nie oddychać zbyt głęboko. Świeższe powietrze będzie tu sływać powoli.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Pitala, ostatecznie zadowolając się krzesłem. – Co to za miejsce?

– Jeden z naszych tajnych schronów. Kanibale czują jakiś respekt do kościoła, nie zniszczyli go. Od jego piwnic wykopaliśmy własne tunele. Teraz siedzimy pod tym, co zostało z orlika. Jego ruiny nieźle maskują wentylację. Powinno tu być trochę suszonego mięsa i sucharów. Nawet trochę wody.

– Nie znajdą tu nas?

– Musieliby pokonać wszystkie władze po drodze. A w tym korytarzu można się długo bronić. Przy odrobinie szczęścia mamy ich z głowy.

– Ale mogą się zacząć i czekać na nas – niepokoił się kapitan.

– Ty jesteś, widzę, lepszy strateg – warknął Halny. – To się musiałem strasznie pomylić, jak wziąłem was za łajzy wchodzące na ślepo w zasadzkę. Jak tyś się do nich zaplątał, wasza wysokość?

– Szukam Ninel – odpowiedział Szurnięty. – Halny, przyjacielu, wszystko ci opowiemy, ale daj nam coś zjeść, co?

– Ninel – zmarszczył brwi Halny. – Dziewczyne Szramy?

– Moją! – zawołał Szurnięty, podrywając się z kanapy. Oczywiście zabłysły mu gniewnie.

– Twoją – powtórzył Halny. – No, no. Pozmieniało się. Ty też szukasz tego dziewczyny, panie strateg?

– Kogo szukam, tego szukam. Moja sprawa.

– O nie, panie strateg, tu się mylisz. Opuściłem tę okolicę parę tygodni temu. Wracam i nikogo nie ma. Mojego dowódcy, moich kumpli, nawet, cholera, mojego państwa. Wyciągnąłem was z kotła kanibali. Wszystko, co się was tyczy, to teraz moja sprawa. Twoja historia, historia Szurniętego i nawet historia, jak ten tam chichotek – wskazał Mikołaja – zwariował. Bo ja go znałem jako rozsądnego gościa, kiedyś. Więc opowiadacie mi wszystko, albo wypierdalać. I sami sobie radźcie z kanibalami.

Pitala przyglądał mu się dłuższą chwilę. Spod kości i kawałków skóry, jakie służyły olbrzymowi za przebranie, wystawał kombinezon z emblematami Federacji Schronów. Kapitan miał więc przed sobą żołnierza. I to najpewniej cholernie dobrego żołnierza. Uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji, w której diablo potrzebował sojuszników. A jeśli choć jeden z nich miał być sprawnym wojownikiem, tym lepiej.

– No dobra – westchnął. – Jestem kapitan Maciej Pitala ze Straży Wewnętrznej Kombinat. Wiesz, czym się zajmujemy?

– Coś tam słyszałem – skrzywił się Halny. – Wykopujecie innych do walki i trzymacie Kombinat za mordę.

– Dbamy o prawo. Bo prawo to przetrwanie.

– Daruj sobie ideologię. Opowiadaj, co tu się zdarzyło.



– No dobra. Daj mi wody, a powiem ci wszystko. Ale uprzedzam, to będzie dziwna historia.

## Rozdział 9

Wydawało się, że nawet Mikołaj przestał chichotać, kiedy Pitala opowiadał o tym, jak do Nowej Huty przybyła z Krakowa istota, która wyglądała jak człowiek, ale człowiekiem do końca być nie mogła. Nie tylko posiadała umiejętności jednomyślnych mutantów, ale też potrafiła zapanować nad nimi. Jednomyślność po raz pierwszy połączyła się w umyśle tego, który sam nazywał siebie Królem, z inteligencją, i związek ten przyniósł straszliwe skutki. Nikt nie wiedział, co zdarzyło się w Krakowie, ale w Hucie Król na czele swojej armii podbił i zniszczył hołdujące republikańskim zasadom Muzeum, przetoczył się niczym walec przez klany popielnych, zabijając ich bądź wcielając we własne szeregi, a potem zaatakował Federację. Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta wojna, gdyby nie zdrada kogoś z Federacji, kto otworzył przed hordą Króla włązy schronów, wcześniej zabijając dowódcę straży.

– Nawiasem mówiąc, mojego agenta. Gnój, który zdradził, przekreślił pięć lat pracy mającej na celu zjednoczenie Kombinat i Federacji w jednym prawie.

– Indor był waszym agentem? – Halny zadał to pytanie jakoś dziwnie, nawet Pitala zorientował się, że głos żołnierza zabrzmiał nazbyt spokojnie, aż sztucznie.

– Sam podejmował decyzje – wyjaśnił prędko. – My tylko nakreśliliśmy mu cel. Co do szczegółów decydował sam. Musisz wiedzieć, że działał w istocie dla dobra...

– Pieprzyć to. Co było dalej?

– Większość zginęła. Część ocalałych przyłączyła się do hordy, inni uciekli do nas. Wydaliśmy jednomyślnym bitwę i zwyciężyliśmy. Okupiliśmy to krwawo, niemal na granicy zagłady, ale zwyciężyliśmy. Schwytaliśmy Króla i jego kobietę. I jeszcze jej przyjaciela, takiego szczeniaka, podobno zaprzyjaźnionego z szarym. Coś poszło nie tak. Król umarł,

niezwykle szybko się starzał, chyba nie służyła mu jednomyślność. Szczeniak uciekł, przegapiliśmy to. A potem uciekła kochanka Króla. Opanowała umysły swoich strażników, a oni wyprowadzili ją do tramwaju. Tam zahipnotyzowała tego tu Mikołaja, dawniej lojalnego prawu. Gdy go dopadliśmy, okazało się, że to była zmyłka. Mikołaj odciągał nas od niej, a ona uciekała w zupełnie innym kierunku. Nawet on nie wiedział w jakim. W pościg za nią wysłaliśmy grupy z niuchaczami i bez nich. Wyłącznie zaufanych ludzi ze Straży Wewnętrznej.

– Po co?

– Tylko Kombinat jest w stanie wykorzystać takie moce jak jej. Dla ludzkości. Dla prawa. Musimy ewoluować, by przeżyć. Wykorzystywać każdą okazję. Albo się rozwiniemy, albo umrzemy.

– Słyszałem już takie gadanie – skrzywił się Halny. – Sztab tłumaczył nim każde gówno, które kazał nam robić. Szrama i ja...

Przerwał.

– Co to, te niuchacze?

– To jest niuchacz. Niuchacz i jego przewodnik – Pitala wskazał mężczyzn połączonych smyczą. – Eksperymentowaliśmy na Królu, póki żył. Zmuszaliśmy go do sondowania umysłów... ochotników. Próbowaliśmy przemieniać ludzi. Kilka razy się udało. Ten tu potrafi wyczuwać jednomyślnych z daleka i od biedy czytać w myślach. Dzięki niemu tropimy uciekinierkę.

– A Mikołaj?

– Zwariował po tym, jak kochanka Króla przemielila mu mózg. Ale nawiązał dziwny związek z niuchaczem. Tak naprawdę obaj są uszkodzeni. Ale wciąż się przydają.

– A ty? – Halny odwrócił się ku Szurniętemu Stachowi popijającemu na kanapie wodę. – Masz coś do dodania?

– Och, sporo! Ale nie za darmo.

– Słucham?

– Halny, przyjacielu. Lubię cię. Ale straciłem już zbyt wiele, żeby tak dzielić się informacjami za bezdurno. Zresztą myślisz,

że tamten tak ci wszystko śpiewał za darmo? Czegoś chce. To jasne jak to cholerne słońce. Ty, kapitan, przyznaj się. Czegoś od niego chcesz, nie?

– Każdy czegoś chce – burknął Pitala. – To zasada starsza niż prawo.

– No, nie każ nam zagadywać – roześmiał się Szurnięty. – Ja chcę zwrotu poniesionych kosztów. To od ciebie. Bo odkąd mnie nająłeś, to ponoszę same straty. Najlepszy sprzęt straciłem. I ty mi te straty wyrównasz.

– A jak nie?

– No! Takiś? Umowa się dla ciebie nie liczy? Takiś ty miłośnik prawa? No i mogę się przydać. Bo ja to i owo wiem. A ty pewnie chcesz dalej tej dziewczyny szukać, co?

– Chcę – Pitala uśmiechnął się niespodziewanie. – Muszę. A wy musicie iść ze mną. Straciłem ludzi. Nie mam czasu wracać. Wiem, że jestem na właściwym tropie, a czas ucieka. Potrzebuję nawet kogoś takiego jak ty. I bardzo potrzebuję kogoś takiego jak pan, panie Halny. A pan potrzebuje mnie.

– A niby po co?

– Ten świat się kończy. Nie ma pan dokąd pójść. A Straż Wewnętrzna przyjmie pana z otwartymi ramionami, jeśli ja pana zarekomenduję.

– Może zostanę duchem.

– Już nie ma duchów. Wyginęli, jak wszystko tutaj. Albo jest pan z Kombinatem, albo umiera pan w samotności. No i w Kombinacie może pan przeprowadzić dokładniejsze śledztwo dotyczące tych pana ludzi. Może ktoś przeżył?

– Wiesz coś i ukrywasz, cwaniaku?

– Nie. Po prostu nie interesowało to nas, więc nie kopaliśmy głęboko. Ale dla pana mogę się tym zainteresować. Kiedy wrócimy.

– Jeśli wrócimy.

– Z panem szanse rosną.

– Szanse – prychnął Halny. – Nie mogę, co za optymści w tym Kombinacie. A ty, Szurnięty, czego ty ode mnie chcesz?

– Tego samego. Pójdiesz ze mną szukać Ninel. Potem nie będziesz przeszkadzał.

– Moja misja pierwsza! – wtrącił się Pitala. – Nie będzie mi jakaś baba...

– No! – warknął Halny. – Ta „baba” uratowała mi kiedyś dupsko!

– Spokojnie! Spokojnie! – Szurnięty uniósł ręce. – Nie ma żadnego konfliktu, przyjaciele! Idziemy w tym samym kierunku!

– Czyli dokąd? – Halny nie odrywał wzroku od Pitali, a ten odwzajemniał mu się równie paskudnym i podejrzliwym spojrzeniem.

– Halny, bracie, dajesz słowo, że idziesz ze mną i że wezmę z tego tu schronu co zechcę, żeby uzupełnić nadwątlone zapasy?

– Jak mi się spodoba to, co powiesz, masz moje słowo.

– Cóż, trochę wątpię, że ta podstawa biznesu. Ale znam cię przecież, nie będę się targował. Zresztą spodoba ci się to, co powiem. Twój Szrama był u mnie, kiedy to wszystko się zaczęło. Nie przyszedł ze swoimi, gdzieś ich pognął ten cały Indor. Specjalnie ich rozdzielił. Dał mu ludzi, którym Szrama ani trochę nie ufał. Coś mi się widzi, że albo oni zabili jego, albo on ich. Sprytny był Szrama, sam wiesz. Miał ze sobą Ninel i jeszcze jednego czerwonego. Pogadałem z nimi, pofiglowałem z Ninel. Wiesz, Halny, co to była za kobieta! Jedyna prawdziwa! Jak się śmiała, to pełną piersią, a miała czym się śmiać, na wszystko, co piękne i święte! A jak kochała, to... – otarł łzę. – Oni szukali tej samej dziewczyny co nasz pan kapitan. Też była z dzieciakiem. Opisali mi ją wtedy i pan kapitan opisał mi, jakżeśmy teraz szli w tej jego wyprawie, co to w niej straciłem swój najlepszy sprzęt. Prawdziwe cacka, przysięgam, nie ma takich już na rynku i nie wiem, czy znajdę coś równie wartościowego w magazynach Kombinatu, jak już mnie pan kapitan do nich wpuści zgodnie z umową...

– Zaraz! Tak się nie umawialiśmy!

– ... bo jak ktoś tak szanuje prawo, to na pewno szanuje też i umowy. No więc szli za tą samą dziewczuchą, mówię ci, Halny. I wiesz co, jak teraz szliśmy w tej przeklętej wyprawie – splunął – co ja straciłem na tej inwestycji, to już nie będę wymieniał.

No to ona idzie tymi samymi drogami co wtedy. Jakby nie znała innych. I dlatego wiem, dokąd poszła dalej. Tam gdzie jej szukali Szrama z Ninel. I gdzie mogę znaleźć ślady mojej ukochanej.

– Czyli gdzie? – zapytał Pitala, ale nie uzyskał odpowiedzi, bo w tym samym momencie swoje pytanie zadał Halny:

– Pamiętasz imiona tych skurwieli, co szli ze Szramą, a co to mieli go zabić?

– No jasne, że pamiętam. Halny, bracie! Czy ja kiedyś zapomniałem coś wartościowego?

– Dasz mi je i idę z tobą.

– Hej, a ja? – przypomniał o sobie Pitala.

– Panu kapitanowi też się to spodoba – Szurnięty uśmiechnął się szeroko. – Bo oni wszyscy szli do Muzeum. Ninel, Szrama, dziewczyna i całe to piekło, które ciągnęli za sobą.

## Rozdział 10

„Gdyby mnie kto pytał, powiedziałbym, że dziwna ta nasza grupa” – dumiał Szurnięty, gdy następnego dnia, jeszcze o świcie, umykali ukrytym przejściem ze schronu Halnego. Czołgali się paręnaście metrów, ale nigdzie nie było widać kanibali. Albo zrezygnowali, albo kryli się tak dobrze, że nawet Halny czy niuchacz nie mieli szansy ich wypatrzeć.

Spoglądając na chudego, łysego człowieczka kręcącego na wszystkie strony głową, Szurnięty zastanawiał się, co też myślał sobie ten dziwaczny stwór w swojej przemienionej przez Króla głowie i czy w ogóle był w stanie przydać się do czegoś. Nie ostrzegł swojego dowódcy przed kanibalami, jakby ich nie wyczuł. A przecież potrafił czytać w myślach normalnych ludzi, o czym Stach przekonał się aż nazbyt bezpośrednio. Albo więc niuchacz był łamagą i oszustem, albo...

Szurnięty poprawił szelkę plecaka, który udało mu się znaleźć wśród zapasów zgromadzonych w schronie. Nie był tak dobry jak ten, który utracił na rzecz przeklętych kanibali, ale posiadał stelaż i jakoś tam w miarę regulowane szelki. Tyle że po tym jak Szurnięty zapakował doń wszystko, co tylko wpadło mu w ręce, ważył chyba zbyt wiele. Halny przyglądał się temu rabunkowi, ale nie protestował. Jakby nic już go nie obchodziło poza zemstą i poznaniem losu oddziału.

Nie pierwszy raz Szurniętemu wydało się, że ludzie potrafią przywiązywać znaczenie do różnych rzeczy, nie bacząc zupełnie na konsekwencje. Jeśli cały oddział Halnego zginął, to trudno. Jasne, żal chłopaków. Ale taki już jest ten świat, prawie wszyscy w końcu giną. Śmierć to śmierć, nie warto zawracać sobie nią głowy, póki przytrafia się komu innemu.

No, chyba że trafiłoby na Ninel... Szurnięty nie potrafił sobie wyobrazić, co by zrobił, gdyby zginęła. Ale to było niemożliwe! Ktoś tak silny, pełen życia musiał przetrwać.

Pierwsze promienie słońca dopiero zaczynały lizać sine trawy i pnącza, a po nich wspinać się ku pogruchotanym ścianom bloków, gdy prowadzeni przez Halnego, oddalili się od schronu pod orlikiem. Żołnierz jak zwykle narzucił szybkie tempo. On jedyny naprawdę znał tę trasę. Co gorsza, wydawał się nie czuć strachu. Szurnięty wolałby poruszać się wolniej, ale zachowywać więcej ostrożności. Po przygodzie z kanibalami wyraźnie stracił pewność siebie.

Niuchacz i Mikołaj biegli tuż za Halnym. Nie wydawali się zmęczeni. Pitala dyszał ciężiej, ale trzymał się niezłe. Tylko Szurnięty sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał zgubić płuca. Zastanawiał się, w jaki sposób mógłby dopisać je do rachunku Pitali, kiedy wreszcie się zatrzymali.

– Padnij! – syknął Halny i pierwszy rzucił się w trawę.

Niuchacz padł obok niego, ale zaraz ciekawsko wystawił głowę. Halny warknął rozeźlony, wyciągnął dłoń, by przycisnąć durny łeb tamtego do ziemi i przytrzymać przez chwilę.

Stach podczołgał się do Halnego.

– Co to? – zapytał.

– Patrz! Tylko ostrożnie.

Ale na co? Rozpłaszczony na ziemi Stach delikatnie uniósł głowę, obawiając się, by żołnierz nie potraktował go jak niuchacza. Nic nie zobaczył.

– Tam! – to Pitala wskazał palcem dziwny, trzęsący się kształt, zbliżający się od północy.

Szurnięty nigdy wcześniej nie widział czegoś równie ogromnego. Wielkie żółte cielsko, trzęsąc się, ciągnęło na całej szerokości zniszczonej ulicy. Unosiło się targane spazmami i opadało gwałtownie, wznosząc tumany pyłu. Przygniatało trawy i pnącza i chyba... Zmieniało kształty?!

– Co to za stwór? – jęknął Stach.

– Nie stwór, a stwory. Rzeka gąsienic, niech je szlag. Nigdy nie widziałem ich tak wiele. Pełnie prosto na nas. Musimy się odczołgać i uciec bokiem.

– Są groźne?

– Pożerają wszystko na swojej drodze. Jak nas wyczują, nie popuszczą. To świat robali, Szurnięty. Tak czy siak, wykończą



nas wszystkich. Ale dziś jeszcze spróbujemy przeżyć. Tylko żeby mi żaden nie wstał!

Czołganie, na dłuższą metę, okazało się gorsze od biegania. W dodatku Stach cały czas myślał o tym, że w takiej pozycji wcale nie jest szybszy od gąsienic. Teraz nawet przekłeta trawa mu przeszkadzała, a kawałki gruzu stanowiły poważny problem. Parę razy oberwał w głowę butem czołgającego się przed nim niuchacza. Pył pokrywał mu całą twarz, wdzierał się pod chustę, której Szurnięty musiał teraz używać z braku maski, i pod gogle, znacznie gorsze od tych, jakie zabrali mu kanibale. Wydawało mu się, że pełzli tak z godzinę, jeśli nie dłużej, nim dotarli do szerokiej ulicy, za którą znajdowały się tylko pojedyncze ruiny niewielkich domów prawie w całości zajętych już przez siny gąszcz.

Dopiero tam Halny pozwolił im wstać. I natychmiast ruszył dalej. Tu nie mógł biec, gąszcz poważnie ograniczał ruchy. Przez godzinę wycinał w nim drogę maczetą, aż wreszcie przystanął i oddał ją Pitali.

– Zasuważ, ile możesz. Potem zastąpi cię Szurnięty.

– Zasuważ, ile możesz, a potem jeszcze trochę dłużej – sarknęła Stach, któremu nie bardzo podobała się wizja dodatkowej roboty. I bez tego czuł się śmiertelnie wręcz wyczerpany.

Okazało się, że najgorsze były ruiny w całości porośnięte sińskim. Nie dawały żadnej ochrony, nic już nie było w nich do rozszabrowania, za to łatwo było się potknąć o resztki murów bądź mebli. Szurnięty trzy razy wyłożył się jak długi i nieźle przy tym poobijał. Za pierwszym razem pomyślał, że może przynajmniej tyle będzie z tego pożytku, że trochę odpocznie. Ale Halny zawsze podrywał go z ziemi i pchał przed siebie.

W efekcie, kiedy dotarli pod Muzeum, zataczał się ze zmęczenia. Oparł się o byle jak zbitą z desek konstrukcję, która mogła chyba służyć jako pokraczna lektyka, i oświadczył, że teraz mogą go nawet zeżreć gąsienice, ale on dalej się nie rusza.

– Gąsienice poszły bokiem – Halny jako jedyny nie wyglądał na zmęczonego. – Ale tutaj może cię zeżreć cokolwiek, jeśli nie schowamy się przed zmrokiem. Po tym jak padło Muzeum,

kręcą się tu różne stwory. To jeszcze tylko parę metrów po całkiem niezłym terenie. Dajesz!

Szurnięty westchnął ciężko, zadarł w górę głowę. No tak, zmierzchało. Ale przecież noc nie zapadnie nagle.

– Moglibyśmy posiedzieć, choć przez parę...

Tamci nawet go nie słuchali. Wszyscy ruszyli bez słowa za Halnym. Stach westchnął, zaklął paskudnie i powlókł się za nimi. Opuścił głowę i zorientował się, że wędrowali teraz przez stopy bogactwa. Muzealnicy musieli stoczyć tu prawdziwą bitwę. Wszędzie wały się kości, dokładnie oczyszczone z mięsa, ale nie poogryzane. Dałoby się je przerobić na narzędzia, a może nawet rozłupać i dostać się do szpiku? W każdym razie te zwierzęce, bo Szurnięty dostrzegł też niemało ludzkich. Na nich tkwiły jeszcze resztki ubrań – część zapewne dałoby się nawet jakoś pozszywać i połatać.

Patrząc na to wszystko, Stach nabrał złych przeczuć. Gdyby w pobliżu żyli ludzie, nie pozwoliliby zmarnować się takiemu bogactwu. Pograżony w ponurych myślach, nie zauważył nawet, kiedy stanęli przed Muzeum. Potężny betonowy budynek, prawdziwa twierdza, o skrzydłach rozchodzących się na trzy strony świata, powinien zrobić na Szurniętym wrażenie, jednak wydał mu się głównie pomnikiem ludzkiej głupoty i upadku. Po jakie licho budowano coś takiego? Widoczne z daleka, wyzywające? Nie lepiej było wykopać wielkie podziemne schrony, w których ludzie mogliby się ukryć i przetrwać? Czy oni tam, w minionym lepszym świecie, nie zdawali sobie sprawy z tego, co nadchodzi? Przecież wojna nie wybuchła z dnia na dzień. Państwa i narody szykowały się do niej latami, wykonywały pierwsze ruchy, sprawdzając granice, do jakich mogą się posunąć. Przywódcy powarkiwali na siebie. Ci śmielsi wypuszczali harcówników. Ci silniejsi nadymali się i wygrażali pięściami. Jacyś mądrale przypominali, że historia lubi się powtarzać, a że od początku czasów wypełniały ją głównie wojny, to musi nadejść następna, jeszcze straszliwsza od poprzednich. Nikt ich nie słuchał, bo luksus, w jakim żyli ludzie przed wojną, ogłupiał.

Zamiast kopać schrony, ludzie stawiali muzea na cześć

przeszłości. Gromadzili zbytki, bawili się i udawali, że nie nadciąga przyszłość skąpana we krwi. Żarli, taplali się w bogactwie, a gdy tylko ktoś rozsądniejszy napomknął im, że tak zawsze nie będzie, że przed chciwymi ich skarbów agresorami nie ochronią ich ani traktaty, ani wiążące słabych umowy, zatykali uszy albo kpili.

A może, zastanowił się, to rzeczywiście jest jakiś sposób? Podczas wojen i kataklizmów najbardziej obrywają mali i słabi. Skoro i tak szanse na ocalenie są niewielkie, może lepiej bawić się, póki jest na to czas? Kochać się z Ninel na tle wybuchających bomb, przed którymi i tak nie ma się gdzie schować?

Nie, Ninel raczej by tego nie kupiła, uznał. Zresztą on też za wszelką cenę chciał żyć. Jeśli ktoś jest łebski, zawsze znajdzie sposób.

Wrota do Muzeum były rozwarłe, ale zawalone stosem ludzkich i zwierzęcych ciał. Tych nie pozarto, więc kości wciąż jeszcze oblepione były śliskim, rozkładającym się mięsem. Na zapach Szurnięty prawie nie zwrócił uwagi, sam cuchnął nie lepiej przez syrop tryskający z rozciętych sinych pnączy, jakim był pokryty. Przywykł też do widoku trupów. Ale ogrom marnującego się tu sprzętu znów nim wstrząsnął. Obok żołnierzy w całkiem niezłych – gdyby je pozszywać i wyprać parę razy – mundurach leżały noże pierwszorzędnej na oko jakości, a nawet... karabiny.

– Złom – zbagatelizował Halny, gdy Pitala schylił się po jeden z nich. – Robili je sami. Zaczynały się po góra trzech strzałach, bo ten ich proch wszystko paskudził. Zabawki na pokaz i tyle.

Mimo to kapitan przywłaszczył sobie jeden z karabinów. Stachowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Broń palna go nie interesowała, ale szybko zebrał kilka noży i schował je do plecaka, nawet nie czyszcząc z zaschniętej krwi. Na to przyjdzie czas, gdy przysiądą w kryjówce.

Wędrowali do niej przez pobożowisko, w jakie zmieniła się dumna niegdyś forteca. Szczątki obrońców leżały pomiędzy potrzaskanymi kadłubami samolotów, na prowizorycznych barykadach, wśród stolików i krzeseł wykonanych z dużą

zręcznością, posiadających nawet ozdoby – niespotykana fanaberia w świecie nastawionym wyłącznie na użyteczność. Ktoś tu rzeźbił na meblach jakieś herby przedstawiające przede wszystkim narzędzia i cyfry.

Schodami zeszli do piwnicy. Wejście do niej Halny z Pitalą zasłonili od wewnątrz resztkami jakiejś szafy. Prowizoryczna przeszkoda nie zatrzymałaby wroga silniejszego od powiewu wiatru, mogła jednak pomóc w ukryciu obecności ludzi. Szybko zapalili latarnie, by rozproszyć półmrok. Szurnięty pobiegł do kiosku z blachy falistej i zajął się poszukiwaniem skarbów. Zajął mu to dobrych parę minut, w trakcie których niuchacz z Mikołajem znaleźli dla siebie legowisko w kłębowisku starych szmat i koców. Pitala próbował wzmocnić osłonę na schodach, znosząc deski i fragmenty mebli, natomiast Halny skierował się ku środkowi pomieszczenia, gdzie wypatrzył ciemną plamę, spod której od czasu do czasu przebijały ciemnoczerwone rozbłyski. Pochylił się nad popiołem, wciągnął dłoń i nieznacznie się skrzywił.

– Ciepłe? – zapytał Pitala, podchodząc.

– Dosyć. Ktoś pospiesznie ugasił ogień. Resztki rozrzucił, zdeptał i przemieszał. Widzisz te ciemniejsze linie? Polał tu wodą albo, pewnie, nasikał.

– Przed chwilą?

Halny obrócił się ku oficerowi i przez moment przyglądał mu się bez słowa.

– Wy w tej Straży Wewnętrznej nie jesteście elitą zwiadowców, co?

– Dbamy o prawo. Dla przetrwania cywilizacji to ważniejsze od zwiadów.

– Taaa... Nie, nie przed chwilą. Musiał nas wypatrzeć, gdy przechodziliśmy przez tę trupią równinę. Z góry mógł mieć lepszy widok. Pewnie było ich co najmniej dwóch. Jeden na czatach, drugi przy ogniu. Więc nie, nie przed chwilą. Ten twój niuchacz nic nie wyczuł?

– Czuję jednomyślnych, a i to gdy są blisko. Ciebie musiałby dotknąć, żeby odczytać twoje emocje, wrażenia, potem myśli.

– Odetnę mu każdy cholerny kawałek ciała, którym spróbuje

mnie dotknąć. Przekaż mu to. I sam zapamiętaj.

– Na razie bardziej martwi mnie ten, kto rozpalił a potem zgasił ten ogień. Myślisz, że może być w pobliżu?

– To duże Muzeum. Pełne kryjówek.

– Powinniśmy się stąd wynieść?

– Dokąd? Jeśli zechcą nas załatwić, tu łatwiej będzie nam się bronić. A jeśli stąd wyjdziemy, będą mogli złapać nas w polu. Zostajemy. Szurnięty!

– Czego? – Stach wyłonił się z kiosku ciągnąc za sobą wyładowany czymś wór. – Zajęty jestem!

– Nawet nie wiesz jak bardzo. Ugotujesz dla nas kolację.

– Ja? To jest absolutnie poniżej godności członka rodziny przywódczej! Ja, drogi panie, jestem...

– Prawie zbędny. Kapitan to zbyt ważny oficer, żeby umiał gotować. Niuchaczowi i chichotkowi nie ufam. A mnie się gotować nie chce. Zostałeś ty.

– A może mnie też się nie chce? I co na to powiesz, mądrało?

– Że jestem większy i silniejszy. Masz na to odpowiedź?

– Kiedyś... – Szurnięty puścił worek, by wycelować w Halnego palec. – Kiedyś zrozumiesz, jak bardzo się pomyliłeś, ważąc siły. Nawet sobie tego nie wyobrażasz. Ale wtedy będzie za późno!

– Sram ze strachu. Bierz się do roboty, Szurnięty.

W pobliżu leżało kilka połamanych desek, których poprzedni lokatorzy schronienia nie zdążyli spalić. Szurnięty poopierał je o siebie wierzchołkami, po czym odruchowo sięgnął do kieszeni kombinezonu w poszukiwaniu hubki i krzesiwa. A gdy ich tam nie znalazł, westchnął i skłął w myślach ludożerców, którzy go okradli. Potem zaczął szukać czegoś w worku.

Halny nie przyglądał mu się dłużej. Skoro ten wariat przeżył tak długo, poradzi sobie z rozpaleniem ognia bez niczyjej pomocy. Swoją drogą, ze światem było coś bardzo nie tak, skoro ginęli porządni, doświadczeni żołnierze i zwiadowcy, a takim śmieciom jak Szurnięty, udawało się przeżyć. Że żył Pitala, Halny się nie dziwił. Ta cała Straż Wewnętrzna to musiały być gnojki od trzymania ludzi za pysk. Sami pewnie nie ruszali się ze schronów, a najgorszym przeciwnikiem,

z jakim musieli walczyć, był zapewne jakiś nieuzbrojony chudzina zdeterminowany, ale samotny i słaby. Najwyżej tłumili bunty zdesperowanych nieboraków w Kombinacie albo rozwalali opornych.

Ginęli ci najsilniejsi, którzy mieli jaja, by penetrować ruiny i walczyć z mutantami. Jak Szrama i jak duchy, których ubywało praktycznie z każdym miesiącem. Halny pamiętał, jak w dzielnicy było ich kilkunastu. Twardzi mężczyźni i kobiety, samotnicy, ale potrafiący walczyć wspólnie, jeśli ktoś załazł im za skórę. Pieprzony zakon samobójców, zdolnych do wszystkiego w imię wydumanej wolności. Dziś przy życiu nie pozostał żaden z nich. Chyba że temu Ruskowi, Wesołemu, się udało.

Wydało mu się, że usłyszał coś przy barykadzie. Podkraść się do niej cicho i zaczął nasłuchiwać. Rzeczywiście coś tam szeleściło. Wiatr? Nie, raczej nie, to brzmiało bardziej jak ostrożnie stawiane kroki. Ktoś się kręcił tam, z drugiej strony.

Oparł dłoń na rękojeści noża przy pasie. Topór wraz z kuszą zostawił, cholera, przy ognisku. Czy zdąży ich dopaść, nim tamci przebiją się przez barykadę? No cóż, jemu rozbicie tej prowizorki nie zajęłoby zbyt wiele czasu. Więc nie, chyba że teraz szybko, ale ostrożnie się wycofa. Z drugiej strony jednego człowieka zdołałby załatwić i bez noża. Ale co jeśli to nie człowiek albo jest ich więcej?

Obejrzał się na sojuszników. Szurnięty rozpałił już ogień i teraz montował nad nim konstrukcję, na której zamierzał zawiesić kociołek. Pitala obserwował go bez większego zainteresowania. Tylko niuchacz i chichotek czujnie wpatrywali się w Halnego. Ale nie wyglądali na skorych do pomocy. Ci dwaj zdecydowanie byli jacyś dziwni. Dawnego Mikołaja nawet lubił. Chłop był trochę szalony, jak wszyscy tramwajarze, ale uczciwy. Ale chichotek, w którego się zmienił... Nie, zdecydowanie nie można na niego liczyć.

Znów wsłuchał się w odgłosy. Przez chwilę nic nie było słyhać, a potem znów rozległo się to szuranie. Ktoś przesunął stopy? Szykował się do ataku?

– Jest nas tylko dwóch – szept z drugiej strony barykady

rozległ się tak niespodziewanie, że Halny drgnął zaskoczony i prawie cofnął się o krok. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego! – Nie mamy złych zamiarów. A ja znam jednego z was. Mężczyznę o imieniu Mikołaj. On też może mnie rozpoznać i poświadczyć, że nic wam ode mnie nie grozi. Chcę porozmawiać. Jeśli odmówicie, odejdę.

„Akurat ci pozwolimy!” – pomyślał Halny. Nie był pewny, czy ten, kto do niego mówi, jest bardzo głupi czy bardzo pewny swoich umiejętności. Albo może bardzo liczył na znajomość z Mikołajem. Cóż, tu mógł się przeliczyć. W obecnym stanie Mikołaj mógłby nie rozpoznać nawet dawnego siebie.

– Kim jesteś, do diabła? – Halny także odezwał się szeptem. Nie był jeszcze pewien, czy chce ujawniać przed pozostałymi przybycie gości. – Ty paliłeś tu ognisko?

– Ja. Piętaszek was wyparzył i uciekliśmy. Ale rozpoznałem Mikołaja.... Mam na imię Marcin i jeśli się nie mylę, możemy sobie pomóc.

## Rozdział 11

Dzieciak był chudy jak szczapa, brudny niczym najbiedniejszy popielni. W dodatku w jego oczach czaiło się szaleństwo. Choć w pierwszym momencie wydał się Halnemu naiwny, nie wypuszczał z ręki najbardziej pokręconego łuku, jaki żołnierz widział. Znał tę broń i jej obecność w rękach Marcina dała mu do myślenia. Poprzedni właściciel nie pozwoliłby sobie go odebrać bez walki. A jeśli chłopak był zdolny pokonać ducha, to zdecydowanie należało na niego uważać.

A jednak to nie Marcin niepokoił Halnego najbardziej, ale jego towarzysz.

Piętaszek! Co za debilne imię!

Co to w ogóle za idiotyczny pomysł, żeby nadawać jakiegokolwiek imię czemuś takiemu! Towarzysz cholernego dzieciaka okazał się pieprzonym szarym! Mały, pokurczony, o wstrętnej mordzie, przysiadł obok Marcina, przytulił się do niego i powarkował cicho, rzucając na prawo i lewo ni to przestraszone, ni gniewne spojrzenia.

– Urodziłem się w Federacji Schronów – opowiadał chłopak, wciąż cicho, prawie szeptem. – Ale musiałem stamtąd uciekać, kiedy wojsko urządziło zamach na naszą trupę...

– Wasze trupy? – nie zrozumiał Szurnięty, mieszając kawałkiem zdobycznego żelastwa zupę gotującą się w kociołku.

– Co ty jesteś, kanibal?

On jeden przyjął przybycie Marcina i szarego bez zastrzeżeń. Westchnął tylko, zmierzył dzieciaka wzrokiem i dorzucił mięsa do zupy. Mikołaj nie potwierdził, że rozpoznał chłopca, nie powiedział nic. Za to niuchacz dostał szału. Popiskiwał, wykrzykiwał jakieś bełkotliwe słowa, rwał się do chłopaka, wyciągając ku niemu raz za razem ręce, by dotknąć go i dobrać się do jego mózgu. Na razie nie pozwolono mu na to. Pitala milczał, ale przyglądał się przybyszom, mrużąc oczy, jakby



próbował sobie coś przypomnieć. Gdy chłopak powiedział o trupie i konieczności ucieczki, kapitan zerwał się na równe nogi i byłby dopadł Marcina, gdyby Piętaszek nie zastąpił mu drogi, warcząc. Stali naprzeciw siebie gotowi do walki, więc Halny uznał za stosowne się wtrącić.

– Weź się uspokój, kapitanie – powiedział spokojnie, nawet nie ruszając się z miejsca, ale ostentacyjnym gestem kładąc dłoń na toporze. – Ja zaprosiłem gówniarza. Jest tak jakby moim gościem.

– Ty nie wiesz, kim on jest, ja tak! – warknął Pitala. – Otrzymał obywatelstwo Kombinatoru i podlega jego prawu! Jest mój! Nie poznałem go, bo...

– Bo wygląda jak cień szkieletu, nie? Ja też go nie poznałem. Jesteś aktorem z trupy Pana Onufrego, chłopcze, prawda? Grałeś dzieci i baby. Zgadza się?

Marcin przytaknął. Położył dłoń na grzbiecie szarego, pogłaskał go i stwór cofnął się nieco. Nie spuszczał jednak wzroku z Pitali.

– Nie wrócę do Kombinatoru – oświadczył Marcin. Choć mówił cicho, jego głos zabrzmiał wyraźnie i zdecydowanie. – To przeklęte miejsce.

– Prawo... – zaczął Pitala, ale Halny nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie jesteśmy w Kombinatorze! – warknął.

– Prawo Kombinatoru obowiązuje wszędzie – odparł Pitala. – Jego obywatele podlegają mu choćby na Księżycu! Chłopak jest mój. Nie wtrącaj się, żołnierzu. Ten gówniarz...

Najwyraźniej nie był to wieczór, w którym oficer Straży Wewnętrznej miał otrzymać szansę na dokończenie wypowiedzi. Tym razem przerwał mu Szurnięty, bezceremonialnie wchodząc pomiędzy niego i Piętaszka. Człowiek i szary cofnęli się zaskoczeni.

– Ten gówniarz słania się z głodu – oświadczył Stach, wciskając Marcinowi blaszaną miskę pełną zupy. – Uważaj, młodzieńcze, gorące jak dupa mutanta. Panie kapitanie, najemy się i wtedy porozmawiamy. Człowiek najedzony jest mniej awanturujący się. Macie menażki czy coś? Dla

wszystkich naczyń nie poznałbym! Kurde, zginęlibyście bez Stacha, jak nie! Chłopcze, ten twój potwór umie mówić?

– Po swojemu, proszę pana.

– Czyli jak każdy. Ten tam tylko chichocze. Niuchacz to w ogóle... Szkoda gadać. Szacowny pan kapitan nie zna niemal żadnego słowa, poza tym, które ciągle gdać: „prawo”. A ten wielki, Halny, umie tylko warczeć albo wrzeszczeć. Więc twój Piętaszek pasuje do towarzystwa. Zje zupę?

– Zje wszystko – wyszczerzył się Marcin, jakby nie zdając sobie sprawy, że to zdanie mogło zabrzmieć dość złowrogo.

Szurnięty, który ledwie co uniknął pożarcia przez kanibali, uniósł brwi, ale nalał zupy do podstawionej przez Marcina mieniszki. Szary ujął ją w dłonie zupełnie po ludzku, nachylił do ust i zaczął chleptać, mlaskając. Też prawie jak człowiek.

– Niektórzy mówią, że szarzy pochodzą od ludzi – mruknął Szurnięty. – Do dziś w to nie wierzyłem.

Gadał przez cały posiłek, zupełnie nie zwracając uwagi na napiętą atmosferę, a może właśnie ze względu na nią. Nie dał dojść do słowa ani Pitali, ani Marcinowi, wyraźnie palącemu się do rozmowy. Chłopak nie przyszedł do nich w celach towarzyskich. Czegoś od nich chciał i zdaniem Halnego spodziewał się to dostać. Zmartwił się, gdy usłyszał, że Mikołaj nie nadaje się do rozmowy. Choć jednak Marcin wyraźnie obawiał się Pitali, Halnemu wydawało się, że przyglądał się kapitanowi z ciekawością.

Halny nie dałby za chłopaka popsutego bełtu do kuszy. Dzieciak na pozór wyglądał nieźle. Miał na sobie świetny kombinezon, prawie nowy, mało połatany, nieco za duży na niego, ale zaopatrzony w pasy i zapięcia, którymi można go było od biedy dostosować do drobnej sylwetki. Targał na plecach kołczan pełen strzał pochodzących jeszcze z zapasów ducha – zdobytych w jakimś starym sklepie, a wykonanych jeszcze w czasach urodzaju. Torby i ładownice przy pasie puchły od towaru, a nóż chłopaka też został chyba wytworzony jeszcze przed Pożogą. Wszystko to, wraz z plecakiem, skórzanymi butami z wysokimi cholewami i maską przeciwgazową podczepioną na piersi wyglądało, jakby

pochodziło prosto z jakiegoś magazynu. Mimo to Halny nie dostrzegwał w Marcinie łowcy, owego pazura, jakim charakteryzowali się najtwardsi ze szperaczy czy duchów. Nawet Pitala był na swój sposób twardy, nawet Szurnięty. A w Marcinie była pewna niewinność, naiwność, która musiała go doprowadzić do rychłej śmierci.

A jednak żył na pustkowiach. I jeszcze oswoił sobie szarego. Halny pierwszy raz słyszał o czymś takim. Może jednak w chłopaku było coś wartościowego, poza sprzętem, którym się poobwieszał?

– Pojedliśmy – Pitala odłożył menażkę – to teraz pogadajmy. Powołuję się na...

– Na prawo, wiemy – zarechotał Szurnięty.

– Czy tego chcecie czy nie, Kombinat jest jedyną siłą zdolną zachować pokój w dzielnicy. Twoja Farma Konopków, panie dziedzicu, nie jest tym zupełnie zainteresowana. I nie oprze się potędze Kombinat, jeśli doszłoby do wojny.

– Hordzie się oparła – wypomniał mu Stach.

– Częśćce hordy. My zgnetliśmy główne siły. Federacja nie istnieje. Muzeum padło. Komuniści wyginęli...

– Tylko nie wyrwij się pan z takim tekstem przy Ninel!

– Szurnięty, jeszcze raz mi przerwiesz, a przysięgam...

– Przysięgasz, że co? – upomniał go Halny.

– Ten świr też jest twoim gościem, do cholery?

– Tego świra znam dłużej niż ciebie!

– Może wreszcie mnie wysłuchacie? – tym razem to Marcin się wtrącił, nim sprzeczka zmieniła się w coś poważniejszego. – Przyszedłem do was, zamiast uciec. Więc może dotrze do was, że mam ofertę? Nawet dla pana, kapitanie. Choć teraz, gdy wiem, kim pan jest... A jednak, nawet dla pana. Dajcie mi parę minut. Chodzi o Ewę.

– Miłość, co? – uśmiechnął się Szurnięty. – Oj, nawet nie wiesz, jak dobrze cię rozumiem, chłopcze!

– Daj mu mówić! – zachnął się Pitala. – Chłopcze, jeśli wiesz, gdzie ona jest, jeśli pomożesz w jej schwytaniu, zasłużysz na ułaskawienie!

– A na wolność?

- Nawet na stopień podoficera Straży Wewnętrznej! Mów!
- Myślę, że Piętaszkowi nie spodobałoby się w Straży, panie kapitanie. Z całym szacunkiem więc, ale dziękuję. Wystarczy nam wolność.
- Więc macie ją, do cholery! Słowo oficera! Mów wreszcie!
- Niczego innego nie mogę się doczekać. No więc, po tym jak uciekłem od łaskawości Kombinat, odnalazł mnie Piętaszek. Którego, jak może wiecie, nazwałem na cześć towarzysza Robinsona Cruzoa, bohatera opowieści o samotnym rozbitku, który musiał sobie radzić na bezludnej wyspie. Otóż moje położenie wydało mi się bliskie historii tamtego dzielnego człowieka...
- A zwięźlej? – nie wytrzymał Halny. – Chłopcze, to nie teatr. Uciekłeś, spotkałeś szarego. Co dalej?
- Błąkałem się, szukając życzliwej duszy.
- To się nie udało. Dalej.
- Rzeczywiście, poza Piętaszkiem, który sam mnie odnalazł, nie spotkałem nikogo życzliwego. Ale Piętaszek... Wiecie, gdyby nie on, raczej bym nie przeżył. To on polował dla nas dwóch, ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwami. Czasem myślałem, że z nas dwóch to raczej on jest Robinsonem, a ja...
- Czego, do ciężkiej cholery, nie zrozumiałeś w słowie „zwięźlej”?
- Zwięźlej, to przyszedłem do Muzeum i odtąd w nim żyjemy. I ludzie, i mutanty boją się tu przychodzić. Kombinat wprawdzie splądrował magazyny, ale nawet jego ludzie nie tknęli ciała. No i nie wiedzieli o paru skrytkach pełnych sprzętu. Więc żyło nam się tu z Piętaszkiem nie najgorzej. Prawie nikt nas tu nie niepokoi. Ale trzy dni temu przyszła tu Ewa. Pewnie szła tak jak ja, drogami, które знаła.
- Jest tu? – Pitala nie wytrzymał i zerwał się z miejsca. – W jakiejś skrytce?
- Przedwczoraj uciekła. Wyczuła... To coś wyczuło moje intencje. Uciekła, gdy spałem. Piętaszek, niestety, wypuścił ją. Bał się jej.
- To coś? – nie zrozumiał Halny. – Ktoś jej towarzyszył?
- To raczej ona towarzyszyła komuś – uśmiechnął się smutno

Marcin. – Jest w ciąży. Bardzo zaawansowanej. Bałem się, że zacznie mi tu rodzić. A to, co nosi w brzuchu, kieruje nią. To nie jest człowiek, prawda, panie kapitanie? To dziecko Króla? To je chce pan odzyskać?

– Jest przyszłością świata – sapnął Pitala. – Nadzieją.

– Jest zarazą – nie zgodził się Marcin. – Przekleństwem. Nie widział pan, co zrobił Król z całą Nową Hutą?

– Byliśmy nieprzygotowani. Teraz to co innego. Ten dzieciak... On pomoże nam zjednoczyć wszystkie frakcje, wszystkich ocalałych. Może nawet ulepszyć rasę ludzką? Musimy przetrwać, chłopcze. Każda szansa jest dobra.

– Myli się pan. Ale mnie to nie przeszkadza. Bierzcie sobie to dziecko i pozwólcie mu się zabić. Ta pańska nadzieja opanowała Ewę. Jeszcze się nie narodził, a już próbował dosięgnąć i zniewolić mnie i Piętaszka. Na szczęście szarzy są odporni na jednomyślność, a i ja mam trochę większą odporność niż przeciętna. Więc uciekliśmy. A potem... – znów przerwał. – Nieważne. Ewa nie pozwoliła mu nas atakować. Ale poza tym ona jest mu całkowicie oddana. To dziecko was zniszczy, kapitanie. Ale nie będę płakał nad Kombinatem.

– Więc co powinniśmy zrobić twoim zdaniem? – zapytał Halny.

– Zabić je. Zabić je, jak tylko się narodzi.

– To wykluczone! – oświadczył Pitala lodowatym tonem. – Dziecko i cały jego potencjał należą do Kombinatatu.

– No i to jest po prostu dziecko. – Szurnięty splunął. – Zabijanie dzieci... Cholerne marnotrawstwo, chłopcze. I paskudnie brzmi.

– Nie widzieliście tego co ja. Bitwy tutaj... Jednomyślni mordowali wszystkich, nad którymi nie zdołali zapanować. Ale jak powiedziałem, bierzcie je sobie. Byle nie dotarło tam, dokąd zmierza. Gdy dotknęło mojego umysłu... Widziałem jego cel. Nie możemy dopuścić, by do niego dotarł.

– Dlaczego?

– Bo tam, dokąd zmierza, jest więcej takich jak on. Nie jakies tam stada jednomyślnych, ale cała armia Królów. A dziecko niesie im wieść o nowych łowiskach pełnych żarcia. O tym, co

jeszcze ocalało w Hucie. O nas. Niesie im obietnicę obfitych  
plonów.

## Rozdział 12

– Zmiękleś. – Halny przysiadł się do pełniącego pierwszą wartę Stacha.

Rozdzielając, je nie wiedzieli, co począć z szarym. Marcin zapewniał, że Piętaszek rozumie, co do niego mówią, i zrobi swoje, ale ostatecznie nie wzięli go pod uwagę. A on zdawał się mieć to gdzieś. Położył się obok Marcina, wtulił w niego i niby to spał, ale co chwila otwierał oczy, by zlustrować okolicę. Zdaniem Halnego ci dwaj stanowili parę nie mniej dziwną i niepokojącą od chichotka i niuchacza.

– Że co?

– No wiesz, przejąłeś się losem dzieciaka. Wcześniej też miałeś kilka chwil... Niemal ludzkich.

– Pieprzenie! Toż powiedziałem, że to marnotrawstwo, nie? Bo jest. Zabijać dzieciaka, kiedy prawie żadne się nie rodzą.

– Ja swoje widzę, Szurnięty. Swoje wiem. Zmiękleś.

– A tam! – zachnął się Szurnięty, tyleż zły na siebie, co i na żołnierza. – Ja zmięklełem!? A to ty się płaczesz z nami jak smród po gaciach. Halny, jakiego znałem, dałby temu czarnemu w łeb i poszedłby swoją drogą.

– Czyli jaką?

– Hę?

– Szrama nie żyje. Rozkopałem jego grób, obejrzałem zwłoki. A co z pozostałymi? Tego nie wiem. Nikt, kogo pytałem, nie wie. Mówią, że też zginęli. Ale wiesz, co to były za chłopaki, Szurnięty. Nie wierzę, że dały sobie strzelić w plecy byle łajzom Indora. „Swoją drogą”, powiadasz? Moja droga to mój oddział, nie mam nic poza nimi. Więc łączę z wami, bo jesteście moim jedynym tropem.

– Ten twój jedyny trop zdaje mi się gówniany.

– Jak życie, co?

– Jak życie – zachichotał Szurnięty. Zastanawiał się nad

czymś, kreśląc ułomkiem deski kręgi w gęsto zalegającym na podłodze kurzu. Wreszcie odezwał się cicho, zduszonym głosem, jakby wbrew sobie. – Robię, co robię, żeby na nią zasłużyć. Dlatego niby zmiękle.

– Na dziewczynę Szrama? – odgadł Halny.

– No! Kurde, już ci mówiłem! Moja jest!

– Szrama nie żyje, nie upomni się o nią. Więc jak dla mnie może być twoja. Ale to twarda baba, Szurnięty.

– Twarda, ale dobra. Kurna, może to jedyna dobra istota na tym gównianym świecie.

Halny wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Pokręcił tylko głową i zapytał o Króla.

– Ja go nie widziałem – wzruszył ramionami Stach. – Może dzięki temu żyję?

– Myślisz, że chłopak ma rację? Że to takie niebezpieczne?

– A widzisz, co zostało z dzielnicy? Jeden Król, stado jego zombiaków i obrócili wszystko w gruzy.

– Czyli trzeba go powstrzymać?

– Albo uciekać tak daleko, jak tylko się da.

Rankiem Szurnięty, który najwyraźniej pogodził się już z rolą kucharza, przygotował śniadanie. Pitala dopadł Marcina i zażądał, by chłopak pokazał mu wszystkie ocalałe schowki Muzeum. Chłopak wymienił spojrzenia z szarym, po czym oznajmił, że pan kapitan może sobie wsadzić w dupę takie propozycje. I jak chce coś otrzymać, to musi mieć coś na wymianę. Pitala w pierwszej chwili spurpurowiał, rozglądając się, jakby szukając ludzi, którym mógłby kazać aresztować gówniarza, ale przypomniał sobie, że zginęli. Westchnął, uśmiechnął się nawet i przyznał, że to uczciwe postawienie sprawy, choć niezgodne z prawem Kombinat. A prawo...

Halny wtrącił się, nim znowu usłyszeli pogadankę o jedynym czynniku stanowiącym gwarancję zachowania cywilizacji.

– Mówiłeś wczoraj o bitwie, chłopcze. Opowiedz coś więcej.

– Pewnie nie zrobi tego za darmo – zakpił Pitala.

– Idę z wami – Halny nawet się nie obejrzał na niego. – Za to też jest cena. Opowiadaj, mały.

– O czym tu opowiadać? Chaos i śmierć, tyle. Znał pan



Muzeum, nim upadło?

– O tyle, o ile. Czasem spotykałem ich patrole. Gadaliśmy trochę.

– To było wspaniałe miejsce, wie pan? Inne niż Federacja. Oni tu mieli wszystkiego pod dostatkiem. I cuda techniki, jak w dawnych czasach. A wszędzie te samoloty na pamiątkę wielkości ludzkości. To napawało nadzieją. I nie rządziło nimi wojsko, tylko rada. Byli dobrzy. Zaopiekowali się nami, mieli nas uczyć. A Król to wszystko zniszczył. Ot tak. Opanował umysły kilku... Niestety, Ewy też. On nie mógł sięgać przez grube mury, ale zasiał swoje myśli, nie wiem, może swoją wolę wśród tych, którzy byli na to podatni a wychodzili na patrole. Ci opętani otworzyli mu bramy, nim zorientowaliśmy się, co się działo. I wtedy wtargnęła tu horda. Muzealni walczyli, ale Król miał do nich lepszy dostęp i coraz więcej udawało mu się opętać. Wszystkie strategie obrony wzięły w łeb. To był chaos. I rzeź. Myśmy uciekali bocznym wejściem, takim ukrytym. Ja i ludzie, którzy przyszli za nami z Kombinat. Ścigały nas wielkie psy. Wybiegliśmy przed Muzeum, a tam ciągle trwały walki. Była taka kobieta... Nigdy takiej nie widziałem. Wielka, silna. Pomagała tym z Kombinat. Machała muszkietem jak maczugą. Musiała się na nią rzucić cała sfera psów... Nie widziałem, co było dalej, ale chyba zginęła, bo jak tu wróciłem znalazłem grób...

– Co?

Szurnięty dopadł Marcina jednym skokiem, chwycił za kombinezon i przyciągnął do siebie. Twarz miał straszną.

– Coś powiedział?

Piętaszek przyskoczył do Stacha, spróbował go odciągnąć, ale w tej chwili nawet Halny mógłby nie dać rady niewielkiemu mężczyźnie. Szary popatrzył skonfundowany na Marcina. Obnażył zęby, ale chłopak dał mu znać gestem ręki, by nie atakował.

– Była bitwa – stęknął. – Jednomyślni...

– Kobieta! Coś powiedział o kobiecie! Była wielka i piękna, tak? Miała muszkiet, tak?

– Nie wiem, czy była piękna... Jak przyszła do Muzeum

i gadała z Radą, nie ściągała kaptura. Zresztą różne są kanony urody, a ja... Ale była dobra. Wesoła.

– Grób! Powiedziałeś „grób”! Zaprowadź mnie!

Poszli wszyscy. Szurnięty nie puszczał ręki Marcina. Nie zabrał ze sobą broni i chłopakowi też nie pozwolił zabrać nic ze sobą, tylko ciągnął go, nie marnując czasu choćby na niezbędne zabezpieczenia. Halny sklął go za to, ale Szurnięty nie przejął się tym. Żołnierz skinął więc na Pitale, sam chwycił topór i pognął za wychodzącymi. Pitale popatrzył z powątpiewaniem na swój pokiereszowany, odziedziczony po muzealnych kawał złomu, odrzucił go, schylił się po nóż porzucony przez Szurniętego. Gwizdnął na niuchacza.

Ostatni z Muzeum wyszedł Piętaszek. Przestraszony, powarkujący. Gotowy w każdej chwili skoczyć Szurniętemu do gardła.

Stach nie przejmował się tym. Jak i w ogóle niczym. Powtarzał: „Grób! Prowadź mnie do grobu”, i gnali z Marcinem przez pobojuwisko, jakby wokół nich nie było świata ze wszystkimi zagrożeniami, jakie niósł. Wreszcie stanęli przy niewielkim kopczyku, w który wbity został muszkiet o wygiętej lufie i potraskanej kolbie.

– Jej, a może nie jej? – Szurnięty wypuścił nareszcie Marcina. Przekrzywiając głowę, przyglądał się mogile. Jakieś zwierzęta próbowały ją rozkopać, ale dały spokój. Naokoło można było znaleźć sporo łatwiej dostępnego mięsa.

– Nie będziesz wiedział, jeśli nie rozkopiesz – Halny podszedł do grobu, wyciągnął dłoń ku muszkietowi, ale cofnął ją, bo Szurnięty szarpnął głową i popatrzył na niego szalonym, wściekłym wzrokiem.

Przez chwilę wydawało się, że zaatakuje żołnierza. Ale zaraz coś zamigotało w jego oczach i Szurnięty nagle oklapł. Zachwiał się na nogach i aż przysiadł na grobie.

– Rozkopać? – szepnął.

– Bez tego nie będziesz wiedział. Ja wykopałem Szramę.

Teraz Marcin spojrział na niego jakoś dziwnie, ale nic nie powiedział. Halny zanotował sobie w pamięci, by zapytać go o tę reakcję.

– Będę wiedział – powtórzył Szurnięty słabym głosem. – A może lepiej nie wiedzieć?

– Jak chcesz. Twoja sprawa.

– Moja. Moja. Kurwa. Pomóż mi, Halny. Ale tylko ty. Reszta nich wypieprza.

– Ona mi pomagała – nie zgodził się Marcin. – Też bym pomógł.

– Wypieprzaj! Potem mi wszystko opowiesz.

Chłopak zawahał się, ale skinął głową i odszedł.

Kopali z Halnym przez dobre pół godziny, nim dotarli do zwłok. Wtedy odszedł też Halny, Szurnięty nie musiał nawet nic mówić. Wskoczył do grobu, przytulił nadzarte rozkładem ciało i zaczął nie tyle płakać, ile wyć, skowyczeć.

Halny dołączył do pozostałych, siedzących pod murem Muzeum.

– Teraz to on już normalny nie będzie – rzucił Pitala.

– Nigdy nie był normalny.

– Nie w tym rzecz. Widywałem już ludzi, w których coś pękło. Którzy tracili cel w życiu. Nie nadawali się już na wiele. Czasem stanowili zagrożenie. Powinniśmy go tu zostawić.

– Żebym kogo innego nie zostawił!

– Słuchaj, Halny – westchnął Pitala. – Masz mnie za szuję. Rozumiem. Nie pojmujesz wielkości prawa i wielkości, jaką daje służenie mu. Trudno. Nie przyszedłem cię nawracać.

– Nie? – Halny wyszczerzył się szyderczo. – Myślałem, że tym właśnie zajmują się tacy jak wy. Nawracacie. Pałkami, obcęgami, wyrywaniem paznokci. Jak Indor. Od was się nauczył jak być draniem, nie?

– Wierz mi albo nie, ale niczego nie musieliśmy go uczyć. Sam się do nas zgłosił.

– W to uwierzę. – Halny zacisnął pięści, aż coś w nich strzeliło. – Po co ty ze mną w ogóle gadasz?

– Bo chłopak w jednym ma rację. Musimy dopaść dziewczynę i jej dziecko. Czy ci się to podoba czy nie, nie ma w tej chwili ważniejszej sprawy. A czy mnie się to podoba czy nie, jestem zdany na was. Nie mogę czekać, aż inni mnie odnajdą, nie mogę tracić czasu na wracanie się po posiłki. Nawet nie mam

kogo wysłać z wiadomością. Chłopak jest mi potrzebny, ty jesteś...

– Wyślij Szurniętego.

– A myślisz, że on się teraz do czegokolwiek nadaje? Powtórzę, masz mnie za szuję. Trudno. Ja mam cię za pojeba. Przez jakiś czas zdołamy z tym żyć, nie? Ale jakkolwiek bardzo byś mną gardził, zrozum jedno: nie jestem głupi. Swoje przeżyłem. I mówię ci, ten nieszczęśnik właśnie odnalazł sens swojego życia i okazało się, że to tylko gnijące zwłoki. Możemy to uznać za cuchnącą metaforę losu świata. Ale przede wszystkim to jest coś, co przeoruje mu właśnie mózg. Słyszysz, jak wyje? Już nie jak człowiek, ale jak zwierzę. Coś umarło w tym facecie. Tu nie chodzi o to, że przestał być użyteczny, ale o to, że stał się zagrożeniem. Już samo jego wycie przyciągnie wszystkie drapieżniki z okolicy.

Halny nie zgadzał się z Pitalą. Lament Szurniętego rzeczywiście musiał być słyszany daleko, ale obok bólu i rozpaczki było w nim tyle złości, że raczej odstraszał, niż przyzywał. Nawet Halnemu chodziły ciary po plecach, za nic w świecie nie zbliżyłby się teraz do małego, śmiesznego człowieczka, z którego tak często zdarzało mu się kpić. Cokolwiek zaszło pomiędzy nim a Ninel, przekraczało pojęcie Halnego.

Zapamiętał tę kobietę jako cień Szramy. Jakoś tak się zawsze składało, że ci dwoje wpadali na siebie. Walczyli wspólnie albo okazywało się, że wybrano ich na ochroniarzy oficjeli negocjujących pokój. Od początku widać było, że olbrzymka miała chętkę na Szramę, a ten specjalnie nawet się przed nią nie bronił. Za to, kiedy już było po wszystkim, starał się jej unikać. Razem z Kotem nabijali się przez to z dowódcy. Że trafił wreszcie na mutanta, który go załatwił.

A teraz nie żyli i Szrama, i Ninel. I może nawet Kot.

Nie, Kot musiał żyć.

Halny zerknął jeszcze raz w kierunku grobu Ninel, gdzie Szurnięty wciąż skowyczał swój lament. Tamten też żył złudzeniami, wierzył, że znajdzie kogoś bliskiego przy życiu. Czy warto było oddawać się takiej ułudzie? A może bez

jakiegokolwiek ułudy nie dało się żyć w tym świecie?

Zresztą Kot zawsze powtarzał, że ma dziewięć żyć. Przynajmniej jedno musiało mu zostać.

– Masz rację – Halny spojrzał Pitali prosto w oczy. – Mam cię za szuję. Ale masz też rację, że Szurnięty to teraz ciężar. Może nawet zagrożenie. Zostawiamy go. Chłopcze, zaprowadź nas do tych schowków. Wiem – uniósł dłoń. – Zasada wymiany, coś za coś. Ale chcesz, żebyśmy dorwali tego dzieciaka, tak? Żebyśmy poszli z tobą do Krakowa? Musimy się przygotować. Coś za coś, chłopcze. Albo pójdziemy tam dobrze wyposażeni i być może damy radę, albo zachowasz swoje cenne skarby w ukryciu, a my wszyscy zdechniemy. Chcesz ratować świat? Musisz ponieść koszty.

## Rozdział 13

Postanowili go zostawić. Zrozumiał to, ledwie ocknął się z amoku. Nie miał im tego za złe. Sam też by siebie porzucił w takiej sytuacji. Musieli uznać, że zwariował.

Nie zgodziłby się z takim stwierdzeniem.

Pocałował wyszczerzoną czaszkę Ninel, po czym starannie zakopał grób. Wahał się, czy nie zabrać sobie jakiejś pamiątki, ale nie chciał nic odbierać tej kobiecie. Wystarczy, że będzie ją zawsze pamiętał.

Miłość to najważniejsza rzecz na świecie. Ale kiedy znika, zostaje już tylko jałowa, zimna pustka. A chłód potrafi studzić serca i umysły.

Szurnięty zszedł do Muzeum. Usłyszał tamtych i ruszył za ich głosami. Odnalazł tych, którzy chcieli go porzucić, w małym magazynie pełnym wszelakiego dobra. Pitala z zachwytem przyglądał się pistoletowi dość podobnemu do tego, jaki odebrali mu kanibale. Siedział na drewnianej skrzyni, na kolanach trzymał nóż o ostrzu szerokim jak dłoń mężczyzny i czyścił lufę swojej nowej broni. Halny zbierał bełty do kuszy, sprawdzając jakość każdego z nich.

Zorientowali się, że Szurnięty przyszedł, bo niuchacz spojrzał na niego i pisnął przestraszony.

„Ach prawda, jeszcze i ten” – pomyślał Stach. – „Miejmy i to za sobą”.

Podszedł do niuchacza, chwycił go za rękę i przyciągnął jego dłoń do swojego czoła.

– Masz! Najedz się! – warknął, patrząc mu prosto w oczy.

Jednomyślny nie potrafił oprzeć się pokusie. Wtargnął w umysł Szurniętego i zaraz wrzasnął przestraszony, szarpnął się, wyrwał z uścisku i szlochając, uciekł skulić się pod ścianą. Mikołaj objął go, łypiąc wściekle na Stacha. Głaskał przestraszonego niuchacza po głowie, szeptał mu coś

uspokajającego.

– No! – uśmiechnął się Szurnięty, zadowolony z reakcji, jaką zrobiło jego wejście. – Wiem, co myślicie. Że już po mnie. Ale nic z tego. Idę z wami.

– Znalazłeś już to, czego szukałeś – zaprotestował słabo Pitala zerkając z niepokojem na niuchacza.

– Nie, zupełnie nie to, czego szukałem – warknął Szurnięty. – I teraz szukam czego innego. Znajdę to, co zabiło moją Ninel. Ten gówniarz mówi, że w Krakowie jest takich więcej, nie?

– Na zamku – potwierdził Marcin. – Widziałem zamek w myślach potwora.

– Na zamku – powtórzył Szurnięty. – Znajdziemy skurwysynów i zabijemy. To jest teraz mój cel. Idę z wami.

Już nie protestowali. Halny skinął nawet głową.

Szurnięty podszedł do stołu, na którym leżały noże najróżniejszych rodzajów. Podnosił jeden po drugim i przyglądał się im uważnie. Oceniał ostrza, sprawdzał, jak rękojeści leżą mu w dłoni. Kiedyś po prostu spakowałby wszystkie do plecaka na handel. Teraz postrzegał świat nieco inaczej.

Zresztą, kiedy dopadną tę dziewczynę, zyska coś znacznie cenniejszego niż najlepsze nawet noże. Odczeka, aż urodzi tego swojego dzieciaka, a potem zabierze go jej i zanieś na Farmę. Z takim cudem będą musieli go przyjąć i przyznać należne mu prawa. Wróci do domu. Może nawet i dziewczynę też im zanieś? Jeśli nie będzie się za bardzo rzucać, gówniara. Skoro urodziła jedno dziecko, to może urodzić więcej. Jest młoda i jeszcze niewyjałowiona, na Farmie dobrze za nią zapłacą.

– Te magazyny to tak naprawdę składowisko ich zarzuconych eksperymentów, nieudanych produktów. – Marcin podszedł do Szurniętego. Mówił cicho, głos mu drżał. – Albo takich, nad którymi dopiero pracowali. Dlatego nie jest to aż tak dobry sprzęt jak ten, którego używali.

– Jak dla mnie to prawdziwe skarby – odparł Szurnięty. Z zadowoleniem odkrył, że potrafi panować nad głosem. Mówił więc jak człowiek, którego dotknęło nieszczęście, ale który umie sobie z tym radzić. Jakby nadal przepełniały go te

wszystkie bezwartościowe, ciepłe uczucia.

– Ja... – Marcin przełknął ślinę. – Poznałem tę Ninel. Była niezwykła. Silna i wesoła. Kiedy tamci nas zaatakowali, ona ocknęła się pierwsza. Możliwe, że uratowała mi życie. Chciałem, żeby pan wiedział. Ja napiszę o niej, jeśli mi pan o niej opowie. Prowadzę taką kronikę. Piszę w niej o tym, co się wydarzyło.

– Dziękuję, chłopcze. – Szurnięty obrócił się ku Marcinowi, położył mu dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w oczy. Kiedy przyjdzie czas, zabije gówniarza, jeśli stanie mu na drodze. Wolałby darować mu życie, za to, co właśnie powiedział o Ninel, ale nie zawaha się, jeśli nie będzie innego wyjścia. A jak Stach znał życie, nie będzie.

Spodobała mu się jednak myśl o tym, że Ninel przetrwa w jakiejś kronice. Będzie musiał zadbać, żeby szczeniak jak najszybciej zapisał w niej wszystko, co mu Stach opowie. Nim trzeba go będzie zabić.

Nim Szurnięty zabije go, jak pozostałych, bo na pewno będą chcieli mu odebrać dziecko. Jego klucz do Farmy.

– Dziękuję ci, chłopcze – powtórzył, mając nadzieję, że jego głos brzmi odpowiednio, jakby był wzruszony. – Z radością ci o niej opowiem. Widzisz, najważniejsza w życiu człowieka jest miłość...



## Rozdział 14

Długo zbierali się, by pokonać rondo Mogilskie w cieniu Szkieletora. Dysponowali niezgorszymi mapami, Marcin zaprowadził ich do dziupli szefa wywiadu muzealników i pokazał ukryte tam skarby. Pitala prawie tańczył z radości, gdy je przeglądał. Halnego interesowała tylko mapa.

– To wszystko szlaki handlowe? – zapytał, wskazując kolorowe linie łączące Muzeum z różnymi punktami na mapie.

– Nie zawsze – odparł Marcin. – Za mało czasu tu spędziłem. Ale wiem, że Muzeum szukało innych ocalałych. Starano się nawiązywać z nimi kontakty. Na przykład tutaj, proszę.

– Wieliczka. Mówiło się u nas, że mogli tam przetrwać ludzie. Ale była za daleko, by wybrać się na zwiad. Tynec... To już nawet poza Krakowem. Zresztą ten szlak został opisany jako niepewny.

– Ci z Muzeum chyba dotarli do tej Wieliczki. Widzi pan? Kalański, to był ich szef wywiadu, nanosił na te mapy notatki. Tu napisał: „zaraza”. Więc coś musieli o nich wiedzieć. A do Tyńca wysłali gońców, ale żaden z nich nie wrócił. On to opisał wszystko dokładniej na drugiej stronie mapy. Że jest tam jakaś twierdza i że jego zdaniem mogli w niej przetrwać ludzie.

– A to? – Halny wskazał wielki znak zapytania narysowany prawie w samym środku Krakowa.

– Nie wiem. Mówiłem, spędziłem tu za mało czasu.

– Możliwe, że będziemy tamtędy przechodzić. A każdy człowiek to teraz potencjalne niebezpieczeństwo. Kurde. Może lepiej wzdłuż Wisły...

– Ewa pójdzie tam, gdzie są ludzie. Więc pewnie będzie się kierowała na ten znak zapytania.

– Skąd wiesz?

– Bo to coś w niej jest głodne ludzi.

Przy rondzie Mogilskim muzealnik napisał: „bywają

Niznerowcy, zabawna banda, ale płochliwi”. I właśnie z powodu tej niewiele mówiącej notatki tak długo się zbierali, nim zdecydowali, jak przekroczyć ziejącą w ziemi dziurę.

Rondo robiło wrażenie. Choć ulica nad jego podziemną częścią zapadła się i częściowo je przysypała, wciąż stanowiło imponujący przykład dzieł upadłej cywilizacji. Przyczajeni na jego krawędzi, obserwowali uważnie okolicę, starając się wypatrzeć jakiegokolwiek oznaki życia.

– Z prawej jest ten cholerny Szkieletor – mruzczał Halny. – Za żadne skarby tam nie pójde. Tam może być wszystko.

– Nic tam nie ma – upierał się Pitala, obserwując przez zdobytą w Muzeum lornetkę wielki, górujący nad całą okolicą budynek. – Tylko ta flaga na szczycie.

Ktoś zwiesił z dachu Szkieletora ogromną płachtę materiału, na której namalowano czarnego psa wyjącego ku siedmiu czarnym kropkom układającym się w jakiś tajemniczy wzór.

– Jeśli tu byli jacyś Niznerowcy, to pewnie zdechli – uznał Pitala. – Tylko ta szmata po nich została.

– Zdechli, nie zdechli, za cholere tamtędy nie pójde – uparł się Halny. – Nie będziemy się też pchać w dół. Pójdziemy z lewej. W cieniu tego spalonego hotelu, ale tak żeby ominąć budynek sądu. Tam na pewno mieli dobre piwnice, może schrony. Coś wrednego mogło przeżyć. Więc przejdziemy pod hotelem. Ostrożnie. A potem w ogród botaniczny.

– W tę gęstwine? – zdumiał się Pitala. – Tam to dopiero może nas coś pożyć.

– W gąszcz nie wejdziemy. Pójdziemy wzdłuż. Na mapie jest tam ulica. Będzie można obejść rondo bokiem i przebić się do Rynku na skróty.

– Jak dla mnie to wszystko nadkładanie drogi – wtrącił się poirytowany Szurnięty. – Nie wiedziałem, że z ciebie taki tchórz, Halny!

– Jestem zwiadowcą – odparł żołnierz, składając mapę. – Z najlepszego oddziału zwiadowców Federacji. Wiesz, czemu tak długo żyliśmy, Szurnięty? Bo byliśmy pieprzonymi, ostrożnymi aż do przesady tchórzami. I jeśli tylko mogliśmy marnować czas, to go marnowaliśmy. Pójdziemy po mojemu!

„Po mojemu” oznaczało, jak się szybko okazało, że znaczną część drogi musieli pokonywać, czołgając się. Halny pierwszy podkrał się pod ruiny hotelu, masywnego ciemnego budynku ozdobionego resztkami czerwonych liter, z których najlepiej zachowały się opasłe „O”, teraz przekrzywione i opierające się o „T”. Marcinowi nie podobała się ta czerwień. W Federacji wiązała się zwykle z zagrożeniem, ale i na bezdrożach robale o czerwonych odwłokach najczęściej okazywały się trujące i jadowite. Piętaszek omijał je z daleka, a Marcin szybko nauczył się brać z niego przykład. Na murach budynku, u podnóża i po bokach jasnych, miejscami białych, a w centralnej części czarnych, siny bluszcz toczył cichą, powolną wojnę z jakąś nieznaną Marcinowi roślinnością. Ta wydawała się przyjmować kompletnie inną niż bluszcz strategię. Zamiast jednorodności stawiała na różnorodność. Wielobarwne kwiaty rozkwiatały wśród zielonych pnączy wgrzyżających się tak w ściany budynku, jak i w bluszcz. Gdziejgdzie wystawały białawe kolce wbijające się w przeciwnika tak bezwzględnie panującego nad Hutą, a tu wyraźnie przegrywającego.

Przyglądając się bujnej, urozmaiconej roślinności, Marcin zrozumiał, że wkraczają do innego świata.

– Nie zatrzymuj się! – ofuknął go Halny. – Tu nie jest bezpiecznie!

A niby gdzie było? Po tym jak zostali z Ewą zmuszeni do ucieczki z domu, który też okazał się niespodziewanie niebezpiecznym miejscem, Marcin nie zaznał już spokoju. Ani Federacja, ani Muzeum, ani nawet Kombinat nie potrafiły zapewnić bezpieczeństwa. Ani jemu, ani nikomu innemu. Podczas tułaczki wśród ruin Nowej Huty nauczył się jednego: bezdroża przynajmniej nie udawały, nie oferowały złudzeń. Na nich, by przetrwać, należało pozostawać czujnym bez przerwy.

Gdy zatrzymywał się prowadzący grupę Halny, zamierali wszyscy. Raz wykonał szereg znaków uniesioną dłonią i po chwili obejrzał się zirytowany, że nikt nie wysłuchał jego wydanych ustalonym w oddziale kodem rozkazów. Opuścił wtedy na chwilę głowę i Marcin zrozumiał, że nie on jeden czuł

się samotny. Halny, tak samo jak on, był ostatnim z grupy, straceńcem ze zniszczonego świata.

Poczuł przyływ sympatii do olbrzymiego żołnierza.

Ale cała uleciała, gdy Halny któryś już raz skłął ich wszystkich za coś, a potem narzucił takie tempo, że gdy nareszcie doczłgali się do krawędzi ulicy, Marcin miał już tylko ochotę skulić się i zasnąć. Niechby i na wieki.

Nie on jeden. Szurnięty dyszał ciężko i nawet Pitala przytulił twarz do ziemi.

– Dobra, minuta odpoczynku – zdecydował Halny. Maską ukrywała jego twarz, ale po głosie dało się poznać, że pewnie krzywił się z niesmakiem. – Kapitanie, niech pan mi poda tę lornetkę. Przyjrzymy się dżungli.

Dżungla! Marcin czytywał o niej i słyszał w opowieściach Pana Onufrego. Miała być niezwykłym, pięknym, ale zarazem niebezpiecznym miejscem. I na pewno nie znajdowała się w Krakowie, ale w dalekich, egzotycznych krajach, na odległych kontynentach, na które teraz nie można było się przedostać. Skąd w Krakowie dżungla?

A jednak... Gdy uniósł nieco głowę, zobaczył po drugiej stronie ulicy kłębowisko wybijające ponad wszelką miarę roślinności. Podobnie jak w dżungli, Marcin nigdy nie widział też oceanu, ale patrząc na poruszającą się powoli i dostojnie roślinną masę, przypomniał sobie o falach przemierzających nieskończone zbiorniki wodne, o jakich opowiadał mu Pan Onufry. Dżungla po drugiej stronie drogi, podobnie jak oceany z opowieści, zdawała się nie mieć końca. I podobnie jak on falowała, czy to od wiatru, czy też od jakiegoś ukrytego w niej tętna ożywiającego tego ogromnego, wielobarwnego potwora. Ze splełanych pnączy we wszystkich odcieniach zieleni wystrzeliwały kolorowe kwiaty rozkwitające na sekundę lub dwie i zaraz zamykające płatki i nurkujące na powrót pod osłonę kołyszących się miarowo łodyg. Przypominały kwiaty z hotelu, były jednak większe. I tamte nie poruszały się.

Czasem fragment dżungli jakby napręzał się, by po chwili wyrzucić z siebie białą chmurę składającą się z setek, a może tysięcy drobin unoszonych nawet najmniejszym powiewem

wiatru nad miasto. Marcin zrozumiał, że to zarodniki i że dżungla w ten sposób atakuje kolejne ulice, a może nawet dzielnice. Właśnie tak musiała przedostać się przez wciąż pokrytą asfaltem ulicę i przypuścić szturm na hotel.

– Są tam chyba jakieś robale – ocenił Halny. – Rośliny przecież nie poruszałyby się tak szybko. Niedobrze.

– Pieprzony ogród botaniczny, nie? – zaśmiał się ponuro Pitala. – Mieli tam nasiona i sadzonki z całego świata. I patrzcie, jak to wszystko wybijało.

– Rośliny mnie nie martwią – bagatelizował Halny. – Ale jeśli są tam robale... Na nie dobry jest tylko ogień. Musimy ominąć to gówno. Nie podchodzimy bliżej.

– Jeśli żyją w tej dżungli, to pewnie są roślinożerne – wymyślił Marcin. – Nie powinny być dla nas groźne.

– Na naszym pieprzonym świecie każdy jeden robal, podobnie jak każdy jeden człowiek, jest wszystkożerny – nie zgodził się Halny. – I jeszcze jedno, młody. Jeśli chcesz przeżyć, zawsze zakładaj najgorsze. Myślisz, że ta twoja Ewa mogła pchać się w ten gąszcz? Bo mnie się zdaje, że pewnie też wolą ją ominąć. Pytanie, czy poszła prawą czy lewą stroną.

– Gdyby chciała dojść do pytajnika, poszłaby raczej lewą.

– A widziała tę mapę?

– Raz. Może dwa. Nie wiem, co zapamiętała.

– Czyli nic nie wiemy. Niech to szlag. Najszybciej byłoby prosto, tą ulicą zaznaczoną na mapie. Ale to blisko dżungli. Druga krótka trasa to ta po prawej. Ta po lewej jest najdłuższa. No dobra. Spróbujemy prawą. Zobaczymy na ulicę blisko ogrodu. Może da się nią przejść. Robimy tak: Szurnięty biegiesz z Marcinem. Przebiegacie jeden pas asfaltu i przypadacie na pasie zieleni pośrodku. Tam czekacie na nas. Drugi leci Pitala ze swoimi, na końcu ja. Będę was ubezpieczał. – Zdjął przerzuconą przez plecy kuszę. – No, czekajcie, aż załaduję. Biegiem na mój znak. Teraz!

Wcale nie było tak łatwo zerwać się z miejsca i zmusić znużone nogi do kolejnego wysiłku, ale Marcin dał radę. Piętaszek nie wysforował się przed niego, lecz biegł równo z chłopcem, choć zazwyczaj podczas ich samotnej wędrowki nie

trzymał się blisko Marcina przez cały czas, ale krążył wokół niego, wypatrując niebezpieczeństwa bądź zdobyczy.

Szurnięty, widać mniej wprawiony w bieganiu, zostawał nieco z tyłu, ale Marcin nie zwalniał, by na niego zaczekać. Nauczył się już, że należy szanować rytm biegu. Przeskoczył nad korzeniem rozrywającym asfalt od spodu. Dżungla przypuszczała i podziemne ataki. Ciekawe, co się tam kryło pod spodem. Nowa Huta w znacznej części była zryta tunelami wykopywanymi w ciągu dwóch dekad przez tych, którym udało się ocaleć dzięki schronom. A jak było w Krakowie? Władze Federacji utrzymywały, że w mieście udało się przeżyć nielicznym, bo nie było się gdzie chować z braku schronów. Sądzone, że w Krakowie żyły wyłącznie potwory. Jednak z mapy Muzeum wynikało, że nie jest to tak oczywiste.

Chłopak pokonał połowę ulicy i zgodnie z rozkazem przypadł do zielonego pasa przecinającego drogę na dwie części. Wydawało mu się, że trawa cofnęła się przed nim, ale to musiało być złudzenie.

Po kilku sekundach ciężko upadł przy nim Szurnięty. Marcinowi znów wydało się, że pędy trawy spróbowały uniknąć ciężaru przegniatającego je człowieka. Ale jak? Zresztą nie udawało im się. Nie potrafiły się przemieszczać, jedynie próbowały uchylać. Może to efekt powiewu, jaki tworzy upadający na ziemię człowiek?

– To jest życie, co? – wysapał Stach. – Na pewno nie dla mnie. Ale Halny cieszy się jak dziecko, nie?

Na Pitalę musieli trochę poczekać, bo niuchacz ociągał się, opierał. Wreszcie kapitan zaciągnął go siłą, ale przez to nie tyle biegł, ile szedł, walcząc z oporem dwóch mężczyzn. „Cieszący się jak dziecko” Halny kłął w żywy kamień, gdy wreszcie dotarł do pozostałych.

– Jeśli mamy w taki sposób pokonywać otwarte przestrzenie, to możemy od razu upaść na własne noże – warczał. – Kapitanie, nie potrafi pan zapanować nad swoimi ludźmi?

– Niuchacz coś czuje. Boi się.

– No. I ja też. Dlatego staram się biegać szybciej. Powiedz mi pan coś o prawie albo kop go pan w dupę, ale nie guzdrzcie mi

się więcej. Albo idźcie własną drogą. Kurwa, szary jest sto razy bardziej zdyscyplinowany niż ci pańscy żołnierze!

– Teraz biegniemy na drugą stronę? – zapytał prędko Marcin, by zapobiec kłótni.

– Jeszcze nie. Przeczłołgamy się trochę środkiem. Chcę zobaczyć, czy coś na nas zareaguje. Jak biegliście, nic się szczególnego w ogrodzie nie działo. Ale teraz jesteśmy bliżej. Jakby co, wciąż mamy szansę uciec. Więc teraz człołgamy się jakieś dziesięć metrów ku rondu, potem bieg skosem w lewo. Tam powinna być ta ulica. I zobaczymy, co się stanie. Pierwszy Pitala ze swoimi niedojdami. Potem Marcin, szary i Szurnięty. Ja znowu ubezpieczam.

Pitala odwrócił schowaną pod maską i kapturem twarz ku Halnemu i przyglądał mu się długo, ale nie powiedział nic. Mimo to Marcin domyślał się, o czym musiał myśleć kapitan. Halny właśnie uznał, że są najmniej potrzebni w drużynie. Jeśli coś zaatakuje z dżungli, najpierw dopadnie ich. A jeśli zginą, pozostali jakoś przeboleją stratę.

Ruszyli, człołgając się ociężale, a potem na hasło Halnego Pitala i jego ludzie zerwali się do biegu. Może tym razem niuchacz z Mikołajem zrozumieli, że nie powinni badać granic cierpliwości wielkiego żołnierza, a może kapitan ich jakoś przekonał. Dość, że poruszali się prawie biegiem. Zatrzymali się pomiędzy rondem a czymś, co wyglądało jak wejście do jaskini. Dżungla wyrastała tam nad ulicę, długimi konarami obrośniętymi dziesiątkami rozmaitych roślin, sięgając ku dachom ruin pod drugiej stronie wąskiej, ginącej w cieniu uliczki.

Marcin nie odrywał wzroku od zieleni skłębionej po drugiej stronie ulicy. Teraz wydawała mu się pełna ruchu. Mniejsze pędy sunęły po pnączach w górę, ku słońcu, z chyżością przekraczającą możliwości normalnych, znanych Marciniowi roślin. Na jego oczach jasnozielony cieniutki pęd wychynał spod ziemi, owinał się wokół młodego drzewka, wspiał po jego pniu w górę i zniknął w gąszczu gałęzi, w koronach drzew splełanych tak mocno, że może nawet zrastających się ze sobą.

– Nie śpij! – ofuknął go Halny. – Naprzód!

Szurnięty już biegł ile sił w krótkich nogach. Marcin dogonił go i wyprzedził bez trudu. Dopadł Pitale, dziwnie milczącego, przygarbionego, wyraźnie zaniepokojonego.

– Cholernie mi się to nie podoba – oznajmił kapitan.

Niuchacz i Mikołaj tulili się do siebie, siedząc na ziemi. Drzeli. Piętaszek też przysunął się do Marcina i zawarczał.

Przed nimi dżungla odsłaniała ulicę, którą znaleźli na planie. Nie prezentowała się zachęcająco. Dżungla przykrywała ją niczym dach, szczelnie, nie dopuszczając promieni słońca, które rośliny spięły chciwie, walcząc między sobą o to, która wespnie się wyżej. Po lewej stronie ściana drzew drgała niczym żywa, po prawej kruszały stare mury. Ulica bardziej przypominała podziemny korytarz niż nowohuckie trakty. Były od niej wilgoć i słodkawa woń rozkładu.

– Za żadną cholerę tam nie wejść – wyraził zdanie wszystkich Szurnięty. – Żeby nie wiem co.

– Nie będziesz musiał – zdecydował Halny. Lustrował ulicę przez lornetkę. – Równie dobrze moglibyśmy się czołgać korytarzami pod ziemią. Nawet jeśli nie ma tam robali, nie ufam temu zielsku. Rusza się, choć nie ma wiatru. Obejdziemy to gównem z prawej.

Przeszli między płytami chodnika, których ostre krawędzie unosiły się pod różnymi kątami wypychane od spodu przez wyrastające ku słońcu rośliny i korzenie. Tu nie dało się przemieszczać szybko. Musieli stawiać kroki ostrożnie, bo każda pomyłka mogła prowadzić do wywrotki albo zwichnięcia stopy. Nie pierwszy raz Marcinowi przyszło do głowy, że miejsce ludzkości było teraz pod ziemią. Korytarze może były i ciasne, i gorące, ale zapewniały bezpieczeństwo. Dało się nimi szybko poruszać i łatwo dostosowywać do potrzeb ludzi. I można je było rozbudowywać bez końca. Nie trzeba się było przejmować, czy coś nie zaatakuje człowieka z nieba, czy nie pożrą go sfory nocnych łowców ani czy rośliny nie potrafią zrobić mu krzywdy.

Nie pierwszy raz tęsknił za półmrokiem i ograniczeniami podziemi. Przytłaczająca obecność nieba wciąż konfundowała go. Gdy opuszczali schron z Ewą, panowała wiosna i chmury



prawie nie opuszczały nieba. Im bliżej było lata, tym częściej pokazywało się słońce. Jego światło oślepiło, jeśli nie nosiło się przyciemnianych gogli. Marcin nie wiedział, czy jego promienie poparzyłyby go. Na wszelki wypadek nie opuszczał kryjówek, jeśli nie osłonił wcześniej całego ciała. Wprawdzie Piętaszek zdawał się nie bać słońca, ale kto wie, jak bardzo Pożoga odmieniła szarych? Nawet jeśli wywodzili się od ludzi, jak twierdzili niektórzy, niewiele w nich już zostało z ludzkiego dziedzictwa.

– Czekaście! – Halny, który znów wysunął się na czoło, uniósł rękę. – Coś tu jest!

Stali u początku nowej szerokiej drogi wyrastającej z otchłani ronda. Kiedyś musiała przypominać wielkością nowohuckie trakty, ale teraz zachłanna dżungla pożarła wszystkie domy po jej lewej stronie i wdzierала się już na asfalt. Tu nie traktowała domów równie dobrze jak w ciasnej ciemnej uliczce, którą zamierzali powędrować na skróty. Tamte z jakichś powodów wciąż znajdowały się we względnie niezłym stanie. Tutaj rośliny wgryzały się w mury, wypychały z nich cegły i metr po metrze niszczyły budynki. W efekcie lewą stronę drogi pokrywał gruz przemieszany ze zwiadowcami żarłocznej dżungli. Po prawej domy jeszcze trzymały się niezłe, ale wcześniej musiały paść ofiarą pożarów i grabieżców, bo powyrywano z nich drzwi i framugi okien, a część dachów zapadła się po tym, jak spłonęły stropy i fragmenty ścian.

– Jeśli będziemy trzymać się prawej, cholerne zielsko będzie od nas z daleka – zasugerował Pitala.

– Nie jestem tego taki pewny – mruknął Halny podając mu lornetkę. – Popatrz tam, na to, co wygląda jak małe drzewka.

– Jezu! – stęknął po chwili Pitala. – To ludzie?

– Niznerowcy. Chyba. Zobacz, tam zachował się strzęp kombinezonu. Ma chyba ten sam symbol co flaga na Szkieletorze.

– O co chodzi? – zaciekawił się Marcin. – Też chcę zobaczyć!

– Zaufaj mi, nie chcesz – pokręcił głową Pitala, ale oddał chłopcu lornetkę.

Marcin potrzebował chwili, by odnaleźć „drzewka”, o których

mówili. Rosły kilkadziesiąt metrów dalej, bliżej lewej strony drogi, nieregularnie porozrzucane po całej ulicy. Było ich zaledwie kilka, Marcin naliczył osiem. Poprawił ostrość, by przyrzeć się im dokładniej, i aż krzyknął z odrazy, gdy osiągnął sukces.

Natychmiast oddał lornetkę Halnemu.

Ludzie, a właściwie już tylko szkielety w strzępach odzieży. Umarli na stojąco, gdy rośliny dopadły ich i pożarły, wrastając w asfalt, a może w skrawki gleby wystające z pęknięć w nim. Wykrzywieni w przerażających pozycjach ludzie zamarli w nich na wieki, podtrzymywani przez pnącza i pędy, które musiały rosnąć w nich, błyskawicznie pożerając ciała. Związały teraz kości niczym karykatura ścięgien i mięśni i dzięki temu utrzymywały się, wzrastając wciąż wyżej i wyżej, w wielkich przestrzeniach światła, z dala od walczących o podobne luksusy roślin splełanych w kłębowisku dżungli.

– To ciągnie się dalej. Król i jego horda chyba przechodzili tędy – Halny znów przyglądał się ulicy. – A ci Niznerowcy może byli z nimi, a może przed nimi uciekali. Musiały ich dopaść te zarodniki, które dżungla wypierdza na białe. Myślę, że mieliśmy dotąd cholernie dużo szczęścia. A teraz stąd spieprzamy. Obejdziemy to gównem od lewej, choćbyśmy mieli przekroczyć rzekę.

– Może już nie trzeba? Może dżungla pożarła Ewę, tak jak tych tam? – Marcin nie wiedział, czy bardziej się martwi, czy cieszy na myśl o śmierci siostry. Kochał ją, ale od dawna nie była już sobą.

– Złego diabli nie biorą, młody. A ja nie chcę ryzykować. Spadamy.

Tym razem się nie czołgali, nie poruszali skokami i nie sprawdzali terenu przed sobą, nim się do niego zbliżyli. Po prostu biegli, aż znaleźli się po drugiej stronie ulicy. Nie zatrzymali się i tam, ale gnali przed siebie, póki nie oddalili się od hotelu i nie znaleźli na terenie, gdzie trawa była wprawdzie niepokojąco zielona, ale gdzie ruiny domów porastały swojskie sine bluszcze i mchy. Tam przystanąli, by odpocząć.

– Na drugi raz niech pan ufa przecuciom niuchacza –

zagadał Pitala. – Czuł, że coś jest nie tak.

– Dobra, grunt, że mamy to już za sobą – zbagatelizował go machnięciem ręki Szurnięty.

I wtedy okazało się, że to nie białe zarodniki niesione wiatrem zabiły Niznerowców.

Najpierw usłyszeli huk – stłumiony, głuchy, jakby czknięcie olbrzyma. Pierwszy, drugi, trzeci. Odruchowo przypadli do ziemi. Pitala wyciągnął swój nowy pistolet, Halny szarpnął kuszą w kierunku ogrodu, a Marcin sięgnął po łuk.

Wtedy zaczęły spadać wokół nich szyszki.

A każda eksplodowała nasionami.

## Rozdział 15

– Suka chce nas dostać! – wrzasnęła Szurnięty. – W nogi!

Nasiona wystrzeliwały z szyszek, ledwie te uderzały o ziemię. Gdy trafiały w asfalt albo we fragmenty chodnika, uderzenie było mocniejsze i wyrzucało zarodniki wyżej i dalej. Jeśli uderzały o ziemię, wirujące w locie szyszki wkręcały się w nią niczym świdry i wyrzucały nasiona prosto w glebę, ale i tuż nad nią.

Te w ziemi nie otrzymywały wystarczająco dużo pokarmu, by wzrastać na tyle szybko, żeby zagrozić ludziom.

Gorzej, jeśli trafiły w człowieka.

Nagle niuchacz zaczął wrzeszczeć jak opętany. Chwycił się za szyję, zrzucił otaczającą ją chustę. Znow wrzasnął, bo odeszła z kawałkiem skóry. Ta została pożarta przez zarodniki, jeszcze nim dotknęła ziemi. Niuchacz wrzeszczał dalej, nieludzko, rozpaczliwie. Wbił pazury w ciało i zaczął wydzierać je sobie kawałkami.

Za późno.

– Zabieeerzcie mnie! – rozkrzyczał się Mikołaj. – O Jeeeezuuuuu! Zabierzcie mnie od nieeeego!

Krwawe pędy wystrzeliły z szyi wciąż wrzeszczącego niuchacza. Wgryzły się zaraz w jego ramiona, rozsadzając ubranie tam, gdzie im przeszkadzało. Jeszcze biegł, ciągnąc za sobą opierającego się i wyjącego jak potępieniec Mikołaja, ale rośliny już wyrastały z jego brzucha i gnały pędami ku nogom, by przywiązać ofiarę do ziemi. Pierwsze gałązki, cienkie jeszcze niczym ludzkie włosy, przebijały skórę, przedzierając się ku słońcu, i zaraz pęczniały, pochłaniając krew i mięso. Jeden z pędów przebił się przez oko niuchacza. Wystrzelił, wyrrywając je z oczodołu, ciągnąc za sobą krwawą tkankę. Wyrastał prosto ze źrenicy, ale ta bladła z sekundy na sekundę. Pożerane od środka oko schło, ciemniało, wreszcie zmalowało tak, że

przypominało tylko pociemniały, skarłały owoc.

Niuchacz już nie był w stanie iść. Postawił prawą stopę na asfalcie, w miejscu gdzie przez pęknięcie przebijała się trawa. Już jej nie zdołał oderwać. Korzenie przebiły podeszwę i skórę buta, wgryzły się w glebę.

Pitala zareagował najszybciej ze wszystkich. Wycelował w niuchacza i wystrzelił, roztrzaskując mu głowę i zabijając na miejscu. Huk ogłuszył wszystkich, a dym przesłonił im na moment widok. Pitala doskoczył do Mikołaja i szybko przeciął łączącą go z niuchaczem smycz. Potem pociągnął go za sobą i pognali za pozostałymi. Tylko Marcin oglądał się, by sprawdzić, czy nie potrzebowali pomocy. Halny i Szurnięty kiedy zorientowali się, że nasiona dopadły niuchacza, jedynie przyspieszyli. Piętaszek tym razem nie pozostał przy swoim przyjacielu.

Dżungla ostrzelała ich jeszcze trzy razy, nim dobiegli do ronda Grzegórzeckiego i skryli się za ruinami pobudowanych tam bloków. Nie potrafiła dobrze celować i dzięki temu przeżyli.

– Suka! Suka! Suka! – wołał Szurnięty, dokładnie sprawdzając, czy któreś z nasion nie zaplątało się w jego ubranie. – Chciała mnie zabić! Pożreć! Suka! Suka!

– Zamknij się! Nie wiemy, czy coś tu nie mieszka! – ryknął na niego Halny, sprawdzając swój kombinezon równie gorączkowo jak pozostali.

– Tu nic, kurwa, nie mieszka! – wydarł się na niego Szurnięty.

– Tu wszystko się, kurwa, zmienia w pieprzone drzewa!

Mikołaj szlochał oparty o ścianę. Pitala musiał szukać na nim nasion sam. Znalazł jedno, zaplątane w fałdę na nogawce. Zawołał Halnego. Podniósł je na szerokim ostrzu noża i trzymał daleko od siebie, ostrożnie, spodziewając się, że lada chwila samo skoczy na niego.

– Spalmy cholerstwo – zaproponował Halny.

– Czekaj, nie! – powstrzymał go Pitala. – Zobacz, jak ma do czynienia z materią nieożywioną, to jest niegroźne.

– I co? Chcesz je zabrać na pamiątkę?

– Może się przydać.

– Do czego? Chcesz zasadzić ogródek ludożerczych krzaków?

– Wszystko bywa przydatne. Daj mi coś. Pudełko. Z metalu albo plastiku. Broń Boże z drewna.

Halny, kręcąc głową i klnąc pod nosem, wyjął z plecaka małe metalowe pudełko. Wysypał z niego tytoń na kartkę papieru, zwinął ją i wsadził do kieszeni. Pudełko podsunął Pitali.

– Wsadź to tutaj. Jesteś bardziej pieprznijęty od Szurniętego, wiesz?

– Broń to broń.

– To nie jest broń. To jest pieprzona bomba atomowa! Jebana ostateczna zagłada!

– Nie. Nasi naukowcy będą mogli coś z tym zrobić. Na przykład dowiedzieć się, jak to niszczyć. Szukamy dalej?

Szukali. Dobre pół godziny sprawdzali siebie nawzajem, nim upewnili się, że znalezione przez Pitalę nasionko było jedynym. Wtedy chcieli przysiąść, odpocząć, ale Halny nie pozwolił im na to.

– Nie wiemy, gdzie doszliśmy. Najpierw przeszukamy ten blok, klatka po klatce. Razem. Żadnego rozdzielania się. Jak będzie bezpiecznie, rozbijemy tu obóz.

Nikt nie zaprotestował, choć pozostało jeszcze sporo czasu do zmierzchu. Nie mieli dziś siły dalej wędrować.

Ostatecznie ulokowali się na ostatnim piętrze w całkiem niezłe zachowanym mieszkaniu, z którego mogli w razie potrzeby ewakuować się przez okno po linie, którą Halny przywiązał zapobiegawczo do kaloryfera i zostawił na podłodze obok parapetu.

Okna zasłonili przegniłymi resztkami dywanu z największego pokoju i podparli doskonale zachowanym regalem.

Marcin nie mógł się nadziwić temu całemu bogactwu. W kuchni znalazł niemal nienaruszony rdzą zlewozmywak, a nawet talerze. Obracał jeden z nich w rękach zachwycony gładkością porcelany.

– Tutaj nie mieli schronów – wyjaśnił mu Pitala. – Po prostu powymierali. Ogień Pożogi też nie dotarł tu z taką siłą jak do nas. Prawie raj, co, mały?

– Prawie raj – skinął głową Marcin. – Gdyby nie ta dżungla.

– Taaa. Przyjdzie tu, prędzej czy później. Ale chyba jeszcze nie

tej nocy.

– Żał panu niuchacza?

– Był wybrakowany. Dotknął umysłu Mikołaja po tym, jak ten był opanowany przez dziecko. I to go uszkodziło. Ledwie się do czegoś nadawał.

– Nie o tym mówiłem! Po tym jak pan go zabił, myślałem, że jest w panu coś z człowieka. Ale pan tylko ocenia, czy ktoś jest dla pana przydatny czy nie!

– Skracamy męki towarzyszom. Takie jest prawo Kombinatu, chłopcze. Nie zmarnowałem kuli z sentymentu. Jeśli chcesz, patrz na świat przez swoje różowe okulary. Ja spróbuję przeżyć.

Zdjął z kredensu ocalałą plastikową misę i wyszedł z kuchni, zostawiając Marcina samego z bogactwem minionego świata. Chłopak przyglądał się talerzowi pomalowanemu w truskawki i poziomki, po czym cisnął nim z całej siły o ścianę.

W pokoju Szurnięty rozpalil już ognisko i gotował na nim ten sam gulasz co zwykle. Halny stanął przy oknie, by w promieniach słońca wpadających przez odsłonięty jego fragment przyglądać się mapie. Mikołaj wciąż szlochał, a jednak nerwowy chichot nie przestawał wstrząsać jego ciałem. Piętaszek przysiadł naprzeciwko i przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nikt do nikogo się nie odzywał. Kolację również zjedli w milczeniu i dopiero potem Halny zapytał Pitale, czy jego zdaniem Mikołaj będzie się jeszcze do czegoś nadawał.

– Sam się zastanawiam – odparł kapitan. Zauważył, że Marcin przyglądał mu się wyzywająco i odwrócił wzrok. – To był kiedyś dobry żołnierz. Nie ma talentu niuchacza. Ale może nieść część naszych rzeczy. Przyda się. Co z tą mapą? Gapię się na nią kawał czasu.

– Nie wiem, czy możemy jej ufać – skrzywił się Halny. – Niby jest na niej zaznaczony ogród botaniczny, ale to zrobili jeszcze przed Pożogą. Ten muzealnik nie naniósł tu żadnej uwagi.

– Może nie wiedział, co tam się dzieje? – próbował bronić Kalickiego Marcin.

– Wiedział coś o Krakowie, a nie wiedział o ogrodzie?

– O Krakowie wiedział tyle, że namalował wielki znak zapytania – nie ustępował chłopak. – Mógł się tego dowiedzieć od jakiegoś uciekiniera. A o ogrodzie nie napisał nic, bo wszyscy jego zwiadowcy mogli ginąć. Jak... – urwał. – Jak ci od znaku psa.

– Niznerowcy?

– Oni. Dziwna nazwa.

– Znam dziwniejsze – wzruszył ramionami Halny. – „Faszyści” zostali nimi, bo tak nazwali ich komuniści, choć to banda pojebów czczących słońce. A sami komuniści... – zawiesił głos. – Tylko nazwa „kanibale” oddaje rzeczywistość. No, dość tego filozofowania. Pierwsza warta Szurnięty, potem Pitala, Marcin i ja. Spać. Jutro wyruszymy tak szybko, jak tylko się da.

Gdy posnęli pozawijani w śpiwory wypchane szmatami, Szurnięty podszedł do stolika, na który Halny odłożył mapę, przysiadł przy nim na całkiem porządnym krześle, które miało wprawdzie tylko trzy nogi, ale było stabilne. Zapalił świeczkę, rozłożył mapę. Przedstawiała plan miasta tak ogromnego, że trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś starczało ludzi, by je zapełnić. W wielu miejscach nic nie było widać, mapa była bowiem porządnie poprzecierana na zagięciach. Gdzie indziej notatki robione grubym ołówkiem zakryły stare, wydrukowane nazwy. Większości znaków i symboli Szurnięty nie był w stanie nawet zrozumieć. A jednak przesuwiał palcami po labiryntach niekończących się ulic tworzących gęstą sieć, w której zawsze było dokąd skręcić, by rozpocząć nową podróż.

Poczuł lęk. Nie mógłby chyba żyć w takim świecie. Ogromnym, pełnym ludzi i tych wszystkich ulic, którymi wędrowka nigdy nie dobiegała końca, bo każdy zakręt prowadził do nowego rozwidlenia. Nagle zapragnął zbiec do jakiejś piwnicy, odnaleźć w niej wejście do schronu i dalej, do tuneli wykopanych pod nim po Pożodze. Zakopać się pod ziemią, ciepłą, czułą, ciemną. Znów zostać samotnym, wolnym od zobowiązań innych ludzi.

– Mógłbym ich wszystkich zabić, gdy śpią – szepnął do mapy.

– Najpierw Halnego, bo ma czujny sen i mogłoby go obudzić



mordowanie innych. Potem Pitalę, a na końcu gówniarza. Mógłbym ich zabić i odzyskać wolność. Ale...

Gwałtownie odwrócił głowę, bo poczuł się nagle, jakby ktoś przyglądał mu się od tyłu. Napotkał wzrok Mikołaja, wpatrującego się weń szeroko otwartymi, trzeźwymi oczyma.

– Słyszałeś? Tak tylko do siebie gadałem, żartowałem. Takie bredzenie zmęczonego człowieka.

Mikołaj uśmiechnął się szeroko i skinął głową. Położył palec na ustach, mrugnął do Szurniętego, jakby właśnie połączył ich jakiś znany tylko im dwóm dowcip, a potem odwrócił się do niego plecami i położył spać.

Sojusznik? Wróg? Wariat?

– Dobrze, że nic o nim nie powiedziałem do ciebie, mapo – teraz Szurnięty szeptał jeszcze ciszej.

Pragnienie, by uwolnić się od towarzyszy, minęło, tak jak przyszło – niespodziewanie. Szurnięty złożył mapę, przeciągnął się. Podszedł do kaloryfera i sprawdził węzły mocujące do niego linę. Wyjrzał ostrożnie przez okno. Nic, cisza, żadnych hałasów czy choćby drobnych dźwięków, które świadczyłyby o tym, że coś tu żyło. Być może każde, nawet najmniejsze, stworzenie, jakie ośmielało się zapuszczać w te okolice, spadała dżungla?

– Pozostaną po nas tylko kwiaty – oznajmił śpiącym Stach. – Mięsożerne, zdradzieckie skurwysyny o miękkich, bajecznie kolorowych płatkach. Będą pachnieć słodko.

Bardzo mu się spodobało, że wpadł w taki poetycki nastrój. Do końca warty układał wiersze i starał się je zapamiętać, by podyktować je dzieciakowi do zapisania.

Wszystkie traktowały o Ninel, śmierci i Ziemi pokrytej ludożerczymi roślinami. Gdy wreszcie zasnął, śnił o nich. Lecz kiedy się obudził, nie pamiętał ani słowa z tej pięknej poezji. Rozżłoszczony, przypalił gulasz i skłął Pitalę, który odważył się zwrócić mu na to uwagę. Pożałował, że nie zabił ich wszystkich we śnie.

Może następnym razem nie popełni tego błędu.

## Rozdział 16

Marcin uważał, że nauczył się czytać w ludziach. Przyglądał się swoim towarzyszom podróży i starał się ich oceniać. Tak na wszelki wypadek, bo przecież ktoś mógłby okazać się niebezpieczny. Szurniętego Stacha skreślił z listy zagrożeń od razu. Facet był najserdeczniejszy z całej grupy i wyraźnie zależało mu na Marcinie. Trzymał się blisko chłopaka, każdą wolną chwilę poświęcając na opowiadanie mu o Ninel. Historia jego wielkiej miłości do komunistycznej żołnierki dodatkowo wzruszała Marcina, choć dziwiło go trochę, że Ninel nic nie wspomniała o Szurniętym, gdy ją poznał. Z drugiej strony, nie mieli wtedy czasu na romantyczne rozmowy.

Nie wiedział, jak oceniać Halnego. Z początku uznał, że to taki duch, mężczyzna pokroju Wesołego: silny, sprawny, dysponujący olbrzymią wiedzą o życiu w ruinach. Ale w Halnym było coś jeszcze, co czasem można było dostrzec, gdy żołnierz siadał, by zjeść posiłek, zawsze w pewnym oddaleniu od grupy. Gdy czasem patrzył na innych jak na obcych mu ludzi, gdy przerywał w pół słowa, jakby chciał odezwać się do kogoś innego. Ostatecznie Marcin uświadomił sobie, że Halny nie przypomina mu Wesołego, lecz innego żołnierza Federacji, majora Szramę. Wiecznie czujnego, wiecznie ponurego i również sprawiającego wrażenie nieco szalonego.

Z Mikołajem Marcin nie wiedział, co począć. Ten był całkowicie zwariowany, ale po śmierci niuchacza przycichł. Przestał nerwowo chichotać i patrzył jakoś tak normalniej. Czy mógł stanowić zagrożenie, Marcin nie wiedział. Pewnie mógł. Ale wydawał się całkowicie bezwolny. Potulnie dał się obładować górą sprzętu, gdy rano wyruszyli z tego luksusowego mieszkania, w którym spokojnie spędzili noc. Pitala, numer jeden na liście zagrożeń Marcina, zabrał stamtąd wszystko, co tylko dało się unieść. Nawet Szurnięty nie poświęcił szabrowi

tyle uwagi co on, choć też uważnie przeglądał ocalałe sztuce i zawłaszczył dla siebie niewielką skrzynkę z narzędziami znaną pod zlewozmywakiem.

Marcin nie miał czasu, by towarzyszyć im w poszukiwaniu łupów. Wolał się wybrać z Halnym do piwnic, by sprawdzić, czy ktoś mimo wszystko nie wykopał pod nimi tuneli. Po doświadczeniach z dżunglą nie mieli ochoty dłużej wędrować po powierzchni. Może ludzie przed Pożogą woleli tak żyć, ale ci, którzy przetrwali zagładę, przywykli do życia pod ziemią. Wielkie przestrzenie i widok nieba napawały ich niepokojem.

Ale nie znaleźli żadnych bezpiecznych ścieżek. Zawiedzeni, wrócili do mieszkania, gdzie reszta czekała już na nich spakowana. Halny znów rozłożył mapę.

– Mamy całkiem blisko do tego znaku zapytania – ocenił. – Musimy tylko przejść ulicą albo między blokami do placu tutaj. Nazywa się Hala Targowa. Za placem odbijemy w prawo. Od głównej ulicy wolałbym się trzymać z daleka. Będziemy tam bardziej widoczni, no i będziemy bliżej cholernej dżungli.

– Idąc między blokami, nadłożymy drogi – zwrócił uwagę Pitala.

– Trochę. Niewiele. Nie wiemy, co nas tu czeka, ale to miejsce wygląda na wymarłe. Nawet robali nie słyszałem w nocy. Żadnych nocnych. Cokolwiek się tu stało, było gorsze niż u nas.

Ruszyli więc między blokami, szarymi budynkami porośniętymi mchem i znacznie mizerniejszym niż w Hucie sinym bluszczem. Gdzieniedzie napotykali kępki wesołej, zdrowej zieleni. Te, na wszelki wypadek, omijali szerokim łukiem, czasem chowając się przed nimi, obchodzili kolejne ruiny.

Architektura Krakowa zaskoczyła Marcina. Wszystko było tu niższe, a nawet mniej masywne niż budynki w Hucie. Bloki, choć mniej uszkodzone od tych na terenach Federacji, wydawały się też Marcinowi brzydsze. Nikt nie dbał tu o jakieś zdobienia, o próbę uatrakcyjnienia prostych, nudnych brył. Lepiej wyglądały tylko starsze, za to znacznie mniejsze kamienice. W Hucie też większość budynków wznoszono w podobny, jednak nie tak monotony sposób.

Poruszali się powoli. Halny kazał wszystkim przypadać do ziemi, ilekroć tylko coś wzbudzało jego niepokój, czyli stanowczo zbyt często, zdaniem Marcina. Nawet Piętaszek wydawał się rozbawiony przesadną ostrożnością żołnierza. Nikt jednak nie protestował. Zbyt dobrze pamiętali, co stało się poprzedniego dnia. Możliwe, że Halny czuł się winny śmierci niuchacza. To on prowadził grupę i uparł się, by sprawdzić ulicę wiodącą przez dżunglę.

Pokonywali biegiem każdą ulicę, na jaką się natykali. Wszystkie kolejne okazywały się szokująco wąskie. Prawie zanikały w cieniu popadających w ruinę bloków i porastającego wszystko bluszczu, wspinającego się tak po murach, jak i po pniach drzew. Tak, drzew! Bo tutaj były drzewa, stare, przedwojenne, takie, jakie Marcin widział dotąd tylko na fotografiach. Gdy spostrzegli pierwsze, Halny wydał oczywiście rozkaz: „padnij!”. Ominęli je z daleka, ale zaraz nadziali się na następne. Przez chwilę wąpili, czy droga przez osiedle okaże się w ogóle możliwa.

– Nie ma szyszek. Chyba – Halny dokładnie lustrował drzewo przez lornetkę. – I nie porusza się. Dżungla cała się ruszała.

– Może ono nie jest takie jak tamte? Wygląda jak drzewo ze starych zdjęć – podpowiedział Marcin. – Ale one wszystkie splotęły albo zostały wycięte.

– Tutaj pożary były mniejsze – zastanowił się Halny. – A wycinać ich nie miał kto. Więc może rzeczywiście? Stare drzewo... Ale też mogło zmutować.

– Mutują kolejne pokolenia – nie zgodził się Pitala. – Jeśli te drzewa pamiętają czasy przed wojną, mogły co najwyżej zachorować. A one znalazły tylko jakiś sposób na życie z bluszczem, bo ich nie pożera. Chyba.

Rzeczywiście, bluszcz porastał pnie drzew, ale nie dobierał się do ich koron.

Zaryzykowali więc drogę między nimi, choć najpierw wysłali na zwiad Mikołaja. Ten przeszedł całkiem blisko drzewa nieniepokojoy.

– Dżungla też nie zaatakowała od razu – Halny nie wydawał się usatysfakcjonowany. Mino to nakazał ruszyć dalej.

Z czasem drzewa spowszedniały Marcinowi, choć pierwszym nie potrafił się napatrzeć. Widać, nie ma takich cudów, do których człowiek nie byłby się zdolny przyzwyczaić, uznał.

Mylił się jednak, co wyszło na jaw, gdy dotarli do Hali Targowej.

Sama Hala okazała się niewysokim, lecz długim budynkiem, całkowicie opanowanym przez bluszcz i niepokojąco zieleniące krzewy. Jej zachodnia część zawałła się całkowicie, odsłaniając przestronne wejście wypełnione wyłącznie potrząskanymi półkami z jakiegoś lekkiego materiału. Nie weszli do środka, nie wydawało się, by znajdowało się tam coś wartościowego. Mimo to budziła w nich niepokój.

– Albo zamknęli to jeszcze przed wojną, albo ktoś ją jednak splądrował. – Halny podszedł do wyrwanego w ścianie otworu i długo przyglądał się wewnątrz. – Nie pamiętam, cholera, jak to było. Chyba działała przed Pożogą. Ale w takim razie, mogą tu żyć ludzie.

– Jesteśmy blisko znaku zapytania? – zapytał Pitala.

– Cholernie blisko. Skończyła się biba. Tu musimy być czujni.

– Jeszcze bardziej? – prychnął Szurnięty. – Chowaliśmy się, gdy wiatr zawiął.

– Szurnięty, nikt nie dotarł tak daleko. Kiedyś słyszałem o trzech duchach, ale traktowaliśmy to jak legendy. Jesteśmy w pieprzonym Krakowie, mieście strachu i śmierci. Stąd przyszedł ten wasz Król. Tu wszystko umiera. Nie robi to na tobie wrażenia?

– Wrażenie to na mnie robi, że my się tu kulimy na każdym kroku, a przed nami przeszła tędy samotna dziewczyna w ciąży. Nie robi to na tobie wrażenia, Halny?

– Ona ma dziecko – wtrącił się Pitala. – Nie znasz jego mocy, Szurnięty. Nie jest samotna i z pewnością nie jest bezbronna. Więc mnie nie zaimponowała. Za to Kraków... Kurde, byłem tu przed wojną. Niejeden raz. A nic nie pamiętam. Chyba uwierzyłem w te wszystkie legendy. Że rządzi tu smok, że ludzie wariują od muzyki szalonego trębacza z wieży i że nocą wychodzą na ulice umarli. Nie pamiętam już prawdziwego miasta, tylko to z legend.

Nie tracili więcej czasu na rozmowy, ruszyli dalej. Za zrujnowanym budynkiem znajdował się dziwny plac pełen potrzaskanych kiosków i niewielkich konstrukcji, których przeznaczenia Marcin nie potrafił odgadnąć. Stały gęsto obok siebie, składały się z metalowych prętów, z których zwisały resztki zadaszeń. Między prętami gnily resztki czegoś, co mogło być ołtarzami albo skrzyniami.

– Co to było? – zapytał Pitale.

– Targ.

Targ? Marcin pamiętał targi w Federacji. Ludzie rozkładali na ziemi przedmioty, którymi zamierzali pohandlować. Wszystko odbywało się nie w schronach, ale w korytarzach pomiędzy nimi. Było ciasno, niewygodnie. Co chwila ktoś podnosił krzyk, że został okradziony, a wtedy strażnicy wpadali między ściśniętych w półmroku ludzi i rozdawali razy na ślepo. Większe targi odbywały się tylko przy okazji Loterii. Do czego ludzie przed wojną potrzebowali tych wszystkich konstrukcji?

Nie zdążył o to zapytać, bo już je minęli. Wyszli na ulicę, nareszcie taką, do jakich Marcin przywykł w Hucie, której widok wydał mu się swojski – szeroką. Ale poza nią nic nie było jak w domu i Marcin po raz pierwszy zrozumiał, że naprawdę trafili do zupełnie innego świata. Nawet dżungla nie wydawała mu się tak egzotyczna; w końcu to normalne, że życie, któremu udało się przetrwać Pożogę, mutowało i dopasowywało się do drapieżnego świata. Dżungla mogła przytrafić się i w Hucie.

Ale to... Czuć tu było obcość.

Budynki po drugiej stronie nadal nie były wyższe od bloków z osiedla, na którym nocowali. Właściwie większość była nawet niższa, prócz jednego, wysokiego jak trzeba, strzeżonego po dwu stronach przez wieże, niegdyś zapewne zakończone strzelistymi dachami, z których pozostały już jednak tylko szkielety z rdzawymi plamami potrzaskanych dachówek. Ten jeden budynek mógł mierzyć się wielkością i urodą z potężnymi domami-twierdzami na terenach Federacji. Pozostałe wyglądały mizernie. Tym jednak, co przyciągnęło wzrok Marcina i zrobiło na nim największe wrażenie, był most przerzucony nad ulicą. Kamienny, o pięciu łukach, wspierał się

na czterech przęsłach i spinał ze sobą dwa brzegi wysokiego nasypu. Stalowoniebieskie wagony czegoś, co przypominało pancerny tramwaj, jednak było długie ponad wszelkie wyobrażenie, kładły się na moście łagodnie, by następnie opaść aż na ulicę, ciągle połączone. Przód tego dziwnego tramwaju uderzył o asfalt, strzaskał go swoim wydłużonym dziobem i stracił przy tym okna, z których teraz wychylały się szkielety w uniformach nieznanego Marcinowi kroju.

– Co to jest? – szepnął.

– Pociąg – wyjaśnił Halny. – Musiał się wykoleić, gdy spadła bomba. Te wagony pewnie są pełne trupów. Lepiej stąd chodźmy.

– A ten most?

– Wiadukt. Dawniej takie pociągi jeździły przez miasto. Tramwaje jeździły pod nimi. Widzisz ślady po szynach na środku ulicy?

– Ślady?

– Ano, ślady – skinął głową Halny. – Ktoś tu jednak żył. Zbierali surowce. Ciekawe, jak to przetapiali?

– Ale tramwaju... pociągu nie tknęli!

– Pewnie się bali. Zresztą ten wrak musi być cholernie niestabilny. Wejdiesz do wagonu, źle staniesz i wszystko, co jeszcze stoi na torach, zleci w przepaść, i skręcisz kark. Idziemy! No już, nie mamy całego dnia.

– Do miejsca oznaczonego pytajnikiem? – chciał się upewnić Szurnięty.

– Nie. Jeszcze nie. Skoro żyli tu ludzie, sprawdzimy piwnice. Może znajdziemy jakieś korytarze. Mam dość tego nieba i słońca, które się na mnie z niego gapi. No i tam, na dole, może żyć ktoś, kto powie nam coś ciekawego.

– Albo nas zabije – rzucił ponuro Pitala.

– Niech spróbuje – Halny pogładził ostrze topora. – Ludzie to nie pieprzone rośliny. Wiem, jak sobie z nimi radzić.

## Rozdział 17

Przejsście znaleźli już w trzeciej piwnicy. Zostało niewprawnie zamaskowane koślawą szafką ze zmurszałej sklejki, poobwieszaną płachtami szmat tak przegniłych, że rozpadały się pod byle dotknięciem.

– Już dawno nikt tędy nie przechodził. – Halny przeciągnął palcem po jednej z półek. Zebrał na nim sporą kołderkę kurzu. – Zatem nasza panna też musiała iść inną drogą. Ale wiemy, dokąd zmierza, co nie, młody?

– Na zamek.

– Tak, na Wawel, bo nie słyszałem o innym zamku w Krakowie. Dobra, wchodzimy.

Po prostu kopnął regał, a ten rozsypał się, odsłaniając wąski, ciemny korytarz.

– Ja pierwszy, za mną kto chce, byle Pitala ubezpieczał tyły – zdecydował Halny. – Lepiej nabij tę swoją armatę, kapitanie.

Z zapaloną lampą olejną w jednej ręce i toporem w drugiej zaczął się przeciskać przez stosunkowo wąski otwór. Zaklął, gdy znalazł się w środku. Było tu ciaśniej niż w korytarzach Federacji. Ciasno, ciemno, wilgotno. Ale nie śmierdziało trupem ani ludźmi niemyjącymi się od wieków. Ciekawe.

Brnął metr za metrem, schyłony i zły, ale uważny. Badał styliskiem topora drogę przed sobą. Pamiętał podobne korytarze z wojen, których celem było zjednoczenie nowohuckich schronów w jedną Federację. Ci z ocalałych, którzy nie rozumieli, że tylko silna, scentralizowana władza zdoła ocalić niedobitki ludzkości, lubili zastawiać pułapki w takich miejscach. Wykopywali doły, których dna nadziejali zaostrzonymi kijami, albo wydrążali wnęki, w których za fałszywą ścianą czaili się zabójcy. Federacja straciła wielu ludzi w takich zasadzkach. A Halny nie zamierzał już nikogo więcej tracić ze swojej nowej drużyny.



Z pewnym zdziwieniem odkrył, że zaczął traktować tę niedobraną zbieraninę jak oddział. Nie do końca swój, nie potrafił zaufać żadnemu z nich. Teraz zrozumiał, jak musiał czuć się Szrama z ludźmi przydzielonymi mu przez Indora. Nie wiadomo, czy groźniejsze były potencjalne pułapki mieszkańców Krakowa czy plany bandy świrów, których Halny miał teraz za plecami. Tego Pitale będzie musiał zabić, to pewna. Skurwiel nakręcił z pomocą Indora intrygę, w wyniku której zginął Szrama, a możliwe, że i reszta chłopaków. Jak na śmierć dowódcy zareaguje Mikołaj? Mniej niepokojący wydawał się Halnemu, kiedy bez przerwy chichotał przywiązany do niuchacza. Po śmierci tamtego zamilkł. Szurnięty to po prostu Szurnięty. Nie mrugnie okiem, jeśli nagle zaczną ginąć wszyscy naokoło. Ale po co lał z nimi, gdy dowiedział się o śmierci Ninel? I co to był za kit z tą wielką miłością? Babsko świata nie widziało poza Szramą. Może Szurniętego wysłała Farma Konopków? Wariat szukał wszelkich sposobów, by wkupić się w łaski tych, których uważał za krewniaków.

Zostawał Marcin. Dziwny dzieciak, niby naiwny. Ale potrafiący wytresować sobie szarego i przeżyć tam, gdzie zginęło tylu innych. Nie można go nie doceniać.

Zatrzymał się, bo coś go zaniepokoiło. Sprawdził grunt przed sobą. Ziemia i kamienie. Nic nowego. Co więc się stało...

– Czekaście – szepnął. – Zgaszę lampę.

Przykręcił knot, z początku delikatnie, ale ponieważ niewiele to zmieniało, stłumił płomień całkowicie. I wtedy, w oddali dostrzegł nagle światelko. Zamrugnął, przymknął oczy, policzył do pięciu, otworzył je. Począł, aż wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności. Tak, był tam. Pomarańczowy, drżący. To nie prześwit z zewnątrz, to ogień.

– Zostajecie tu – szepnął. – Wszyscy. Żeby żaden nawet nie drgnął. I nie odzywać się. Idę na zwiad. Jak nie wrócę, spieszcie stąd. Jeśli usłyszycie mój krzyk, też spieszcie. Jeśli ktoś obcy zagada do was z ciemności, to samo. No to módlcie się za mnie.

Ruszył teraz wolniej, starając się zachowywać jeszcze ciszej.

Nie patrzył w kierunku płomyka, by nie oszukać zmysłów, nie odwracać uwagi od ważniejszych spraw. Po omacku badał ściany i podłogę. Aż odkrył, że odszedł do rozwidlenia drogi. Płomyk, wciąż niewielki, miał po lewej stronie. Po prawej był wyłącznie mrok.

I właśnie z tych ciemności usłyszał cichy, zachrypnięty, ale chyba kobiecy głos:

– Uprzedzono nas, że ktoś przyjdzie. Nie obawiaj się, nieznajomy, nie chcemy walki. Gość w dom, Bóg w dom, jak mawiali nasi przodkowie. Ty nam nic nie zrobisz, to i my ci nic nie zrobimy. Masz ze sobą dotkniętych?

– Dotkniętych? – nie rozumiał.

– Tych, którzy dzielą się umysłami.

– Nie. Nie mam ze sobą nikogo takiego. Skąd zresztą...

– Obserwujemy was, odkąd weszliście na Halę. Tworzycie dziwną grupę. Zaciekawiliście nas.

„Nas”. Oczywiście. A myślał, że był uważny i ostrożny. Ale nie znał tu wszystkich możliwych kryjówek, to był obcy teren.

„Nie szukaj usprawiedliwień!” – zgaśnił się w myślach.

– Dobrze szedłeś korytarzem – pochwalił go głos. – Nadasz się. A i dla innych znajdziemy miejsce. Jeśli uznacie prawo.

Oho, Pitala się ucieszy.

## Rozdział 18

Wylądowali w jamie, która musiała być dziełem ludzkich rąk. Wydawało się, że powstała nie po Pożodze, lecz znacznie wcześniej. Gdy Halny zapewnił, że on i jego ludzie będą przestrzegać prawa, wewnątrz rozświetlono kilkunastoma pochodniami, dzięki czemu mogli mu się przyjrzeć dokładniej. Ściany zbudowano tu z kamiennych bloków, ociosanych w regularne sześciiany ściśle przylegające do siebie. Kończyły się one niewysokim łukowym sklepieniem, także z kamienia. Z jamy odchodził jeden korytarz także o kamiennych ścianach oraz kilka zwyczajnych, wykopanych w ziemi. Ich stropy podtrzymywały słupy z drewna i szyn.

Głos, jak się okazało, rzeczywiście należał do kobiety – zgarbionej, niemal całkowicie łysej staruchy, która strzępki swoich długich siwych włosów zaczesła na tył głowy. Nie miała na sobie porządnego kombinezonu, tylko strój z dziesiątek prymitywnie pozszywanych szmat. Towarzyszyły jej podobne postacie, odziane w łachmany w równie kiepskim stanie, wyłącznie kobiety. Wszystkie wyglądały na stare, ale dość dziarskie. Były na wpół ślepe – mrużyły oczy, podchodząc tak blisko, jak się dało, by przyjrzeć się twarzom przybyszów. Każda za pas sklecony z szmacianych strzępów miała wetknięty nóż, a choć niektóre ostrza sprawiały wrażenie, jakby miały się rozpaść przy próbie uderzenia, bez wątpienia babska potrafiły się nimi posługiwać.

Halny potoczył wzrokiem po kamiennych ścianach. Nie wyparzył w nich śladów ukrytych przejść, za którymi mogli się czaić mężczyźni.

– Przyglądasz się naszemu domowi – zauważyła starucha, która pierwsza przywitała Halnego. – Piękny, prawda? Piwnice pod piwnicami, pod piwnicami. Nasz dom.

– Piwnice?

– Kraków to starożytne miasto, młodzieńcze. Przed stu i dwustu laty kamienice budowano na starszych kamienicach, które zbudowano na pierwszych budynkach. Miasta kiedyś puchły, wiesz? Rosły cały czas w górę i nagle partery domów z szesnastego wieku stawały się piwnicami domów z wieku dziewiętnastego. A pod tymi z szesnastego były jeszcze starsze piwnice. Piwnice pod piwnicami pod piwnicami, chłopcze. Uratowały nas przed ogniem i przed tym, co przyszło po nim. Nawet Pan i Pani dotyku nie byli w stanie nas tu dopaść. Dlatego zeszła tu do nas teraz.

– Ewa? – wyrwał się Marcin. – Macie tu Ewę?

– Panią dotyku z jej bachorem – skinęła głową starucha. – Chciała nas dotknąć! – roześmiała się, a pozostałe kobiety zawtórowały jej ochryplym śmiechem. – Nas!

– Możemy ją zobaczyć?

– Och, nie. Was by dotknęła i zmarnowała. Nie, nie. Może kiedyś, jeśli zostanieie i nasycicie się mlekiem, by zdobyć odporność. Ale teraz... Czy nie jesteście głodni po podróży? Chodźcie, chodźcie na ucztę!

– Strzeżcie się – szepnął Pitala, gdy ruszyli za staruchą głównym kamiennym korytarzem. – Nie ufam im. Mogą nas otruć!

Babsko musiało mieć doskonały słuch, bo odwróciło głowę.

– Nie lękajcie się, goście! Gość w dom, Bóg w dom. My jesteśmy dobrzy chrześcijanie. Zadbamy o was, ugościmy. Jesteście zbyt cenni, by was zabijać.

Pitala nie wyglądał na przekonanego.

– Nie zabrały nam broni – przypomniał mu Halny. – To one mają się czego bać.

– Twoja pewność siebie... – warknął Pitala, ale umilkł.

Gdy dotarli do końca korytarza, starucha wspięła się na prowizoryczną drabinę, by poprowadzić gości piętro wyżej, Szurnięty wykorzystał okazję, przecisnął się do Halnego i stając na palcach, wyszeptał mu prosto do ucha:

– Nie ufaj im. Znam tylko jedno miejsce, w którym na korytarzach widać tylko jedną płęć. To Farma Konopków. Tam rządzą mężczyźni. Bo kobiety...

Urwał, bo starucha nachyliła się z góry, machając ku nim zachęcająco.

„...bo kobiety to tylko bydło rodne, trzymane w uwięzieniu” – dokończył za niego w myślach Halny.

„Jesteście cenni” – powiedziała starucha. Czyżby mieli się stać rozplodowcami? Postępujący spadek urodzin dzieci stanowił jeden z najważniejszych problemów Federacji. Przychodziło ich na świat coraz mniej, a nawet wśród tych, które się rodziły, wiele było chorych i zdeformowanych. Poziom śmiertelności wśród niemowląt, choć starano się otaczać je najtroskliwszą opieką, był zatrważający. Dlatego seks traktowano jak sprawę wagi państwowej. Halny, podobnie jak wszyscy mężczyźni i kobiety w odpowiednim wieku, musiał odbębniać miesięczny obowiązek rozplodowy. Nie wiedział, czy miał dzieci czy nie, bo tylko kontrolerzy populacji wiedzieli, kto z kim spał. Spółkującym zakładano maski, by utrudnić im rozpoznanie. Kobiety w ciąży zapędzono do ośrodków szpitalnych, a dzieci odbierano im tak szybko, jak tylko można było to uczynić bez sprowadzania niepotrzebnego zagrożenia dla ich zdrowia. Miały być wspólne, tak zdecydował rząd.

Czy podobnie było i tutaj? Zapewne tak. Halny poznał różne społeczności i wszystkie odnajdywały z grubsza podobne strategie przeżycia. Nawet kanibale nie odbiegali wcale tak daleko od powojennej normy. Byli jedynie bardziej zdesperowani od reszty. A może szybciej wpadli na to, że jedzenie ludzkiego mięsa to konieczność?

Pokonali jeszcze jedną drabinę i wąskie, strome schody. Prawdopodobnie znów znaleźli się na powierzchni albo blisko niej – nie byli pewni, bo w pomieszczeniu, do którego trafili, nie było okien. Wydawało się spore, większe od podziemnej komory, w której starucha okazywała ich swoim towarzyszkom. Znajdował się tu stół otoczony krzesłami i coś w rodzaju kamiennego pieca, w którym drewno jarzyło się pomarańczowo.

– Kiedyś parter, później piwnica! – zawołała starucha, jakby to wszystko tłumaczyło. – Zasiądźcie goście, jedzcie!

Na stole stały porcelanowe misy o postrzępionych

krawędziach. Pływały w nich gorące, parujące kawały mięsa, pachnące całkiem smakowicie, w każdym razie po doświadczeniu kuchni Szurniętego, składającej się wyłącznie z gulaszu, którego jedynymi zaletami były temperatura i wartości odżywcze.

– Prawdziwe cudenka! – zawołał Szurnięty, starając się dotknąć każdej misy i każdego talerza. – Bogactwo! Wspaniałości! Jakim cudem to przetrwało?

– Kraków nie został tak dotknięty zagładą jak wasza dzielnica – wyjaśniła starucha, nalewając chochlą zupę na talerz Halnego. – To miasto chronione magicznie. Sam Bóg go strzeże. Zawsze ocaleje. Nawet gdy przypadnie świat, Kraków wciąż będzie trwał. Wierzymy, że Bóg wybrał je na raj.

– Jest tu cudnie, ale mimo wszystko nie aż tak jak w raju – mlasnęła Szurnięty. – A gdzie wasi mężczyźni? Zerwali jabłko i wylecieli za karę?

Starucha zignorowała go. Nalała zupy i sobie, po czym usiadła u szczytu stołu.

– Pomódlmy się przed jedzeniem – rozkazała, konfudując tym Halnego, który już wpakował sobie dwie łyżki gorącej, gęstej zupy do ust. Miał nadzieję, że nie zjada właśnie zaginionych mężczyzn. – O Panie, który tak hojnie nas obdarzasz, pobłogosław ten posiłek, pobłogosław naszych gości i pobłogosław naszą wspólnotę, byśmy mogli rozkwitać w twoim blasku, teraz i po śmierci, i na wieki wieków ament.

– Ament! – odpowiedział chór kobiet, które weszły do sali i niepostrzeżenie zajęły miejsca przy ścianach, za plecami gości.

– Smacznego – starucha uśmiechnęła się serdecznie bezzębnymi ustami i zanurzyła łyżkę w zupie. – Jedzcie, póki gorące.

– Przepyszne! – zawołał Szurnięty pełnym zachwytem głosem. – Prawdziwe arcydzieło kulinarne! A co z tymi mężczyznami? To oni kucharzą?

– Nie rozmawiamy przy jedzeniu – zgasiła go starucha. – Siostry umiły nam posiłek śpiewem.

Umilanie nie ucieszyło gości, ponieważ stojący z tyłu chór nie tylko przypominał im o zagrożeniu czającym się za plecami, ale

też umiejętność śpiewu posiadał wystarczającą do tego, by wydawać z siebie dźwięki, które zebrani mogli usłyszeć, lecz nic więcej. Siostry zawodziły więc nierówno, z pogardą dla jednolitości rytmu i melodii, choć niewątpliwie każda wkładała w śpiew całe serce. Zdaniem Halnego wkładały go nawet zbyt wiele. Może gdyby śpiewały z nieco mniejszym zaangażowaniem, zdołałyby usłyszeć głosy inne niż tylko własne i zrozumieć, że z melodią dzieje się coś dziwnego. Niestety każda wydzierała się najgłośniejszym, jak potrafiła, zupełnie nie zwracając uwagi na pozostałe.

Jeśli chodziło o to, by zagłuszyć ewentualne pytania i uniemożliwić rozmowę, wyszło im to doskonale.

„Szczęśliwy mąż,

Który nie idzie za radą występnych,

Nie wchodzi na drogę grzeszników

I nie siada w kole szyderców,

Lecz ma upodobanie w Prawie Pana”<sup>2</sup>.

Zawodziły kobiety pięć wersów w kółko, aż do końca posiłku. Halny miał wrażenie, że zdołał się ich nauczyć na pamięć. Może to była tutejsza metoda prania mózgów?

---

<sup>2</sup> Księga Psalmów, Psalm 1.

## Rozdział 19

Ledwie ulokowano ich w jamie wyposażonej w cztery piętrowe łóżka, Szurnięty Stach oznajmił, że muszą stąd spieprzać, półki ich nie zarżnięto.

Pitala zgadzał się z nim w całej rozciągłości. A właściwie zgadzałby się, gdyby nie kwestia Ewy.

– Nie odejdziemy stąd bez dziewczyny – oświadczył. – W każdym razie ja nie odejdę.

– Spieprzać, oczywiście, z dziewczyną – zapewnił Szurnięty.

Gdybyż to było takie proste! Nie znali rozkładu korytarzy, nie mieli pojęcia, gdzie staruchy trzymają Ewę ani nawet czy już urodziła. Nie wiedzieli, gdzie mieszkają mężczyźni, o ile jacyś tu żyli. Może staruchy się nie rozmnażały? Wszystkie wyglądały na sędziwe, zapewne urodziły się jeszcze przed wojną. Może to była banda zakonnice? Znajdowali się blisko centrum, z czasów dzieciństwa Pitala pamiętał, że była to okolica pełna kościołów, starożytnych budowli o przepastnych przestrzeniach, zamieszkanych głównie przez duchy, i jedynie w niedzielę zaludniających się wiernymi. Wiele z nich należało do Kościoła, wraz z przylegającymi kamienicami, a czasem i ogrodami, do których wstęp był zakazany niewtajemniczonym. Coś musiało stać się po wojnie z tymi armiami księży, zakonników i zakonnice. Dysponowali zapasami ziaren, z których można było wyhodować warzywa, a także rozległymi i głębokimi piwnicami, zbudowanymi w czasach gdy najazdy wroga były zagrożeniem, z którym należało się liczyć na co dzień.

Po dwudziestu latach wszystko to mogło się zmienić w labirynt nie do przejścia dla kogoś, kto nie dysponował mapą.

Albo przewodnikiem.

– A ty nie sądzisz, że to miejsce jest dziwne? – zagadał do Halnego, dziwnie milczącego i zadumanego od posiłku. Czyżby



staruchy dosypały mu czegoś do jedzenia? A może spodobało mu się w tym babińcu? – Zaciągnąłeś nas tu, choć mogliśmy przejść górą.

– Zgubilibyśmy wtedy dziewczynę, prawda?

– Ma cię usprawiedliwić przypadek?

– Nie ma tu nic przypadkowego. Młody powiedział, że dziecko kieruje dziewczynę do ludzi. Znaleźliśmy się w granicach terytorium oznaczonego znakiem zapytania. Istniały dwie opcje. Albo dziewczyna tu weszła i odnalazła tubylców, albo ominęła ich. W tym drugim przypadku wiedzieliśmy, dokąd zmierza. Oto cały przypadek, kapitanie. Miałem utrzymywać się na tropie dziewczyny, i to właśnie robię.

– A jakie opcje mamy teraz? – warknął rozeźlony Pitala. – To też obmyśliłeś?

– Ja jestem zwiadowcą. Kombinowanie nad strategiami zostawiam oficerom. – Halny wykrzywił się złośliwie i więcej już się nie odezwał.

Sukinsyn. W Kombinacie Pitala zrobiłby z nim porządek. Ale tutaj potrzebował go, nawet jeśli nie był pewny, czy mógł na niego liczyć.

Strategie! W sytuacji, w jakiej się znaleźli, istniała tylko jedna. Kiedy drzwi do ich pokoju otworzyły się i stanęła w nich jedna ze staruch, nieco tylko młodsza od ich pierwszej przewodniczki, też zgarbiona i posiwiała, posiadająca jednak zdecydowanie więcej włosów, Pitala dopadł ją jednym susem, wykręcił jej rękę i przyłożył ostrze noża do gardła.

– Ewa! – zażądał. – Prowadź do Ewy!

Nie wrywała się, nie wzywała pomocy. Tylko odmówiła.

Gdyby przyszła z jakąś inną kobietą, Pitala zabiłby ją, żeby tej drugiej pokazać, iż nie żartuje. Ale tak...

– Chcesz zdechnąć? – zapytał ostro.

Pozostali przyglądali się bez słowa. Nie zareagowali. Nie pospieszili mu z pomocą, ale też nie próbowali go powstrzymać.

– Nikt nie chce umierać. Ale nie zaprowadzę was do matki mesjasza. Nie jesteście na to gotowi. Pożarłby wasze dusze. Może już je opanował? Twój mózg na pewno.

Niech to szlag, starucha bała się, że dzieciak ich opęta. No to mieli impas.

– A mężczyźni? – odezwał się Szurnięty, najwyraźniej owładnięty własną obsesją. – Zaprowadzisz nas do mężczyzn...

– Do mężczyzn, tak. Zobaczycie. Nie musisz mi grozić.

– Jasne. Słuchaj, siostró, nie będę trzymał tego przy twoim gardle, ale będę szedł tuż za tobą. Krzykniesz, ostrzeżesz kogoś, a zdążę cię dźgnąć. Zrozumiałaś?

– Nie musisz się martwić – zapewniła. – I tak pokazałybyśmy wam mężczyzn.

– Na pewno – prychnął. – No jak, Halny, dobra strategia?

– Perfekcyjna, kapitanie. Zaatakował pan potencjalnych sojuszników w sercu ich fortecy, zanim zdążyliśmy się o nich czegokolwiek dowiedzieć. Chyłę czoła przed śmiałością.

– Gadaj zdrow! Ty potrafiłeś tylko pakować nas w pułapkę za pułapką. Teraz ja dowodzę! Idźcie ze mną czy nie?

– Oczywiście, że idziemy. Prowadź, wodzu.

Dopiero kiedy Halny schylił się po swój plecak, pozostali zrobili to samo. Nie spodobało się to Pitali, ale na razie zachował gniew na lepszą porę. Jeśli nie widzieli, że zwiadowca Federacji nie nadawał się na dowódcę, że podejmował niemal wyłącznie błędne decyzje, to ich sprawa. Teraz najważniejsze to znaleźć Ewę i zabrać ją stąd. Może tutejsi mężczyźni okażą się rozsądniejsi?

Ale nie okazali się. Nie mieli szans wykazać się rozsądkiem ani choćby własnym pomysłem.

Pitali niemal opadły ręce, gdy starucha zaprowadziła ich z powrotem na niższe kondygnacje, do kolejnych piwnic pod piwnicami. Choć mijali po drodze inne kobiety, te nie wydawały się zaniepokojone. Zakładniczka nie próbowała wzywać pomocy. Odpowiadała tylko na powitania mijanych kobiet i prowadziła ich spokojnie przez kolejne wąskie schody i ciemne korytarze, piwniczne pomieszczenia i roztrzaskane ściany, od których wykopano kolejne tunele. Ponieważ tu nie zapalano pochodni, zdając się na zielonkawe fluorescencyjne grzyby wyrastające ze ścian pomarszczonymi, półprzezroczystymi krawędziami, Halny zaświecił swoją

latarnię. Niewiele im to dało. Zobaczyli tylko utwardzoną ziemię, drewniane stemple. Raz zatrzymali się, gdy wyszczerzyła na nich zęby czaszka wieńcząca szkielet na wpół zakopany w ścianie.

– To wasz mężczyzna? – pisnął Szurnięty,

– Nie, to Klara – odpowiedziała spokojnie starucha. – Zmarła pięć lat temu. Należała do tych, które kopały ten korytarz. Uczyliśmy ją, umieszczając tu jej szczątki na wieki.

Ruszyli dalej. Minęli jeszcze dwa szkielety, pozostawione zapewne na jakąś paskudną pamiątkę, ale nie zatrzymywali się już przy nich. I wreszcie dotarli do mężczyzn.

Czternastu, mających na sobie niewiele więcej ciała niż szkielety w ścianach korytarzy, brodziło po kostki w gęstej mazi zalegającej na podłodze szerokiej komory, której brązowo zielone ściany pokryte jakąś fosforyzującą substancją zdawały się bulgotać. Światło lampy przyciągnęło ich uwagę. Zamarli i równocześnie spojrzeli ku górującemu nad nimi balkonowi, którym kończył się korytarz prowadzący do niecki. Pitala zaklął z obrzydzenia, widząc, że plecy każdego z nich pokryte były czymś, co przypominało gęstą, galaretowaną narośl. Mężczyźni nie nosili ubrań. Na ich nagich plecach dziwny twór rósł wzdłuż kręgosłupa, by przy ramionach rozchodzić się na dwie części sięgające cienkimi wypustkami do uszu.

– Zgaś lampę! – nakazał Pitala. – Tu i tak jest jasno od tych ścian.

Gdy Halny zgasił płomień, mężczyźni ocknęli się. Znów zaczęli krążyć bez celu w żółtawej mazi. Tylko jeden zdjął blaszaną misę ze stojącego na środku niecki stolika, zanurzył ją w mazi, napełniając po brzegi, a potem wspiął się schodami ku balkonowi. Tam podał misę starusze.

– Mleko – powiedział zaskakująco czysto brzmiącym głosem.

– Dobre mleko, siostrze.

– Dobre mleko, najlepsze – uśmiechnęła się, przyjęła misę z rąk mężczyzny i pociągnęła łyk. Zaraz potem odwróciła się do Pitali. – Pij.

– Nie ma mowy! – Aż cofnął się o krok.

Nie wstrząsnął nim smród „mleka”, ale widok dziwnej,

owadziej głowy wyłaniającej się zza ramienia mężczyzny. Stworzenie o czterech czarnych oczach przyglądało mu się przez chwilę z ciekawością, po czym ponownie schowało się na plecach nosiciela.

– Co to jest? – jęknął kapitan.

– Mleko Matki – wyjaśniła starucha. – Doskonałe. Pożywne. Daje zdrowie. A przede wszystkim chroni przed dotykiem. Polubicie je. Jesteście mężczyznami. Matka mesjasza wezwała was tu, byśmy was wyzwoliły. Radujcie się swoim szczęściem. Koniec waszej rozpaczki i tułaczki. Pijcie mleko. My się wami zaopiekujemy i poprowadzimy was ku światłu.

Uśmiechała się do Pitali tak szczerze i radośnie, że aż go zemdliło. Uświadomił sobie, że cokolwiek staruchy zrobiły tym nieszczęsnym mężczyznom, zamierzały zrobić i jemu. Omal nie wbił jej noża w brzuch. Zasługiwała na to, do cholery!

– Nie będę waszym niewolnikiem! – ryknął.

– To nie niewola, to radość – upomniał go surowo mężczyzna.

– Przyjmij dziecko, noś je z dumą. Bądź szczęśliwy.

– Napij się mleka, a zaprowadzimy cię do matki mesjasza – kusila starucha. – Mleko daje odporność na dotyk. Uratowało nas, gdy przechodził Antychryst ze swoją armią. Nie czuł nas, a my byliśmy odporne na jego zdradziecką pieśń.

Jej słowa ostudziły gniew kapitana. Czymkolwiek by to mleko było, mogło się okazać użyteczne w kontaktach z potomkiem Króla. Warto je było zdobyć i zbadać w laboratoriach Kombinatu.

Tyle że sam nie zamierzał go pić. Wystarczył mu rzut oka na mężczyzn, by zrozumieć, że nie chce narażać się na ryzyko dołączenia do nich. Cokolwiek sami myśleli, byli niewolnikami staruch. Staruch i jeszcze tego czegoś, co żyło w ścianach niecki.

– Mikołaju, ty wypij pierwszy! – polecił.

Tramwajarz szarpnął się do tyłu, pokręcił głową.

– To rozkaz!

– Och, dość już tego! – Szurnięty Stach podszedł do staruchy, wyrwał z jej ręki misę, przechylił do ust i upił łyk. Potem drugi.

– Słodkie! Gęste, śmierdzi, klei się w ustach, ale jest słodkie!

Widzi pan, kapitanie? Przeżyłem! Masz, chłopcze! – podał misę Marcinowi. – Pokaż panu kapitanowi, że masz jaja!

Marcin spojrział na niego niepewnie, ale upił ostrożnie łyk mleka. Skrzywił się.

– Fuj! – prychnął. – Faktycznie słodkie. Ale paskudne! Napije się pan, kapitanie?

– A zaprowadzicie nas do dziewczyny?

Starucha skinęła głową i uśmiechnęła się tak paskudnie i nieszczerze, że Pitala dłużej już się nie wahał. Podszedł do niej zdecydowanym krokiem i pchnął nożem w prawy bok. Niezbyt głęboko. Tylko tak, żeby poczuła i żeby mężczyźni zobaczyli krew. Kobieta jęknęła głucho, osunęła się na kolana.

– Dlaczego? – szepnęła. – Przecież gość w dom, Bóg w dom... Przecież tylko chcemy wam pomóc!

– Podtrzymajcie ją! – polecił Szurniętemu i Marcinowi kapitan, po czym zwrócił się do mężczyzn w niecce, którzy znów przerwali brodenie w mleku i zwrócili się ku przybyszom. – Widzieliście? – wrzasnął. – Widzieliście, co zrobiłem?

– Widzieliśmy – odezwał się ten sam co poprzednio. – Jesteś złym człowiekiem, grzesznikiem. Zabijemy cię i nakarmimy tobą Matkę. Odkupi twoje grzechy i uleczy duszę, trawiąc grzeszne ciało.

Ruszyli ku niemu. Pochylali się, zagłębiali dłonie w mleku, by wyciągać zeń ociekające białym śluzem narzędzia: młoty, motyki, resztki kilofów o połamanych styliskach.

– No! – ostrzegł ich, przykładając nóż do szyi kobiety. – Jeszcze żyje ta wasza cenna baba! Nic wielkiego jej się nie stało! Chcecie, żebym ją zabił?

– Sam skazujesz swoją duszę na potępienie – sapnęła starucha.

– W dupie mam swoją duszę! – krzyknął na nią. – Mdli mnie od waszych przesądów! Ty, gadatliwy, wiesz, gdzie trzymają naszą dziewczynę?

Milczeli.

– Matkę mesjasza! – przypomniał sobie.

– Tylko matki to wiedzą – odparł mężczyzna.

– Ach tak? No to, droga matko, zaprowadź mnie do niej! Albo wsadzę ci nóż głębiej.

– Nigdy! Zabij mnie, jeśli chcesz, ale nie zdradzę Boga. Jesteś gorszy od...

Uderzył ją w twarz. Marcin krzyknął i wyglądało, jakby chciał rzucić się na kapitana, ale bał się puścić ślaniającą się na nogach kobietę. Za to szary warknął groźnie.

Pitala krzyknął ze złości. Co za głupcy go otaczali! A może ci dwaj dali się omamić babom? Przecież napili się mleka. Może starucha jakoś ich teraz kontrolowała?

– Halny? – zwrócił się do żołnierza. – A ty, co myślisz?

– Że jesteś durniem i narwańcem. Straciłeś swoją szansę. Nie pomogą ci, a pewnie i zabiją. A ja palcem nie kiwnę. Te babcie nic nam nie zrobiły, ty krwiożerczy, tępy bucu.

– Trzymają Ewę z bachorem!

– No i? To chyba najlepsze możliwe miejsce. Są odporne na jego zew.

Czyli impas. Kapitan miał ochotę kłać na czym świat stoi. Dotarł tak daleko tylko po to, żeby ponieść klęskę przez tę bandę głupców? Niech to szlag! Może przynajmniej uda mu się stąd wydostać? Sprowadzi tu prawdziwych żołnierzy, zdobędą te przekłete piwnice pod piwnicami i przetrząsną je metr po metrze. Tylko czy zdoła wydostać się stąd żywy?

– Ja wiem, gdzie ona jest – odezwał się nagle Mikołaj. – Zaczęli krzyczeć tak głośno, że mogę ich słyszeć. Kobietę i to, co wychodzi z niej właśnie na świat. Och, jak krzyczą!

## Rozdział 20

To, co się działo później, Marcin pamiętał jak sen.

Pitala miał trochę racji, mleko wpłynęło jakoś na Marcina, zmieniło to, jak patrzył na świat. Otworzyło mu oczy. Zrozumiał, że staruszki nie dręczyły swoich mężczyzn, ale umożliwiły im postrzeganie rzeczywistości szerzej. Choć znajdowali się pod ziemią, gdzie latarnie i pochodnie z lekka tylko rozświetlały ciemność, a jaśniejące łagodną poświatą mleko nie dawało zbyt wiele światła, Marcinowi wydawało się, że dostrzega i rozpoznaje więcej kolorów niż wcześniej. Fale nienazwanych barw przepływały mu przed oczami, łagodząc rozpalony przed chwilą strachem i gniewem umysł. Poczul mrowienie na całym ciele, a po nim niezwykłą falę ciepła.

Uświadomił sobie, że biegli.

Najpierw Mikołaj, którego smutek Marcin dopiero teraz zaczynał rozumieć w pełni, za nim ten niewdzięcznik Pitala. Można było wyczuć jego podniecenie. Cokolwiek zamierzał zrobić Ewie, należało go powstrzymać. Halny miał rację. Marcin zawstydzził się na wspomnienie swoich poprzednich pragnień. Jak mógł chcieć zabić dziecko! Ten drżący, niewinny kłębek ciepła, bezbronny, spragniony miłości. Nie, należało zostawić dziecko tutaj, gdzie samo nie było groźne i nie musiało obawiać się, że ktoś zrobi mu krzywdę.

Wyczuwał ruch w ścianach.

To larwy Matki, jeszcze nieprzepoczwarzone w krowy, które wpijając się w ciała mężczyzn, spijały soki wytwarzane przez ich organizmy, by puchnąć i oddawać mleko dla Matki i ludzi. Pozbawione zdolności rozrodczych robotnice biegły wraz z ludźmi, gotowe w razie czego walczyć, gdyby okazało się, że są niebezpieczni. Marcin wyczuwał je, podobnie jak wyczuwał samą Matkę, ukrytą w miękkiej ziemi wokół niecki i pod nią, karmiącą się mlekiem i czuwającą nad mężczyznami.

Czuł teraz tak wiele! Rozumiał troskliwość staruszek i graniczącą z opętaniem miłość Ewy. Prawie ją dzielił. Nie wypuszczał z rąk kobiety, którą nieśli wraz z Szurniętym. Spojrzał na swego towarzysza pewny, że i on przeżywa głęboko tę nowo nabytą wrażliwość pozwalającą otwierać się na wszystkie barwy świata.

W oczach Szurniętego dojrzał łzy.

Stach bał się wypuścić z rąk staruchę, choć sam do końca nie pojmował dlaczego. Przeszkadzała mu, spowolniała. A jednak na myśl o porzuceniu jej czuł niemal fizyczny ból. Zdawał sobie sprawę, że to mleko zrobiło z nim coś dziwnego. Pitala miała rację, a równocześnie jej nie miał. Staruchy nie zdradziły ich i na swój sposób faktycznie próbowały im pomóc.

Szurnięty przeklinałby tę ich pomoc, która niemal zrobiła z niego płaczącą babę, gdyby nie to, że wydało mu się, iż od tego wszystkiego lepiej rozumiał Ninel. Każda chwila, jaką z nią spędził, faktyczna czy wyobrażona, jawiła mu się teraz w nowym świetle.

A ponieważ lepiej rozumiał ukochaną, pojmował też, jak postąpiłaby teraz.

Z drugiej strony nie zapominał o swojej misji i cały czas zastanawiał się, jak pozbędzie się Pitali, gdy znajdą już Ewę i jej rodzającego się bachora.

Wpadli wreszcie do jakiejś sali, gdzie trzy babsztyłe pochylały się nad legowiskiem, pośrodku którego wymizerowana młoda kobieta wiała się i wrzeszczała. Już nie potrzebowali Mikołaja, by ją słyszeć. Tramwajarz roztrącił kobiety, by przypaść do boku rodzącej. Szybko się zebrały i odtrąciły go.

Pitala zamarł. Co niby miał zrobić? Nóż, pistolet, przedsiębiorczość, a nawet prawo w tej sytuacji zdały się na nic. Zatoczył się, oparł o ścianę.

Dzięki temu Marcin i Szurnięty wyprzedzili go.

– Mamy ranną! – zawołał chłopak. – Ranną!

Staruchy nawet nie spojrzały na swoją siostrę. Jedna sprawdziła więzy na przegubach i kostkach rodzącej, inna podała jej łyk mleka. Ewa wypluła je ze wstrętem.

– Marcin? – wrzasnęła. – Maaarcin? Widzę Marcina? Co



wyście mi podały?

– Ostatnia rzecz, jaką chciałem widzieć – sapnął Halny, wchodząc do sali porodowej. – No pięknie.

Szurnięty nie zwracał na nich wszystkich uwagi. Pomógł Marcinowi posadzić ranną na podłodze i zaraz spróbował przepchnąć się między staruchami. Zauważył, że Pitala zzieleniał na twarzy na widok całej tej krwi towarzyszącej przychodzeniu nowego życia, ale nie przejął się tym, nawet nie poczuł satysfakcji. Co go obchodził jakiś kapitan!

Kobiety nie chciały go przepuścić, więc tylko krążył wokół nich, póki sam nie usłyszał krzyku narodzonego dzieciaka. Nie wiedział, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Co go obchodziło! Chciał, musiał je zobaczyć! Nie wytrzymał, odepchnął brutalnie najmniejszą z kobiet. Osunęła się na ziemię. Oddychała ciężko, dłonie miała całe we krwi. Prawie wyrwał zakrwawionego, ociekającego śluzem noworodka z rąk drugiej. Jednak chłopiec.

Miał go! Miał swój skarb!

– Musimy nakarmić go mlekiem Matki – upomniała go łagodnie ostatnia ze staruch.

Mleko Matki, też coś! Oto on, przemyślny Stach, bohater Farmy Konopków, miał w swoich rękach najcenniejszą zdobycz, największy skarb świata! Dziecko, które miało przynieść im wszystkim potęgę! Które miało otworzyć mu drogę na tron! Które mogło sprawić, że cały ten ból, jakiego zaznał...

– Żadnego mleka robali! – warknął, pochylając głowę nad trzymanym w ramionach malcem. – Jest mój! Jest...

Spojrzał w błękitne oczy noworodka, dziwnie spokojnego, płaczącego jeszcze, ale cicho, bez lęku. I nagle zrozumiał, że cokolwiek się działo dotąd, nie miało znaczenia. Trzymał w rękach dziecko, jego dziecko, ktokolwiek był jego biologicznym ojcem. Patrzył mu w oczy i pojmował, że nie odda go nikomu, bo kocha tego dzieciaka, jak nie kochał jeszcze nikogo, nawet Ninel.

Bo najważniejsza, jak zrozumiał, gdy dziecko skupiło na nim spojrzenie i uśmiechnęło się do niego, najważniejsza na świecie jest miłość.

## Rozdział 21

Jakiś czas później, nie potrafił określić jaki, Marcin nareszcie przebudził się ze snu.

Ledwie się trzymał na nogach. Oddychał ciężko. Przypomniał sobie, że biegł. Chyba przez cały ten czas, odkąd przeklęty dzieciak Ewy przyszedł na świat.

Ewa!

Leżała obok. Jeśli oddychała, nie potrafił tego dostrzec. Musiałby się nad nią pochylić, zbadać puls, przyłożyć głowę do piersi. Ale prawie nie znajdował na to sił. Bolały go plecy, ramiona piekły wściekle. Dlaczego? Wyteżył pamięć. Ach tak, niósł ją przecież. Przyniósł ją aż tutaj, do miejsca gdzie...

Przed nim widniał most. Naderwany, z uszkodzonym jednym przęsłem, przez co wyglądał, jakby przykłękał przed drugim brzegiem rzeki. Pochylony na lewo w pokłonie przed zamkiem...

Zamek!

Teraz przypomniał sobie wszystko! Jak przez mgłę, jakby to był sen! Zamek!

Opadł na kolana.

Tamci wbiegli na most. Psy, małe i ogromne, prawie wielkości dorosłego człowieka. Ludzie, na pozór apatyczni, niezdolni mówić, ale gdy trzeba – silni i szybcy. Było ich wielu, zbyt wielu dla jednego chłopca z łukiem.

Gdzie podział się Piętaszek?

Niech to diabli, nie mógł już dłużej uciekać. Nie miał już sił. Ewę zostawią chyba w spokoju. Należała do nich. Właściwie ją porwał.

Wstał. Zdjął łuk przewieszony przez plecy. Sięgnął do pasa i z torby wyjął cięciwę. Naciągnął ją, mobilizując resztki sił. Ewa u jego stóp oddychała albo i nie. Tamci już się nie spieszyli. Zbliżali się do Marcina powoli, spokojni, że zdobyc

im nie ucieknie. Nie miał szans. Jedyne, na co liczył, to że może zdoła zabić choć jednego z nich. W zemście na przykład za Piętaszka. Bo właśnie przypomniał sobie i to, jak przeskakiwali przez wyrwę w moście. On obciążony Ewą, a Piętaszek... I co dziwne, tym razem to szaremu nie starczyło sił i spadł, w dół, w czarną wodę, w której kłębiły się stwory spragnione mięsa, na ich oczach pożerające się nawzajem w szale głodu i łakomstwa.

A zatem nie było już Piętaszka.

Pomyślał, że powinien płakać po wiernym druhu, ale nawet na to nie miał już sił.

A, do diabła. Za chwilę odpocznie. Niech tylko mu się uda zabić choć jednego z nich, nim pozostali skoczą mu do gardła.

Byli już tak blisko! Bez trudu przeskakiwali wyrwę w moście. Zatrzymali się ledwie pięć, może sześć metrów przed Marcinem. Chłopak zacisnął zęby i naciągnął cięciwę. Ledwo, ledwo. Nigdy nie udało mu się w pełni naciągnąć tego łuku ani w nic z niego trafić. Ale może na tak niewielką odległość? Jeśli jest jakaś sprawiedliwość na świecie... Choćby jednego!

Nagle cofnęły się. Największy pies warknął. Marcin nie wierzył własnym oczom. Psy położyły uszy po sobie, zaskomlały. Ludzie zadrżeli, jakby przestraszeni.

Przestraszyli się jednej strzały?

– Oddaj mi ten łuk, chłopcze – odezwał się jakiś głos za plecami Marcina. Wydał mu się znajomy, choć w tej chwili nie potrafił skojarzyć, skąd miałby go znać. – Za cholerę nie potrafisz z niego strzelać.

## CZĘŚĆ DRUGA

### Hodowle umarłych

#### Rozdział 22

Jednoręki mężczyzna przyglądał się stadku kóz, między które miał pecha zapędzić się jakiś kundel. Nie potrzeba było nawet tych wielkich sztuk, przed rogami których sam czuł respekt, by kozy policzyły się z głupim psem. Trzy: Basia, Zosia i Kasia, niezdolne do rozmnażania się i niedające mleka, osiągnęły wielkość koni, a rogi miały takie, że pewnie nawet starożytne tury darzyłyby je respektem. Teraz skubały zielsko, obserwując z zainteresowaniem, jak ich mniejsze siostry zapędzają nieszczęsnego kundla pod mur, by tam rozerwać go na strzępy i pożreć.

O czym ten kretyń mógł myśleć, podchodząc tak blisko stada? Musiał być zdesperowany. Albo przerażony. Albo tak zrezygnowany, że postanowił popełnić samobójstwo. Jednorękiemu było go prawie żal. Czasem zastanawiał się, czy sam nie powinien wykręcić podobnego numeru. Tyle że jego kozy by nie ruszyły. Przywykły do jego towarzystwa i nie bez racji traktowały jak jednego ze swoich. Nawet trzy olbrzymki nie chciałyby zrobić mu krzywdy, choć były złośliwe i krwiożercze i pozostałe kozy wolały trzymać się od nich z daleka.

– Nie przepracowujesz się jako pasterz, co, pułkowniku Mawte? – generał Skrobosz usiadł obok niego na trawie. Bordowy beret zsunął mu się na czoło z okrągłej łysej głowy. Wielkie dłonie ciężko uderzały o boki. W świetle, w którym

oszczędzono na wszystkim, Skroboszowi jakimś cudem udało się przytyć. Zyskiwał tym niechętny szacunek nawet wśród wielkich kóz. – Pozwalasz zwierzakom odwalać całą brudną robotę?

Mawte pomachał mu w odpowiedzi pustym rękawem po lewej ręce.

– Co mi tu machasz niewyprasowanym mundurem? – zmarszczył brwi Skrobosz. – Pamiętam, jak straciłeś tę rękę. I że zdołałeś wtedy jeszcze zatłuc trzy pełzacze, mając do dyspozycji tylko prawą. W sumie to chwyciłeś nią odgryzione łapsko i tłukłeś nim jak maczugą.

– W szoku byłem. Teraz nadaję się tylko do pasienia kóz.

– I szkolenia młodych.

– No, pięknie ich wyszkoliłem. – Mawte splunął. – Przyszedłeś pogadać o moich sukcesach pedagogicznych?

– Wolałbym powspominać stare czasy, pułkowniku. Ale sam wiesz, że mamy problem.

– A imię jego Kamila, co?

– Kamila i reszta jej bandy.

– Plutonu, chciałeś powiedzieć generale? – Mawte łypnął na niego spod gęstych brwi.

– Plutonu. Sekty. Jak zwał, tak zwał. Rozmawiałeś z Kaktusem?

Kozy skończyły z psem. Nie zostawiły nawet ogryzka kości. Nie pierwszy raz Mawte pomyślał, że dobry Pan Bóg stworzył te zwierzaki wyłącznie po to, by towarzyszyły człowiekowi jako ostatnia, prawie samowystarczalna deska ratunku, gdy uda mu się popisowo spieprzyć absolutnie wszystko. Fajnie byłoby być taką kozą zamiast człowiekiem. A zwłaszcza zamiast pułkownikiem tego, co zostało z Szóstej Dywizji Powietrznodesantowej, do której przed wojną nawet nie należał, ale z którą wylądował w szambie, w jakie zmienił się świat. Niech to szlag, dziś wolałby nawet być tym pożartym psem niż sobą. Pies przynajmniej zdechł sam, miał już wszystko z głowy i nie musiał się martwić, że za chwilę jego ukochane dzieci rzucą się sobie do gardeł.

Kiedy to wszystko popieprzyło się jeszcze bardziej i jak mógł

przegapić kluczowy moment? Kiedy jego słodka mała dziewczynka, którą na własnych rękach wynosił pod ostrzałem z płonącego wraku autobusu, zmieniła się w największy problem Szóstej?

– Rozmawiałem – skrzywił się. – Powiedział mi to co i tobie.

– Że dziś w nocy? I że to koniec?

– Ufasz mu?

– Nie wytatuował sobie połowy gęby w czaszkę.

– Ale łązi za Kamilą, przepraszam – Mawte uniósł dłoń – za porucznik Czapnik, jak wierny szczeniak. Kocha ją.

– Jak ty.

– Nie jak ja, bo ja jestem stary, jednoręki i mógłbym być jej ojcem. A nawet trochę jestem. Więc kiedy po uszy zakochany Kaktus, przepraszam, sierżant Kaktus, przychodzi do mnie, żeby poinformować, że Umarli szykują dziś w nocy przewrót, to ja się zaczynam zastanawiać.

– Kaktus kręci się przy nich na mój rozkaz.

– Ale się zakochał.

– Możliwe. Mimo wszystko to cholernie dobry żołnierz. Nie zapomniał o obowiązkach.

Basia, Zosia i Kasia podreptały ku miejscu, w którym pozostałe kozy pożarły psa. Polizwały bez wielkiego apetytu ziemię, w poszukiwaniu resztek krwi, ale widać nie znalazły wiele, bo zabeczały rozczarowane. Popatrzyły po sobie, obróciły czarne łby ku pasterzowi.

– A róbcie, co chcecie! – zawołał w odpowiedzi na ich nieme pytanie. – Ale jak się dacie zabić, nikt nie będzie po was płakał!

Więcej się na niego nie oglądały. Kasia, najmniejsza z nich, podeszła do Wisły, zanurzyła pysk w rzece i zaczęła pić, nic a nic nie przejmując się faktem, że skład chemiczny wody przyprawiał o siwiznę każdego, kto choć trochę liznął chemii. Jej siostry przypatrywały się temu ze spokojem.

– Mam nadzieję, że nie zapomniał – mruknął Mawte, obserwując kozy. – Rozmawiałeś z przeorem?

– Będzie się za nas wszystkich modlił.

– No jasne, że będzie się modlił! A nowy rekrut?

Zamiast odpowiedzieć, generał wskazał Mawtemu jakiś

dziwny, niepokojąco duży kształt w wodzie, płynący pod prąd, ku wciąż stojącej tuż nad rzeką Kasi.

– To tam! Widzisz?

– Widzę – odparł spokojnie Mawte. – I ty też zaraz coś zobaczysz.

Z rzeki lypnęły cztery pary bladych oczu i zaraz zanurzyły się z powrotem. Ale ciemny kształt, długi jak czołno, wciąż zbliżał się do spokojnie chłepcącej wodę kozy. Zatrzymał się metr od niej, zamarł na kilka sekund. A potem wyskoczył nagle na wysokość pół metra, rozwierając pełen wielkich zębów pysk szeroki jak maska terenowego samochodu, który wciąż trzymali w Twierdzy na pamiątkę starych czasów. Kasia zgrabnie uskoczyła do tyłu i szczeka kłapnęła powietrze o włos przed nią. Wielki ciemnoszary stwór, który wśród przodków miał zapewne suma, jednak Pożoga wyposażyła go w krótkie, ale silne łapy, nie poddał się. Ruszył ku niej, posapując gniewnie. Nie przywykł, by ofiary nie tylko mu umykały, ale by potem patrzyły na niego bezczelnie.

Wtedy Basia i Zosia zaatakowały go od boków. Jedna nadziała go na rogi z lewej, druga z prawej strony. Ryknął. Szarpnął się. Uderzył Zosię potężnym ogonem, aż zachwiała się na nogach i zabeczła boleśnie. Szarpnął się znowu i zebrał do następnego ciosu, ale nadszedł już jego koniec. Bo Kasia, która cofnęła się dla nabrania rozpędu, uderzyła go w pełnym pędzie, przedziurawiając mu łeb w pięknej szarży.

Stwór zapiszczał, wierzgnął, zadrżał i zawisł na trzech parach kozich rogów.

– Popisowo go oflankowały. Czasem myślę, że powinniśmy przyjąć je do wojska i od razu nadać stopnie oficerskie – oznajmił wesoło Mawte. – Poradziłyby sobie lepiej od nas. Bardziej tu pasują.

– I są wredniejsze od Kamili.

– Kamila nie jest wredna – zaprotestował pułkownik. – To cud-dziewczyna. Jedyne, czego chce, to pomagać ludziom. No i jeszcze marzy o naprawieniu tego naszego honkera. Tyle że jej pomysły na Szóstą są trochę inne niż nasze.

– Trochę! – parsknął generał. – Jest szalona!

– Jak świat – wzruszył ramionami Mawte. – Jak Basia, Kasia i Zosia. I powiedz mi, że nie radzą sobie świetnie.

Kozy kończyły właśnie obgryzać łeb wstrząsanemu jeszcze ostatnimi drgawkami potworowi. Reszta stada przyglądała się im z ciekawością. Niektóre z kóz przestępowały z nogi na nogę, wyraźnie mając ochotę na skosztowanie mięsa wielkiej ryby. Żadna jednak nie odważyła się wtrącić do uczyty sióstr.

– Kamila też sobie radzi – zgodził się generał. – Ale cholernie nie podobają mi się jej odpowiedzi na wyzwania, jakie przed nami stoją.

– Mnie też. Ale może to ona ma rację, a nie my? Jeśli to, co mówi ten nowy, jest prawdą, parę lat temu ostro spierdoliłiśmy sprawę, przyjacielu. Trzeba było zająć się tym samolotem.

– Wiele rzeczy było wtedy do zrobienia – burknął Skrobosz. – Skąd mogliśmy wiedzieć... Mówisz mi to, bo czegoś chcesz, co?

– Wiesz, czego chcę.

– Nie możemy jej darować zamachu!

– Jeśli będzie jakiś zamach.

– Będzie! Ufam Kaktusowi!

– No to będzie. Trudno. Jeśli będzie... Jak będzie, a my wygramy... A wygramy, bo jesteśmy starzy i wredni, to będę miał dla ciebie jedną propozycję. Szansę. Dla nas wszystkich.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Zgodzisz się. Tak naprawdę jesteś ciągle tym dobrym, pełnym miłosierdzia, wrażliwym sierżantem zaopatrzenia, który przeżył, chociaż wszyscy inni zginęli. No i załóżę się, że też masz wyrzuty sumienia za to, co tam się stało.

– Jeśli to nasza wina!

– Jesteśmy jedynymi, którzy mieli pecha przeżyć, by ponosić za to odpowiedzialność. Więc to jest nasza wina, a ty zdajesz sobie z tego sprawę. Sam byś tam polazł, ale ty jesteś już za stary, a ja jednoreki, więc nie damy rady.

– Moglibyśmy wysłać twoje kozy – roześmiał się Skrobosz.

– O co to, to nie – Mawte uniósł rękę, jakby chciał się nią bronić. – Kiedy one odejdą, podbiją cały cholerny świat. A potem go zeżrą.



## Rozdział 23

Kamila odnalazła Dalię, gdy ta oprawiała stwora, którego ledwie pół godziny wcześniej przytargali z Dzejkejem ze wzgórz. Najmłodszy z żołnierzy Szóstej dawał się wrobić w każdą robotę, byle zasłużyć na zaufanie i podziw kolegów. No i na czaszkę. Choć właściwie przyjęto go już do Umarłych, gębulę ciągle miał czystą, jak po narodzeniu. Czekali na właściwy moment, by odprawić rytuał i go naznaczyć. Kamila czasem przyłapywała się na myśli, że wciąż był zbyt młody, by decydować o swojej przyszłości. Należał do szczęściarzy, którzy przyszli na świat już po Pożodze. Nie pamiętał starego świata i rzeczywistość spalonych ziem zamieszkiwanych przez zmutowane zwierzęta i zdiczających rabusiów była jedyną, jaką znał. A armia była jego jedynym domem. Porucznik żał było trochę chłopca. Traktował starych jak dwóch ojców. Biologicznego nie poznał nigdy.

– Dzejkej! – powiedziała ostrzej, niż zamierzała. – Fruń nad rzekę pomóc pułkownikowi przy kozach!

– Ale kiedy myśmy tu złapali takiego fajnego...

– No! Szeregowy! Co to jest? Wojsko czy sejm?

– Tak jest! – wyprężył się jak struna, lepiej i z większym oddaniem niż robił to jakikolwiek wiarus. – Tak jest, pani porucznik!

Zasalutował z takim namaszczeniem, jakby przyjmował właśnie rozkaz heroicznego oddania życia za wielką sprawę. i pognał na dziedziniec.

– No? I co żeście złapali takiego fajnego? – zapytała Kamila, po kilku sekundach, które odczekała, by upewnić się, że rzeczywiście poszedł. Obawiała się kłopotów z Dzejkejem, jak kazał nazywać się Jędrzej. To, co nastąpi, może być dla niego wstrząsem. On jeden, spośród Umarłych, nie wiedział, co się szykowało w nocy.

– Kiedyś to chyba była owca – meldowała Dalia unurzana we krwi po łokcie.

Nieco wyższa od Kamili dziewczyna o łagodnej urodzie zaburzonej teraz tatuażem czaszki pokrywającym całą lewą część jej twarzy, na co dzień uśmiechnięta i uczynna, od czasu do czasu dawała się opanować pasji polowania na zmutowane zwierzęta. Podobno robiła to, by sprawdzić, czy nadają się do jedzenia, a także by zdobyć informacje niezbędne do obrony przed nimi. Tak w każdym razie tłumaczyła to dowódcom, w tym Kamili, gdy prosiła o zgodę na kolejną wyprawę. Porucznik widziała jednak, że Dalia uśmiechała się podczas polowań na sekundy przed tym, jak miała zaatakować zwykle uzbrojona jedynie w nóż. Kiedyś stały we dwie, zwrócone do siebie plecami, pośrodku kręgu stworów, które mogły nawet pochodzić od ludzi, wyrosniętych ponad miarę, o dziwnie powykręcanych, nieproporcjonalnie długich rękach i małych, krępych nóżkach. Tamtych było ośmiu i Kamila pogodziła się już z myślą, że nie tylko umrą za chwilę, ale także, że zostaną pożarte i nikt w Szóstej nawet się nie dowie, jaki spotkał je los. Pamiętała tamtą walkę niejasno, czerwona mgła zakrywała jej wspomnienia. Ale przysięgłaby, że słyszała, jak Dalia się wtedy śmiała: w głos, jakby trafił jej się najpiękniejszy dzień w życiu.

Nie pamiętała też, jakim cudem zwyciężyły. Zapamiętała za to, że Dalia uparła się tachać cielsko jednego z zabitych aż do Twierdzy. Sukinsyn był ciężki jak pociąg.

– ...ale ma dziwne narządy wewnętrzne – kontynuowała medyczka Umarłych. – I kły. Mówię ci, na pewno nie jest roślinożerna. Nawet nie wszystkożerna, ale to cholerny padlinożerca, a może nawet drapieżca. Zobacz, jej łapy przypominają łapy hieny. To znaczy, o ile nie kłamią te książki zoologiczne, które trzymają tu braciszkwowie. Właściwie mogłabym uwierzyć, że to jeden z uciekinierów z zoo, potomek hieny, ale ciało ma pokryte wełną. Zastanawiam się, czy...

– Kapralu! – nie wytrzymała Kamila. – Nie udzielałam zezwolenia na tę akcję!

Dalia zmieszała się i zamarła nad cielskim, z wielkim kawałem ociekającego krwią mięsa w rękach.

– Odlóż to, czymkolwiek to jest...

– To wątroba. Strasznie wielka. Myślę, że spotworniała. Ta hienowca i tak by raczej długo nie pożyła, bo...

– Kapralu!

– Tak jest! Melduję, że zezwolenia udzielił mi pułkownik Mawte! Pod nieobecność dowódcy plutonu, która...

– Wystarczy – machnęła ręką Kamila. – Wykorzystałaś okazję, co?

Dalia nie opanowała radosnego wyszczerzu, jednak w ostatniej chwili powstrzymała entuzjastyczne skinienie głową.

Kamila westchnęła. Sama sobie była winna. Wybrała się z tym nowym rekrutem na mały patrol. Mogła sobie powtarzać, że to dla jego bezpieczeństwa, jej zdaniem nie doszedł jeszcze do siebie. Prawda była jednak taka, że przybysz ją fascynował. To pod wpływem jego opowieści podjęła decyzję, z którą zwlekała stanowczo zbyt długo. Jego historie o tym, co wyprawiało się w mieście...

Znaleźli go trzy tygodnie wcześniej, na wpół oszalałego. W ruinach dawno opuszczonego piętrowego domu bronił się przed zagonem bandy Świeżego. Tajemniczy, nigdy niewidziany przywódca największej bandy, z jaką Szosta ścierała się od lat, robił się coraz bezczelniejszy i należało czym prędzej ukrócić jego zuchwałość. Ale dowódcy zwlekali. Albo zmiękli przez te wszystkie lata, jak obawiała się Kamila, albo mieli własne plany, których nikomu nie zdradzali. Kiedyś twardzi i bezwzględni, zmienili się jakiś czas temu w przesadnie sprytnych strategów planujących każdą akcję bez końca. Wszystkie ich plany zawierały ukryte, tajne podplany, a połowa działań okazywała się zwykle zmyłkami, mającymi oszukać kogoś prawie tak cwanego jak oni. Tyle że w okolicy nie było żadnych sprytnych ludzi, a jedynie sami zdesperowani. Generał i pułkownik grali więc tak naprawdę sami ze sobą.

Dlatego to Umarli coraz częściej brali na siebie bezpośrednie akcje. Ruszyli niedługo przed zmrokiem, wzdłuż Wisły. Na jej niedostępnym drugim brzegu widać było zieleniejące wzgórze, a nawet wciąż białawe wieże klasztoru, w którym ponoć

wszyscy poszaleli i pozjadali się nawzajem. Różne krążyły o nim legendy. Podobno Mawte, wówczas jeszcze nie pułkownik, wybrał się tam kiedyś na zwiad z trzema ludźmi. Wrócił sam. Złożył meldunek Skroboszowi, jeszcze wtedy nie generałowi, i nikomu więcej nie powiedział o tym, co tam zobaczył. Mnisi z opactwa modlili się za dusze swoich braci przez tydzień. Do dziś czasem odprawiali msze w ich intencji.

Mimo wszystko coś tam żyło. W niektóre noce widać było światło na wieży. Błyskało w regularnych odstępach, jakby ktoś chciał się skontaktować ze światem zewnętrznym. Używał jednak systemu kodowania, którego nikt nie potrafił odczytać. Kamila zawsze miała ochotę wybrać się do białego klasztoru, by na własne oczy zobaczyć, co spotkało zamkniętych w nim mnichów. Rozkazy dowództwa były jednak jasne: nie przeprawiać się na drugi brzeg Wisły i nigdy się nie pchać na Bielany. A Kamila słuchała rozkazów, nawet gdy ich nie rozumiała albo nie zgadzała się z nimi.

No, prawie zawsze słuchała. Bo tego wieczora, gdy znaleźli przybysza z daleka, trochę ponaginała regulaminy. Oficjalnie mieli dokonać tylko małego patrolu w promieniu kilometra od opactwa, jak wszystkie inne plutony. Ale Kamila zdawała sobie sprawę, że jej Umarli potrzebują czegoś więcej. I że należy dać znać Świeżemu, iż Szósta nie osiadła na laurach i czuwa. Cokolwiek planowali starzy, bandycie należał się prztyczek w nos. Znajdowali dowody na to, że jego ludzie zapuszczali się w granice kontrolowane przez Szóstą. I choć nie byli na tyle bezczelni, by zaatakować któreś z gospodarstw, Kamila zdawała sobie sprawę, że kiedyś przekroczą i tę granicę. Badali cierpliwość Szóstej, sprawdzali, czy armii nie stępieją zęby. I na razie uzyskiwali dowód za dowodem, że Szósta to już jedynie legenda, staruszka bez ikry. Cóż, może o to właśnie chodziło starym? By tamci poczuli się zbyt pewnie i wpadli w pułapkę? Jeśli tak, rajd Umarłych mógł im popsuć plany. Ale Kamila zdawała sobie sprawę z czegoś, co umykało staruszkom. Wśród żołnierzy narastała frustracja. Co gorsza, część z nich pogrążała się w samozadowoleniu. Skoro po dwudziestu latach osiągnęli status największej siły w okolicy, bezpieczni za murami

opactwa i z systemem obwarowanych posterunków w granicach imperium Szóstej, uznali, że można spocząć na laurach. Kamila obserwowała rozleniwionych żołnierzy pierwszego, trzeciego i piątego plutonu i klęła na czym świat stoi. Jedyne drugi trzymał fason, bo Kaktus nie pozwalał opieprzać się swoim ludziom niezależnie od humorów nominalnego dowódcy – chimerycznego porucznika czasem wyciskającego z żołnierzy ostatnie poty podczas musztry, a czasem pogrążającego się w dziwnej apatii podczas ataków, kiedy nie obchodziło go nic. Drugi i czwarty – pluton jej Umarłych – parzyste plutony twardzieli przeciw nieparzystym fajtlap.

Umarli potrzebowali prawdziwej akcji. Wysunięcia nosa poza fortyfikacje. Dlatego wyruszyli zaraz po nieszpórach, obiecując wrócić na Wigilię, podczas której mnisi kontemplowali czytania z Pisma Świętego zaplanowane na następny dzień. Kamila nie do końca rozumiała ich skomplikowane rytuały, ale doceniała je. Nauczył ją tego Mawte, który choć sam nie uważał się za chrześcijanina, wbił jej do głowy, że może istnieć jakaś potężna siła sprawująca pieczę nad kosmosem większym niż samo tylko opactwo tynieckie, a nawet większym niż poraniona Ziemia. No i nauczył ją szacunku do pieśni. Kamila nie rozumiała ani słowa po łacinie, ale jeśli tylko mogła, spędzała czas na nieszpórach, podczas których mnisi śpiewali pieśni, które niegdyś ocaliły klasztor i Szóstą. Gdy dziesięć lat wcześniej nadleciały ptaki potrafiące wpływać na ludzkie myśli, ludzie porzucali gospodarstwa, wybiegali na ulice, kładli się pokornie na ziemi i oczekiwali na pożarcie. Szósta straciła w ten sposób dwa gospodarstwa i połowę plutonu.

A potem ptaki przyleciały nad klasztor i żołnierze zaczęli krzyżeć i chwytac się za głowy. Mirek Kutrzeba, kapral, który uczył Kamilę strzelać z procy, rzucił się z krzykiem z murów. Był silny. Jakimś cudem udało mu się doskoczyć do Wisły. Woda zakotłowała się nad nim, widać było płetwy i zęby. Ale nikt już więcej nie zobaczył kaprała Kutrzeby.

Kamila też wtedy krzyczała. Tarzała się po ziemi, wyciem próbując wyrzucić z głowy ptasie myśli i rozkazy. Znów

uratował ją Mawte. Szedł przez dziedziniec klasztoru, jakby nie było żadnych ptaków i ich zewu. Pochylił się nad młodą kadetką, wziął ją na ręce i zaniósł do kościoła, w którego cieniu nacisk ptasich umysłów wydawał się lżejszy.

Przeegraliby. Ale wtedy właśnie mnisi zaczęli śpiewać. Wyszli z krążganków prawie wojskową kolumną. Wiódł ich przeor z monstrancją w rękach. Śpiewali te swoje proste, hipnotycznie brzmiące chorały i ludzie zaczęli się budzić. Wstawali z ziemi, zadzierali głowy w niebo. I zaraz sięgali po proce. Zaświstały kamienie i ptaki zaczęły spadać z nieba.

Musieli odeprzeć jeszcze trzy takie ataki, nim ptaki nauczyły się wreszcie, że nie mają czego szukać na niebie nad Tyńcem. Między innymi dlatego Kamila tak lubiła klasztorne zakończenie dnia.

W wieczór dłuższego patrolu odczekała, aż zakończą się nieszpory, po czym prędko zebrała oddział i wyruszyli biegiem. Choć nie przyznałaby się nikomu, Kamila miała nadzieję wrócić na komplecę.

Nie udało się jej, bo podczas patrolu blisko granicy terytorium Twierdzy nagle usłyszeli czyjeś wściekłe krzyki. Nie strachu, ale właśnie wściekłości, pełne furii. Niezrozumiałe, bo nieukładające się w żadne słowa, raczej ryki zranionego, zapędzonego w kozi róg zwierzęcia.

Przyciągnęły ich uwagę. W ciszy, polegając na latach treningu i rozkazach przekazywanych gestami, otoczyli domek, w którego zarośniętym zielskim ogródku można było jeszcze zobaczyć szkielety huštawek. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że krzyk nie należał do jednego tylko człowieka. Oprócz jego nieludzkiego wrzasku dawało się rozróżnić i inne głosy.

– Mówię ci! Spieprzajmy stąd! Ten gnój nie jest tego wart! – przekonywał ktoś na tle przeciągłego krzyku, którym ktoś inny wzywał mamę i Jezusa, by mu wybaczyli. Ktoś inny zaklął wściekłe, wrzasnął: „Zajebię cię, kuuurwa!”, a potem zacharczał i też zaczął wzywać mamę na pomoc.

Kapral Cellmer, „Spajor”, razem z Wikingiem i Kamilem podkradli się pod wybite okno na lewo od drzwi. Adrian, ich snajper, czuwał już z załadowaną kuszą. Dalia ubezpieczała go,

zdaje się, że z tasakiem w ręku. Kamila zapisała w pamięci, by porozmawiać z nią o standardach uzbrojenia. Skinieniem głowy dała znak Zielonemu i Graciarzowi. Ten drugi, prawdziwy olbrzym, kopnięciem wyważył drzwi do środka, przywalił komuś barkiem i obalił go na ziemię. Kamila przeskoczyła nad nimi. Wpakowała bełt w środek czyjejś zdumionej twarzy.

– Pamiętajcie, przynajmniej dwóch żywych ma być! – krzyknęła, upominając tak innych, jak i siebie.

Ostatecznie przywiedli ze sobą trzech jeńców, w tym Papłę, jednego z poruczników Świeżego. A także mężczyznę, który broniąc się przed bandytami, zdążył ich nieźle poharatać przed przybyciem Umarłych.

Nim zemdlał, zdążył powiedzieć, że jest jakimś „duchem” i nazywa się Wesoly.

## Rozdział 24

– Wszystko gotowe? – zapytała Dalię.

Kapral skinęła tylko głową. Odwaliła większość roboty, jeśli chodzi o komunikację z plutonem, kiedy Kamila szwendała się z Wesołym, który opowiedział o wydarzeniach w dalekim Krakowie i jeszcze dalszej Nowej Hucie. Kamila zaplanowała wszystko już z rok wcześniej, ale ciągle odwlekała akcję. Trochę dlatego, że chciała doszlifować plan do perfekcji, a trochę dlatego, że żał jej było występować przeciw starszkom, których traktowała jak rodzinę. Miała nadzieję, że ockną się wreszcie. Ale Mawte wydawał się zainteresowany głównie wypasaniem swoich kóz, a generał snuł z przeorem plany rozwoju gospodarczego i zastanawiał się, skąd brać ludzi do pracy.

Opowieść Wesołego zmieniła wszystko. Nie mogli dłużej czekać. Gdzieś tam rosła nowa, potworna siła. Jeśli nie złamią obowiązujących zasad Szóstej, wrogowie prędzej czy później przybędą po nich. A armia nie będzie na to gotowa.

Rozumiała, dlaczego starzy nie chcieli wracać do Krakowa. Im musiał kojarzyć się wyłącznie z krwią i śmiercią. Kiedy wybuchła wojna, część z nich stacjonowała właśnie w Krakowie, a część znalazła się tam przypadkiem. Ostatecznie wszyscy skończyli jako Szósta, niezależnie, z jakich jednostek pochodzili. Zgromadził ich generał Joks, który poprowadził prawdziwą Szóstą Powietrznodesantową na odsiecz uwięzionym w płonącym, oszalałym mieście żołnierzom. Kiedy wkroczał do centrum Krakowa, nie wiedział, co zastanie. Nie był pewny, czy ma pomagać cywilom, czy opanować zamieszki. Czy bardziej przydatne okażą się służby medyczne czy broń.

Trafił w sam środek wojny wszystkich ze wszystkimi. I zginął już trzeciego dnia.

To były dziwne czasy – jak zwykł powtarzać Mawte. Oficerowie padali jak muchy, jakby kule wyszukiwały ich



pośród innych albo śmierć czaiła się specjalnie na nich. I koniec końców, dowódcą został Skrobosz, który w 2013 był ledwie sierżantem i to odpowiadającym za zaopatrzenie. Jednak okazało się, że po Pożodze to właśnie zaopatrzenie i logistyka zyskały na znaczeniu, a wykazujący charakterystyczny dla wojskowych zaopatrzeniowców talent do organizowania sprzętu na wszelkie możliwe, niekoniecznie legalne, sposoby Skrobosz był w tym miejscu najwłaściwszym człowiekiem. Uratował niedobitki stacjonujących w Krakowie oddziałów, dzięki szalonym akcjom Mawte obronił szpital wojskowy, na który wielką chrapkę mieli więźniowie z Montelupich starający się zmienić Kraków we własne imperium, a potem ocalonych i łupy przewiózł Wisłą do Tyńca, na statkach turystycznych i barkach. A wszystko to pod ostrzałem, wśród pożarów i szturmów oszalałych band mordujących każdego, kto nie chciał się do nich przyłączyć.

Trudno było nie czuć respektu na myśl o tym, czego dokonali ci dwaj, dziś w stopniu generała i pułkownika.

A Kamila musiała ich usunąć. Czy mogła to zrobić, nie raniąc ich uczuć? Uratowali ją, wychowali, prawie adoptowali. Może prościej byłoby ich po prostu zastrzelić we śnie? Ale na to nikt by się nie zgodził. Umarli i reszta Szóstej nie poszliby za kimś, kto zabił dwie legendy. Usunąć ich, skłonić do przejścia na emeryturę, może nawet namówić do wstąpienia do zakonu... To mogło się udać. Ale gdyby ich zabiła, jej ludzie zaciągnęliby ją na szubienicę.

Zresztą nie była pewna, czy zdołałaby to zrobić. I tak podjęcie decyzji o ich usunięciu łamało jej serce.

Dalia otworzyła usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale zamknęła je gwałtownie, wyprężyła się jak struna, zasalutowała zakrwawioną ręką, nie zwracając uwagi, że znaczy czoło na czerwono.

– Paaan pułkownik! – zawołała.

– Spocznij. – Mawte uśmiechnął się krzywo, jakby zdawał sobie sprawę, że Dalia odstawiła pokaz głównie po to, by ostrzec swoją porucznik, że stary zakradł się cichcem do ich piwnicy. – Przyszedłem podziękować za podesłanie mi

młodego do zluźnienia. Zostawiłem go tam, żeby oswoił się z dziewczynami. Wiecie, że wyciągnęły dziś z Wisły coś jakby suma? Musiał ważyć ponad pół tony.

Oczy Dalii zabłysły.

– Mogę go pokroić?

– Zeżarły nawet szkielet. Będziesz musiała zadowolić się tym czymś na stole... Czymkolwiek to jest.

– Hienoowca, panie pułkowniku! Nazwałam ją tak, ponieważ...

– Interesuje mnie tylko, czy jest jadalna, kapralu.

– Tego jeszcze nie wiem. Ale jak przeprowadzę kilka prób...

– W takim razie nie będziemy ci przeszkadzać. Córuchna, pozwól za mną.

Odwrócił się i zaczął się wspinać schodami, nie tracąc czasu na zastanawianie się, czy Kamila idzie za nim czy nie. Choć nie wydał oficjalnie rozkazu, było oczywiste, że porucznik nawet się nie zawaha.

Kamila wymieniła tylko spojrzenie z Dalią i pognąła schodami za pułkownikiem.

Klasztor w Tyńcu okazał się doskonałym wyborem. Zbudowany jako średniowieczna forteca, przetrwał wszystkie wojny przed Pożogą i nieraz służył różnym armiom za bazę. Wzniesiony na skale, rozbudowywany był, jawnie i niejawnie, przez prawie tysiąc lat, toteż obfitował w podziemne piwnice i korytarze wykute w skale, na której go wzniesiono. Można się było w nich chronić przed promieniowaniem i wściekłymi burzami Pożogi, przetrwać najgorsze lata, choćby skromnie i w ciasnocie. Kiedy u wrót opactwa stanęły niedobitki Szóstej, mnisi przyjęli je ze zrozumieniem. Nawet jeśli niewielu z nich pamiętało ostatnią wojnę, ich wspólną historię stanowiły wspomnienia całych pokoleń zakonników. Dlatego nie zdziwili się, że armia znów szuka u nich schronienia. Tym bardziej że Skrobosz przywiózł ze sobą mnóstwo zaopatrzenia, a oni przyjęli już do swoich piwnic mieszkańców z całej okolicy. I choć dysponowali własnymi zapasami, a do tego potrafili przerobić na całkiem smaczny posiłek niemal każdy pęd trawy, zdawali sobie sprawę, że może zabraknąć im jedzenia dla

wszystkich.

Tak właśnie zaczęła się historia Twierdzy. Jedyne, jak się wydawało, miejsca w okolicach Krakowa, w którym nie tylko zapanował porządek, ale z czasem zaczęła się też odradzać cywilizacja. Choć ludzie wciąż żyli w piwnicach i naprędce budowanych schronach, przecież wychodzili na powierzchnię, by hodować zwierzęta i uprawiać ziemię. Ruiny domów w okolicach opactwa wykorzystano, by zbudować z nich nowe gospodarstwa – o grubszych murach, każde z głęboką piwnicą mogącą od biedy pełnić funkcję schronu, na wypadek gdyby okazało się, że ktoś gdzieś jeszcze nie tylko dysponuje nowoczesną bronią, ale też jest na tyle szalony, by próbować jej użyć. Wszystkie obwarowano, przystosowano do warunków wojny po Pożodze, co oznaczało, że same zaczęły przypominać średniowieczne budowle z wieżyczkami strzelniczymi i wąskimi oknami. Później wzniesiono kolejne umocnienia, poszerzając zasięg Twierdzy.

A w 2033 starego czasu Twierdza przypominała już sprawnie funkcjonujące miasteczko, w którym mieszkało blisko trzystu ludzi. Zorganizowano je po trosze na wojskowy, a po trosze na zakonny sposób, co zdaniem Kamili oznaczało prawie to samo, bo w obu przypadkach wiązało się ze ścisłym przestrzeganiem dyscypliny.

Dzięki temu przetrwali, choć szybko skończyły im się zapasy nowoczesnej amunicji, której nie mieli czym zastąpić. Karabiny i pistolety zostały zakonserwowane i trafiły do skrzyń, a żołnierze przerzucili się na łuki, proce, kusze, noże, a nawet szable. Przeor uśmiechał się znacząco, gdy pakowali broń do jednej z piwnic, w której o ściany opierały się już podniszczone piki, szable i halabardy, a nawet muszkiet.

Mawte poprowadził ku murom przez wyłożony kamienną kostką dziedziniec, obok osłoniętej drewnianym dachem studni pamiętającej czasy tak zamierzchłe, że aż mityczne. Wspięli się na nie schodami, oparli o blanki z widokiem na Wisłę. Tak jak pułkownik Kamila osłaniała głowę bordowym beretem z wyszytym emblematem przedstawiającym rozłożony spadochron oraz coś, co wedle opowieści miało być ptakiem,

ale Kamili kojarzyło się z dziwnie wykrzywionym kapeluszem grzyba atomowego. U niektórych starszych żołnierzy, z których większość zdążyli już pochować, widziała takie same naszywki, ale na jaśniejszym tle. Wszyscy nowi rekruci, przyjęci do Szóstej po Pożodze, nosili jednak bordowe. A to wyłącznie dlatego, że Skrobosz, wywożąc leki, amunicję i żywność, nie zapomniał też opróżnić magazynów z zapasów beretów i oznak rozpoznawczych 6. Batalionu Dowodzenia VI Dywizji. A także z oporządzenia, w tym z butów, za co Kamila i reszta żołnierzy błogosławili go po dwudziestu latach.

Tamten konwój to musiała być nielicha wyprawa. Najpierw ciężarówkami przez ogarnięte szaleństwem miasto, odpierając ataki tych z Monte i innych band złożonych z coraz bardziej zdesperowanych ludzi, potem rzeką, szlakiem pożarów i walk. Spokojniejszą może niż dziś, bo wolną od zmutowanych potworów, ale za to pełną samozwańczych piratów domagających się uznania Wisły za ich terytorium i narzucających myto. A wszystko to na zwyczajnych, nieprzystosowanych do walki statkach wiślanej floty turystycznej.

Czasem żałowała, że prawie nic z tego nie pamięta. Miała ledwie trzy lata, gdy Mawte wyciągnął ją z płonącego autobusu, który zaatakowali ci z Monte, by ograbić uciekinierów.

– Jak tam nasz gość? – zagał pułkownik. – Powiedział coś nowego?

Przesłuchali go, gdy doszedł wreszcie do siebie. Starzy: generał, pułkownik i przeor, ale i Kamila, jako dowódca oddziału, który go odnalazł. Razem wysłuchali opowieści o Federacji Schronów Nowej Huty i Kombinacie. O Federacji wiedzieli już wcześniej. Do Tyńca przebił się kiedyś jeden z kurierów Muzeum i opowiedział to i owo o Hucie. Twierdza przyjęła propozycję współpracy, ale żaden przedstawiciel Muzeum już nie powrócił. Starzy nie wydawali się zaskoczeni. Za cud uznali, że choć jednemu kurierowi udało się dotrzeć tak daleko.

Ale przyniesione przez ducha wieści o Królu i jego armii zrobiły na starych wrażenie. Kamila widziała to na ich

twarzach. Zwłaszcza generał i pułkownik wyglądali na wstrząśniętych. Wymienili wtedy spojrzenia, za którymi zdecydowanie kryło się coś więcej. Ale nie zdołała nic z nich wydobyć, choć starała się ostrożnie podpytać Mawtego.

Ta ich tajemnica stanowiła kolejny powód, dla którego zdecydowała się działać.

– Nie – skłamała. – Nic nowego.

A przecież opowiedział jej o swoich wizjach zrodzonych w samym środku bitwy, gdy dzielił umysł z Królem i setkami jego podwładnych.

– Dalej nie pamięta, jak uciekł?

– Mówi, że to było jak sen. Dzielił umysł z setkami stworzeń i zapomniał nawet, co to znaczy być człowiekiem. Ocknął się na polu usianym trupami. Schował się w jakiejś piwnicy, żeby przeczekać dzień. Nocą biegł jak najdalej od Huty i Krakowa. Aż złapali go ludzie Świeżego. Podobno nie chcieli go zabić, ale bał się, że go pożrą. Zamiast mózgu musiał mieć niezłą sieczkę, bo wydawało mu się, że dla Świeżego nie pracują ludzie, ale potwory.

– Będziemy ruszać na Świeżego, wiesz? Za tydzień albo dwa. Trochę nam popsulaś szyki tym swoim rajdem, ale znów się rozzuchwalił. Stał się pewny siebie, czyli nieostrożny. Mamy go na widelcu.

– Za tydzień albo dwa – powtórzyła. – Przydał się Papla, nie?

– Nie. Pary z gęby nie puścił. Ale jego człowiek sporo wyśpiewał. Znamy kryjówki, magazyny, liczebność. Do końca go nie złamaliśmy. Nic nam nie chce powiedzieć o tym przeklętym Świeżym. Jest dla swoich ludzi prawie bogiem. Chronią go, ukrywając przed nami. Gdy uderzymy, dorwiemy wszystkich.

– Wysyłacie na zwiady wszystkie plutony, tylko nie mój! – zachnęła się.

– Dowódca twojego musi nauczyć się cierpliwości, córuchna – upomniał ją. – Mogliście sporo napsuć tamtym rajdem.

– Uratowaliśmy ducha!

– Fuks.

– To chciał mi pan powiedzieć, pułkowniku? Że jestem złym

dowódcą?

– Jesteś dobrym dowódcą, córuchna. Może nawet najlepszym, jakiego mamy. Ale niecierpliwym. Chciałem ci powiedzieć, żebyś się zaczęła szykować na Świeżego. Jeszcze nie mów o tym swoim, ale planuj akcję. Poprowadzisz ją.

Zabrakło jej słów. Poprowadzi akcję? Wszystkich plutonów? To zupełnie jakby starzy namaścili ją na przyszłego dowódcę!

– Chcecie mnie awansować? – zapytała ostrożnie. – Chociaż jestem Umarła?

Mawte, który do tej pory patrzył wyłącznie na rzekę, teraz odwrócił się w stronę Kamili. Twarz miał, po swojemu, jak wykutą z kamienia.

– Nie obchodzi mnie twoja pokręcona religia, córuchna. No dobra, zapaskudziłaś tatuażem tę śliczną twarz i tego ci nie wybaczę. Ale teologię mam gdzieś. Marek, przepraszam, generał Skrobosz się tym przejmuje. Ja nie. Mnie interesuje, jakim jesteś dowódcą. A jesteś dobrym. Jak nauczysz się cierpliwości, będziesz świetnym. Czy cię awansujemy? To się zobaczy. Pamiętasz, co ci powiedziałem przy pasowaniu?

– Że być żołnierzem, to znaczy bronić ludzi. Nie walczyć, nie realizować ambicji, ale bronić.

– No. Dobrze zapamiętałaś. Więc chroń ludzi. No i tyle ci chciałem powiedzieć.

Odwrócił się i odszedł. Odprowadzała go wzrokiem, a w jej myślach szalał huragan.

Jeśli rzeczywiście zamierzali ją awansować, to może należało odwołać akcję? I tak zostanie dowódcą, a wtedy zaprowadzi własne porządki. Bezkrwawo. Owszem, jeśli autorytet starych nie ucierpi, może być jej trudniej. Ale przecież i tak nie zamierzała nawracać wszystkich na religię Umarłych, nie każdy musiał nosić znak śmierci na twarzy. Wystarczyłoby, że z czasem przyjęliby filozofię Umarłych jako swoją.

Chyba że to była pułapka. Ale jaka? Mawte nie skrzywdziłby przecież swojej córuchny. Niejeden raz bronił jej przed generałem. Kamila zdawała sobie sprawę, że pułkownik stał za nią murem, chociaż nie dał się przekonać do zostania Umarłym. Och, jak tego żałowała!

– Wasza filozofia trwania przy zdechłej cywilizacji to błąd! – tłumaczyła mu raz za razem. – Tamten świat przepadł, a wraz z nim cywilizacja. Jeśli będziemy przy niej trwać, trzymać się kurczowo tego trupa, też przepadniemy.

– Czekał, pogubiłem się. Które z nas ma połowę twarzy zamazaną tatuażem z czaszką i upiera się nosić wyłącznie czarne kombinezony i mundury?

– Nazywamy się Umarłymi, ponieważ przyjmujemy śmierć, bo tylko tak możemy narodzić się na nowo – tłumaczyła mu cierpliwie. – Tak jak Chrystus. Umarł i odrodził się jako zupełnie nowe życie dla zupełnie nowego świata. Teraz cała ludzkość umarła, ale musi to zaakceptować i odrzucić wszystko, co stare, żeby móc żyć w nowym świecie.

– Wiesz, jak nienawidzę tego teologicznego pieprzenia – krzywił się. – Cholera, wiedziałem, że ten klasztor wyjdzie nam bokiem.

– Dobrze, wyłożę ci po żołniersku. Cywilizacja zdechła. Nie ma już samolotów, karabinów i telewizorów. Nie ma internetu. Są bezdroża i bandy dzikusów. Są mutanty, z każdym pokoleniem wredniejsze i lepiej dopasowane do świata. Są kwaśne deszcze i wiatry przynoszące promieniowanie. To jest nowy świat. Jeśli kurczowo trzymasz się starego z jego ideologiami i kulturą, umrzesz. Nie ma do niego powrotu. Musimy żyć tu i teraz, jakby tamtego świata nie było. Bo on nie ma nam nic do zaoferowania. Tylko złe podpowiedzi i pomysły na życie, które doprowadziły do zagłady. Albo się od tego odwrócimy, albo umrzemy.

– Przesadzasz. – Każda ich rozmowa kończyła się w ten sam sposób. – Ten klasztor to przykład dobrego spadku po tamtym świecie. Piwo też. Dorośniesz, to minie ci ten radykalizm.

I tyle. Poczekaj, dorośnij, naucz się cierpliwości i dystansu. Jaka szkoda, że popsułaś taką śliczną buziuchnę. Kochała Mawtego, ale bywał tak pretensjonalnym, starym sukinsynem, traktującym ją jak dziecko!

Nie, uznała, nie może czekać. Kiedy zakładała bordowy beret, przysięgała bronić ludzi. I obroni ich, nawet jeśli to oznacza, że musi chronić ich przed ludźmi, których kocha.

## Rozdział 25

– I jak? – zapytał Skrobosz, gdy Mawte przyszedł do jego celi mieszczącej się wśród cel zakonników, z którymi starzejący się generał czuł się z każdym dniem bardziej związany niż z armią. Żałował, że nadal nie potrafił się martwić o swoją duszę i poświęcać większej uwagi życiu wiecznemu. Skupianie się na tym doczesnym, nawet nie swoim, ale ludzi, za których czuł się odpowiedzialny, pochłaniało prawie cały czas.

– Pogadałem z nią. Obiecałem, że poprowadzi akcję przeciw Świeżemu.

– Jaką akcję przeciw Świeżemu?

– Tę, którą planujemy.

– O? Planujesz coś? Z kim? Zostanę zaproszony? A może już dopadła mnie skleroza i nie pamiętam narad? Jezu, może to ten Szkop, jak mu tam...

– Alzheimer. Daj spokój – Mawte usiadł obok generała na łóżku. Zdjął beret i zaczął obracać go w ręce. – Świeży to skurwysyn. Trzeba go zdjąć, osądzić i powiesić. Sam dobrze to wiesz.

– Siedzimy tu od ilu lat? Od dwudziestu? Ilu już takich Świeżych widzieliśmy? Szaleją, szaleją, a potem dochodzą do wniosku, że są tak bogaci, że robią się chciwi władzy. I sami się wykańczają w walkach o kolejność dziobania.

– Świeży narusza nasze granice. I jestem pewny, że szykuje coś wrednego. Mam wrażenie, że nasi zwiadowcy widzą tylko to, co on chce, żebyśmy zobaczyli.

– Narusza nasze umowne granice. Wchodzi w gruzy, które nazwaliśmy naszymi, i depcze w nich trawę, której nie zdążyły jeszcze zeżreć twoje kozy. Nigdy nie zbliżył się do żadnego gospodarstwa na odległość strzału z kuszy. Popadasz w paranoję, przyjacielu. On jest nikim. Jeszcze jednym nikim.

– Niekoniecznie „jeszcze jednym”. Może być czymś nowym.



Co my o nim wiemy? Podobno ma jakieś szesnaście lat. To by znaczyło, że nie zna świata sprzed Pożogi. Może to bujda, ale jestem w stanie w nią uwierzyć. Wiesz, że właśnie z takich dzieciaków wyrastają prawdziwi watażkowie, jeśli tylko dopisze im odrobina szczęścia. A teraz sytuacja się zmieniła. Jesteśmy już jednymi z ostatnich w Szóstej, którzy byli w armii przed wojną. Większość to jeszcze dzieci. Oni widzą, że Świeży jest śmiały, a my zramolali. Potrzebują dowodu, że Szósta to nie tylko świetna organizacja Twierdzy i pełne brzuchy, ale też ciągle najlepsi żołnierze na tym cholernym świecie!

– Bardzo to wszystko mądre – oznajmił generał po chwili zastanowienia. – I może nawet masz rację. Ale myślałbyś tak, gdyby nie chodziło o Kamilę?

Pytanie było wredne, ale celne. Pułkownik przestał obracać beret w palcach. Przymknął oczy, przypominając sobie, jak dwadzieścia lat temu gnali trzęsącym się i ryczącym wściekle honkerem, tym samym, który stał teraz w przerobionych na szopę ruinach domu. Starali się nie zwracać uwagi ani na łunę ognia za plecami, gdzie tylna straż próbowała wymknąć się tłumom oszalałych grabieżców, ani na pojedynczych ludzi w ostatniej chwili uskakujących spod kół. A przede wszystkim nie spoglądać na niebo, które zdawało się wciąż płonąć. Co gorsza, przeciwko ognistej czerwieni wyruszały coraz gęstsze chmury gorącego burego pyłu, powoli opadającego na ziemię. Jeśli człowiek nie osłonił ust i nosa maską, jeśli nie zasłonił oczu goglami, pył wdierał się w nie, drażniąc, a nawet raniąc. Świat, a wraz z nim Kraków, stawał się bardzo nieprzyjaznym miejscem.

Z całych sił starali się nie myśleć o promieniowaniu ani o pyle, którym stopniowo pokrywały się niebo i ziemia. Honker nie należał do ulubionych samochodów Mawtego, ale przynajmniej był na chodzie, w przeciwieństwie do naszpikowanych elektroniką toyot i mercedesów, które zwyczajnie zdechły po wybuchu. Ironią było, że żołnierze zatęsknili za starymi rżęchami, których tak chętnie pozbywali się dwie dekady wcześniej. Na tych, którzy zachomikowali gdzieś parę UAZ-ów, patrzyli teraz jak na szczęściarzy.

Wybuch! Mawte starał się o nim nie myśleć. Podobnie jak o tym, w jaki sposób wydostanie się z piekła, w jakie zmienił się Kraków, i powrocie do domu. Przyjechał tu ledwie trzy dni wcześniej, żeby napić się z kumplami. Ci zaprowadzili go do wojskowej knajpy przy Rakowickiej i właśnie siedzieli tam przy śledziku i dodatkach, kiedy syreny zaczęły wyć przeraźliwie. Zbierający ludzi kapral był tak przerażony, że nie zwracał uwagi, czy do prowizorycznego schronu zagania cywilów czy mundurowych. Kryli się w nim wszyscy poganiani rozpaczliwym krzykiem: „To nie ćwiczenia!”. Dzięki temu Mawte nie tylko przeżył, ale też na powrót trafił do wojska. Nie wiedział jeszcze, do jakiej jednostki; chaos, który zapanował, gdy prawie milion mieszkańców Krakowa i przyjezdnych wpadło w dziką panikę, jaką Mawte pierwszy raz widział na oczy, uniemożliwił porządne zarządzanie. Dlatego trzy dni po wybuchu gnał wzbijającym chmury pyłu honkerem w towarzystwie porucznika będącego specjalistą od ataków chemicznych, pochodzącego z Podhala sierżanta saperów, nie wojskowego, ale policyjnego antyterrorysty, i jakiegoś pieprzonego kwatermistrza trzęsącego się o każdą okruszynę suchara, której nie udało mu się zagrabić z magazynu. Zasuwali ku szpitalowi wojskowemu, bo tam jedyny ocalały generał kazał się gromadzić całemu wojsku, nim ostatecznie padła łączność radiowa. Prowadzili konwój. Za nimi gnały wyładowane ocalonym sprzętem dwa jelcze, iveco, a nawet wyciągnięty nie wiadomo skąd i pozostający na chodzie dzięki zamięłowaniu pewnego świętej pamięci majora do zabytkowych gratów Ural 375D, prawdziwy potwór wyglądający, jakby był w stanie przetrwać wszystko, łącznie z wjechaniem prosto w atomowy wybuch.

Gdy przejeżdżali obok więzienia przy Montelupich, posypały się na nich kule. To więźniowie, którzy przejęli władzę w zmienionym w areszt niegdysiejszym pałacu włoskiej rodziny, spróbowali zgarnąć transport. Zbyt późno go dostrzegli, a i dysponowali niemal wyłącznie bronią krótką, toteż ich szanse wyglądałyby mizernie, gdyby nie płonący dwupoziomowy autobus na środku drogi, który pełnił funkcję

barykady.

– Minę chuja drugim pasem – zameldował kwatermistrz, trąbiąc, by uprzedzić ciężarówkę o manewrze.

Nic im z tego nie wyszło. Nie byli pierwszymi, którzy starali się tędy przejechać. Dziesiątki porzuconych przy chodniku samochodów sprawiły, że między nimi a autobusem zachował się przesmyk szeroki najwyżej na metr.

– Nie przejadę – ryknął kwatermistrz. – To nie jest czołg! Może ten ruski złom przepchnie trochę autobus? Ty, wążacz! – zwrócił się do Mawtego. – Wskocz, powiedz im, co mają zrobić!

Wyskakiwanie tak sobie ucieszyło Mawtego. Choć więźniowie strzelali niezbyt celnie, to widział, że kilkunastu przeskakiwało już przez mury i gnało ku nim z łomami i nożami w rękach. Zerknął na najwyższego stopniem, porucznika, ale ten przeliczał coś gorączkowo, znacząc ołówkiem w notesie słupki liczb. Miał tego pecha, że jak żaden z nich znał się na tym, co promieniowanie może zrobić z człowiekiem. Toteż tak się skupiał na czarnych wizjach, że nie starczało mu uwagi na nic innego. Mawte skrzywił się, ale otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu, tuż obok leżącego na dachu autobusu w białoczerwonych barwach.

Nie od razu podbiegł jednak do hamujących z piskiem opon ciężarówek. Pomimo wściekłego hałasu do jego uszu dobiegły jeszcze jakieś dźwięki. Jakby płacz. Odwrócił się i stanął oko w oko z wielkooką dziewczynką przypatrującą mu się z drugiej strony pękniętej szyby. Dziecko miało jakieś trzy lata. Przygniatało je ciało kobiety, której rana głowy wykluczała jakiegokolwiek szansę, by pozostała przy życiu.

– Hej, co jest? – kierowca jelicza wychylił się z szoferki. – Ty, wążaty! Co jest? Czemu tu, kurwa, stoimy? Piknik sobie robisz? Ja pierdołę, wałę do nas jak do kaczek!

– Nie przejedziemy! – odpowiedział Mawte. – Musicie przesunąć ten autobus! Ale czekaj na mój znak! Tam są żywi!

Jak wydostać to dziecko? Jeśli sprzeda kopa szybie, może ją rozwali, ale porani dziewczynkę. Trzeba inaczej. Podbiegł z powrotem do honkera, szarpnął.

– Saper, masz spluwę? – wrzasnął.

Choć może się to wydawać zabawne, tylko nieliczni z nich mieli przy sobie broń. Nie szykowali się na wojnę w Krakowie. Nie zakładali, że będą musieli strzelać do cywilów, z których część zmieniała się we wściekłe bestie. Sam Mawte nie miał nic prócz scyzoryka. Porucznik uzbrojony był w licznik Geigera, a kwatermistrz w pałkę żandarmerii. Na co dzień powinno to wystarczyć, ale po wybuchu równie dobrze mogliby machać packami na muchy. Mawtemu wydawało się, że antyterrorysta wykazał się większą przedsiębiorczością, gdy pakowali broń na ciężarówki, ale pewności nie miał.

– Coś mi tam wpadło... – antyterrorysta poklepał beryla, którego udało mu się zwinąć przy załadunku, gdy kwatermistrz patrzył akurat w inną stronę. – A co jest?

– Dziecko utknęło w autobusie. Nie wiem, może jeszcze ktoś? Przytrzymasz tych z Monte na dystans, póki nie ruszymy.

– Taaa jest!

Pierwszą serię saper puścił pod stopy najbliższym podbiegającym więźniom. Wtedy jeszcze trudno było im przywyknąć do strzelania do cywili. Nie rozumieli, że po Pożodze pojęcie „cywila”, tak naprawdę, przestało istnieć.

Mawte wspiął się na bok autobusu, który znalazł się na wierzchu. Pechowo ten bez drzwi, szczęśliwie z potraskanym oknem. Zasłonił twarz chustą. Topiły się tu od gorąca plastikowe siedzenia, czarnym dymem wypełniała wnętrze płonąca guma. Mawte ześlizgnął się po ciele jakiegoś eleganta w garniturze, spróbował zlokalizować, gdzie siedziała dziewczynka. Usłyszał płacz i zaczął przedzierać się w jej kierunku przez wyrzucone z foteli ciała. Mało kto przejmował się obowiązkiem zapinania pasów i gdy autobus fiknął kozła, prawie wszyscy powypadali z siedzeń, gruchocąc sobie kości i łamiąc karki. Teraz leżeli bezwładnie, tam gdzie rzucił nimi impet wywrotki. Przeciskając się między nimi, Mawte kłął, na czym świat stoi.

Z zewnątrz dobiegła go krótka seria.

– Te, ratownik! – wrzasnął saper. – A wiesz, że mam tylko dwa magazynki? A leci tu na nas tak z pięćdziesiąt chłopów!

– Nie bój się! – odwrzasnął Mawte. – Zaraz dupnie bak w autobusie i będziesz miał ich z głowy!

Modląc się, by nie miał racji, dotarł wreszcie do małej. Odsunął ciało kobiety i zamarł. Dzieciak jako jedyny był przypięty pasem!

– Nie martw się, jestem ratownikiem – spróbował uspokoić zapłakane dziecko, a równocześnie dosięgnąć zapięcia pasa. Szło mu opornie.

– Zabierze pan mamusię i mnie? – spytała mała.

– Taaaaa... – Znalazł! Całe szczęście, już się bał, że będzie musiał ciąć. A to zabrałoby mu trochę czasu.

Nacisnął. Pas ustąpił. Mawte chwycił małą, pociągnął do siebie i nie marnując więcej czasu, cofnął się, oparł o fotel za plecami, starając się nie myśleć o czymś martwym ciele osuwającym się na niego od tyłu, i z całej siły kopnął w pękniętą szybę. Musiał powtórzyć, nim wreszcie ustąpiła. Najpierw wytoczył się z autobusu trup kobiety, tuż za nim wyskoczył Mawte z dzieckiem na rękach.

– Mamusiaaaa! – zawyło przerażliwe dziecko. – Zostawił pan mamusię!

Tak poznał Kamilę. Nie da się zaprzeczyć, że czuł się z nią związany i miał słabość do małej. Nawet po tym jak została prorokiem własnej religii i oszpeciła sobie twarz trupim tatuażem.

– Nie wiem – westchnął. – Może. Jasne, że córuchna jest dla mnie ważna. Nie mów, że Kaktus też się za nią nie wstawiał.

– Wstawiał się. Ale co niby ma znaczyć wasze wstawiennictwo wobec buntu?

– Przecież nie namawiam cię, żebyśmy sobie pomalowali gęby w czaszki. Tylko żebyśmy zrobili to samo, co robiliśmy dwadzieścia lat temu: dali po mordach bandytom. Na tym zbudowaliśmy Twierdzę, pamiętasz? Jesteśmy Szóstą. Wojskiem, nie biurwami!

– Jesteśmy dwoma dziadkami, którzy pięćdziesiątki na torcie nie widzieli tylko dzięki temu, że nikt już nie robi tortów.

– Pięćdziesiąt lat to jeszcze młodość!

– Dawniej. Kiedy nie byliśmy jeszcze wszyscy łysi

i napromieniowani. A ja mam bliżej do sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki. Beret mi spada z glacy, taka jest śliska.

– Tym bardziej powinniśmy pokazać, że mamy zęby!

– Jakie zęby? Połowa mi wypadła. Jem głównie zupy. Wiesz co? Jak ta twoja córuchna nas dzisiaj nie zaatakuje, to poprowadzi ten wasz wymarzony atak na Świeżego. Niech go nie zabija, może uda się go zwerbować. Byłby może z niego niezły oficer. Jeśli prawdą jest choć połowa rzeczy, które o nim mówią.

– Żartujesz! Gnój musi zawisnąć. To nic osobistego, ale nasi ludzie muszą zobaczyć, jak dynda.

– Powiesi się kogoś z jego ludzi i powie, że to on. Kto go niby widział? A sam mówisz, że gówniarz może mieć talent. Jak zostanie sam, bez swoich, to może poukładamy mu w głowie.

– Ale nie może być tak, że podda się i wstąpi do Szóstej z całą bandą!

– Nie, jasne. Tylko on może, ewentualnie, ocaleć. No więc jeśli ta twoja nie będzie nas chciała dziś zabić, jeśli się opamięta, to poprowadzi atak. A jak jej się uda, to może ją awansujemy. Przydałby się w końcu jakiś kapitan. Przywiążemy ją do biurka, wprowadzę ją w kwatery, to spotulnieje.

– Taaaa.... Już to widzę.

– Najpierw musimy przetrwać tę noc. I ona, i my. To jak, umowa stoi?

– Jak nas nie zabije, to jej nie powieszysz?

– Jak ja lubię te twoje zakłady, Mawte! Jak nas zabije, to na pewno jej nie powieszysz. Teraz zostaje już tylko czekać.

## Rozdział 26

Kamila zeszła do kwatery Umarłych mieszczącej się w dawnym sklepie z pamiątkami. Kiedyś była to przeszklona przestrzeń z pięknym widokiem na dolinę Wisły i wcale niegorszym na dziedziniec. Teraz szkło zastąpiły mury, na dole z kamienia, wyżej z cegieł pozyskanych z ruin. To nie Szósta je wzniosła. Zakonnicy, mądrzy doświadczeniem pokoleń zapisanym w kronikach opactwa, sami zaczęli umacniać klasztor. Żołnierze tylko dokończyli dzieła.

Na dziedziniec i na rzekę można było teraz patrzeć wyłącznie przez wąskie otwory strzelnicze, które dawało się zasłonić od wewnątrz blaszanymi okiennicami. Fortyfikowanie pomieszczenia od strony Wisły początkowo wydawało się Kamili przesadą – klasztor wzniesiono na górze, za oknami niegdysiejszego sklepu stromo opadała w dół kilkudziesięciometrowa przepaść, niby kto miałby być zdolny do ataku od tej strony? A jednak znaleźli się tacy: pełzacze zdolne wspinać się nawet po niemal gładkich, pionowych ścianach, ptaki... Tak zakonnicy, jak i żołnierze zgadzali się, że bezpieczeństwo było ważniejsze od widoków.

Przesunęła dłonią po kamiennej ścianie. Nawet w największe upały pozostawała chłodna. Człowiekowi łatwo przychodziło uwierzyć w potęgę takich murów, w to, że musiały być niezwyciężone. Przetrwały stulecia i Kamili wydały się znacznie lepszym schronieniem od podziemnych bunkrów, o których słyszała, od betonowych królestw ludzi, którzy przyjęli los kretów i z obawą spoglądali w niebo.

I żołnierze Szóstej musieli ukrywać się w głębokich piwnicach, chronionych warstwami skały i muru, w czasach gdy powietrze przesycone było śmiercią, deszcz nie splukiwał brudu, lecz opadał ciężki od brunatnego pyłu, a słońce, gdy czasem cudem pojawiło się między czarnymi chmurami, parzyło skórę,

pozostawiając po sobie paskudne pamiątki krwistoczerwonych bąbli. A jednak nawet wtedy zakonnicy wędrowali krążgankami do kaplicy, gdzie co wieczór śpiewali swoje pieśni. Grube mury potrafiły chronić ich przed większością niebezpieczeństw. Jakby ci, którzy wznosili jej w średniowieczu, potrafili przewidzieć nawet broń obracającą w perzynę całe miasta i przygotować się na nią.

Kamil Wojakowski, Wiking i Spajor rozgrywali jedną ze swoich niekończących się partii promienniaka, gry, którą chyba sami wymyślili. Kamili wydawało się czasem, że tylko oni rozumieli jej reguły. W kartach potrafili spuścić łomot nawet Mawtemu, choć ten przecież każdego wieczora grał z generałem, a czasem i innymi oficerami w pokera, remika albo brydża, jeśli udało mu się zebrać czterech chętnych. Kamilę przez chwilę cieszyło nawet zgłębianie tajemnic licytacji w brydżu, gdy jednak uznała, że nauczyła się o grze wszystkiego, straciła dla niej zainteresowanie.

Przystanęła za plecami chłopaków, by zobaczyć, jak im idzie.

Wiking próbował przyjąć kamienny wyraz twarzy, by pozostałym nie przyszło na myśl, że ma w rękach głównie dwójki i trójki, jednak bez choćby kawałka czwórki, z którą mógłby ułożyć niemrawy sekwens. Wojakowski dawno się już wyłożył, podniósł więc licytację o kilka kamyków symbolizujących może dodatkowe racje deserów, a może dyżury. Kamyki zastępowały im wszystko: zamianę podczas wart w co paskudniejsze noce, minuty wolnego, które spędzić można było w gospodarstwach, rzadkie desery, a czasem nawet przydziały pralnicze bądź mniej lub bardziej kretyńskie wyzwania, które rzucali sobie w tajemnicy. Kamila przyłapała ich kiedyś, jak po grze wszyscy trzej weszli po kolana do Wisły i stali w niej dokładnie tyle sekund, ile każdy z nich przegrał w ostatniej grze kamieni. Opieprzyła ich wtedy za to, aż mury klasztoru drżały, i zagroziła, że jeśli jeszcze raz zobaczy, iż narażają pluton, odbierze im te cholerne karty. Od tej pory rzucali sobie rozsądniejsze wyzwania.

Albo lepiej udawało im się zachowywać je w tajemnicy.

Wiking dobrał ze stosu czwórkę. Porzucił taktykę kamiennej



maski. Wykrzywił się paskudnie i wzdychając ciężko, wyrzucił swoją jedyną figurę: waleta kier.

– Ha! – Stelmer chwycił go, dodał do swojej damy i dychy, po czym rzucił je triumfalnie na stół. – Patrzcie i płaczcie!

Adrian nie przyglądał się grze. Jak zwykle rozebrał swoją kuszę i czyścił jej mechanizm. Nie przeszkadzało mu, że miał najlepiej przygotowaną broń w całej Szóstej. Rywalizował jedynie sam ze sobą. Zielony z Grandziarzem spali; ci dwaj wykorzystywali na sen każdą wolną chwilę. „Wyśpicie się po śmierci” – zakpił z nich kiedyś Spajor. „Po śmierci będę martwy i zjadany przez robaki” – odparł Zielony, zawsze ponury i konkretny. – „A teraz śnię o dawnych czasach”.

„A ty?” – zapytała Kamila Grandziarza. – „O czym ty śniesz?”

Popatrzył na nią takimi maślanymi oczami, że przez chwilę bała się, iż powie coś w stylu: „O tobie”, ale przeciągnął się tylko, ziewnął i wyznał, że nie pamięta swoich snów, po prostu lubi spać.

– Dwójki? – ryk Wojakowskiego, szczupłego pogodnego mężczyzny o zawsze krótko przystrzyżonych włosach wyrwał Kamilę z zamyślenia. – Trzy sekwensy na dwójkach?

– Z jedną piątunią – Wiking wyszczerzył się do niego radośnie. – Zebrałem dwadzieścia jeden? Zebrałem. Zrzuciłem karty? Zrzuciłem. Kto wygrał?

– Oszust i fuksiarz – zarechotał Spajor, poprawiając przeciwsłoneczne okulary, opierające się teraz o jego czoło. Upierał się je nosić nawet pod goglami, utrzymując, że dodawały mu szyku w starym stylu. Przetasował karty, kiedy Wiking zgarniał kamienie z blatu, demonstracyjnie przyglądając się każdemu, jakby oglądał diamenty, a nie odłamki krzemienia. – No, panowie, karta stygnie, szczęście czeka! Wiking, otwierasz!

– Za dwa – Jacek, zwykle nazywany Wikingiem, potarł brodę gęsto zarastającą mu jedynie podbródek, poprawił okulary, raz jeszcze złożył i rozłożył karty. – A może nawet za trzy.

– Za trzy! – zakpił Wojakowski. – Musiałeś chyba dostać pięć asów, skoro tak szalejesz. – Cztery.

– Ostrożni żyją dłużej.

– Ale smutniej! – roześmiał się Spajor, dorzucając od siebie pięć kamieni.

Zostawiła ich z licytacją, żeby usiąść obok Adriana.

– Zamachowski, weź przestań wreszcie picować tę kuszę, bo będzie się świecić tak, że z kilometra zobaczą ją nawet ślepe mutanty – oparła się o ścianę. Poprawiła beret. – Jezu, choć tych bełtów nie poleruj!

– Kiedy lubię – uśmiechnął się do niej po swojemu, trochę nieśmiało. – Karty mnie nie bawią, głodny nie jestem. Kombinezon pocerowany, czysty. Wiele do roboty nie ma. Poszedłbym do lasu, ale dziś mnie nie puścisz, prawda?

– Dziś nie – posmutniała. – Co myślisz o... dzisiaj?

Zwrócił ku niej spokojną, naznaczoną bliznami po oparzeniach i pazurach mutantów twarz, której prawą stronę pokrywał, jak u wszystkich Umarłych, tatuaż czaszki – w przypadku Adriana chudej jak maska śmierci głodowej, trochę zatroskanej, trochę pogodzonej z losem.

– Uznałaś, że tak trzeba, szefowo. Pogodziłem się z tym.

– Tak trzeba – potwierdziła. – Ale lżej się od tego na sercu nie robi.

Lubiła rozmawiać z Adrianem. Nie kpił jak Spajor, nie uciekał w twarde półsłówka jak Wiking ani nie zaczynał nagle opowiadać, jak to świetnie byłoby mieć więcej materiałów wybuchowych, które zdaniem Wojakowskiego potrafiłyby rozwiązać wszystkie problemy. Ostrożniejszy od Dalii gotowej pokroić pół świata i nie tak entuzjastyczny jak Dzejkej Adrian znajdował czasem lepsze od nich odpowiedzi, bo proste, odruchowe.

– To nie jest świat dla lekkich serc – powiedział. – Tylko tak przetrwamy.

– Tylko tak – zgodziła się.

– Znowu na dwójkach? – dobiegł ich ryk Wojakowskiego. – Wiking, przysięgam, kiedyś w końcu rozkminię tę twoją szulerkę, a wtedy będziesz miał pierze i smołę nawet w najciemniejszym zakątku dupy!

– Ostatni będą pierwszymi – zachichotał Wiking. – Zbieram, co wy marnujecie. Kamień odrzucony przez kretynów staje się

moim kamieniem węgielnym.

– Ratujemy świat – parsknęła Kamila. – Żeby ta banda miała gdzie grać w karty.

– Zawsze to jakiś powód – uśmiechnął się Adrian. – Mogę sobie wyobrazić gorsze.

– Ja chyba też – przyznała. Zdjęła beret, położyła się z nim pod głową na długiej drewnianej ławie, na której siedzieli. – Zdrzemnę się. Obudź mnie za godzinę.

To powinno być proste. Tej nocy służbę wartowniczą pełnił pierwszy pluton, złożony może nie z łazęg, ale z obiboków rozleniwionych pasmem nieustających triumfów Szóstej. Od blisko dekady nic, nie licząc stad jednomyślnych ptaków, nie zagroziło Twierdzy. Solidne średniowieczne mury odpowiednio umocnione po Pożodze chroniły ją przed bandami rabusiów, a głębokie piwnice wydrążone w skale sprawiały, że żołnierze i zakonnicy nie musieli się obawiać kwaśnych dreszczów ani promieniowania, powracającego czasem z wiatrem bądź ulewami przybywającymi na chmurach z dalekich, znacznie bardziej dotkniętych skażeniem krain. System ufortyfikowanych gospodarstw zapewniał wcale niezłe wyżywienie. Wszystko to sprawiało, że żołnierze Szóstej i obywatele Twierdzy mogli się poczuć niczym mieszkańcy jednego z mitycznych imperiów obfitości, świata prawie przypominającego ten sprzed wojny.

To rozleniwiało. I musiało doprowadzić do upadku.

Wartownicy pierwszego plutonu słynęli z tego, że pobłażliwie traktowali kolegów kręcących się po opactwie podczas godzin nocnych. Choć zgodnie z regulaminem wszyscy, poza wartownikami, powinni przebywać w przypisanych plutonom kwaterach, ci z pierwszego przymykali oczy na żołnierzy wyskakujących nocą do magazynu po wodę, coś do jedzenia albo po prostu snujących się po murach, żeby pogapić się nocą na okolicę. Udawali, że nie zauważali par wymykających się z pełnych ludzi sal gdzieś na ubocze, w poszukiwaniu odrobiny prywatności. Ogólnie rzecz ujmując, ci z pierwszego byli miłymi kolesiami, co Kamila byłaby w stanie nawet w nich cenić, gdyby nie służyli w cholernym wojsku.

Trzeci tego dnia obstawiał warownię strzegącą pierwszych trzech gospodarstw, co oznaczało, że znajdował się poza murami opactwa i nie byłby w stanie zareagować. Piąty pluton oddalony był jeszcze bardziej, bo w najdalej wysuniętej na zachód warowni. Jego dowódca miał dowiedzieć się o przewrocie, gdy za późno będzie na jakąkolwiek reakcję.

Pozostawała kwestia drugiego plutonu. Jednak znaczna część drugiego sympatyzowała z Umarłymi. Dyscypliny pilnował u nich Kaktus, nawet jeśli porucznik Majewski nie przywiązywał do niej wielkiego znaczenia. Awans tego faceta zdumiewał Kamilę. To Kaktus powinien dowodzić drugim. No, ale Majewski należał do weteranów, służył w Szóstej jeszcze przed wojną i podobno był świetnym żołnierzem, póki nie zmarniał po śmierci żony. Starzy zostawili mu dowództwo, by nie dobijać ostatecznie złamanego człowieka, a może w nadziei, że wreszcie się ocknie. Dla Kamili ich decyzja stanowiła kolejny dowód na to, że kierowały nimi sentymety. Zestarzeli się, zaczęli myśleć sercem, nie rozumem. Musieli odejść, jeśli Twierdza miała przetrwać.

Dalia z Spajorem wybiegli właśnie z za studni, udając, że tłumią chichot. Dalia zapinała kombinezon, a Spajor poprawiał beret na głowie. Ta para od tygodnia budowała legendę swego nagłego wielkiego romansu, toteż wartownik, na którego wpadli, nie zdziwił się na ich widok. Coś tam nawet zawołał wesoło, a Spajor odpowiedział mu rubasznym żartem i zaproponował papierosa. Dalia zachnęła się na „swojego chłopaka”, ofuknęła go. On jej odpyskował, odrobinę zbyt ostro i odrobinę zbyt głośno, przyciągając tym uwagę wartownika stojącego na murze z widokiem na Wisłę. Dzięki temu Adrian podkraść się do niego bez trudu, założył nelsona, przyduślił. Dalia natychmiast zaprawiła w tył głowy wartownika, który schylił się nad zapalniczką w dłoni Spajora.

Dwóch z głowy.

W tym czasie Wiking z Wojakowskim powinni załatwić strażników arsenału i przejąć większą część uzbrojenia Szóstej. Zielony z Grandziarzem opanowywali więzienie i wypuszczali z niego zaskoczonych jeńców od Świeżego. Drugi pluton

powinien był spać. Kamila nie zdecydowała się poinformować o swoich planach nawet Kaktusa, choć była przekonana, że kochał się w niej, a i pewnie domyślał tego i owego. Poniekąd prawie należał do Umarłych, nawet jeśli formalnie przypisany był do drugiego plutonu.

Został jeszcze dowódca pierwszego – porucznik Smakosz, pochodzący z Tyńca, przyjęty do Szóstej dwanaście lat temu po tym, jak sam dowodził obroną dwóch gospodarstw po rozbięciu szóstego plutonu przez wyjątkowo zajadłych bandziorów. Szóstego już nigdy nie odtworzono, zabrakło ludzi. Dopiero dziś dorastające dzieciaki szykowane były na nowych żołnierzy.

Adrian zajął miejsce wartownika na murze, w razie czego zdjąłby jakichś nieproszonych gości. Kamila skinęła na Dalię i Spajora, gdy tylko z podziemi wyłonili się Zielony z Grandziarzem prowadzący przed sobą więźniów. Zaciągnęli ich do kościoła, gdzie o tej porze nikt nie powinien ich zobaczyć.

Wojakowski podbiegł do porucznik i zameldował, że wszystko załatwiono jak trzeba. Tamci nawet nie zorientowali się, co ich trafiło. Teraz jedynym świadkiem mogącym wysypać całą akcję był ten, którego uciszyła Dalia. Pozostawało mieć nadzieję, że da sobie wmówić wersję, jaką przygotowali Umarli. Trzeba będzie trochę pokiereszować „zakochaną parę”, żeby dodać prawdopodobieństwa tej historyjce. Ale może nie będzie to potrzebne, jeśli starzy choć raz wykażą nieco rozsądku.

Zeszli we troje do kantyny mieszczącej się w dawnej piwnicznej restauracji tuż przy głównej bramie klasztoru. Nim otworzyli drzwi, Kamila zatrzymała się na moment. Wciągnęła głęboko powietrze. Mogła planować i wyobrażać sobie ten moment, ale gdy przyszło co do czego, zawahała się. Cholera, zaraz miała spojrzeć w twarz ludziom, którzy byli dla niej jak rodzina, którzy wychowywali ją od małego i nauczyli wszystkiego, co umiała. Którzy uratowali jej życie. A ona ich zdradzała.

To nie do końca tak. To oni zbyt oddalili się od ideałów Szóstej. Zmiękli, pobiłdzili. Musiała ich uratować.

Zagryzła wargę, jeszcze raz odetchnęła głęboko. Obejrzała się

na Spajora. Uśmiechnął się jakoś tak nerwowo i skinął głową.

Będzie, co ma być. Trzeba wykonać ten krok i za chwilę mieć to już za sobą. Położyła dłoń na klamce i pchnęła ciężkie drewniane drzwi. Przekraczając próg, zdawała sobie sprawę, że teraz naprawdę robi coś nieodwracalnego. Ta myśl niespodziewanie dodała jej otuchy, rozjaśniła w głowie. Napięcie zmalało, prawie znikło, jak zawsze wtedy gdy po oczekiwaniu dochodziło wreszcie do walki.

Skrobosz, Mawte i Smakosz jak co wieczór grali w karty, popijając piwo warzone przez mnichów. Siedzieli przy jedynym oświetlonym świecami stoliku w całkiem sporej piwnicznej sali, w której zdecydowali się zachować i restauracyjną ladę, i zaplecze gospodarcze – wszystko w imię starych czasów. Musieli usłyszeć, że ktoś wszedł do ich sanktuarium, ale skupieni na grze, nie zwrócili na to uwagi. Skonfundowali tym nieco Kamilę. Odchrząknęła znacząco.

– Melduj! – polecił Skrobosz, przyglądając się z uwagą pasjansowi postawionemu przez Mawtego. – Cholera, w tym pieprzonym półmroku zawsze mam problem z odróżnieniem pików od kierów! Nie pokombinowałeś tu z tą damą?

– Moja dama jest tam, gdzie ma być – huknął stanowczo Mawte. – Jak zawsze wszystkie moje damy!

Odwrócił się w stronę Kamili i mrugnął do niej. Choć cała trójka Umarłych trzymała w rękach wycelowane w grających kusze, pułkownik sprawiał wrażenie zupełnie tym nieprzejętego.

– Melduję, że przejęliśmy Twierdzę – Kamili jej własny głos wydał się nienaturalnie piskliwy. I po co krzyczała? Odchrząknęła i kontynuowała już spokojniej. – Powtarzam, klasztor znajduje się w tej chwili pod kontrolą Umarłych. Wzywam was, byście podali się do dymisji. Dla dobra Twierdzy i Szóstej!

– Albo...? – Skrobosz nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by się ku niej odwrócić, dalej przeliczał coś w swoich kartach.

Grał. Musiał trzymać fason, może miał nadzieję, że zablefuje swoją pewnością siebie i przekona ją, by to ona złożyła broń?

– Przewidzieliśmy dwa rozwoje wypadków, generale –

odpowiedziała równie spokojnie jak on. Jakby rozmawiali o szykowaniu nowej strategii bądź planu patroli. – W pierwszym godzicie się z tym, że wiedliście Szóstą do zguby. Udajcie się na emeryturę, przekazujecie dowództwo mnie. Możecie wstąpić do zakonu albo zamieszkać w którymś z gospodarstw. W razie potrzeby Szóstą nadal będzie korzystać z waszego doświadczenia.

– A druga wersja? – zainteresował się Mawte.

– Dzięki wsparciu z zewnątrz jeńcy od Świeżego zdołali uciec. Tak długo zaniedbywaliśmy sprawę tego watażki, że rozzuchwalił się i przypuścił rajd na opactwo. Zdołaliśmy zapobiec prawdziwemu nieszczęściu i nawet zabiliśmy jeńców, ale niestety zdążył ranić naszych dowódców. Znajdują się teraz w stanie ciężkim, w lazarecie pod opieką lekarzy. Niestety, są nieprzytomni. Ponieważ to mnie udało się odeprzeć atak, dowodzę Szóstą, póki dowódcy nie będą w stanie powrócić do obowiązków.

– A będziemy, córuchna? Czy też ze smutkiem oznajmisz pozostałym, że zmarliśmy nie odzyskawszy przytomności?

– Będziecie – uśmiechnęła się krótko, nerwowo, choć zamierzała pokazać pułkownikowi cwany porozumiewawczy uśmiech. – Zrozumcie, nie chcemy was skrzywdzić. Żadnemu z naszych nie stała się dziś w nocy krzywda. Ale musicie ustąpić. Zobaczcie, co stało się z pierwszym plutonem, jak łatwo go załatwiliśmy. A to naprawdę mogli być obcy. Pozwoliliście na rozprężenie. Nie zapobiegliście mojemu przewrotowi. To dowodzi waszej słabości. Ale najgorsze, że wciąż wam się wydaje, że możecie trzymać się zasad starego świata. Jego już nie ma. Musicie się pogodzić z jego śmiercią i ze śmiercią was samych, takich, jacy byliście. Odrzucić wszystko, co było.

– To ciekawe, co pani porucznik mówi. – Skrobosz wyłożył wreszcie karty i spojrzął na Kamilę. – O tym odrzucaniu przeszłości i tak dalej. Bo widzę u pani porucznik nasz beret na głowie. I emblematy Szóstej na mundurze. Tym zhańbionym dziś, swoją drogą. Więc jak to jest z tym odrzucaniem przeszłości?

– Symbole – zadrzała. Zabolalo to „zhańbienie munduru”. – Symbole są ważne. Nauczyliscie mnie tego. Symbole i rytuały. Honor jednostki jest jej silą. Także tradycja. Ale mogę czerpać dumę z tradycji i tworzyć nową historię Szóstej. Tylko tak da się przeżyć. Wy siedzicie obiema nogami w historii, zamiast patrzeć w przyszłość. A to nie życie, to umieranie. Zmieniacie Twierdzą w hodowlę umarłych. My chcemy umrzeć tylko symbolicznie, by żyć naprawdę. Na nowo. Ale koniec tego filozofowania – opanowała się. – Decydujcie. Podajecie się do dymisji i przechodzicie na emeryturę, czy wdrażamy plan B?

– No, pułkowniku? – zapytał Skrobosz. – Jak decydujemy?

– Coś mi obiecałeś, generale. Nie zabiła nas, prawda? I nie zamierzała.

– Mimo wszystko to bunt.

– Powiedzmy, niesubordynacja.

– Mawte, nie bawią mnie te twoje licytacje. To nie karty.

– Nie? A mnie się wydawało, że jesteśmy w środku partii. Może kto wygra, ten zadecyduje?

– Hej! – Kamila miała dość ich wygłupów. Ci dwaj zachowywali się, jakby to oni trzymali wszystkie atuty w rękach. Przez chwilę nawet udało im się zasiać w niej wątpliwość. Zaczęła się zastanawiać, kto tu wpadł w pułapkę. Ale przecież Umarłym udało się wyeliminować pierwszy pluton. Gdyby ktoś z drugiego spróbował wyjść z kwatery, Umarli, trzymający w tej chwili straż na dziedzińcu, zaalarmowałyby ją, wcześniej bez problemu radząc sobie z kłopotem. Pozostałe plutony znajdowały się poza klasztorem. Nie, cholerni starzy blefowali. Jak zwykle, gdy wydarzenia układały się nie po ich myśli. Niejeden raz była świadkiem, jak wykaraskali się w ten sposób z kłopotów. Kiedyś Mawte po prostu zagadał mających potężną przewagę bandytów i otaczających jego ludzi, przekonując ich, by poddali się niezwyciężonej Szóstej. Teraz próbowali podobnej sztuczki. – To nie żarty! Przestańcie nas lekceważyć! Daję wam minutę!

– A potem co, pani porucznik?

– Potem wdrażam plan B! Ten gorszy dla was, ale prostszy dla mnie.



– Posłuchaj, córuchna – Mawte odłożył karty i obrócił się na krześle w stronę Kamili. – Może uda mi się powiedzieć to, co chcę w minutę, ale nie zastrzel mnie, jeśli przekroczę czas. Jesteś naprawdę dobrym oficerem. Powinniśmy już awansować cię na kapitana, bo nadajesz się na naszego następcę bardziej niż ktokolwiek inny. Bez obrazy, poruczniku Smakosz.

– Swoje wiem – bąknął Smakosz. Jako jedyny z trójki karciarzy wyglądał na przestraszonego. Nie potrafił udawać tak dobrze jak starzy.

– To bardzo cenna cecha, wiedzieć swoje – pochwalił go pułkownik. – Więc powinniśmy cię awansować, młoda, ale widzisz, masz swoje słabości. Przyjeliśmy, że miną z wiekiem albo stracą na znaczeniu. Dlatego czekaliśmy. Po pierwsze jesteś niecierpliwa. Nie potrafisz czekać, przyciąć się. Świetnie planujesz zasadzki, ale twój styl ich przeprowadzania sprowadza się do: „Nareszcie przyszli! hurra, wyróżnijmy ich wszystkich!”. Wolisz jak najszybciej zaatakować i rozwiązać problem, niż poczekać i sprawdzić, czy wyzwanie, jakie on niesie, nie przynosi przypadkiem nowych możliwości. Mówiąc krótko: najpierw strzelasz, potem zadajesz pytania. A żyjemy w świecie, w którym trzeba korzystać z każdej okazji. Nawet takiej, która na początku wydaje się problemem. Po drugie, kochanie, jesteś zarozumiała. Jak już coś zaplanujesz, to wydaje ci się, że to najgenialniejszy plan pod słońcem i nie ma siły, żeby nie zadziałał. To trochę nie twoja wina. Przez dwadzieścia lat walczyliśmy z bandytami bez doświadczenia i wyszkolenia wojskowego, z pozbawionymi inteligencji mutantami, ze spanikowanymi grabieżcami. Nie spotkaliśmy nikogo, kto mógłby dorównać wyszkoleniem i doświadczeniem Szóstej. Dlatego prawie zawsze wygrywaliśmy bez trudu. A gdy dorostaś do noszenia broni, nie został nam w okolicy prawie żaden godny przeciwnik. Dlatego wszystkie twoje strategie zawsze się sprawdzały, a ty wiecznie wygrywałaś. To mogło utwierdzić cię w błędnym przekonaniu, że jesteś najlepsza i nieomylna. To też nasza wina. Nigdy, poza pierwszym testem, podczas manewrów nie kazaliśmy ci walczyć przeciw nam.

– Mów za siebie – burknął Skrobosz. – To ciebie kręciło wystawianie jej przeciw innym oficerom i obserwowanie, jak spuszcza im łomot.

– A trzecia wada? – warknęła zirytowana Kamila. Nie przysłała tu po lekcję.

– Zwątpiłaś w swojego mistrza. We mnie – Mawte mówił niby to z żalem i smutkiem, ale równocześnie uśmiechał się niczym kot po złapaniu jakiegoś drobnego mutantu. – Byłaś tak pewna siebie, że zlekceważyłaś pana generała i mnie. Przyznaję, to zabolalo, córuchna.

– W czym zawaliliśmy? – szepnęła za plecami Kamili Dalia. – Cholera, jak nas załatwili?

– Nie dajcie się im zagadać! – syknęła Kamila. – To wszystko ściema! Skończyłeś, pułkowniku? Czy masz jeszcze jakieś dobre rady?

– Tylko jedną – Mawte przestał się uśmiechać. – Rzućcie broń.

Jakby jego słowa były hasłem – zza lady wyłoniło się pięciu żołnierzy z kuszami wycelowanymi w Umarłych. Kamila nie rozpoznała ich w panującym półmroku, ale Skrobosz, jakby odgadując jej myśli, wstał i zapalił jedną ze świec na ladzie. Trzeci pluton! Skąd tu się wziął trzeci pluton?

– Proszę odłożyć broń, pani porucznik – polecił generał. – Póki nikomu nic się nie stało. Tak, ściągaliśmy trzeci i piąty. Jak? Ukrytymi korytarzami z czasów konfederacji barskiej. My, zanurzeni w zbędnej przeszłości, znamy kilka jej tajemnic. Przydatnych. Piąty z drugim pewnie już rozbroili pani ludzi na zewnątrz. Po wszystkim.

– Już po wszystkim, córuchna – powtórzył Mawte. – Oddaj broń. Nie rób głupstw. Przegraliście.

Tym razem mu uwierzyła. Ostrożnie zdjęła bełt z kuszy, zluzowała cięciwę i odłożyła broń na podłogę. Założyła dłonie na kark. Odwróciła głowę ku swoim ludziom.

– Zawiodłam was. Przepraszam.

Na myśl o tym, co teraz nastąpi, zrobiło jej się słabo. Nie chodziło nawet o to, że ich powieszą. Ale czuła mdłości, przewidując rytuał, jaki poprzedzi egzekucję. Degradacja,

zerwanie dystynkcji i emblematów. Hańba. Ale najgorsze było to, że zostanie zapamiętana jako zdrajczynie, a jej imię przeklinać będą ci, których tak bardzo chciała uratować.

## Rozdział 27

Generał kazał wyjść wszystkim poza oficerami. Ludzie z trzeciego wyprowadzili Dalię i Spajora. Kamila odczekała, aż zamkną się za nimi drzwi, a potem, siłąc się na spokój, oznajmiła:

– Za wszystko ponoszę odpowiedzialność ja. Moi ludzie wykonywali moje rozkazy. Nie wiedzieli, do czego to zmierza. Proszę, byście wzięli to pod uwagę i...

– Och, zamknij się, smarkulo! – przerwał jej gniewnie Skrobosz. – Bacność, do cholery! Jeszcze jesteś oficerem Szóstej, do diabła! I nie pieprz mi tu, że twoi Umarli nie wiedzieli, o co chodzi! Ci, którzy mierzyli do mnie z kusz, też? Nie obrażaj mnie takim pieprzeniem! Zrozumiano?

– Tak jest! Ale czy mogę coś...

– Już się dziś nagadałaś, Kamila! Teraz będziesz tylko słuchać. Mawte, ty mów, bo mnie chyba szlag trafi! Patrzyć na nią nie mogę!

– Generałowi chodzi o to, że postawiłaś nas wszystkich w paskudnej sytuacji – wyjaśnił zadziwiająco lekkim tonem pułkownik. – Smakosz, wybacz, że nadużywam twojej życzliwości, ale nie przyniosłbyś nam jeszcze po piwie? Jakoś tak w gardle mi zaschło. Dziękuję.

Podał porucznikowi swój stary drewniany kufel z metalowymi zdobieniami, a porucznik pobiegł za ladę i przystawił go do kurka jednej z wielkich beczek.

– Widzisz, córuchna – kontynuował Mawte. – Nie chodzi nawet o to, że rozwalając cały wasz pluton popieprzonych fanatyków, zmarnowalibyśmy wszystkie lata szkolenia, które w was zainwestowaliśmy. Nawet nie o to, że zarżnięcie jednego plutonu poważnie by nas osłabiło. Ani nie o to wreszcie, że trochę cię lubię... Tak, trochę, bo mocno nadwątliliś dziś moją do ciebie sympatię. Chodzi o to, żeśmy się z generałem założyli.

– Mawte! – warknął na niego Skrobosz.

– No co? Już po wszystkim, pożartować dla rozładowania sytuacji nie można? Przecież założyliśmy się, że nie będzie próbowała nas zabić, nie?

– Zaraz to ja cię zabiję! Kurna, wkurzasz mnie bardziej niż ona. Zamknij się. Słuchaj, smarkulo. Jak przyznamy, że próbowałaś dokonać zamachu stanu, nikomu nie wyjdzie to na dobre. Cywile zaczną się jeszcze bardziej niepokoić, a od jakiegoś czasu coś za dużo przebąkują o tym, że żyją w wojskowej dyktaturze i że trzeba zacząć myśleć o demokracji. Jedyne, co ich powstrzymuje, to że ciągle jesteśmy im za bardzo potrzebni, bo krążą w okolicy watażkowie w typie Świeżego. Tak, tego, którego ty chcesz bezmyślnie zabić. Zabijemy go, kurwa, ale w swoim czasie! W Szóstej też doszłoby do zamieszania na wieść o twojej zdradzie. Cholera, nie wiemy, co nastąpi, jeśli ludzie dowiedzą się o twoim buncie, ale morale na pewno szlag trafi! Co robisz takie zdziwione oczy? Na razie to wszystko były ćwiczenia. Które ty przegrałaś, ku wielkiej radości tych z pierwszego i trzeciego. Na jakiś czas skończy się zadzieranie nosa czwartego plutonu. Tak, szczerz się, kurde! Zapanowałaś nad sobą! Wiesz co, ja cię chyba jednak powieszę.

– Mamy propozycję – wtrącił się Mawte. – Przeżyjecie. Wszyscy. Przez jakiś czas. Jeszcze jutro oficjalnie będziesz nadal dowodzić czwartym plutonem. Tak naprawdę jednak zostajesz zdegradowana. Do szeregowego. Za coś, co zdarzyło się podczas misji. Tak, ty będziesz musiała pogodzić się z hańbą. I nie licz na szybkie awanse. Zawaliłaś na całej linii i możesz się pożegnać z marzeniem o dowodzeniu Twierdzą. Tym mnie wkurzyłaś najbardziej, bo to było też moje marzenie. No trudno. Propozycja wygląda następująco. Ty i twoi Umarli zabieracie się stąd z samego rana. Oficjalnie jeszcze pod twoim dowództwem, żeby wyglądało, że wszystko gra. Naprawdę dowodzi Kaktus, który otrzyma o świcie promocję na podporucznika. Jak tylko znikniecie z pola widzenia innych plutonów, oddasz mu dystynkcje i potulnie staniesz w szeregu. Ty jesteś już tylko szeregowcem. I uwierz mi, jeśli kiedykolwiek

dosłużysz się kaprala, to będzie cud. Masz słuchać Kaktusa, wykonywać wszystkie jego rozkazy. Teraz wasza misja. Praktycznie jest samobójcza. Wyruszyście do Krakowa i może dalej, do Huty. Macie zbadać zagrożenie i jeśli tylko okaże się to możliwe, wyeliminować je. Wyruszaćcie pieszo. Musicie pokonać Dębniki, po drodze terytoria Świeżego. Potem Kraków. Nie wiemy co tam zastaniecie. Weźmiecie ze sobą tego Wesołego jako przewodnika. Potem Huta. Szczerze mówiąc, wątpię, byście to przetrwali. Ale macie szansę. Większe niż na szubienicy. Minimalnie. Generałowi się zdaje, że zginiecie wszyscy. Ale przynajmniej twoi ludzie unikną hańby. Jakies pytania?

– Co do szczegółów...

– O nich potem. Coś jeszcze?

– Nic. Dziękuję, panie pułkowniku! Panie generale...

– Zamknij się, szeregowo! Gdyby ode mnie to zależało, powiesiłbym cię. Ale Mawte trulby mi o to dupę do końca życia i pewnie jeszcze wytatuowałyby sobie gębę w czaszkę mnie na złość. No, Smakosz, zbieramy się. Pamiętaj, poruczniku, ani pary z gęby o tym, co tu się dziś działo! Zrozumiano?

– Swoje wiem – bąknął Smakosz.

Po ich wyjściu długo się do siebie nie odzywali. Mawte składał karty i popijał piwo. Kamila stała wyprężona na baczność, póki pułkownik nie westchnął ciężko, nie machnął na nią ręką i nie powiedział: „Chodź, siadaj tutaj”.

Posłuchała dopiero za drugim razem. Zajęła miejsce na drugim końcu stołu, bo bała się, że jeśli usiądzie zbyt blisko niego, nie opanuje pragnienia, by wtulić się w jego ramię i rozplakać.

– Płacz, jeśli chcesz – rozszyfrował ją. – Masz nad czym płakać, córuchna. Spieprzyłaś dziś wszystko koncertowo. Swoją przyszłość, karierę, los swoich ludzi. Nikt z nich już nie awansuje, wiesz? Nigdy. Jeśli przeżyją, będzie się ich wysyłać na najgorsze, najcięższe akcje. A za rok, może dwa rozrzcimy ich po innych plutonach, żeby ci twoi Umarli, którzy przetrwają, nie siedzieli w kupie. A przecież przyszedłem dzisiaj z tobą pogadać, zaproponować inne rozwiązanie. Trzeba

było posłuchać.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Pewnie dalej myślisz, że masz rację, tylko skopałaś taktykę. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy jest jeszcze dla ciebie nadzieja, córuchna. Tym razem trudniej było uratować twoją dupę niż wtedy w autobusie. Skrobosz naprawdę jest wściekły. Chciał zagrać podobnie jak ty. Rozwalić was wszystkich, a potem ogłosić, że to rajd Świeżego. Wiesz, czemu udało mi się go namówić do zmiany zdania?

Pokręciła głową. Bo Mawte zawsze miał gadane?

– Bo dwadzieścia lat temu my dwaj też spieprzyliśmy coś koncertowo. I obaj mamy teraz wyrzuty sumienia. Posłuchaj...

...Dwadzieścia lat temu, gdy dupnęła bomba za Nową Hutą, zapanował chaos. Nie jakieś tam zamieszanie czy panika, ale prawdziwy, wściekły chaos. Co innego czytać o wybuchu bomby jądrowej albo oglądać w telewizji, jak wybucha, a co innego zobaczyć na własne oczy, jak pod miastem rośnie atomowy grzyb. Jego widok zmienia wszystko. Najlepsi, najbardziej zdyscyplinowani wojskowi ześwirowali. Ludzie zaczęli okradać magazyny, rzucać się sobie do gardeł. Zwyczajni obywatele zmienili się w bestie, nad którymi nie dało się zapanować. Wszystkim w głowach dudniło tylko, że jeśli nie uciekną, jeśli nie zabezpieczą się, to skonąją w męczarniach. Nie było żadnej ewakuacji, żadnego przesunięcia ludzi na przygotowane wcześniej pozycje. Nic z tych rzeczy. Tylko walka wszystkich ze wszystkimi.

W armii nie wyglądało to wiele lepiej. Tłusci sztabowcy histeryzowali prawie jak cywile. Paru twardzieli, najczęściej z frontowym doświadczeniem, ratowało sytuację, jak umiało. Między innymi dlatego przetrwała Szósta. Ale byliśmy raczej wyjątkiem niż regułą. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie cuda się wyprawiały. Raz zatrzymaliśmy konwój walący na zachód z paroma milionami sfalszowanych eurasów. Innym razem spanikowany minister próbował nas zmusić, żebyśmy zostali jego eskortą. Jacyś zagubieni Amerykanie omal nie rozjechali nas swoimi czołgami, spieprzając w kierunku Niemiec... Działo się. Z nieba spadały satelity, na oceanach tonęły lotniskowce,

bomby wybuchły jeszcze przez parę dni. A w Krakowie z nieba runął samolot i jak znak czasów rąbnął w Wawel. Albo tuż koło niego. Jakoś tak.

Łączność wtedy już zdychała, by nie podnieść się do dziś. Ale taki jeden porucznik Szymańczyk, któremu się wtedy zdawało, że może nami dowodzić, zdołał złapać ich rozpaczliwe *mayday*, a potem rozkaz z dogorywającej centrali, żeby spieszyć amerykańskim sojusznikom na pomoc, bo to sprawa życia i śmierci. Trochę się z tego obśmialiśmy, bo wtedy wszystko było sprawą życia i śmierci. Ale Szymańczyk był biały jak kreda, kiedy nam to mówił, i tak przejęty, że prawie uwierzyliśmy. Prawie, bo mimo wszystko mieliśmy ważniejsze sprawy na głowie niż ratowanie załogi jakiegoś samolotu. Tak nam się zdawało. Zdziwiona? No, średnio było wtedy z dyscypliną. Oficerowie padali jak muchy, czasem od kul wsadzanych w plecy przez własnych ludzi. Każdy myślał przede wszystkim o swojej rodzinie, o tym, żeby dotrzeć do najbliższych, ratować, co się da. W każdym razie zabiliśmy ze Skroboszem śmiechem naszego porucznika. I on wtedy pękł i powiedział nam, co było w tym samolocie.

Jaki sztabowy kretyn wymyślił, żeby pracować nad tajną bronią w ośrodku w małopolskiej wsi, tego nie wiem. Opracowali ją nasi naukowcy, ale jak powiedzieli o niej sojusznikom, ci przysłali samolot, potężnego lockheeda C-310, herkulesa. To potwór. Zmieściłaby się w nim cała nasza Szósta i jeszcze zostałyby miejsca. Załadowali do niego laboratorium, wszystkie próbki i nawet naukowców. A jak wreszcie wystartowali, wybuchła bomba, EMP usmażyło całą elektronikę i samolot spadł. Z całym syfem, jaki miał na pokładzie. A był to syf nad syfy. Biologiczne gówno, które miało wygrać wszystkie wojny, zamieniać żołnierzy wroga w zombie, siac telepatyczne spustoszenie w mózgach... Pojęcia nie masz, o czym mówię, córuchna... No tak, teraz się nie czyta fantastyki. Mówiąc krótko, miało robić to, co robił ten Król, o którym opowiadał Wesoły.

Tak się tym przejęliśmy, że wyruszyliśmy z naszym porucznikiem odzyskiwać i zabezpieczać broń ostateczną. Ale



wpadliśmy po drodze w tłum oszalałych uciekinierów prowadzony przez sukinsynów, którzy zakosili broń policji. Jeszcze wtedy głupio nam było strzelać do cywilów. Szymańczyk poległ śmiercią bohatera, to znaczy, tak myślę, bo przepadł gdzieś w całym tym zamieszaniu i już go nie widzieliśmy. A my doszliśmy do wniosku, że tajną broń pewnie i tak szlag trafił, gdy samolot się rozbił, i że będzie można jej resztek szukać, jak zapanujemy nad sytuacją. No, ale to, jak widać, trochę czasu nam zajęło.

Więc kiedy ten twój Wesoly opowiedział nam, co się działo, poczuliśmy się ze Skroboszem nieco winni. Już jak przyleciały te ptaki mieszające nam w głowach... Jak on je nazwał, ten Wesoly? Jednomyślne? No więc one. Już wtedy czuliśmy, że to może mieć coś wspólnego z naszym niewypełnionym rozkazem. Ale uznaliśmy, że nie takie cuda się działy po promieniowaniu. Tyle że potem Wesoly opowiedział nam o Królu i stworze pod Wawelem, gdzie jak na złość rozbił się ten samolot. Dodaliśmy dwa do dwóch i nabawiliśmy się ataku wyrzutów sumienia.

To dlatego Skrobosz zgodził się, by cię nie zabijać, córuchna. Da wam szansę naprawić nasz błąd. Pójdziecie pod Wawel, sprawdzicie, co się stało z samolotem, i zabijecie to, co się z niego wylęgło. Jeśli będzie trzeba, pójdziecie do Nowej Huty, żeby dobić resztki tego czegoś. A potem wróćcie tu, żeby zameldować, jak poszło. Skrobosz uważa, że to misja samobójcza, ale ja wiem, że wrócisz. Bo masz coś do udowodnienia. I musisz zmyć hańbę, jaką ściągnęłaś na swój pluton.

I to by było na tyle. Kaktus dostanie mapy. Idź się wyśpij, będziesz potrzebowała sił. Wyruszacie po jutrzni. Wróc tu, mała. Będę czekał.

Nie powiedział już nic więcej. Wstał i wyszedł zbyt szybko, by zdążyła się ocknąć, pobiec za nim i nieregularnie objąć go na pożegnanie.

Rozglądała się za nim, gdy wyruszali rano, w szyku, dumnie, jakby nic się nie stało. Berety na głowach, jeszcze nieprzesłonięte kapturami, żeby zakonnicy i cywile, a przede

wszystkim bracia z Szóstej widzieli, jak dumni są ze swoich barw. Inne plutony przesłaniały przy takich okazjach twarze bordowymi chustami, ale Umarli eksponowali tatuaże. Połowa plutonu niosła już okrągłe bordowe tarcze z emblematem Szóstej, połowa – strzelcy – przerzuciła je przez plecy. Kamila starała się szukać wzrokiem Mawtego. Ale nie przyszedł ani na jutrznię, ani by pożegnać czwarty pluton. Tylko trzy jego kozy olbrzymki długo odprowadzały wzrokiem żołnierzy, jakby zastanawiając się, czy nie wyruszyć z nimi.

## Rozdział 28

Kaktus miał bardzo niewyraźną minę, gdy wyciągał rękę po dystynkcje Kamili.

– Przepraszam – bąknął. – Rozkaz to rozkaz.

Przytaknęła. Odpięła je od czarnego kombinezonu i od munduru pod nim. Podała nowemu dowódcy z żalem, ale bez protestu. Odczekał z tym, aż oddalili się od opactwa, do samych granic Twierdzy.

Świadkiem jej upokorzenia był tylko Wesoły. Odeszli na kilka metrów od reszty żołnierzy ukrytych w granicznej stacji Szóstej. Nie było sensu robić zamieszania. Upредиła wszystkich o swoim nowym statusie, gdy wyciągała Umarłych z więzienia, w którym spędzili noc, oficjalnie za karę po przegranych manewrach. Nie przyjęli tego dobrze, ale wyglądało na to, że pogodzili się z losem. Nie było sensu dorzucać do szeregu klęsk jeszcze upokarzającej ceremonii.

– To ty upредиłaś starych? – odgadła.

– Nie dla nagrody – zacisnął dłoń na dystynkcjach i po chwili wahania włożył je do kieszeni kombinezonu. – Zresztą nie musiałem im wiele mówić. Tylko o terminie. Nie kryliście się tak dobrze, jak sądziłaś. Przepraszam, Kamila. Służba.

– Służba – skinęła głową.

Nie na niego była zła, ale na siebie. Mieli rację starzy. Okazała się zbyt niecierpliwa i pewna siebie. Tępa po prostu. Nie nadawała się na dowódcę.

– Nie martw się, Kaktus. To znaczy, panie poruczniku...

– Kaktus – poprawił ją. – Niech tak zostanie.

– Nie martw się Kaktus. Skoro przegrałam, to dupa ze mnie, a nie dowódca. Lepiej, że przejąłeś pluton. Masz większe doświadczenie.

– Jasne – skrzywił się.

Kaktus nigdy nie marzył o stopniu oficerskim. Należał do tych

wiecznych sierżantów, którzy początkowo niechętnie przyjmowali promocje na wyższe stopnie zawsze przekonani, że nie zasłużyli na awanse i nie nadają się, by kimkolwiek zarządzać. I rzeczywiście, gdy przyglądało się podkomendnym Kaktusa, można było odnieść wrażenie, że prawie nie wydawał rozkazów. Rzucił w przestrzeń, że wstyd, bo burdel w obozie niewyobrażalny, sam zaczynał sprzątać i nagle wszyscy zasuwali, jakby komenderował nimi co najmniej generał. Kiedyś, w starciu z koczowniczym plemieniem grabieżców, wahający się porucznik zapytał go, co jego zdaniem powinni zrobić. Kaktus westchnął tylko, zawołał dwóch najbardziej doświadczonych ludzi w plutonie, podpowiedział, jak najlepiej byłoby oflankować tamtych, a potem spojrział na porucznika i zapytał, co on na to. Później wszystko potoczyło się już samo. To nie Kaktus wyznaczał warty, on tylko pytał kto by się chciał zająć robotą, i nagle ludzie odkrywali, że już zasuwają, że sami nie wiadomo jak zgłaszali się na ochotnika.

– Jasne – powtórzył. – Pamiętaj, Kamila, że liczę na ciebie. Ci twoi tylko ciebie będą słuchać.

Miał rację. Na tym polegał problem z czwartym plutonem. Wyszkolonym, zdyscyplinowanym i słuchającym tylko swojej pani porucznik, proroka Umarłych.

Przybycie Kaktusa stanowiło małą rewolucję, nawet gdy udawał, że nic się nie zmieniło. Poza młodym Dżejkejem tylko on i Wesoły nie nosili tatuaży na twarzy. O ile jednak Dżejkej marzył o tym, by wreszcie oficjalnie przyjęto go do Umarłych, Kaktus od początku postawił sprawę jasno. „Prosty jestem chłopak” – powiedział, gdy Kamila zaproponowała mu przystąpienie do sekty. – „I nie znam się na tych waszych wielkich sprawach. Umrę takim, jakim mnie rodzice chowali. Więc dzięki, Kamila, ale nie”.

Ruszyli wzdłuż Wisły, tak jak mu poradziła eks-porucznik. Zwyczajni ludzie najczęściej bali się rzeki. Wylewała po deszczach, zamieszkiwały ją potwory, a jej pokręcony nurt bywał zdradliwy. Wprawdzie ludzie przed wojną starali się uregulować ją wałami, jednak przez dwadzieścia lat dzika przyroda odebrała cywilizacji swoje z nawiązką. Toteż Wisła

żyła własnym życiem i rządziła się własnymi prawami. Wierzono powszechnie, że woda w niej jest trująca, nikt nie panował nad tym, co spływało do niej z gór i z rzeczek wzmacniających jej nurt po drodze.

Wędrując zniszczonymi wałami co prawda byli widoczni z daleka, ale była to najszybsza droga. Ponieważ prażyło słońce, głowy nakryli kapturami, oczy osłonili goglami, na usta naciągnęli chusty, a na dłonie rękawiczki. Kamila wylądowała na szpicie, co było wyraźnym sygnałem dla reszty plutonu, że utraciła swój dotychczasowy status. Oficerowie ze swym doświadczeniem byli zbyt cenni, by ich narażać, między innymi dlatego ani Mawte, ani Skrobosz od dawna nie brali udziału w żadnych akcjach. Celowo zrezygnowano z oznaczeń na kombinezonach – wyjątkiem były niewielkie dystynkcje na beretach i naramiennikach – ponieważ bandyci szybko nauczyli się rozpoznawać oficerów i zabijali ich w pierwszej kolejności.

Kamila narzuciła szybkie tempo, ale jej zdaniem i tak posuwali się zbyt wolno. Mieli do pokonania jakieś dwanaście kilometrów. Liczyła, że dzięki wędrowce wzdłuż rzeki zdołają dotrzeć pod ów mityczny Wawel przed zmrokiem. Gdyby próbowali iść dawną ulicą Tyniecką, z pewnością by tego nie dokonali. Zalegały na niej naniesione podczas wylewów zwały gruzu ze zniszczonych budynków, powiązane bujnie rosnącą roślinnością, jakby celowo biorącą odwet na cywilizacji i wyjątkowo zaciekle atakującą jej pozostałości. Przed wojną podkrakowska wieś zmieniała się w nieformalną dzielnicę miasta. Zyskała gęstą zabudowę, choć budynki były niższe od tych w Krakowie. Po dwudziestu latach większość z nich obróciła się w ruinę. Te znajdujące się najbliżej klasztoru ludzie przebudowali na gospodarstwa, część fortyfikując, a część rozbierając. Inne po prostu niszczały. Nawet jeśli nie zostały dotknięte pożarami ani wylewami Wisły, opuszczone, pozbawione ludzkiej troski, powoli poddawały się wiatrom, ulewom i rozzuchwalonej roślinności. Niektóre zmieniły się w grobowce – wciąż można było znaleźć w nich szkielety tych, którzy nie zdecydowali się na porzucenie domów.

Niegdyśejsza wioska stała się zdradliwą równiną usianą pułapkami dawnych piwnic i studni. Znaczyły ją nierówności pokryte gęstniejącą każdej wiosny roślinnością – ślady zrujnowanej zabudowy.

Co gorsza, wędrując między nimi, pluton musiałby się poruszać powoli, ostrożnie, cały czas sprawdzając, czy coś albo ktoś nie czai się w ruinach. W niektórych spali łowcy wychodzący z kryjówek wyłącznie nocą, wrażliwe na światło dzienne stworzenia, groźne w mroku, lecz prawie bezbronne za dnia. Ale w innych mogli czaić się bandyci albo zmutowane drapieżniki. Co roku Szósta odkrywała nowe mutacje, głównie dzięki pracy Dalii, gotowej wędrować aż na kraj świata za nowymi zmutowanymi dziwadłami. Dzięki niej wiedzieli, że choć promieniowanie osłabło i poza bezpośrednio dotkniętymi trafieniem miejscami przestało igrać z łańcuchami DNA, rozpętane przez nie szaleństwo genetycznych przemian trwało. Pobudzona radioaktywną katastrofą natura nie zwalniała i wciąż znajdowała nowe ujścia dla genetycznej kreatywności. Gatunki ewoluowały w przyspieszonym tempie. Rośliny uczyły się walczyć przeciw sobie i faunie na zupełnie nowe sposoby, a zwierzęta nie pozostawały w tyle. Mrówkom zdarzało się osiągać przesadnie wielkie rozmiary albo wznosić mrowiska wysokie na kilkadziesiąt metrów, szerszenie osiągały wielkość dłoni i uczyły się nowych zdradzieckich sztuczek. Przybyło odmian węży i jadowitych pajaków. Te ostatnie potrafiły łączyć się w sfory niczym wilki.

Cała przyroda w przyspieszonym tempie zbroiła się na potęgę, wkraczając w ten sposób w domenę zastrzeżoną wcześniej dla ludzi.

Tylko człowiek uparcie trzymał się definicji, jakimi określał siebie przed wojną.

Tyniecką wędrowaliby więc co najmniej dwa dni. A i to, jeśli mieliby szczęście i nie wpadli na zagony Świeżego, który mógłby związać ich walką. Kamila nie miała pojęcia, skąd bandyta brał rekrutów. Szósta zadawała mu już takie straty, że powinien zostać sam, ewentualnie zginać z ręki swych ostatnich ludzi. A tymczasem wciąż napływali do niego nowi

ochotnicy. Było to niepokojące także dlatego, że Świeży musiał się im wydawać atrakcyjniejszy od Twierdzy. A przecież Twierdza również szukała ochotników, tak do gospodarstw, jak i bezpośrednio do Szóstej. Oczywiście nie przyjmowano każdego. Awanturnicy, dotknięci wyraźną mutacją, naznaczeni szaleństwem i ludzie, którzy zwyczajnie nie spodobali się starym, musieli obejść się smakiem. Twierdza oferowała im zamieszkanie w swoich granicach i opiekę, ale nie w już istniejących gospodarstwach. Musieli sami wznieść własne, udowodnić, że potrafią żyć zgodnie z zasadami Twierdzy i sprostać jej wymogom. Wtedy mogli zostać, nawet jeśli mieli cztery pary oczu i pletwy zamiast stóp. Ale mało kto chciał przystać na takie warunki. Ludzie napływali do Twierdzy skuszeni jej bogactwem i bezpieczeństwem, jakie zapewniała. Chcieli schronić się pod jej skrzydłami, a nie ciężko pracować w nadziei, że w przyszłości zasłużą na nagrodę. Tylko jedno, ósme gospodarstwo powstało w wyniku uporu odrzuconych. Miało to miejsce przed pięciu laty. Nikt nie powtórzył jego sukcesu.

Nawet idąc wałami, mieli oko na ruiny domów pod nimi. Te stojące najbliżej rzeka zalewała tyle razy, że wyczyściła je niemal do fundamentów. Nikt, poza błotniakami, stworami przywykłymi do ukrywania się w głębokim przybrzeżnym błocie, gdzie potrafiły całymi dniami wyczekiwać na ofiarę, nie mógłby się tam schować. A błotniaki niechętnie przekraczały granicę wałów świadome, że ziemia za nimi wysycha zbyt prędko. Odkąd Dalia nauczyła się na nie polować i przyrządzać z ich mięsa całkiem smaczną zupę, od Twierdzy trzymały się z daleka. Spragnieni każdej odmiany w menu żołnierze w ciągu tygodnia opustoszyli najbliższe gniazda błotniaków. Ich Kamila nie musiała się obawiać. Ale Świeży, zapewne żądny zemsty po ostatnim starciu, mógł wysłać swoich zwiadowców i szykować zasadzkę.

– Pamiętasz tę drogę? – zapytała idącego obok Wesołego.

Duch pokręcił głową. Dopiero po kilku dniach w opactwie zaczęło opuszczać go szaleństwo towarzyszące mu podczas ucieczki z Huty i Krakowa. Z całej podróży pamiętał niejasne

przebłycki, z których najpotężniejszym wspomnieniem było przerażenie, jakie udzieliło mu się, gdy przechodził obok Wawelu. Coś wtargnęło wtedy do jego umysłu i przyzywało do siebie. Niemal stracił wówczas świadomość. Ale uciekł.

Tyle dobrego, że Kamila miała mapę Mawtego. Starą, przedwojenną, poprzecieraną i ukazującą świat, jakiego już nie było: z drogami, domami, mostami. Gdyby jej wierzyć, powinni podejść na przystanek, wsiąść do autobusu i w czterdzieści minut dojechać do Krakowa.

Na szczęście nie jeździły już żadne autobusy. Kamilę musieliby wsadzać do niego siłą. Co zabawne, wciąż zachowała sentyment do samochodów. Uwielbiała grzebać w silniku starego honkera, którym Mawte wywiózł ją kiedyś z Krakowa. Domagała się, by każdy z patroli sprawdzał, czy nie znajdzie jakichś części, które mogłyby jej pomóc ożywić samochód.

– To się uda, tylko jeśli zamontujesz w nim pedały – naśmiewał się z niej Mawte. – Bo nie mamy już ropy ani benzyny, ani oleju napędowego. Ten wrak ruszy co najwyżej na pych.

– Nie obrażaj mojego samochodziku! – protestowała wtedy. – Zobaczysz, kiedyś pojedzie.

Gdy zbliżali się do zwalonego mostu, przypadli do ziemi. Tu robiło się niebezpiecznie. Po prawej mieli zagajnik rachitycznych krzewów w niepokojąco sinym kolorze. Rosły tu od niedawna. Wiatr musiał przynieść skądś nasiona dziwnych roślin – grubych pnączy wydzielających paskudny zapach, gdy się je przecinało. Po lewej zwodniczo leniwie płynęła Wisła, a przed nimi stromo wznosił się nasyp, którym musieli wspiąć się ku starej obwodnicy. Za nasypem mogło czekać na nich wszystko. Bandyci, armia mutantów albo wesołe miasteczko.

– Kaktus! – posłała po dowódcę. – Decyduj!

Zrobił to po swojemu, inaczej niż ona, ostrożniej. „Cierpliwiej” – słowa generała same napłynęły jej z pamięci. „Bez przekonania o własnej nieomyślności”. Zmarnowali przez to trochę czasu, może dziesięć minut, ale przeszli na drugą stronę, gdzie ostrożnie otoczyli pozostałości po starym kompleksie sportowym, do którego przed wojną ludzie



przyjeżdżali z Krakowa, by popływać w basenie. Kamili wydawało się to jednym z niezrozumiałych szaleństw ludzi z tamtych czasów. Czemu nie pływali w Wiśle? Nie zamieszkiwały jej przecież wówczas potwory, a woda przed wojną nie była skażona przez cały spływający do niej syf. Dziś brunatna, o nieprzeniknionej toni, wtedy musiała być jasna, przejrzysta, błękitna, gdy odbijało się w niej niebo.

Mawte śmiał się tylko, gdy go o to spytała.

„Mała, to był Kraków!” – rechotał, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić. – „On był przed wojną bardziej skażony niż dziś. Niektórzy mówią, że krakusi nawet nie zauważyli radioaktywności”.

Mawte i jego dowcipy...

Nikt nie zaatakował ich przy basenie. Dopiero dalej, wśród pól, gdzie prawie nie było gdzie się ukryć, czekała na nich zasadzka.

## Rozdział 29

Duch wyczuł ich w jakiś sposób. Zatrzymał się gwałtownie, chwycił Kamilę za rękę i ją przytrzymał.

– Tu! – zawołał. – Tu!

– Co tu? – nie rozumiała. – Wesoły, co masz na myśli?

Znajdowali się pośrodku nadrzecznej równiny. Daleko po prawej zza krzaków wyglądały ruiny domów. Zakręcająca tu lekko Wisła naniosiła piachu i mułu, na którym rozrosły się teraz szuwały kołysane lekko wiatrem. Nieopodal gnił biały niegdyś statek floty wiślanej, od blisko dwudziestu lat wbity w brzeg, po tym jak rzeczni piraci zepchnęli go z głównego nurtu po trwającej dwie godziny bitwie. Zbudowali wtedy na rzece coś w rodzaju tamy z kamieni, bloków betonu uzyskanego ze zrujnowanych domów, a nawet wielkich płyt asfaltu zerwanych z szosy. Przepuszczali tylko tyle wody, by nie zerwała ich zapory. Pływali w kajakach, czółnach skleconych z byle czego, ale przede wszystkim na tratwach. Musieli budować tę zasadzkę od dawna, przygotowując się do ostatecznego ataku na kursujący między Krakowem a Tyńcem statek, tygodniami przewożący zaopatrzenie z upadającego miasta. Nie po raz pierwszy go atakowali, ale nigdy wcześniej nie włożyli w walkę tyle wysiłku. Wedle słów Mawtego, który brał udział w tamtej bitwie, w ich staraniach nie było za grosz sensu. Ładunek statku nie był aż tak cenny, by poświęcać mu tyle zachodu. Łatwiej byłoby samemu wyruszyć do miasta i plądrować to, co jeszcze w nim zostało. Dlatego oficerowie Szóstej doszli do wniosku, że celem nie był rabunek, ale walka sama w sobie, zadanie jak największych strat tym, którzy próbowali się przeciwstawić postępującej barbarii, i uniemożliwienie im przetrwania.

Szósta tak się wściekła po utracie statku, że też zareagowała irracjonalnie. Wydała piratom bezpardonową walkę, skupiając wszystkie środki na ich wytępieniu. A przecież i w tym nie było

wiele sensu, gdyby brać pod uwagę zaangażowaną energię. To i tak miał być jeden z ostatnich rejsów, bo w Krakowie nie zostało już zbyt wiele do rozszabrowania, a wyprawy robiły się coraz bardziej ryzykowne. Chmury pyłu zakryły całe niebo, temperatura gwałtownie spadła i na rzece pojawił się lód, na razie cienki i niepokrywający całej Wisły, ale wieszczący koniec wykorzystywania jej jako trasy żeglugowej. W powietrzu unosiło się tyle pyłu, że nie można było oddychać bez masek czy choćby prowizorycznych osłon. Odcięte od słońca, dławiące się pokrywającym wszystko pyłem rośliny marniały i umierały.

W mieście przetrwały już niemal wyłącznie najsilniejsze i najbardziej zdeterminowane bandy. Choć walczyły między sobą, wykazywały zaskakujący upór, by dopaść żołnierzy. Może ludzie należący do band czuli się przez nich zdradzeni, może żyżywali się na przedstawicielach państwa, które ich zawiodło, a może zwyczajnie liczyli na lepsze łupy? Dość, że noszenie munduru w Krakowie nie było bezpieczne.

Poza tym poziom radioaktywności był wtedy znacznie wyższy. Wielu spośród „piechoty morskiej”, jak szybko zaczęto nazywać biorących udział w rejsach, zmarło potem w wyniku chorób nowotworowych.

– Coś mi tu nie pasuje – uparł się Wesoly.

– Co? Statek? Możemy go obejść.

– Tak będzie lepiej – zgodził się Kaktus, gdy podbiegł zaniepokojony kolejnym postojem. – Też mi coś nie gra w tej krypie.

Zeszli więc z wałów, co, jak się okazało, było błędem. Bo to nie na wraku przyszykowano zasadzkę. A w każdym razie nie tylko na nim.

Kamila zrozumiała, że muszą się cofnąć, ledwie odeszła kilka kroków od wału ku polanie. Buty niespodziewanie zapadły jej się w bagienku, mulista woda zalała je aż po cholewki. Coś tu nie grało. Ostatni deszcz spadł przed dwoma tygodniami i od tamtej pory dzień w dzień prażyło słońce. Starzy zaczęli przebąkiwać o nadchodzącej suszy.

A tu było tyle wody, jakby lało przez tydzień albo ledwie kilka dni minęło od wylewu Wisły.

– Do tyłu! – zawołała. – Do tyłu! Na wał!

Za późno. Błocko przed nią eksplodowało, gdy dziesiątki błotnych wyskoczyły z kryjówek, w których byli przyczajeni.

Zamarła, zdumiona ich widokiem. Nigdy nie natknęli się na takie stado! Czarne od błota postacie o krótkich, choć szerokich korpusach utrzymywanych na potężnych, przystosowanych do oddawania sporych susów nogach wystrzeliły spod błota prawie na metr w górę. Do tej pory spotykali stada złożone z kilkunastu osobników rządzonych twardą ręką przez samca alfa. Największe z nich liczyło dwadzieścia sztuk. Tych tutaj, tak na oko, mogło być z pięćdziesiąt.

Usłyszała trzy krótkie gwizdy zza pleców. To Kaktus wydał swój pierwszy bitewny rozkaz.

– Linia! – potwierdziła go na wszelki wypadek. – Formuj szyk!

Wyposażenie dowódców w gwizdki stanowiło pomysł Skrobosza. Klasztor posiadał całkiem niezłą bibliotekę, a wśród poupychanych w niej ksiąg znajdowały się też traktujące o starożytnych armiach i ich metodach walki. Generał uwielbiał zakopywać się wśród nich i czytać, póki Mawte nie wyciągał go z biblioteki siłą. Zresztą głównie po to, by samemu zajmować jego miejsce. W jednej z ksiąg znaleźli opisy strategii sprzed ponad tysiąca lat. I choć Skrobosz upierał się, by spróbowali poeksperymentować z ciężkimi prostokątnymi tarczami, ostatecznie zapożyczyli z niej głównie gwizdki.

Wyposażenie Szóstej w tarcze stanowiło kolejny pomysł starych. Nie używał ich nikt poza Szóstą, niegdyś powietrznodesantową, dziś dysponującą spadochronami wyłącznie na emblematkach. „Skoro już cofnęliśmy się do średniowiecza, korzystajmy z tego, co wypracowało” – oznajmił pewnego dnia generał. Kamila dobrze pamiętała długie godziny spędzone na placu ćwiczeń, podczas których do upadłego ćwiczyli walkę przy użyciu tarcz i szybkie zmiany formacji. Lewa ręka omdlewała jej od ciężaru, który z każdą minutą robił się coraz większy. Cały ten wysiłek opłacił się. Tarcze okazały się sprytnym pomysłem, dobrą osłoną przed strzałami i pociskami z proc. Niektórzy bandyci też zaczęli ich używać,

ale nigdy nie zrozumieli, że aby w pełni wykorzystać tę broń, trzeba było jeszcze nauczyć się walki w odpowiednio dostosowanych do sytuacji formacjach. Dlatego Szósta wciąż wygrywała bitwy, nawet z przeciwnikami przewyższającymi ją liczebnością.

Nigdy jednak czwarty pluton nie musiał zmierzyć się z tyłoma wrogami równocześnie. Jediną nadzieję Umarłych na przetrwanie stanowił fakt, że błotniaki były bezmyślnymi zwierzętami.

Kamila cofnęła się, zajęła miejsce w pierwszym szeregu, między Wikingiem a Kamilem Wojakowskim. Unieśli tarcze.

– Dobry dzień na rzeź, nie? – Wojakowski uśmiechnął się krzywo. – Prawie mi ich żal.

– A mnie żal nas – opowiedziała. – Jak Dalia zapędzi nas do roboty przy trupach, spędzimy tu tydzień, wyszukując dla niej najlepsze kąski.

Za ich plecami strzelcy wybierali już cele.

A mieli w czym wybierać. Chmara pelzaczy uniosła swe czarne trójkątne łby zaopatrzone w parę oczu o podłużnych, poprzecznych źrenicach. Stwory wydały z siebie głośny skrzek, gdy z płasnięciem opadły z powrotem w bagno. Zaskrzeczały równo, jakby nie były sforą zwierząt, ale zdyscyplinowanym oddziałem. A potem znowu wyskoczyły w górę. Tym razem uniosły przednie łapy, w których trzymały jakąś broń!

Co tu się działo?

Długi przeciągły gwizd. „Cel – pal”.

Tylko co kilka bełtów wystrzelonych z kusz mogło zrobić pięćdziesięciu potworom?

– Tarcze! Kryj się! – wrzasnęła Kamila, gdy zrozumiała, czym są przedmioty w łapach błotniaków.

Kilkadziesiąt dziryków pomknęło ze świstem ku żołnierzom. Strzelcy zdążyli odrzucić kusze i zasłonić się tarczami. Na szczęście stwory nie były dobrymi miotaczami. Cisnęły dzirykami byle jak, oby rzucić, i ledwie kilkanaście z nich doleciało do celu, a i te odbiły się od w porę wzniesionej ściany tarcz. Reszta poupadała po bokach, czasem całe metry od plutonu Umarłych.

Ale choć nikogo nie zraniły, salwa błotniaków jakiś cel osiągnęła. Zmusiły nią żołnierzy do zatrzymania się w miejscu. Stwory, skrzecząc już nierówno, każdy po swojemu, rzuciły się do ataku.

Dwa krótkie gwizdki. Zmiana!

Teraz strzelcy wysunęli się do pierwszego szeregu, a Kamila z pozostałymi cofnęła się. Opuściła tarczę, szybko załadowała kuszę, naciągnęła cięciwę, wycelowała. Długi gwizd usłyszała, gdy błotniaki były o skok od niej. Strzeliła, prawie nie celując. Nie mogła nie trafić. Odrzuciła kuszę, porwała tarczę i wyciągnęła długi nóż. W tej chwili pożałowała, że generał nie postawił na swoim i nie byli wyposażeni w duże i ciężkie tarcze oraz włócznie. Mawte przekonał go, że liczy się mobilność i wyszkolenie, że nie będą przecież zmuszeni walczyć z armią, a gdyby do tego doszło, ukryją się za murami opactwa.

Cholera, chciałyby go widzieć tutaj.

Błotniaki uderzyły z taką furją, że cały szyk musiał się cofnąć o krok. Pierwsza linia nawet nie próbowała atakować, żołnierze zaparli się nogami w ziemi, zasłonili tarczami. Stwory nie miały ich jak dorwać uzbrojonymi w dwa rzędy paskudnych trójkątnych zębów paszczami ani nawet dosięgnąć wydłużonymi językami, którymi smagały, starając się dosięgnąć odsłoniętego kawałka ciała. Zawarta w ich ślinie toksyna nie była zdolna zabić dorosłego człowieka, ale potrafiła nieźle oparzyć, a w większej dawce mogła doprowadzić do utraty przytomności. Ściana tarcz zdała jednak egzamin i mniejsze od ludzi błotniaki, choć wychylały się na mocnych nogach, ile się dało, mogły jedynie wymierzać ciosy przednimi łapami. Te miały wprawdzie silne, przystosowane do rozgarniania blocka, jednak krótsze od tylnych i pozbawione pazurów, jedynie o twardej, zgrubiałej skórze. W jaki sposób zdołały utrzymać dziury w nieprzystosowanych do tego łapskach, pozostawało zagadką.

Krótki, prawie urywany gwizd. Atak!

Drugi szereg wyrwał naprzód, w szczeliny stworzone szybkim manewrem przez szereg pierwszy. Pchnęli długimi nożami, czując, jak ostrza wbijają się w skłębioną masę cielsk przed

nimi. Cofnęli się, uderzyli jeszcze raz. Cofnęli, uderzyli. Dzięki pracy Dalii wiedzieli, gdzie celować. Serca błotniaków także umiejscowione były po lewej stronie, ale bliżej środka korpusu niż u ludzi. Jakies dziesięć centymetrów poniżej głowy.

Kolejny gwizd. Uderzenie, cofnięcie, uderzenie, cofnięcie. Wszystko w seriach po trzy. Wedle założeń każdy cios powinien być śmiertelny, ale w polu nie wszystko wychodzi tak jak na ćwiczeniach. Czasem atakujący poślizgnął się na mokrej ziemi, czasem błotniak przesunął się w ostatniej chwili. Niemniej w normalnej sytuacji byłoby już po potyczce. Po dwóch seriach pchnięć połowa stada leżałaby już martwa, albo ranna, a ocalałe osobniki umykałyby, skrzecząc płaczliwie. Umarli zaliczyli już kilkanaście takich potyczek, błotniaki, choć tępione bez litości w okolicach opactwa, rozmnażały się w niewiarygodnym tempie, a ich okres dorostania wynosił ledwie trzy miesiące. Stawiały na ilość, a nie jakość i poniekąd ta strategia przetrwania wydawała się skuteczna.

Tym razem stwory nie uciekły. Odskoczyły tylko poza zasięg noży i zamarły niczym prawdziwa armia oceniająca możliwości przeciwnika. Syczały i skrzeczały, wściekle, głodne walki.

– Kaktus! – zawołała Kamila. – Coś tu jest nie tak!

– To duże stado. Czerpią z tego siłę. Uważaj, zaraz znowu zaatakują. Nie jest tak źle. Jeśli teraz je przetrzebimy, powinny uciec.

Pewnie miał rację. Ale tak zawziętych błotniaków Kamila jeszcze nie spotkała. Pytanie, czy nie powinni wrócić do Twierdzy, żeby zameldować o tej bandzie starszym. Będzie czas obgadać to z Kaktusem po walce, teraz pluton należał do niego.

– Uwaga, zmieniają formację! – ostrzegł Kaktus i zaklął siarczyście. – Pierwszy szereg, teraz wy będziecie musieli uderzać! Drugi szereg bronić flank!

Jak to „zmieniają formację”?! To, do cholery, były przecież błotniaki! Bezrozumne zwierzęta! Dalia robiła z nich zupe! Zwierzęta nie zmieniają nagle strategii podczas walki! Może ich samiec alfa zmutował i zyskał na rozumie? Szalona teoria. Ale...

A może oni wszyscy byli jednomyślni? Może kierowała nimi wola z zamku? Wesoły stał zbyt daleko od niej, by go zapytać.

Niby tylko dwóch żołnierzy dzieliło ich od siebie, ale w warunkach bitewnych...

Nie było czasu bawić się w rozważania. Zaatakowali. Już nie jak ślepa zwierzęca siła, ale jak oddział, którego dowódca przemyślał taktykę i spróbował dostosować ją do przeciwnika.

Podzielili się na trzy grupy. Pierwsza, najliczniejsza, jak wcześniej uderzyła od czoła. Ale dwie pozostałe od flank.

Wesoły, niewyćwiczony w walce tarczą, cofnął się, ustępując miejsca Wikingowi. Teraz stali z Kamilą obok siebie, ale nie mieli czasu rozmawiać. Tylko ich dwoje i Kaktus stanowili siłę uderzeniową plutonu, pozostali starali się przede wszystkim osłaniać przed atakującą z trzech stron masą błotniaków. Już nikt nie myślał o manewrach. Kamila i jej dwaj towarzysze musieli się wychylać ponad pierwszą linią i uderzać z góry, starając się celować w miękki punkt na łbie błotniaków między ich oczami. Stwory skrzeczały po swojemu, próbowały wytrącać noże z rąk żołnierzy, a czasem nawet wspinać się jeden po drugim, by zeskoczyć z góry, rozbijając szyk. Opierając się o strome zbocze wału, centymetr po centymetrze czwarty pluton spychany był do tyłu samą masą błotniaków i siłą ich ataku.

Kamila straciła poczucie czasu. Rozsądna część jej osobowości, chłodny taktyczny umysł dowódcy, podpowiadała jej, że walka nie mogła trwać długo, może dziesięć, może piętnaście minut. Ale ciało zupełnie inaczej liczyło czas. Jemu wydawało się, że walczą już kilka godzin. Pot zalewał oczy, mięśnie buntowały się przeciw kolejnym zrywom, gdy trzeba było wyskakiwać ponad głowy towarzyszy, by powstrzymać błotniaka próbującego atakować z góry.

Ale walczyła. Zadawała kolejne pchnięcia, starając się uderzać tak, żeby zabić. Błotniaki wrzeszczały z bólu, osuwały się na ziemię, przeszkadzając kolejnym falom napastników. Mimo to nie przestawały atakować. Jakby stado zapomniało o instynkcie przetrwania i zamiast uciec, by zapolować na mniejszą ofiarę, przycziąć się, przeczekać i odbudować, wbrew rozsądkowi uparło się dopaść i wykończyć żołnierzy. Jakby zwierzęta nauczyły się pamiętać, kto tak bezlitośnie na nie polował,



i postanowiły wziąć odwet za śmierć setek pobratymców.

– Szósta! – ryczał Kaktus, zadając kolejne ciosy. – Jeszcze trochę, Szósta! Wytrwajcie.

„Szósta!” – odwrzaskiwali. Nawet Wesoły krzyczał. Nikt nie dopuszczał możliwości klęski. Szósta nie przegrywała nigdy. Nie ze stadem zwierząt.

Kamila zrozumiała, że ich wytrwałość została nagrodzona, gdy za plecami, z góry usłyszała gwizdki. Ktoś zobaczył, że znaleźli się w opałach, i zawiadomił Twierdzę. Przebywała odsiecz!

To dodało im sił. Teraz to oni zaczęli napierać na błotniaki. Do diabła, gdy przybędą inne plutony, nie zobaczą Umarłych broniących się rozpaczliwie, ale gromiących wroga!

Błotniaki, jakby rozumiały, co się stało, bo przerwały atak. Nie rzuciły się jednak do ucieczki, ale odskoczyły na kilka metrów, nie zważając na straty przy odwróceniu, bo Umarli, nie rwąc szyku, ruszyli za nimi, tnąc nożami po plecach nie dość szybkich stworów.

Długi przeciągły gwizd. „Stać, trzymać szyk!”

Dyszac ciężko, Kamila próbowała ocenić straty. Cały pluton trzymał się na nogach. Z błotniaków ocalała może połowa. Cholera, Umarli wygraliby to starcie i bez posiłków! Stworom nie udałoby się bez końca utrzymać dyscypliny! Lada chwila musiały wpaść w panikę.

A jednak stały tutaj, bezpieczne, poza zasięgiem noży. I nie uciekały, lecz jedynie przypatrywały się ludziom. Być może szykowały się do kolejnej szarży?

Gwizdki za plecami!

Kamila obejrzała się, spojrzała w górę i jęknęła.

Ludzie stojący na wale nie należeli do Szóstej. Prowadzący ich dowódca wypuścił z ust gwizdek, pozwalając, by ten, zawieszony na sznurku, opadł mu na pierś. Miał na sobie bury kombinezon wyglądający, jakby składał się wyłącznie z łąt. Głowę osłaniał mu głęboki kaptur, a twarz – skórzana maska z namalowaną na niej czerwoną farbą czaszką.

– Szósta! – zawołał kpiąco wysokim kobiecym głosem, prawie piskliwym. – Proponuję, żebyście rzucili broń. Inaczej zejdziemy tam do was i wyrzniemy was do ostatniego.

## Rozdział 30

– Zostaniecie osądzeni – oznajmiła młoda kobieta o długich białych włosach spadających nierówno na ramiona. Jej czerwone tęczęwki jaśniały złowrogo, a wąskie, prawie białe usta wykrzywiały się złośliwie. Garbiła się niczym błotniak albo pełzacz, a głos miała nieprzyjemnie piskliwy. I wyraźnie czerpała satysfakcję z pojmania czwartego plutonu. – Wszystkie wasze zbrodnie zostaną dziś osądzone!

Odpowiedział jej ryk i skrzek. Ludzie i błotniaki każdy po swojemu wiwatowali na cześć zwycięzców.

Ledwie godzinę wcześniej Kaktus krótko a treściwie odpowiedział jej, co może zrobić ze swoją propozycją.

– Formuj krąg! – polecił spokojnym głosem, jakby znajdowali się na ćwiczeniach, a nie stali w obliczu pewnej klęski, otoczeni przez wielokrotnie przewyższającego ich liczebnie wroga. Na gorszej pozycji. Zmęczeni walką.

– Szósta! – odkrzyknęli, wykonując manewr.

Kamila zdawała sobie sprawę, że już po nich, ale jakaś jej część nie przyjmowała tego do wiadomości. Są Szóstą! Najlepszym jej oddziałem, Umarzonymi! Rozwalą te niedobitki błotniaków i współpracujących z nimi ludzi. Nieważne, że tamtych jest więcej i zajmują lepszą pozycję. Pokonają ich albo przynajmniej zabiorą ze sobą do piekła tyłu spośród nich, że dobiecie ocalałych niedobitków stanie się dla Szóstej czystą formalnością. Nawet pierwszy pluton poradzi sobie z tym bez trudu.

– No, chodźcie! – ryknął Wiking, nigdy niepanujący nad językiem podczas walki. – Czekamy!

Tamci nie dali im szansy ani na chwalebny walkę, ani na śmierć, o której można by opowiadać wielkie historie.

Po prostu zrzucili na nich sieci obciążone na brzegach kamieniami. I choć Kaktus wrzeszczał: „Nie miotać się! Stać!

Czekać!”, nie wszyscy go posłuchali. A ci, którym udało się utrzymać dyscyplinę, nie walczyli długo, trudno się bronić przed masą wściekłych wrogów, gdy ma się ograniczone ruchy.

Ale kilku zabili. Jeszcze upadając na kolana, gdy równocześnie dosięgnął ją cios pałki bandyty i zaczynała paraliżować toksyna błotniaka, Kamila widziała, jak Dalia, śmiejąc się w głos, jak nie śmiała się nigdy poza walką, wbija nóż prosto w oko błotniaka. Jak wyrwa się z rąk dwóch zachodzących ją od tyłu bandytów, jednemu miażdży nos łokciem, a drugiemu próbuje wbić palce w oczy.

Potem ktoś uderzył Kamilę w głowę jeszcze raz, mocno, celnie, i straciła przytomność.

Gdy ją odzyskała, siedziała związana w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że to główny pokład umocnionego niegdyś przez szóstą statku. Siedziała na podłodze, opierając się plecami o innego jeńca. Nie wiedziała o kogo. Kark miała napuchnięty i bolał, ilekroć próbowała poruszyć głową. Ta zresztą też pękała z bólu, huczało w niej, jakby stado błotniaków tańczyło w mózgu Kamili, waląc w bębny. Ręce związali jej na plecach, mocno, ciasnymi więzami. Krew ledwie dopływała do dłoni. Związali jej też nogi w kostkach. Poczowała trochę satysfakcji na myśl, że ciągle się ich bali. Jednak satysfakcja zaraz ustąpiła miejsca strachowi. Skoro ich nie zabili, to pewnie szykowali dla nich coś wyjątkowo paskudnego.

Rozejrzała się i strach ustąpił miejsca wściekłości.

Odebrali im berety! Zdobiły teraz głowy części bandytów, a nawet łby niektórych błotniaków!

O, zapłacą za to skurwysyny! Mogą ich tu zabić, ale reszta Szóstej im tego nie daruje. Za wybicie czwartego plutonu tylko by ich zabili. Ale za splugawienie symboli Szósta dorzuci specjalną premię.

Błotniaki mogły już oficjalnie uważać się za gatunek wymarły.

Głupcy nie zakneblowali ich. Dlatego gdy albinoska wygłosiła swoją przemowę, Kamila splunęła krwią i zawołała: „Szósta!”.

Liczyła głosy, gdy jej żołnierze odpowiadali. Chyba byli wszyscy. Cholera. Miała nadzieję, że choć kilku się udało

i zginęli zwykłą żołnierską śmiercią, unikając tortur i upokorzenia, jakie z pewnością im tu szykowano.

– A więc ty jesteś dowódcą – albinoska spojrzała na nią. – Mała kobietka. Pyskata. Staniesz się przykładem.

– Ja jestem dowódcą! – Kaktus spróbował wstać pomimo więzów. I co zdumiewające, udało mu się. – Podporucznik Kaktus. Dowodzę tym plutonem. Cokolwiek chcecie zrobić z dowódcą, musicie to zrobić ze mną!

– Daj spokój, Kaktus – Kamila też spróbowała wstać, ale albo związane ją lepiej niż Kaktusa, albo on miał więcej sił czy też determinacji. – Mianowali cię dowódcą plutonu, ale to ja przewodzę Umarłym.

– Stul pysk, szeregowo! – ryknął na nią. – Albo staniesz przed sądem za niesubordynację i próbę buntu!

Prawie się roześmiała.

Stary dobry Kaktus, pocziwina.

Choć ona powstrzymała śmiech, nie opanował się kto inny. Ktoś, kogo wcześniej nie dojrzała, czy to za sprawą panującego na pokładzie półmroku, sprawiającego, że widziała tylko to, co się działo stosunkowo blisko, czy też dlatego że albinoska zasłaniała jej dotąd fotel, na którym siedział mały, chudy chłopak, kompletnie łysy, o wielkich błękitnych oczach. W szerokie oparcie wbity drzewce, na którym zawieszono czarny proporzec z czerwoną czaszką. Chłopiec, niepozorny w cieniu sztandaru, zaśmiewał się w głos i klaskał jakby ubawiony szczególnie udaną sztuką.

Czerwona czaszka – przypomniała sobie Kamila. Niektórzy bandyci z oddziałów nosili takie wytatuowane na wewnętrznych stronach dłoni. Oficerowie Świeżego. Legendarnego watażki, którego nikt nigdy nie widział, o którym słyszano głównie sprzeczne opowieści. Szósta musiała torturować wielu jeńców, nim któryś puścił wreszcie farbę. „Ma tylko szesnaście lat” – szepnął, konając. – „Ale dorwie was wszystkich. I załatwi”.

Świeży. Ten pokurcz?

Albinoska odczekała, aż jej wódz się uspokoił. Gdy skinął głową, kontynuowała.

– Jesteście zbrodniarzami. Po pierwsze pochodzicie ze świata, który zabił sam siebie. Trzymacie się go kurczowo, zabijając tych, którzy rodzą się, by naprawiać to, co popsuliście. To najcięższa zbrodnia.

Kamila nie wierzyła własnym uszom. To, co mówiła albinoska, brzmiało zaskakująco podobnie do *credo* Umarłych. Cholerni bandyci zgadzali się z nią co do diagnozy dla świata! Mawte pochorowałyby się ze śmiechu, gdyby usłyszał to oskarżenie.

– Po drugie – ciągnęła albinoska – zabijacie pełni pychy. Żyjemy w czasach głodu, każdy poluje, każdy zabija. Ale wy kochacie mordowanie. Polujecie nie tylko dla mięsa, ale i dla zabijania. Cieszy was przelewanie krwi tych, których uważacie za zwierzęta. W swojej bucie tylko sobie przypisujecie prawo do bycia człowiekiem.

– Nieprawda! – zachnął się Kaktus, możliwe, że głównie po to, by podkreślić swoją rolę dowódcy. – Wiemy, że jesteście ludźmi! Nigdy wam tego nie odmawialiśmy!

– My? – Albinoska wychyliła ku żołnierzowi głowę, bardziej na owadzi niż ludzki sposób. – A nasi bracia?

– Błotniaki? – zrozumiał. – Ale to...

– Zwierzęta? – zakpiła. – Uważacie ich za zwierzęta tylko dlatego, że nie noszą waszych strojów pochodzących ze świata trupów? Bo nie mówią waszym językiem? Bo nie używają waszych narzędzi, które otępiają wasze zmysły, odsuwają od związku ze światem? Ukryci za waszymi murami, za waszymi maszynami, jesteście przez nie oślepieni. Depczecie świat. Ci, których nazywacie błotniakami, na których polowaliście i których mordowaliście całymi klanami, też potrafią myśleć i czuć. Świeży – ukloniła się przysłuchującemu się jej z uwagą chłopcu – nauczył nas rozmawiać ze sobą. My nauczyliśmy naszych braci, jak walczyć, oni nauczyli nas wiele o świecie. Tylko wy jesteście głusi i ślepi. Nie chcecie słuchać. Wolicie mordować. Zamordujcie cały świat, wszystkie szanse na jego odrodzenie, jeśli wam na to pozwolimy.

– No, bez przesady – próbował jeszcze protestować Kaktus. – Broniliśmy się! Polowali na naszych!

– Żyjemy w czasach głodu – powtórzyła albinoska. – Polowanie nie jest zbrodnią. Ale masowe zabijanie nią jest. Odmawianie prawa innym do bycia czymś więcej niż zwierzętami nią jest. Jesteście zbrodniarzami.

– Cholera, skąd mogliśmy wiedzieć, że oni...

– No właśnie, skąd! – prychnęła. – Czy trzeba jeszcze jakichś dowodów waszej winy?

– A czy w ogóle potrzebujecie jakichś? – zawołał Kaktus. – Przecież od początku wiecie swoje!

– Nie – odpowiedziała poważnie, spokojnie. – My obserwujemy. My wychodzimy naprzeciw światu, który nam zostawiliście. Przyjmujemy nawet to, co odrzucacie. Jak myślicie, skąd pochodzi Świeży? Skąd pochodzi część z nas? Ja na przykład? Wiesz coś o tym, dowódcu? Wiesz o dzieciach, które wyrzucacie jak śmieci?

Kamila nie miała pojęcia o czym mówiła albinoska, ale Kaktus najwyraźniej wiedział więcej od niej. Pobladł.

– To niemożliwe! – szepnął. Posłał spłoszone, niepasujące do niego spojrzenie Kamili, ale szybko zapanował nad sobą. Odchrząknął. Wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu więzy. – Skończyliśmy z tym! Gdy tylko Szósta dowiedziała się, co wyrabiają w gospodarstwach, ukrócilimy to. Wiele lat temu. W Twierdzy nie ma zgody na eugenikę! Pod żadną postacią!

– Ach tak? – wyszczała albinoska. – Wiele lat temu? Ile? Bo nie szesnaście, kiedy rodzice Świeżego zorientowali się, że ma zmartwiałe nogi. Ani piętnaście, gdy zobaczyli moje czerwone oczy! Wiesz, co z nami zrobili, dowódcu? Nie mieli sił zabijać własnych dzieci, nawet chorych, zmutowanych, więc sięgnęli po sposoby ze starych opowieści. Wsadzili nas do koszyków i puścili rzeką. Tak, tą rzeką, do której sami bali się wchodzić, bo pełno w niej potworów.

– To bzdura! – zaprotestował słabo. – Przecież żyjecie! Nie przeżylibyście, gdyby nie...

Urwał. Rozejrzał się po wnętrzu, gdzie błotniaki stały między ludźmi, wymieszane z nimi, jakby niczym się od nich nie różniły w społeczności bandytów.

„Jak mogliśmy to przegapić?” – zastanawiała się Kamila. – „Jak udało się to przed nami ukryć? A może... Czy starzy wiedzieli?”

– Gdyby nie potwory – dokończyła za Kaktusa albinoska. – Rzeka jest ich pełna. Równiny, bagna, lasy, wszystko jest ich pełne. Wszystko prócz waszych przeklętych miast i twierdz, bo tam boją się zapuszczać ze strachu przed takimi jak wy. Wiele z nich to rzeczywiście zwierzęta. Ale nie wszystkie. Pożoga zmieniła więcej, niż sądzicie. W rzekach, bagnach i lasach żyją istoty może nie tak inteligentne jak wy, ale także nie zwierzęta. I próbowały nawiązywać z wami kontakt. Ale wy potrafiłście je tylko zabijać. Więc kiedy wyrzucaliście własne dzieci, dostrzegły szansę. Ratowały nas i ciągle ratują. Bo ciągle nas wyrzucacie. Może wy, żołnierze, nie wiecie tego, może odwracacie wzrok, ale to ciągle się dzieje. Gardzimy wami. Nasi prawdziwi rodzice to potwory.

– Nieźle nawijasz jak na wychowaną przez zwierzaki – nie wytrzymała Kamila. – Co to, błotniaki nauczyły was mówić?

– Nie – albinoska nawet na nią nie spojrzała. – Oni nauczyli nas żyć. Mówić, myśleć jak wy, krwiożercze trupy, nauczyli nas inni. Ale dość już tego. Przedstawiliśmy wam zarzuty, wy próbowaliście się bronić. Czas na wyrok.

Obejrzała się na Świeżego. Skinął głową, a na ten znak na całym pokładzie podniosła się wrzawa. Ludzie wiwatowali, błotniaki sarkają dziwacznie, Kamila nigdy dotąd nie słyszała, by wydawały takie odgłosy. Czy rzeczywiście były inteligentne? A może tylko wytresowane?

– Umrzecie! – oznajmiła albinoska. – Wszyscy. Dziś. Będziecie umierać długo, żeby podobni wam mordercy zapamiętali lekcję, gdy już wyślemy im wasze ciała. Będziemy was trójkami wbijać na pale, obdzierać ze skóry, nim skonacie, a to, co z was zostanie, wyślemy waszym.

– Rzeczywiście, piękny nowy świat! – zakpiła Kamila. – Nas nazywacie mordercami?

– Nie dosięgną mnie twoje kpiny, trupie! – albinoska wzruszyła ramionami. – Dla mnie jesteś tylko zwierzęciem. Bierzcie ich!

Błotniaki trzymały się z daleka. To bandyci sięgnęli po pierwszych trzech żołnierzy. Dżejkej, Wiking i Spajor. Szarpali się, wrzeszczeli, ale nie mieli sił. Kamila najpierw zacisnęła z całych sił powieki, by nie patrzeć na ich męki, ale po chwili uznała, że jest im to winna. Będzie im towarzyszyć do końca. Niech to szlag! To nie powinno się tak kończyć! Byli Szóstą! Byli Umarłymi, do cholery! W tak wielu punktach zgadzali się z filozofią bandytów... Ale przecież nie mogła im tego powiedzieć. To brzmiałoby jak zebranie o życie.

Mogła tylko na jeden sposób dodać sił swoim ludziom. Wyprostowała się tak bardzo, jak mogła, by wykrzyczeć nazwę jednostki, ale ktoś ja ubiegł.

– Dosyc! – głos Wesołego zabrzmiał na tyle donośnie, by przewyciężyć panujący na pokładzie harmider. Także i on zdołał wstać pomimo więzów. – Koniec z tym! Wy pieprzeni, durni fanatycy! Stać!

Albinoska nie zwracała na niego uwagi. Ale niespodziewanie odezwał się Świeży. Mówił cicho, prawie szeptał, ale jakimś cudem na dźwięk tego szeptu ucichli i zamarli wszyscy.

– Byłem ciekaw, kiedy się odezwiesz, duchu – mówił Świeży.

– Znasz mnie?

– Byłeś naszym gościem przez tydzień. Gorączkowałeś. Krzyczałeś. A potem zabiłeś jednego z naszych i uciekłeś. Masz tupet, żeby tu wracać. Ale chcę cię wysłuchać. To, co krzyczałeś w gorączce... Mów, co masz nam do zaoferowania, przybyszu z twierdzy w Nowej Hucie.



## Rozdział 31

– Byłem tu? – powtórzył Wesoły. Pokręcił głową. – Nie pamiętam... Przysięgam, że...

– Gorączkowałeś. Sądziłeś, że umrzesz. Nie byłeś z Twierdzy, więc cię nie zabiliśmy. Byliśmy ciekawi. Krzyczałeś o potworach i kobiecie imieniem Ewa. Ostrzegałeś nas przed nimi. Przed Hutą i Kombinatem. Nie rozumieliśmy i nie rozumiemy tych słów. Ale zbyt dobrze wiedzieliśmy, co masz na myśli, mówiąc o tym, co żyje pod zamkiem. A przed tym także nas ostrzegałeś. Wysłałem za tobą ludzi, by ci pomogli. Wciąż byłeś chory. Ale przejęli cię oni, trupy. Mów, czego chcesz. Lżejszej śmierci? Mogę się zgodzić. Gdy zabiłeś strażnika... Ona miała na imię Wyższa, opiekowała się tobą. Chyba cię lubiła. W każdym razie nie wiedziałeś, co robisz. Więc mogę dać ci szybką śmierć.

– Nie o to chodzi! Ja... nie pamiętam, żebym zabijał tę dziewczynę...

– Już mówiłem. Rozumiem. A teraz...

– Nie! Nic nie rozumiesz! Nie wiem, kim jesteś, nie rozumiem waszych przeklętych sporów! Ale musisz wypuścić tych ludzi!

– Oszalałeś! – wrzasnęła na niego albinoska.

Wyglądała, jakby chciała rzucić się na Wesołego, ale Świeży powstrzymał ją i uciszył jednym uniesieniem ręki.

– Dlaczego? – zapytał spokojnie.

– Nie przybyli tu z wami walczyć. Wiem – podniósł głos, by uciszyć protesty. – Zabijali was wcześniej. Wszędzie tak jest: ludzie zabijają się nawzajem. Ale ci tutaj nie przyszli, by z wami walczyć. Mają inne zadanie. Zostali wygnani i wysłani z samobójczą misją. Idą na zamek.

Cisza, jaka zapadła, zaskoczyła Kamilę. Nawet bandyci, którzy szarpali się z pierwszymi prowadzonymi na egzekucję jeńcami, teraz zamarli i wypuścili ich z rąk. Wszyscy ludzie spojrzeli na

Umarłych jakoś inaczej. Nie z szacunkiem, ale... z litością? Błotniacy wydawali się zdziwieni. Szturchali ludzi otwartymi łapami, szemrali coś. Kilku ludzi pochyliło się nad nimi i zaczęło dziwacznie skrzeczeć. Rzeczywiście rozmawiali z tymi potworami? Chyba tak, bo gdy przerwali, błotniaki wzniosły krótki okrzyk, w którym nawet Kamila usłyszała zdumienie. A potem wszystkie skierowały swoje trójkątne głowy na jeńców i zamarły, posykurając z cicha.

– Na zamek? – odezwał się wreszcie Świeży. – Po co? Chcecie złożyć się w ofierze, by was nie pożarł? Próbowaliśmy tego. Ci, którzy poświęcili się dla nas, wracali potem i porywali swoich braci. Musieliśmy ich zabijać. Zamek nie przyjmuje ofiar. Chce pożreć wszystkich.

– Nie idziemy złożyć ich w ofierze – odparł Wesóły. – Mamy rozkaz zabić to, co tam żyje.

– Zabić? – po raz pierwszy w głosie Świeżego pojawiły się jakieś emocje. Kamila nie potrafiła jednak odgadnąć, czy to strach, zdumienie czy kpina. Jakie to dziwne, że łatwiej odczytywała emocje błotniaków niż tego chłopca! – Chcecie to zabić?

– Kłamie! – krzyknęła albinoska. – Tego nie można zabić! Musieliby być szaleni! Musieliby być...

– Głupcami – wpadł jej w słowo Wesóły. – Tępyimi, ślepyimi głupcami, przekonanyimi, że są panami świata, że nic nie jest w stanie ich pokonać. Musieliby być tacy, jakimi ich opisałaś.

– Zamknij się! – wyszarpnęła zza pasa jeden z noży odebranych Umarłym. Odtrąciła kilku bandytów i ruszyła ku duchowi. – Mnie nie oszukasz! Zabiję cię teraz, ty zakłamany...

– Pieśnio! – Świeży spróbował powstrzymać ją szeptem, a gdy to nie poskutkowało, zaparł się dłońmi w oparciach fotela, uniósł na rękach i krzyknął najgłośniej, jak potrafił. – Pieśnio! Stój!

Ten krzyk zatrzymał ją w miejscu. Ręka z nożem uniesionym do ciosu opadła.

– Nie możesz dać się im oszukać! – zaszlochała. – Świeży!

– Daj spokój, Pieśnio. – Opadł na fotel, krzywiąc się z bólu. Twarz miał czerwoną z wysiłku. – Myślę, że on nie kłamie. Oni

naprawdę są tak głupi, że mogą sądzić, iż pokonają to spod zamku. Ale ty, duchu? Ty też w to wierzysz? Gdy zbliżą się do zamku padną na kolana i dadzą się pożreć. Może jeden albo dwoje będą zdolni się oprzeć. Wtedy zaatakują ich własni towarzysze.

– Ja przeszedłem obok zamku.

– Oszalały. W gorączce.

– Przeszedłem.

Świeży przyglądał mu się długo, uważnie.

– Przeszedłeś. To prawda. Może oddział takich jak ty... Ty, dowódco. Czy to prawda?

Kamila zorientowała się, że mówił do Kaktusa.

– Idziemy na zamek zniszczyć zagrożenie – przyznał Kaktus.

– Wierzysz im? – jęknęła Pieśń.

– Zamilcz, siostró. Posłuchaj, dowódco, cokolwiek postanowię, ty nie uratujesz życia. Zapytam jeszcze raz. Chcecie zabić to, co mieszka pod zamkiem?

– Taki mam rozkaz.

– Dobra. Niech was szlag, trupy. Nie doceniałem waszego szaleństwa. Chociaż pewnie po prostu nie rozumiecie, na co się porywacie. Trzymacie się tego swojego klasztoru i nie wiecie, co naprawdę dzieje się na świecie. Ale dobrze. Nie zmarnuję tej szansy. To, co żyje pod zamkiem, jest takie samo jak wy. Gardzi wszystkimi i wszystko zabija, pochłania. A my siedzimy między dwoma nienazartymi potworami – wami i tym spod zamku.

– Bracie! – spróbowała jeszcze raz zaprotestować Pieśń. Słabo, bez nadziei w głosie. Jakby wiedziała, że Świeży już postanowił.

– Nie odbiorę ci nagrody, Pieśnio – uspokoił ją. – Oto wyrok. Dowódca trupów musi umrzeć. Taka jest cena. Pozostałym damy szansę. Każdy z was, trupy, stanie do pojedynku z naszymi ochotnikami. Ci, którzy przeżyją, będą mogli ruszyć dalej i spróbować zabić to spod zamku. Oddamy wam broń, sprzęt. Nawet odeskortujemy tak daleko, jak to tylko możliwe. Macie swoją szansę, trupy. Dowódco, ty nie będziesz walczył. Umrzesz, gdy tylko sąd się rozstrzygnie.

– Hej! – zaprotestowała Kamila. Nie zamierzała pozwolić na

to, by zamęczyli Kaktusa. Dowodził! Dobrze sobie! Starzy mogli go mianować, ale dla wszystkich było jasne, że Umarli będą słuchać jej. Usunęła się w cień, ale koniec końców, to ona prowadziła pluton, nawet jeśli Kaktus wydawał rozkazy. – Bierzecie niewłaściwego człowieka! To ja dowodzę Umarłymi.

– Kazałem ci stulić pysk, szeregowca! – ryknął na nią.

– Sam stul pysk, Kaktus! Popatrzcie na nas. Słyszeliście o nas! O czwartym plutonie! O Umarłych! Wszyscy mamy czaszki na twarzach. Kobiety po lewej, mężczyźni po prawej stronie! Gdzie jest czaszka Kaktusa? Czy gładkolicy mogłby dowodzić Umarłymi?

– Niech cię szlag, Kamila! – warknął – Przysięgłem pułkownikowi, że wrócisz cała!

– No to jak właściwie jest? – albinoska ujęła się pod boki. Uśmiechnęła się krzywo, złośliwie. – Które z was dowodzi? A może zabijemy oboje?

– Ja dowodzę! – upierał się Kaktus. – Popatrzcie na dystynkcje, do cholery! Ja mam oficerskie. A ona szeregowca! Wszystko jasne?

– Ale nie masz tatuażu – wypomniała mu Pieśń. – Może kłamiesz?

– Zapytaj moich ludzi! – zaproponował. – Niech oni powiedzą!

– Właśnie! – zgodziła się Kamila. Niech już mają to z głowy. Śmierć to śmierć. Ból się kiedyś skończy.

– Świeży? – albinoska zwróciła się do wodza bandytów.

– Niech sami powiedzą, nie ma co ciągnąć tej farsy. No, mówić, kto wami dowodzi. Ty, kobieto! Mów!

Dalia podniosła głowę. Spojrzała na Kamilę.

– Kaktus – oznajmiła. – Podporucznik Kaktus dowodzi czwartym plutonem.

Kaktus obejrzał się na Kamilę i uśmiechnął się szeroko. Zrozumiała, że sukinsyn wiedział, iż tak będzie! Że osłonią ją jego kosztem.

– Wiking! Dziejkej! – zawołała, nie zamierzając odpuszczać mu tak łatwo. – Spajor!

Odwracali wzrok, ale wszyscy wskazywali Kaktusa jako

dowódcę. Świeży przyglądał się temu bez słowa, aż ostatni z Umarłych zdradził swoją przywódczynię. Dopiero wtedy znów się odezwał.

– Czyli sprawa jest jasna – oznajmił, choć Kamila była pewna, że znał prawdę. – Ty, poruczniku Kaktus, zdechniesz tak, jak mieliście zdechnąć wszyscy. Reszta będzie walczyć o życie. Moim zdaniem ci, którzy tu padną, to szczęściarze, bo na zamku czeka was piekło. Ty, wrywna, co udawałaś dowódcę. Będziesz walczyć pierwsza, skoro tak ci się spieszy do śmierci. Kto chce stanąć przeciwko niej?

Pierwszy wyskoczył jakiś błotniak. Zaskrzeczał coś, obnażając zęby.

– Mucholec – jakimś cudem Świeży odróżnił go od innych błotniaków, choć dla Kamili wszystkie wyglądały tak samo. – Dobrze, bracie. Dziewczyna jest twoja. Rozwiązać ją!

Dwóch bandytów ostrożnie rozsuptało więzy na rękach i nogach Kamili. Zwinęli potem starannie kawałki sznurków i schowali je do kieszeni, by nie przepadły. Pomogli jej wstać i podtrzymali, gdy zachwiała się na nogach.

– Uczciwa walka, co? – zawołał Wesoły. – Ona ledwie trzyma się na nogach!

Albinoska tylko prychnęła. Ale Świeży westchnął i oznajmił, że daje jeńcom pół godziny na przygotowanie się do walki. Kazał rozwiązać wszystkich. Kamila dostrzegła, że Spajor od razu sięgnął do ukrytej kieszeni, wyjął z niej papierosy i niby to szukając ognia, zaczął się rozglądać, oceniając prawdziwą siłę przeciwnika i szukając szans na ucieczkę. Podeszła do niego najszybciej, jak mogła, czyli z trudem powłócząc nogami, które zdawały się płonąć żywym ogniem.

– Spajor! – zawołała. – Nic nie kombinuj!

– Rozwiązani mamy szansę – odparł z typową dla siebie nonszalancją. – Szósta kontra banda uzbrojonych świrów... Rozwalimy ich w pięć sekund.

– Jak tylko przypomnimy sobie, jak ruszać nogami, co? Nic nie kombinuj, Spajor! Jedyłą naszą szansą są te pojedynki. Przygotuj się do swojego.

– Chciałbym – uśmiechnął się bezczelnie. – Ale te sucze syny

zabrały mi zapalniczkę, a nawet krzesiwo. Nie wiem, czy powalczę, jak nie dadzą mi wcześniej zapalić. Hej ty, kurdupłu! – ruszył ku najbliższemu z bandytów – Potrzebuję ognia!

Kamila zebrala pozostałych. Starala się porozmawiac z kazdym, dodac im otuchy. Opieprzala tez, ze wskazali Kaktusa, tym samym skazujac go na smierc w meczarniach. Nie wygladali na dręczonych poczuciem winy. To ona byla dla nich cenna. Kaktusa mogli lubic, ale nie nalezal do Umarlych.

– No co? – zachnal sie Dzejkej, ktoremu chyba jako jedynemu bylo troche glupio. – Przeciez powiedzieliśmy prawde, nie? General go mianowal!

Nie spogladal jednak w strone schodow, na ktorych trzymano wciaz związanego Kaktusa. Kamila chciala do niego podejsc, ale straznicy nie dopuscili jej na tyle blisko, by mogla porozmawiac ze swoim nominalnym dowodca. Chciala go zapytac o tyle rzeczy! Czy naprawde ludzie z gospodarstw zabijali niedoskonale dzieci? Co znaczylo to dziwne slowo: „eugenika”? Przypomniała sobie, ze Kaktus, podobnie jak starzy, wiele czasu spedzal w bibliotece. Dlaczego ona i wiekszosc zolnierzy nie wiedziala o procederze gospodarstw? Ile jeszcze rzeczy ukrywali starzy?

Kaktus trzymal fason. Gdy tylko zorientowal sie, ze patrzyła na niego, usmiechnal sie po swojemu, troche lobuzersko, wesolo. Jezu! Nie mogła na to patrzec. Ale choc czula lzy w oczach, tez sie usmiechnęła i skinęła mu glowa.

Niech cie szlag, Kaktus! Nikt cie nie prosil o taka bohaterstczynne!

Pól godziny minelo stanowczo zbyt szybko. Albinoska nie zwlekala ani sekundy. Dala znak i dwaj bandyci podeszli do Kamili, chwycili ja, jakby spodziewali sie, ze bedzie sie opierac, i wyciagnęli na srodek okregu utworzonego przez bandytow i blotniaki. Rzucili dziewczynie pod nogi krutki noz.

Obejrzała sie na swoich. Spajor jakimś cudem zdołal przekonac kogos, by przypalil mu papierosa, i stal teraz, kolyszac sie na stopach, i usmiechal sie po swojemu. Dzejkej patrzyl na Kamile z takim oddaniem i pewnoscia jej zwyciestwa, ze az sie przestraszyla. Dalia byla powazna,

skupiona. Zapewne podobnie jak Spajor analizowała szanse ucieczki, tyle że najpewniej dodatkowo kombinowała, jak zabrać ze sobą jednego z błotniaków na sekcję. Wiking po prostu mrugnął do Kamili. Wojakowski milczał, miał zacięty wyraz twarzy. Pewnie obliczał, jakiej masakry mógłby tu dokonać, gdyby miał ze dwa granaty. Adrian, jak to on, wydawał się najspokojniejszy ze wszystkich. „Będzie, co ma być” – mówiło jego spojrzenie. – „Raz się żyje”. Zielony ostentacyjnie drapał się po nosie, a Grandziarz ze wszystkich sił starał się sprawiać wrażenie, jakby mógł tu wszystkich pozabijać gołymi rękoma. Wesoły stał trochę z boku. Nie należał do oddziału, choć wytargował dla niego szansę ocalenia. Kamila nawet nie wiedziała, czy jemu też każą walczyć.

Odetchnęła głęboko. Oni musieli tylko stoczyć walkę, farciarze. Ona musiała wygrać za wszelką cenę, by dodać im ducha.

Jej przeciwnik czekał cierpliwie. Nie dostał broni. Miały mu wystarczyć silne nogi, potężna szczeka pełna wściekle ostrych zębów i jeszcze ten cholerny jadowity jezor. Żeby szanse naprawdę były równe, powinna dostać miotacz ognia. Szkoda, że żadne już nie istniały.

Miała nadzieję, że ktoś z nich ocaleje i zanieśie do Twierdzy wieści o tym, jak naprawdę wygląda banda Świeżego i do czego jest zdolna. Nagle przypomniała sobie, co powiedział watażka. „Odeskortują ich”. No dobra. Czyli będą musieli przeżyć pojedynki, zabić to, co mieszka pod zamkiem i dopiero wtedy wrócić do Twierdzy. O ile to możliwe, nie wpadając po drodze w łapy bandytów. Aha, przypomniała sobie rozkazy, możliwe, że jeszcze wybrać się do Huty i dokończyć tam robotę.

Bułka z masłem.

Albinoska dała znak do rozpoczęcia walki i błotniak już nie zwlekał, odbił się od pokładu jednym potężnym susem i skoczył na Kamilę. Skurczybyk był silny – wznosił się prawie na półtora metra – i szybki.

Musiała być szybsza i sprytniejsza. Rzuciła się na pokład, przetoczyła się pod przeskakującym nad nią stworem

i wspominając wszystko, co opowiadała jej o błotniakach Dalia, pchnęła z całej siły tam, gdzie powinny znajdować się jego jaja. Dopiero w ostatniej chwili przyszło jej do głowy, że mogła mieć pecha i trafić na samicę. To dopiero byłby niefart. Niech tam, byle ranić!

Błotniak zaskrzeczał boleśnie, a gdy wylądował na pokładzie, zachwiał się i upadł. Szybko poderwał się na nogi, ale znowu upadł. Kamila biegła już na niego z nożem uniesionym do ciosu. Zasłonił się łapą, ale bez problemu ominęła taką blokadę.

I byłaby go zabiła, gdyby jej od niego nie odciągnęli.

– Co jest? – wrzasnęła. – To ma być uczciwa walka?

Albinoska dopadła do niej i z całej siły spoliczkowała.

– Walczymy do waszej śmierci, trupie! – splunęła Kamili w twarz. – Nasi nie będą umierać!

– Walka wygrana – Świeży powstrzymał albinoskę. – Pieśnio, następny. Teraz ten z papierosem. Kto przeciw niemu stanie?

Bandyci odciągnęli Kamilę, znów wiążąc jej ręce na plecach. Nie zamierzali ryzykować. Nie pozwolili jej wrócić między Umarłych, ale odciągnęli dalej i zostawili w samym środku grupy błotniaków. Stwory trącały ją zimnymi nosami, posykując groźnie. Bała się, że będą chciały pomścić krwawiącego obficie krewniaka, którego szans na przeżycie nie oceniała zbyt wysoko. Ale albo bały się jej, po tym jak zaprezentowała im, co oznacza sprawność żołnierza Szóstej, albo okazały się bardziej zdyscyplinowane, niż była skłonna przypuszczać. Żaden nie zrobił jej krzywdy.

– Co, nie ma chętnych? – zakpił Spajor, stojąc w środku kręgu.

Rzeczywiście, po tym jak Kamila, na pozór drobna blondyneczka, rozprawiła się w mgnieniu oka z błotniakiem, bandyci nie kwapili się już tak chętnie do pojedynku. Przypomnieli sobie wszystkie starcia z Szóstą i to, jak zwykle się kończyły. Tego dnia odnieśli pierwsze znaczące zwycięstwo, ale udało im się tylko dzięki znaczącej przewadze liczebnej i zasadzce opartej na ataku stosujących nową taktykę błotniaków. Ale, jak właśnie sobie uprzytomniali, teraz mieli



walczyć jeden na jeden.

Rozwścieczona Pieśń posunęła się do wyzwisk wobec własnych ludzi. Mimo to nikt się nie zgłosił. Spajor zaś uśmiechał się bezczelnie. Zaczął czyścić nożem paznokcie, jakby nie zwracając uwagi na stłoczonych wokół niego wrogów. Nie pierwszy raz wyglądało na to, że wygra walkę, nawet jej nie rozpoczynając. Jedną z broni kaprała stanowił tupet, wielokrotnie ratujący mu skórę.

Pieśń nie wytrzymała wreszcie i choć Świeży próbował ją od tego odwieść, tym razem go nie posłuchała i stanęła naprzeciw żołnierza.

– Zdechniesz! – splunęła, wyciągając nóż, znacznie dłuższy od tego, jaki dano Spajorowi.

Posłał jej szydercze spojrzenie i uśmiechnął się pogardliwie. Mógł wyglądać, jakby lekceważył przeciwnika, jednak Kamila dostrzegła jego oczy: czujne, skupione.

Nie dał się zaskoczyć. Pieśń ruszyła na niego, nie dając wcześniej najmniejszego nawet znaku, że spróbuje zebrać się do ataku. Tak jak stała, nagle trzema susami dopadła żołnierza, uniknęła jego uderzenia lewą ręką i przemykając pod wyciągniętym jeszcze ramieniem, sama pchnęła najwyraźniej pragnąc zakończyć walkę równie szybko, jak Kamila.

Tyle, że Spajor nie był błotniakiem. Ostrze niemal go musnęło, ale zdołał odskoczyć. Chwilę później znów musiał uciekać, bo Pieśń wyprowadziła trzy szybkie pchnięcia, których nie zdołałby sparować.

– No, no – prychnął, gdy stanęli naprzeciwko siebie, szykując się do dalszej walki. – Taka laleczka, a zła jak osa.

Wciąż trzymał w ustach papierosa. Nie spuszczać wzroku z albinoski, zaciągnął się po raz ostatni, lewą ręką leniwym gestem wyjął papierosa z ust, a potem cisnął niedopałkiem w twarz dziewczyny i gdy zasłoniła się odruchowo, zaatakował.

Ustawił się prawym bokiem i wyrzucił rękę do przodu, tak by ominąć skrzyżowane ramiona Pieśni i dźgnąć ją od dołu w tętnicę szyjną. Przy różnicy wzrostu cios od góry byłby pewnie lepszy, ale albinoska mogłaby zablokować go przy ułożeniu rąk, jakie przyjęła, chcąc się osłonić przed

niedopałkiem. Mimo to Spajor prawie już ją miał, gdy dziewczyna zamachała chaotycznie rękami, cofnęła się o dwa kroki, a gdy ostrze Umarłego przecięło powietrze, próbowała złapać jego uzbrojoną rękę.

Nie był to najlepszy pomysł. Mogła mieć w sobie pielęgnowane od maleńkości pokłady nienawiści, ale Spajor był od niej i silniejszy, i cięższy. Udał, że dał się schwytać w pułapkę, a potem całym ciężarem naparł na Pieśń i przygniótł ją do ziemi. Bandyci odciągnęli go, gdy przyłożył albinosce ostrze do gardła.

– Dwa do zera! – zawołał, unosząc broń. – Szósta!

Gdy trzech bandyci ruszyli ku niemu, szybko odrzucił nóż, schylił się za to po wciąż leżący na pokładzie niedopałek papierosa. Zdążył go włożyć do ust i zaciągnąć się ostatni raz, nim został odciągnięty i związany. Papierosa wyrwali mu pomiędzy warg, cisnęli pod nogi i zdeptali.

Zapadła cisza. Nawet Świeży nie spieszył się teraz ze wskazaniem kolejnego z jeńców. Pieśń przeklinała wściekle, aż nie wytrzymała, podniosła swój nóż i krzycząc: „Jeszcze raz!”, wskazała Wojakowskiego.

– Teraz ten!

– Pieśnio... – próbował Świeży, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nie teraz, bracie! To się nie może skończyć naszą klęską!

Spajor nachylił się do Kamili.

– Jest podenerwowana. Powinno pójść łatwo.

– Jest wściekła. I musi coś udowodnić – odparła. – Teraz dopiero może zacząć być ciężko.

Tym razem Pieśń walczyła ostrożniej. Nie rzucała się na przeciwnika, ale krążyła wokół niego, markując ciosy i starając się go sprowokować. Wojakowski pozostawał spokojny, czekał na swoją szansę. Wreszcie sam wyprowadził dwa pchnięcia, których głównym celem było rozzłoszczenie albinoski. Ona jednak nie przerywała swojego tańca i wreszcie Wojakowski zniecierpliwiał się, zaatakował od lewej, a gdy zrobiła unik, uderzył ją z całej siły pięścią w twarz. Upadła, zatoczyła się, a bandyci natychmiast wbiegli między nią a Umarłego.

– Nie! – przegoniła ich, natychmiast zrywając się na nogi. – To jeszcze nie koniec!

– Krwawisz! – napomniął ją Świeży.

– Ale żyję! To nie był cios groźny dla życia! Dalej, trupie, walcz!

Wojakowski wzruszył ramionami. Ruszył na Pieśń spokojnie, ostrożnie stawiając kroki i kołysząc ciałem, jakby tańczył do jedynie sobie znanej melodii. Gdy zbliżył się na tyle, by spróbować wyprowadzić groźny cios, to ona przejęła inicjatywę. Rycząc wściekle, skoczyła ku niemu nie w jakimś zaplanowanym ataku, ale wywijając swoim długim nożem w sposób, który nie przypominał żadnej znanej metody.

Kamila przypomniła sobie słowa Mawtego, który szkolił większość z nich.

„Wydaje się wam, że jesteście już mistrzami” – mówił. – „Że będziecie sobie w stanie poradzić z każdym, bo nauczyliście się kilku sztuczek. Może i jest wśród was paru, którzy faktycznie coś potrafią. Ale zapamiętajcie sobie jedno. Kiedyś staniecie naprzeciwko frajera, który pojęcia nie ma o technice, blokach i pchnięciach. Będzie młócił nożem jak cepem, machał nim desperacko, bezwładnie, bez planu. On może się okazać równie niebezpieczny jak mistrz. Bo jego uderzeń nie przewidzicie, nie zastosujecie żadnej z blokad, które wasze ciała tak dobrze pamiętają, że wykonują je automatycznie. Jeżeli przed wami stoi wariat machający nożem bez ładu i składu, lepiej spieprzajcie i czekajcie, aż się zmęczy. A najlepiej niech ktoś z oddziału ustrzeli fiuta z kuszy”.

Wojakowski również musiał sobie przypomnieć tamtą lekcję, bo cofał się pospiesznie przed rozjuszoną bandytką, która młóciła powietrze w nawałnicy ciosów, chaotycznych i zarazem pełnych furii. Niestety, nie miał dokąd uciekać i nie mógł liczyć, że ktoś ustrzeli albinoskę z kuszy. Dotarł do muru z kibiców, trzymających stronę jego przeciwniczki. Nim się zorientował, pchnęli go prosto na nią. Zaskoczony, potknął się, zatoczył do przodu. Uniósł prawą rękę, by choć spróbować zasłonić się przed ciosem, i nóż Pieśni wszedł w nią głęboko, wgryzł się w ciało po kość. Wojakowski wrzasnął. Co zaskakujące,

albinoska także krzyknęła. Krew Umarłego trysnęła jej na twarz, ale nie przejęła się tym, lecz bez powodzenia starała się wyrwać broń, która utknęła w kości przeciwnika. Wojakowski, wciąż krzycząc, spróbował dosięgnąć jej twarzy palcami lewej ręki. Uchyliła się. Dostrzegła nóż, który wypuścił z ręki. Schyliła się szybko, podniosła broń i płynnym ruchem cięła żołnierza pod udem. Krew trysnęła mocną strugą, oblewając tych, którzy stali najbliżej. Wzniesli entuzjastyczny okrzyk, a potem zaczęli skandować imię albinoski.

Pieśń ukłoniła im się teatralnie. Krążyła teraz wokół słabnącego z każdą chwilą żołnierza. A gdy upadł wreszcie na kolana, podbiegła do niego od tyłu, chwyciła za nos, odciągnęła jego głowę, odsłaniając gardło, a potem poderżnęła je spokojnie, powoli.

– Świeży! – zawołała, a statek zadrżał od triumfalnego wrzasku kibiców.

– Ilu was było trzeba na jego jednego! – Kamila spróbowała wyrwać się strażnikom i przekrzyczeć bandytów. – Ilu, dranie!

Nikt jej nie usłyszał.

Pieśń demonstracyjnie zlizwała krew z ostrza, czym wywołała euforię swoich. Dopiero gdy trochę się uspokoiło, ponownie stanęła przed jeńcami.

– Który teraz, co? – zawołała. – Który?

Rwali się ku niej wszyscy. Zaczęła płaszać przed nimi, recytując dziecienną wyliczankę:

*Raz, dwa, dziesięć, sto  
Kto mutantem jest, no kto?  
Ty odpadasz już zjedzony,  
Ty od ognia spopielony,  
Ty już gnijesz i nie żyjesz...  
...Ciebie chętnie dziś zabiję!*

Zatrzymała się przed Dalią, wskazując ją nożem. Kapral zasalutowała jej drwiąco i postąpiła krok do przodu. Wtedy zabawę przerwał Świeży.

– Pieśnio, dosyć! – zawołał ostro, tonem nieznoszącym

sprzeciwu. – Wystarczy! Teraz kto inny walczy! Piecuch! Twoja kolej!

Albinoska ustąpiła niechętnie. Oddała nóż występującemu spomiędzy bandytów Piecuchowi, prawdziwemu olbrzymowi, który byłby wyższy chyba nawet od Mawtego.

– Rozpruję cię i zeżrę – zawołał, uśmiechając się krwiożerczo.

Dalia załatwiła go w siedem sekund. Nie zdążył się nawet zamachnąć, a już krwawił z trzech ran: na udzie, szyi i pod lewym ramieniem. Przeklinał, wzywał pomocy, ale było już dla niego za późno. Skonał, nim bandyci zdążyli odciągnąć go z areny.

– Następny! – Świeży wtrącił się, nim doszło do linczu.

Stracili jeszcze: Zielonego i Grandziarza, nim próby dobiegły końca. Z całego plutonu Kamili zostali: Dalia, Dżejkej, Spajor, Wiking i Adrian. Załadowano ich na tratwę. Leżał tu już ich sprzęt, od którego jednak zostali odcięci przez strażników.

– Dopłyniecie tak blisko, jak tylko się da – wytłumaczył im Świeży przyniesiony na górny pokład w lektyce. – Broń dostaniecie dopiero, gdy przybijecie do brzegu. Życzyłbym wam powodzenia, ale wszystko mi jedno, kto przeżyje, wy czy bestia spod zamku. Zresztą, prawdę mówiąc, znam odpowiedź.

Za jego plecami nabijano na pal Kaktusa. Żołnierze Szóstej nie widzieli tego na szczęście. Usłyszeli tylko jęk swojego byłego dowódcy. Dopiero gdy bandyci postawili na pokładzie pal z nawleczonym na niego Kaktusem, zrozumieli, że Świeży nie czekał z egzekucją.

– Jego krzyki umilą wam podróż! – zawołała ze śmiechem albinoska. – No, ruszajcie!

Nie nie mogli zrobić, zasalutowali więc tylko Kaktusowi. Kamila miała nadzieję, że stracił przytomność. Jednak gdy dwóch oprawców podeszło do niego i przebiło mu skórę na ręce małymi nożykami, Kaktus drgnął. Zacisnął zęby, żeby nie krzyżeć, ale nawet on nie był na tyle twardy, gdy tamci zaczęli zrywać małe paski skóry.

– Adrian – szepnęła Kamila. – Dasz radę?

Nurt rzeki niespiesznie unosił ich od okrętu. Coś zakotłowało się przy prawej burcie tratwy. Wąż o głowie wielkości męskiego

przedramienia spróbował wspiąć się na pokład i chwycić jednego z jej pasażerów, ale wtedy spod wody wyłoniły się dwie istoty o wydłużonych pyskach, za którymi błyszczały niemal ludzkie oczy. Zacisnęły zęby na ciele węża i wciągnęły go pod wodę.

– Nasi wodni bracia nas strzegą – wyjaśnił jeden z bandytów.

– Dopłyniemy bezpiecznie. A teraz możecie się cieszyć przedstawieniem.

Kaktus zawył przeciągle. Z oddalającego się statku dobiegły Umarłych okrzyki radości i brawa. Kamila wymieniła spojrzenia ze Spajorem.

– Teraz! – rozkazała.

Spajor rzucił się na dwóch bandytów, obalając ich na pokład. Trzech natychmiast zaatakowało go i tylko czwarty mierzył z kuszy do jeńców, starając się utrzymać ich na dystans.

Adrian skorzystał z okazji, że walczący ze Spajorem zasłonili go na chwilę przed strzelcem. Porwał jedną z leżących na pokładzie kuszy, błyskawicznie załadował, obrócił się, przyklęknął, wycelował.

Bełt strażnika trafił go w plecy. Drgnął, przechylił się lekko do przodu. Ale utrzymał broń w rękach.

– Wszyscy leżeć! – wrzasnął bandyta, przeładowując.

Dwóch jego towarzyszy przygniatało Spajora do pokładu, trzeci okładał go pałką po całym ciele. Dwóch pozostałych z maczetami w rękach stanęło przed jeńcami.

Adrian uśmiechnął się. Krew pociekła mu z kącika ust. Uniósł broń, ponownie wycelował.

– Najlepszy strzał w moim życiu – szepnął, zwalniając cięciwę. Nie starczyło mu sił, by śledzić go wzrokiem. Odkaszlnął krwią, zachwiał się i upadł.

Bełt poleciał pięknie, prosto. I przerwał krzyk Kaktusa na zawsze.

## Rozdział 32

Większość bandytów uważała, że powinni zabić jeńców od razu albo zawrócić z nimi na statek, by tam zastąpili Kaktusa, którego mękę przerwali. Nie zgadzał się z nimi tylko dowódca tratwy.

– Rozkazy Świeżego były jasne – oświadczył.

Stał przy sterze, dbając o to, by trzymali się środka rzeki, zbyt daleko od brzegu, by jeńcy mogli na niego zeskoczyć.

– Sytuacja się zmieniła! – krzyknął jeden z tych, których Spajor zdążył zahaczyć pięścią, nim go obezwładnili. – Boruta, widziałeś! Zepsuli przedstawienie!

– Zrobili swoje – Boruta odcharknął i splunął flegmą za pokład. – Wy byście nie ratowali dowódcy, psie syny? Zostawilibyście mnie, żebym konał w mękach? No! Ten tu – wskazał ciało Adriana – już za to zapłacił. Tyle wystarczy.

– Pieśń cię zajebie, jak wrócimy – ostrzegł go bandyta.

– Może Pieśń mnie zajebie, a może Świeży mnie wybroni. Zobaczymy. Mam rozkazy i się ich trzymam. Trupa za burzę, dla naszych braci z rzeki. Ten drugi żyje?

– Jeszcze żyje. Ale możemy go...

– Słuchać moich rozkazów, Płaszczka. To wszystko, co możesz. Jak żyje, to zostaje na tratwie. Tyle. A wy... Ty, mała, dowodzisz nimi, tak?

– Dowodzę.

– Pilnuj swoich. Zrobiliście, co trzeba. Gratuluję. Ale spróbujcie wykręcić jeszcze jakiś numer, a wszyscy wylądujecie za burzą. Zrozumiano?

– Rozumiem.

– Dobrze. A teraz wszyscy stulić pyski. Nie rozpraszać mnie! Kamila przysiadła obok ducha.

– Nie pomagalesz nam – zarzuciła mu.

– Pomogłem. Dzięki mnie tu jesteście.

- Nie tam, na statku. Teraz, na tratwie.
- Kamila, jesteś dowódcą, tak? Na czym powinnaś się skupić?
- Uważasz, że zrobiłam coś źle?
- Zagroziłaś misji.
- Co? Wesoły, ty sukinsynu! Jak śmiesz!
- Naszą misją jest zabicie potwora pod zamkiem, nie skracanie mąk cierpiącym. Kaktus by się ze mną zgodził. Mogli nas tu zabić.
- Wiesz co, Wesoły? Już cię nie lubię.
- Przeżyję. Jeśli wykonamy misję, możesz mnie nawet nienawidzić.
- Nie ma w tobie żadnych ludzkich uczuć? Oni go żywcem obdzierali ze skóry!
- Wiedział, co go czeka. I poświęcił się. Dla ciebie. To cię wkurza, prawda? Przez to działasz nierozsądnie. Pomogłaś Kaktusowi. Ale straciłaś snajpera. Człowieka, którego może nam zabraknąć. To arytmetyka, pani porucznik. Z punktu widzenia szans misji spieprzyłaś sprawę.
- Żałuję, że nie wpadliśmy na to, żeby powiedzieć, że to ty jesteś dowódcą! – rzuciła rozeźlona.
- To też byłby błąd. Bo jestem waszym jedynym przewodnikiem.
- Błąd za błędem, co? Jest coś, czego nie zrobiłam źle?
- Zabiłaś tamtego błotniaka – odparł. – W zabijaniu jesteś dobra.

Nie odzywała się do niego do końca rejsu. Zamiast tego przypatrywała się brzegom. Po prawej większość widoku przesłaniał wał, w wielu miejscach porwany i nadkruszony. W ciągu dwudziestu lat od upadku starającej się nad wszystkim zapanować cywilizacji rzeka poczyniła spore szkody, biorąc odwet za stulecia niewoli. Jeszcze nie zerwała wszystkich tłamszących ją murów, twory dawnej ludzkości okazały się, zdaniem Kamili, dość trwałe. Jednak nie miał już kto o nie dbać. Jeszcze mieszkańcy Twierdzy naprawiali mury klasztoru, próbowali budować nowe drogi między gospodarstwami, a surowca z ruin domów używali, by obwarowywać granice swojego imperium. Ale poza Twierdzą? Bandyci Świeżego tylko



przejęli porzucony przez Szóstą wzmocniony statek. Kamila nie dojrzała śladów wskazujących, by rozbudowali go o coś poza najwyraźniej przyszykowanymi dla jeńców palami. Woleli inwestować w nawiązywanie sojuszy z potworami niż w rozbudowywanie swojej siedziby. Kiedy korozja ostatecznie pożre statek, a rzeka porwie go i zatopi, bandyci porzucą go zapewne bez żalu i przeniosą się do jakiejś innej kryjówki. Przypuszczalnie planowali uczynić nią klasztor. Tego też zapewne by nie reperowali i starożytny budynek niszczałby pod ich rządami, zamieniając się w jeszcze jedną ruinę.

Niespodziewanie poczuła żal na myśl o upadku budowli, która przetrwała tak wiele. Choć z trudem przyznawała się do tego, czuła niechętny podziw dla dokonań Świeżego, który wcielił w życie filozofię Umarłych i naprawdę odrzucił prawa i zasady upadłej ludzkości. Podczas gdy Kamila jedynie wiele mówiła o rezygnacji z zasad starego świata, on rzeczywiście żywił dla nich wyłącznie pogardę. Czy była hipokrytką? Przecież chciała wrócić do Twierdzy i gdyby przejęła w niej władzę, dbałaby o mury i rytuały zakonników. Podczas gdy Świeży ponabijałby ich pewnie wszystkich na pale.

Nie spodobał jej się jego radykalizm. Owszem, starzy zbyt wiele uwagi poświęcali przeszłości, starając się za wszelką cenę zachowywać najdrobniejsze choćby przejawy jej istnienia. To było złe, samobójcze. Ale metoda Świeżego musiała doprowadzić do zezwierżenia, ludzie przestaliby się różnić od błotniaków. Ciekawe, czy Świeży zdawał sobie z tego sprawę i czy taki był jego cel? Wydawał się, mimo wszystko, rozsądniejszy od tej kompletnie oszalałej albinoski. Może się jej bał?

Jedno Kamila wiedziała na pewno. Kiedy wróci do Twierdzy, będzie musiała poważnie porozmawiać ze starszankami o błotniakach i wodnych ludziach, a także Bóg wie ilu jeszcze istotach skażonych ziarnem inteligencji. Należało rozbić ich sojusz ze Świeżym i przejąć je dla chwały Twierdzy.

Roześmiała się w duchu. „Kiedy wróci...” Czyżby odzyskała charakterystyczną dla Szóstej butę? Przekonanie, że nikt nie zdoła ich pokonać? Zostało jej czterech ludzi, z których jeden

pozostawał nieprzytomny. No i Wesoły, owładnięty własną obsesją i służący przede wszystkim sobie. Duch. Powinna się była tego spodziewać. Kiedy w Twierdzy opowiadał jej od duchach, zapamiętała z tego głównie romantyczną historię o błędnych rycerzach Pożogi, samotnie stawiających czoła potworom, wolnych i niezależnych. Teraz zrozumiała, że słuchając Wesołego, przegapiła w jego opowieściach egoizm.

Odwróciła wzrok od nadwątlonego przez erozję wału i spojrzała na lewy brzeg. Tu sytuacja przedstawiała się inaczej. Wisła rozlewała się tam leniwie w poboczne nurty, tworzyła stawy, rozlewiska i bagna. Dostrzegała pławiące się wśród nich błotniaki, umiarkowanym zainteresowaniem obdarzające tratwę z jej pasażerami. Czy również pozostawały w sojuszu ze Świeżym, czy też stanowiły niezależne stada...? Klany? Może należało o nich myśleć w ten sposób? Wydawały się spokojne, ale kiedy wielki, zaopatrzony w szczątkowe łapy sum wyskoczył nagle z wody i siłą rozpędu wpadł kilka metrów w głąb brzegu, rozbiegły się z krzykiem na wszystkie strony. Sum miotał potężnym łbem na wszystkie strony, ale nie dostrzegłszy żadnej ofiary dostatecznie blisko, zawrócił do rzeki. Wtedy kilka odważniejszych błotniaków pobiegło za nim, skrzecząc pogardliwie i ciskając za nim kamieniami. Sum przyspieszył. Teraz to on uciekał. Błotniaki stały się zuchwalsze. Dwa podbiegły bliżej, jeden nawet dotknął ogona ryby i wydał triumfalny okrzyk. Sum nie zwrócił uwagi na tę obelgę. Gnał ku rzece, ile sił w rachitycznych nogach. Być może dusił się już na powietrzu? Ale udało mu się. Z ulgą zanurzył się w wodzie i ledwie sekundę albo dwie później znów z niej wyskoczył, tym razem łapiąc w dysponujące imponującym zaciskiem szczęki jednego z zuchwałych prześladowców. Prerażony błotniak pisnął rozpaczliwie, nim zniknął pod wodą. Żaden z pobratymców nie pospieszył mu z pomocą. Za graniczącą z głupotą brawurę trzeba było zapłacić.

Kamila zastanawiała się, czy taktyka suma mogła polegać właśnie na takiej pozorowanej ucieczce. Być może dawniej wystarczało wyskakiwać z wody, by porywać ofiary z brzegów. Ale gdy te stały się ostrożniejsze, drapieżnik musiał znaleźć

nowy sposób, przystosować się. Czy to oznaczało inteligencję? Czy można było zawiązać sojusz także z sumem? Dobry Boże, od tych myśli zakręciło jej się w głowie. Jeśli tak, to czy na świecie istniały jeszcze w ogóle jakieś nieinteligentne istoty? Może sojusz trzeba było zawiązać z kozami Mawtego?

Zaczynała wariować od tego wszystkiego. Zdecydowanie łatwiej było najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania. Najlepiej niech Dalia określi, które stworzenia są inteligentne, a które nie, badając ich mózgi podczas sekcji.

W miarę jak zbliżali się do miasta, krajobraz ulegał zmianie. Zielen roślin, znanych z okolic Twierdzy, mieszała się tu z sinym kolorem dziwnych pnączy, które pojawiały się już także w granicach państwa Szóstej. Znow więcej było ruin, jednak tutaj budynki wydawały się większe niż w Tyńcu. Na ziemi zalegało też więcej pyłu. W czasie Pożogi to głównie on unosił się w powietrzu, przesłaniał słońce i opadał na ziemię, pokrywając ją grubą powłoką dławiącą rośliny. Wtedy nie dawało się opuszczać schronów bez aparatów tlenowych. I to pył właśnie stanowił jeden z powodów, dla których Szósta zdecydowała się opuścić miasto. Znając uwarunkowania Krakowa, zabudowanego ze wszystkich stron wysokimi blokami uniemożliwiającymi niemal całkowicie przepływ powietrza, żołnierze uznali, że pył nigdy go nie opuści. Założyli, że na wsi łatwiej będzie sobie z nim poradzić, że wiatr rozwieje go, jeśli ludzie tylko trochę mu w tym pomogą.

Wyglądało na to, że nie pomylili się tak bardzo. Kamila dostrzegała sporo pyłu, podnoszonego byle ruchem, byle podmuchem. Nie było go jednak aż tak wiele, jak obawiali się weterani Szóstej. Może była to zasługa sinego pnącza, które najwyraźniej świetnie sobie radziło, wyrastając z gleby obciążonej pyłem. Ale i inne rośliny dawały radę, choć większość z nich wydawała się karłowata w porównaniu z tymi, które Kamila знаła z gospodarstw. Kilka drzew musiało ocaleć z Pożogi, wyrastały wyraźnie ponad całą resztę. Sine pnącze próbowało szturmować ich pnie, ale z niewielkim powodzeniem.

– No, prawie jesteście na miejscu – oznajmił Boruta, kapitan

tratwy. – Słuchajcie, trupy, jak zrobimy. Tu zbliżymy się trochę do brzegu i chłopaki wywalą wasze bambetle. Nie kombinujcie nic, tym razem trzech z nas będzie do was celować. Nie zostało was tyłu, byście mogli sobie pozwolić na dalsze straty. Was wysadzimy parę metrów dalej. Nie chcemy, żebyście wsadzili nam belty w dupy, gdy będziemy odpływać. Dalej możecie iść wzdłuż rzeki, to stosunkowo niedaleko. Radzę wam przenocować w którejś z tych tutaj ruin. Nic nie powinno na was napaść, bo stwór spod zamku zeżarł wszystko w okolicy. Ale jeśli coś podejździe, rozwalcie to bez pytania i wahania. Bo to na pewno będzie coś od niego. Jeśli ucieknie, doniesie o was, a wtedy stwór rzuci przeciw wam wszystko, co ma. Tu, gdzie was wysadzamy, nie potrafi jeszcze wpływać na myśli. Jego władza nie sięga tak daleko. Ale im będziecie bliżej, tym silniejszy będzie jego zew. Póki was nie zauważy, nie skupi na was swojej woli. Ale gdy to zrobi, będzie po was. Więc skradajcie się najciszej, jak potraficie.

– Tyle dobrych rad! – zakpił Dzejkej.

– Nie życzę wam dobrze – odparł spokojnie Boruta. – Właściwie życzę wam, żebyście zdechli. Ale temu spod zamku też życzę, żeby zdechło. Może odrobinę bardziej, niż wam. Wy zabiliście mi jednego syna, ono trzech.

Wysadził ich przed kolejnym zakrętem rzeki. Wbrew sobie odprowadzali wzrokiem jego tratwę, gdy zawracała ku siedzibie Świeżego. Nie stał im się bliski; uczucia jakie do niego żywili nie były cieplejsze, niż te, którymi on ich darzył, ale mimo wszystko stanowił część ich świata. Gdy się z kimś walczy odpowiednio długo, zaczyna się do niego przywiązywać. A teraz stali na obcych terenach w obliczu nieznanego wroga. Tylko Wesoły miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, gdzie trafili. Ale akurat Wesołemu Kamila przestała ufać.

## Rozdział 33

Za radą Boruty rozbili obozowisko w ruinach jednego z budynków. Wybrali taki na rozstaju dróg. Jedna, większa, biegła nadal wzdłuż rzeki, druga skręcała w prawo, między kolejne zrujnowane domy, porośnięte prawie całkiem przez roślinność toczącą o nie walkę z sinym bluszczem. Dom, w którym się ulokowali, jakimś cudem skuteczniej stawiał opór roślinnej zachłanności. Może miał na to wpływ fakt, że spośród nich wszystkich znajdował się najbliżej rzeki, a może chodziło o to tylko, że od innych budynków oddzielał go spory placyk, jak się zdaje, pełniący kiedyś funkcję parkingu. Znaleźli na nim wraki dwóch samochodów i kiedy pozostali rozbijali obóz, Kamila z radością rzuciła się na ich truchła w nadziei, że znajdzie w nich coś, co nadawałoby się do jej pupilka zaparkowanego na wieczność w opactwie. Zresztą, nawet gdyby nic nie zdobyła, przyjemność sprawiało jej oglądanie starożytnych silników, niechby i skorodowanych. Przerwała dopiero, gdy Dalia zawołała ją na kolację.

Natychmiast poczuła głód skręcający kiszki. Nie jadła nic od wymarszu z Twierdzy, a jednak jakimś cudem o tym zapomniała! Teraz rzuciła się z apetytem na zupę przygotowaną przez Dalię. Pożerała ją łapczywie, nie tracąc czasu na delektowanie się smakiem jak zwykle znakomicie przyprawionej potrawy. I dopiero gdy dogrzebała się łyżką do dna menażki, do głowy przysła jej paskudna myśl.

– Ale to nie z błotniaka? – zapytała.

– A co, nie będziesz już zajadać błotniaków? – Dalia spojrzała na nią kpiąco.

– Jeśli to z błotniaka, to ja proszę dolewkę! – zawołał Dzejkej, podsuwając własną menażkę.

– Niestety, nie z błotniaka – westchnęła Dalia z udawanym smutkiem. – To koźlina.

– W takim razie mam nadzieję, że z Kasi, Basi albo Zosi – prychnął Wiking, który kiedyś postanowił udowodnić, że da się urządzić kozią corridę, i zapłacił za to dwoma tygodniami pobytu w lazarecie.

– Nawet ja nie zadzieram z tymi trzema – roześmiała się Dalia. – To jak, szefowo, chcesz dokładkę?

– Dzisiaj zjadłabym nawet generała – zapewniła szczerze Kamila. – Ale z tą szefową... Dalia, teraz ty jesteś starsza stopniem ode mnie.

– Nie pieprz, Kamila, od tego macie kucharza – kapral mrugnęła do niej. – Starzy mogą sobie żonglować gwiazdkami, ale my jesteśmy Umarli. Czwarty pluton. Nawet Kaktus wiedział, że ty tu rządzisz. Kazał mi dać ci to, nim go zabrali.

Wyciągnęła dłoń i podała Kamili gwiazdki, które Kaktus zdążył zerwać ze swojego naramiennika. Trzymając je w dłoni, Kamila znów poczuła, że się rozkleja. Kaktus... Pieprzony sukinsyn, o wszystkim myślał. Do końca.

Raz-dwa otarła oczy.

– Cholernie pieprzna ta twoja zupa, kapralu! – warknęła.

– Masz, przepij to tym – Dalia podała jej niewielką metalową piersióweczkę, cenną pamiątkę po dawnych czasach.

– Czy to nie Spajora? – spytała.

– Nie obrazi się. Pij.

– Za Kaktusa! – wzniosła toast i pociągnęła mocnej, wypalającej podniebienie gorzałki pędzonej przez Spajora na ziemniakach i owsie, a właściwie na wszystkim, co udawało mu się zakosić z magazynu albo kupić na lewo w gospodarstwach. W Twierdzy, zgodnie z umową z Szóstą, monopol na produkcję alkoholu posiadali zakonnicy, od wieków dysponujący własnymi przepisami na piwo i wino. Tak przeor, jak i dowództwo przymykali jednak oko na wódkę pędzoną na własny użytek.

– Za Kaktusa! – wołał każdy, upijając łyk ze Spajorowej piersióweczki.

– Wyjdzie z tego? – zapytała Kamila po kolacji.

– Wyjdzie, ma mocny łeb – zapewniła ją Dalia. – Poobijali go, złamali mu żebro, a prawie wszystkie pozostałe są obite albo

pęknięte. Lewą rękę też ma złamaną. Ale poza tym trzyma się lepiej, niż wygląda.

– Tyle że jest nieprzytomny.

– Bo napakowałam mu ziół, ledwie się ocknął. Lepiej, żeby spał. Organizm wypocznie, zregeneruje się.

– Ale jutro do walki z nami nie wyruszy, prawda?

– Jutro? Może za dwa, trzy dni nadałby się od biedy na tragarza. Za tydzień na ułomnego tarczownika. A za dwa pozwoliłabym mu strzelać z kuszy.

– A w dramatycznej sytuacji?

– Takiej jak nasza? Pójdzie z nami choćby jutro. Coś tam uniesie. Ale jak dojdzie do walki... – wzruszyła ramionami. – Jest Umarłym, nie?

– Jest Umarłym – skinęła głową Kamila.

Jej ludzie mieli pewność, że nawet wyczerpani i jednoręcy warci są dwóch innych żołnierzy. Należało kultywować w nich to przekonanie, ale po ostatnich klęskach pewność siebie Kamili została poważnie nadwątlona.

– Zasady dalekiego patrolu – oznajmiła wszystkim. – Żadnego ognia, jak tylko zacnie się robić szaro. Fortyfikujemy drzwi i okna. Ja trzymam pierwszą wartę, potem Wiking, Dzejkej, na końcu Dalia, która budzi nas o brzasku na śniadanie. Pełna gotowość.

– A ja? – wtrącił się duch.

– Ty masz być jutro świeżutki jak mięso po upolowaniu. Od ciebie będzie zależeć, czy w ogóle dotrzemy do zamku. Daleko stąd do niego twoim zdaniem? Na mapie od dowództwa nie widać zmian po wojnie.

– Jeśli nic nas nie zatrzyma, dojdziemy w godzinę zwyczajnym marszem. Pierwszy most jest kompletnie rozwalony, tyle pamiętam. Trzeba będzie minąć zamek po tej stronie rzeki, proponuję ominąć go szerszym łukiem, nie pchać się na widok. Jak przejdziemy między domami, mamy chyba większe szanse.

– Chyba?

– Szedłem niezbyt nieprzytomny. Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Tego, że pierwszy most nie nadaje się do przejścia,

jestem pewny. Tego, że lepiej trzymać się z dala od zamku tak długo, jak tylko się da, też.

– Zrobimy, jak radzisz. Ale w końcu będziemy musieli tam iść. Opowiedz wszystko jeszcze raz, Wesoly. Nam wszystkim. Bo twoją historię znają, póki co, tylko oficerowie. Moim ludziom należy się prawda.

– Prawda – Wesoly uśmiechnął się bez śladu radości, krzywo, jakby myślał o czymś wyjątkowo paskudnym. Splunął przez lewe ramię. – A która? Bo słyszałem, że jest prawda, też prawda i gówno prawda.

Dzięki roześmiał się, Wiking zarechotał i nawet Dalia się uśmiechnęła. Tylko Kamila pozostała poważna.

– Twoją prawdę, Wesoly.

– A, moją... To ta najgorsza. Słuchajcie, pochodzę z daleka. Ale diabli tam moje pochodzenie. Kiedy gówno spadło na świat, byłem akurat w Nowej Hucie. Wtedy stanowiła część Krakowa. Wicie, jeździły po nim prawdziwe tramwaje, wszędzie było blisko. Miałem szczęście, ktoś wciągnął mnie do schronu pod blokiem. Siedzieliśmy tam przez pięć dni. Naokoło wszystko płonęło, myślałem, że upieczemy się żywcem. Ale baliśmy się wychodzić, bo byliśmy pewni, że zabije nas promieniowanie. Mieliśmy co jeść, schron przerobili na piwnicę, a w niej pełno było słoików z żarciem i kompotami. Nawet domowe wino się znalazło. Ale po tygodniu zapasy się wyczerpały i trzeba było wyjść na zewnątrz. Ja byłem obcy, samotny, więc ci sami, co wcześniej mnie ratowali, wypchnęli mnie na poszukiwania. Naiwniacy. Już do nich nie wróciłem. I tak wyszło, że włóczyłem się sam przez dwadzieścia lat i jakoś przeżyłem. Takich jak ja nazywali w Hucie duchami, a myśmy się na to godzili. Czasem działaliśmy wspólnie, czasem nie. I jakoś toczyło się to życie, aż do dnia, w którym spotkałem dwoje dzieciaków, uciekinierów z Federacji.

Zamilkł na chwilę. Zaczynało zmierzchać, więc Umarli czym prędzej zgasili ogień. Woleli zmarznąć w nocy, niż przyciągać uwagę. Jakieś zwierzę zawył po drugiej stronie Wisły. Zaraz dołączył do niego skowyt drugiego, a potem trzeciego. Psy. Twierdza utrzymywała własne sfory, dla myśliwych i dla



ochrony gospodarstw. Psy były dobrymi żołnierzami i wiernymi towarzyszami, zdolnymi do poświęceń. Ale Szósta знаła i inne, dzikie sfory. Bo psy potrafiły się przystosować także do dzikiego świata. Twierdza walczyła z nimi bez końca.

– Bo musicie wiedzieć, że w Nowej Hucie, inaczej niż u was, szczęściarze, istniało kilka frakcji. Federacja Schronów należała do najsilniejszych. Ale coś tam się u nich popsulo. Ktoś zapragnął większej władzy, szykował przewrót... – popatrzył Kamili prosto w oczy, aż się wzdrygnęła pod tym spojrzeniem – ... i wszystko się popsulo. Rewolucja, widzicie, wydaje się całkiem fajną rzeczą, póki nie wybuchnie. Potem jest tylko krew, a gdy opadnie kurz, okazuje się zwykle, że wszyscy wartościowi ludzie zginęli, a zostali niemal wyłącznie szubrawcy, którzy wiedzieli, jak się ustawić.

– Do rzeczy, Wesoly! – popędziła go gniewniej, niż zamierzała.

– Do rzeczy – zgodził się. – No więc we Federacji wszystko się popsulo, te dzieciaki musiały zwiewać. Zdechłyby, bo żadne nie miało pojęcie o świecie. Ale tak jakoś wyszło, że zająłem się nimi. Po dwudziestu latach trochę już zgłupiałem, uwierzyłem, że duchy mają jakieś posłannictwo. Wszyscy żeśmy zaczęli w to wierzyć. Nawet kiedy z tego kpiliśmy... No, w każdym razie zająłem się gówniarzami. On był takim naiwnym rycerzykiem. Wierzył we wszystkie piękne opowieści i że ma misję ich zachowywania i bronięcia Ewy. Ewa zaś to była ta dziewczyna – przymknął oczy. – Miała w sobie ogień. Jej oczy... Nie uwierzylibyście. Może być, że poszedłem z nimi dla niej. Nie macie jeszcze tej gorzałki? W gardle mi zaschło od tego gadania.

Pociągnął łyk. Odetchnął.

– Ten wasz Spajor to skarb. Za taką wódkę kupiłby pół Federacji. Gdyby jeszcze istniała. Zaprowadziłem dzieciaki do najbezpieczniejszego miejsca, jakie znałem, do Muzeum. Spodobałoby się waszym dowódcom, ale wam już pewnie nie. Bo tam próbowali zachować całą wiedzę starego świata i nawet nieźle im to wychodziło. Mieli elektryczność, proste maszyny i najlepsze warsztaty poza Kombinatem. A mieszkali

w samolotach.

– W samolotach? – nie wytrzymał Dzejkej, który o latających maszynach tylko słyszał i nie potrafił do końca uwierzyć w ich istnienie. – W prawdziwych samolotach? Latających?

– No, po Pożodze to już nie. Muzeum jeszcze przed wojną zbierało stare samoloty. Jakby ci to wytłumaczyć, młody... Oni wtedy, przed wojną, budowali specjalne gmachy, w których zatrzymywali przeszłość, żeby pokazywać ją ludziom. Marnowali na to niewyobrażalne zasoby. W tym Muzeum trzymali stare samoloty i zamieszkali w nich, jak wszystko dupło. To była prawdziwa forteca. Nie tak dobra jak wasza, ale wtedy myślałem, że niezdojta. No i pewnie nikt by jej nie zdobył, gdyby nie przyszedł Król.

Aż się zatrzęsł na samo wspomnienie.

– Spotkaliście jednomyślne, ptaki, nie? No to wyobraźcie sobie armię złożoną z jednomyślnych ptaków, psów, zmutowanych zwierząt, szczurów osiągających metr wzrostu i ludzi. Wszystkich myślących i czujących to samo. Wszystkich poddanych woli jednego człowieka: Króla. Pragnących tylko jednego, by związać ze sobą każdą napotkaną żywą istotę, a tych, którzy stawiają opór, zabić. Nikt z tych, których nie dotknęło szaleństwo Króla, nie rozumiał, o co mu chodziło. Początkowo ja też nie.

Widzicie, ja zawsze byłem dość odporny na jednomyślność. Ptaki niejedną raz próbowały mnie oszołomić, ale opierałem się im. Więc w życiu bym nie pomyślał, że kiedyś mnie to dopadnie. Sądzę, że to przez Ewę. Ja... My... No, byliśmy ze sobą, po prostu. Jak mężczyzna z kobietą, ale bardziej niż rozplodowo... Wy wiecie, co to rozplód?

– Wiemy – mruknęła Dalia. – Każdego z nas to czeka. Tylko wojsko trochę to odwleka, ale...

Nie musiała kończyć. Wszyscy wiedzieli, że dzieci były cenne. I Dalia, i Kamila, jak wszystkie kobiety, trafią do jakiegoś gospodarstwa, nim ukończą dwudziesty piąty rok życia. Może potem wrócą do wojska, może zostaną z dziećmi, jeśli jakieś urodzą. Mężczyźni mieli lepiej, robili swoje i wracali do armii.

– Myśmy się kochali – głos Wesołego zabrzmiał głucho. –

Miłość jest wredna, tworzy z dwojga ludzi jedną osobę. A to czyni podatnym na zranienie. Moja Ewa była najbardziej otwartą na jednomyślność osobą, jaką poznałem. I chyba trochę tego jej przekleństwa przeszło na mnie. Więc gdy spotkaliśmy zwiadowców sfory Króla, coś się stało zarówno z nią, jak i ze mną. Wygraliśmy tylko dlatego, że Marcin, ten naiwniak, dla odmiany w ogóle nie był podatny na wpływ Króla. Uratował nas wtedy. Na nieszczęście nas wszystkich.

Kiedy Król przypuścił szturm na Muzeum, myśmy zwariowali. Ewa, ja, wszyscy, których wcześniej dotknął i zaraził. Ja jeszcze coś kojarzyłem, ale Ewa... – zawahał się. – Ona przestała być sobą. Całkiem mu się oddała. Już nie myślała jak człowiek, stała się częścią sfory, całkiem zatraciła własną osobowość. Otworzyliśmy sforze bramę do Muzeum, a potem razem z nią zabijaliśmy obrońców. A po wszystkim Król po prostu wziął sobie Ewę. On też wyczuł, że była wyjątkowa. Opanowani przez niego ludzie, możliwe, że byłem między nimi, zaciągnęli ją do niego, a on, pośród tej całej rzezi wziął ją sobie. Pokrył ją jak zwierzę, a ona pozwoliła mu na to. Oddała mu się z radością, na moich oczach. Ale wtedy wiwatowałem na ich cześć razem z innymi. Król i Królowa w ekstazie, to przelewało się na nas wszystkich, a ja, w ostatniej sekundzie, zanim wszystko runęło, zobaczyłem coś więcej, zobaczyłem jego cel.

Wcale nie był zdobywcą. On się bał. Był śmiertelnie przerażony.

Coś się wtedy stało. Ktoś zabił jednego z jego psich generałów, z którym był szczególnie połączony. Nagle uniesienie, radość i rozkosz, jakich nie zaznacie w zwyczajnym ludzkim życiu, bo nie dzielicie ich z tysiącem innych istot, zmieniło się w ból i rozpacz. Wtedy jego armia się rozsypała, a część z nas na moment znów mogła być sobą. Chwyciłem wtedy łuk, żeby go zabić. Strzeliłem, ale chybiłem, bo cały czas się trząsałem. Poczułem, że on zaczął odzyskiwać kontrolę, więc uciekłem. Porzuciłem swój łuk, strzały... Znowu zmieniłem się w zwierzę, ogarnięte tylko przerażeniem i pragnieniem, by uciec od tego jak najdalej. Dzieliłem wcześniej, jak wszyscy w sforze, umysł z nim i z Ewą, wiedziałem, że ona już nigdy do mnie nie wróci.

Więc po prostu uciekałem. Myślałem, że biegnę bez celu. Ale to ono mnie przyciągało. To spod zamku.

Widzicie, Król też stamtąd pochodził. Był jednym z dzieci tego spod zamku. Ale jego matka zachowała jakąś resztkę człowieczeństwa i uciekła z dzieckiem, nim zostało pozarte. Król ledwie to wszystko pamiętał, trzeba było kogoś takiego jak ja, kto się wyrwał, a przy tym zachował część jego wspomnień. No i jeszcze dostał okazję, żeby je sobie poukładać. Król wychowywał się z matką, a po jej śmierci sam. Miał te swoje moce, pozwalające mu kontrolować umysły innych, ale ciągle czuł zew stwora spod zamku. I był pewny, że potwór w końcu go dopadnie. Dlatego uciekł i zbudował własną armię. Chciał mieć się czym bronić przed potworem, przed własnym ojcem. Trochę marzył, że kiedy zbuduje własną armię, wróci pod zamek i go zabije. Ale wyczułem, że to był fałsz. Armia nigdy nie wydałaby się Królowi dostatecznie silna. To wszystko, co wiem.

– A co stało się z tym Królem? – zapytał po chwili Dzejkej.

– Nie wiem. Myślę, że odzyskał kontrolę i ruszył dalej. Jeśli zaatakował Federację, wątpię, by mu się oparła. Kombinat... Dawniej myślałem, że Kombinat jest niezwycięzony. Ale wiem, że wystarczy, by Król opętał kilku ludzi wewnątrz dowolnej fortecy, a jej drzwi staną przed nim otworem. Więc zakładam, że Kombinat też mógł już upaść.

– Przyjdzie i po nas? – zapytał Wiking.

– Wątpię. Musiałby albo przejść obok zamku, a tego panicznie się boi, albo go ominąć. Bardzo szerokim łukiem. Więc wątpię.

– No to po co my się tam pchamy? – teraz Dzejkej kierował pytanie do Kamili.

– Bo taki mamy rozkaz, młody! – ostrym tonem przypomniała mu, kim byli. – I ten cały Król może się i na nas nie wybierać, ale co będzie, jeśli to spod zamku nas zaatakuje? Świeży mówił, że im porywało ludzi. I jest jeszcze coś. – Zawahała się. Może powinna zachować dla siebie to, co powiedział jej Mawte? Jak tajemnice oficerów? Do diabła, nie! Nie będzie jak starzy! – Generał z pułkownikiem uważają, że to, spod zamku, może być dziełem ludzi sprzed wojny. Jakby

naszym, bo wojska. Oni mogli stworzyć to jako broń. Nasi starzy mają wyrzuty sumienia. Wicie, mają się za spadkobierców armii. Postanowili, że powinniśmy po sobie posprzątać.

Wesoły spojrział na nią zaskoczony. Nie wiedział...

– Pieprzony spadek po pieprzonych przodkach, co? – mruknął. – Powinienem się domyślić. Wszystko, co jest gówniane na tym świecie, to ich robota. Wszystko, co dobre, dzieje się wbrew nim. Czasem myślę, że oni po prostu chcieli rozwalić świat w drzazgi.

– Ty mi lepiej powiedz, czy znowu nie zwariujesz, jak podejdziemy pod zamek – przerwała jego filozoficzne rozważania Kamila. – Sam mówiłeś, że nabawiłeś się podatności przez tę Ewę.

– Nie bój się, szefowo. Raz już przeszedłem obok zamku, nie? Oparłem mu się.

– Niby jakim cudem?

– Przez nienawiść – popatrzył Kamili prosto w oczy, by zobaczyła, że nie kłamie. – Nienawidzę tego gówna i to mnie chroni. Jedyne, o czym myślę, gdy je sobie przypominam, to, że chcę je zabić. Je i Króla.

Zamilkli po jego słowach. Atmosfera zrobiła się ciężka i ponura. Kamila nie wiedziała jak ją rozładować. Także nią wstrząsnęły słowa ducha. A raczej furia, z jaką je wypowiedział.

– Potwór jak potwór – odezwała się wreszcie Dalia. – Jak dacie mi go pokroić, to powiem wam, co w nim takiego niezwykłego. A jak się trochę postaram, to może nawet ugotuję wam z niego zupę.

## Rozdział 34

Bladym, zimnym świtem zjedli pospiesznie śniadanie. Nastal brzydki poranek. Wiatr ze wschodu przyniósł ze sobą gryzący pył i ciemne, ciężkie chmury napęczniałe od deszczu. Duch przypatrywał się im z ponurym wyrazem twarzy.

– Dziś nie powinniśmy się ruszać spod dachu – poinformował Kamilę. – Już sam pył jest wredny, ale gdy z tych chmur spadnie deszcz, wszystkich nas może trafić szlag. W mieście zostało niewiele radioaktywnych miejsc, ale to, co przychodzi ze wschodu...

Splunął.

– Sama wiem – burknęła Kamila. – Znam opowieści o pustyni, która świeci w nocy, i o wietrze wiejącym od niej.

– Nigdy tam nie byłem – przyznał. – Różnie mówili o nas, duchach, ale nie jesteśmy samobójcami. Podobno dalej, za pustynią, jest jeszcze gorzej. Im dalej na wschód, tym więcej bomb i pustyni.

– Ktoś to kiedyś potwierdził?

– Nie znalazł się nikt na tyle głupi. A jeśli nawet, to nie zdołał wrócić.

– Więc może to bajdy? – wzruszyła ramionami. – Legendy zmyślane przez ludzi, którzy wołają, byśmy trzymali się od nich z daleka? Z tego, co słyszałam, Ziemia przed wojną aż ugięła się pod ciężarem ludzi, a wszyscy skakali sobie do oczu. Może ci mądrzejsi uznali, że Pożoga to dobra okazja, żeby poodcinać się od siebie nawzajem? Siedzą w swoich enklawach i na cały świat rozpuszczają bajdy o nieprzebytych pustyniach, pełnych promieniowania i potworów. Więc nikt się na nie nie zapuszcza. Zamiast starych granic, które złamać mógł byle czołg, ludzi oddzielają od siebie opowieści pełne grozy. I nie ma już wojen.

– Naprawdę nie ma? – zerknął na nią kpiąco.

– Tam gdzie ludzie mają okazję się ze sobą spotkać, są – przyznała. – Może potrzebujemy więcej opowieści?

– Pochodzę stamtąd, ze wschodu – przyznał się po chwili wahania. – Trochę dodałaś mi otuchy. Może wyruszę tam, gdy zabijemy to, co siedzi pod zamkiem, a potem Króla?

– Wygląda na to, że mamy sporo do zrobienia – roześmiała się. – Tym bardziej powinniśmy się spieszyć.

– Lepiej zostać, przeczekać.

– Po drodze spotkamy wiele domów, w których będzie można się schować – spoważniała. – Ruszamy, Wesoly. Każdy dzień zwłoki to większe ryzyko, że tamci nas znajdą. Tak jak mówił ten Boruta.

– Zaufałaś mu?

– Jeśli nie mogę ufać nienawiści wroga, to komu? Nie myśl tyle, Wesoly. Pójdziemy, zobaczymy, zabijemy. Albo zginiemy, jeśli tak się to potoczy. Taka dola.

Klepnęła go w ramię i odeszła, by zapytać Dalię, co tam słyhać u Spajora. Duch długo odprowadzał ją wzrokiem.

– Zwycięzimy lub zginiemy – szepnął. – Gdybyż to było takie proste. Może być przecież znacznie gorzej.

Spajor obudził się już i upierał, że powinni obciążyć go pełnym wyposażeniem. Gotów był nawet zerwać łupki, którymi obłożyła jego lewą rękę Dalia.

– Zabawne – mruknęła Kamila. – Dałabym głowę, że w Twierdzy nie rwałbyś się tak do akcji.

Spajor należał do żołnierzy obdarzonych siódmym zmysłem pozwalającym odgadywać w mig, że szykuje się dodatkowa robota. Korzystał wówczas ze swej drugiej super-mocy i znikał, by pojawiać się dopiero, gdy inni odwalili już wszystko, co było do zrobienia.

– W Twierdzy roi się od ochotników – odparł, próbując uśmiechać się po swojemu, ale wyszedł mu z tego raczej z trudem maskowany grymas bólu. – A ja mam miękkie serce. Nie chcę odbierać im przyjemności.

– Boi się, że go tu zostawimy – wyjaśniła Dalia.

– Nie: „boi się”! – szarpnął ku niej głową i aż jęknął z bólu. – Martwię się, jak sobie beze mnie poradzicie, łajzy.

– To może być paskudna droga. W pełnym rynsztunku – poinformowała oboje Kamila. – Ale nie martw się, Spajor. Nikogo nie zostawimy.

Wyłapała spojrzenie, jakim obrzucił ją duch, i zrozumiała, że uznał, iż znów popełniła błąd. Niech się wypcha, wolny strzelec. Tacy jak on nie rozumieją, na czym polega walka w plutonie.

Wyruszyli owinięci grubymi, zapinanymi na rzepy pałatkami, mającymi chronić ich przed wiatrem i w razie czego deszczem, które można było łatwo rozpiąć. Spod kapturów i chust wystawały tylko gogle. Nawet tarcze i plecaki schowali pod okryciem. Nogawki spodni opuścili w wysokie cholewy butów, a rękawy kombinezonów w specjalnie do tego przystosowane rękawice. Nawet skrawek ciała nie wystawał spod osłony.

Gdy wyszli z budynku i przebiegali przez parking, wiatr ciskał w nich szarorudym pyłem. Zgodnie z radą ducha nie wrócili na główną drogę, lecz zapuścili się między pokryte roślinnością ruiny domów. Tak by trudniej było ich wypatrzeć z zamku. Ta droga okazała się lepsza także ze względu na wiatr, który na ulicy otoczonej zabudowaniami wiał słabiej.

Wędrowali w milczeniu. Wiking z Wesołym na szpicy. Rwący się do akcji Dżejkeja jako trzeci, za nim Spajor z Dalią. Pochód zamykała Kamila. Lustrowała ostrożnie okolicę. Zgodnie z tym, co mówił duch, nie dostrzegali śladu zwierzęcego życia. Ale co z owadami i roślinnością? Porucznik pamiętała bój, jaki musieli stoczyć kiedyś z korzeniami żarłocznych, potrafiących się przemieszczać drzew, które zaatakowały Twierdzę od spodu, niemal rozrywając na strzępy umocniony budynek trzeciego gospodarstwa. Gdyby bezmyślne drzewa nie walczyły równocześnie między sobą, być może nie udało by im się ich pokonać. A tak, spłonęły wszystkie. Generał bardzo dbał, by przed podpaleniem zabezpieczyć wszystkie zarodniki i zniszczyć je osobno. Dzięki temu udało się zapobiec rozprzestrzenieniu plagi. Ale kto mógł zagwarantować Kamili, że w tej nieznannej okolicy nie wyrosły podobne monstra? Czy moc stworzenia spod zamku wpłynęłaby na nie?

Przemieszczali się tak szybko, jak byli w stanie, ale bez zbędnej brawury. Wiking zatrzymywał się na każdym



rozstajach dróg, konsultując dalszy kierunek marszu z dowódcą i Wesołym. Kamila czasem nie zgadzała się z przewodnikiem. On wskazywał najkrótsze drogi prowadzące do zamku, ona najpierw długo przyglądała się przez lornetkę każdej z nich, badając stan budynków i drogi oraz to, w jakim stopniu opanowała je roślinność. I zawsze wybierała te trakty, na których roślin było mniej.

Nie żeby różnice okazywały się aż tak wielkie. Różnego rodzaju zielsko wspinało się po murach kamienic, którym żołnierze czwartego plutonu przyglądali się z rosnącym zdziwieniem. Tyniec, nad którym górował klasztor, nie obfitował w takie budynki: ciasno poprzyklepiane do siebie, wysokie, zbudowane z solidnego kamienia, czasem zdobione wieżyczkami, stromymi dachami, spod których wychylały się okna poddaszy. Kraków istotnie różnił się od wsi, do której byli przyzwyczajeni. Trudno było oprzeć się myśli, że warto byłoby odzyskać dla siebie rzekę, przy płynąć tu naprawionym statkiem i rozebrać część z tych domów na budulec. Wydawały się solidniejsze od tynieckich domów, z których pozyskiwali materiał na budowę gospodarstw i otaczających je umocnień. Nawet po dwóch dekadach stawiania biernego oporu roślinności, która przejęła je teraz na swoje mieszkania, wciąż trzymały się nieźle. Tynk odpadał od nich zrywany wiatrem i deszczem, podgryzany od wewnątrz przez korzenie roślin, ale ściany trzymały się mocno. W niektórych oknach zachowały się nawet szyby, kolejny cenny, trudny do zdobycia materiał.

Dotarli na Rynek, ze wszystkich stron otoczony popadającymi w ruinę kamienicami. Pośrodku gniły dawne budki handlarzy, resztki przystanku autobusowego, pokryte mchem kształty, które kiedyś mogły być ławkami. Sama myśl o odpoczywaniu pod gołym niebem wydawała się Kamili absurdalna. Po co się tak wystawiać na atak? Rozejrzała się po otaczających Rynek domach. Czy mogło w nich żyć coś poza roślinnością? Czy wszyscy ich lokatorzy uciekli, zabierając ze sobą tylko to, co wydawało im się najcenniejsze, czy też znaleźliby w środku ich szkielety, gdyby je przeszukali? W okolicach Twierdzy znajdowali czasem nietknięte jakimś cudem przez zwierzęta

domy, których gospodarze po wybuchu bomby kładli się po prostu w łóżkach, czekając na śmierć. Leżeli samotni albo wtuleni w siebie. Często wyglądali tak spokojnie, że musieli umrzeć bez bólu. Może od trucizny?

Nie potrafiła ich zrozumieć. Nauczono ją walczyć o życie. Do ostatniego tchu, do ostatniej chwili bólu, oznaczającego, że wciąż żyje.

Pokonała pokusę, by splądrować budynki. Będą mieli na to czas, kiedy wróca.

Deszcz dopadł ich niedługo po tym, jak opuścili Rynek i skierowali się ku rzece. Gdy zasyczały pierwsze krople uderzające o pałatki, Kamila zrozumiała, że muszą szybko znaleźć schronienie. I to koniecznie z dobrze zachowanym dachem. Wolą nie chować się w piwnicy. Diabli wiedzą, co mogło tu żyć pod ziemią.

Dostrzegła wysoki, jasny budynek po prawej. Krzyknęła, by zwrócić uwagę pozostałych, wybiegła na czoło oddziału i wskazała ich cel. Pognali ku niemu najszybciej, jak potrafili.

Na ich szczęście ktoś już wcześniej zdążył splądrować kościół, którym okazał się budynek, a ciężkie drzwi, w innym przypadku mogące stanowić solidną przeszkodę, były otwarte na oścież. Kamila spróbowała je zamknąć, ale ich zawiasy dawno przestały nadawać się do użytku.

Wnętrze pokryte było pyłem i kośćmi. Z jakichś przyczyn rośliny nie próbowały się tu wedrzeć. To mogła być niepokojąca poszlaka, ale Kamila nie miała teraz czasu szukać innego schronienia. Kwaśny deszcz, jeden z tych ciągle wracających nad miasto, przepaliłby ich osłony w ciągu kilku minut. Musieli się zadowolić tym, co mieli.

W kościelnych ławach siedziały dziesiątki szkieletów. Wszystkie miały na sobie ubrania. Niektóre opierały się o ławy, inne klęczały, z czaszkami wspartymi o kikuty dłoni. Ostatni ze zmarłych, wciąż w ornacie, na wpół leżał na ołtarzu. Dłońmi obejmował monstrancję.

– Paskudne miejsce – Dalia aż się wzdrygnęła. – Jak oni pomarli?

– Z głodu? – zgadywał Spajor. – Ja na przykład jestem głodny

jak cholera.

– Z głodu nie – oceniła Dalia. – Nie wyglądałoby tak... spokojnie. Człowiek, który umiera z głodu, wije się z bólu, ma poobgryzane palce. Zresztą nie ma siły, żeby z głodu umarli wszyscy równocześnie. Znaleźlibyśmy poobgryzane szkielety tych, którzy skonali pierwsi. Ostatni pozostali przy życiu straciliby w końcu skrupuły.

– Więc może gaz? – podpowiedział Dzejkej.

– Może – wzruszyła ramionami. – Pewnie nigdy się nie dowiemy. Tak czy owak, paskudne miejsce. Zbiorowa mogiła.

– A w dodatku zbyt blisko zamku – warknął Wesoły. – Powinniśmy byli poczekać jeszcze jeden dzień w tym pierwszym domu!

Żołnierze demonstracyjnie nie zwracali na niego uwagi. Tylko Kamila podeszła do ducha i spokojnie, jakby informowała go o zmianie godziny wydawania posiłku, powiedziała:

– Jeszcze raz zaczniesz podważać moje decyzje, Wesoły, a nakarmię cię bełtami. Pierwszy wsadzę ci w dupę, drugi w jaja, a dopiero trzeci w te okolice, gdzie normalni ludzie mają serca. To nie jest wycieczka duchów, tylko akcja czwartego plutonu, zrozumiano?

– Tak jest! – Niepodziewanie uśmiechnął się do niej. – Dobrze znowu cię widzieć, dowódcu.

## Rozdział 35

Deszcz padał prawie do południa. Musieli się schować pod ołtarzem, gdy odkryli, że dach kościoła był pełny dziur. Nie na tyle wielkich, by zalać ich strugami kwasu, ale wystarczająco dużych, by nie chcieli ryzykować. Przez dwie godziny przypatrywali się, jak krople z sykiem uderzały o czaszki umarłych i spadały, żłobiąc w kościach dziwaczne wzory.

Opuścili schronienie z ulgą, gdy tylko przekonali się, że deszcz naprawdę ustał. Większość z nich wychowała się w klasztorze, a trwałość zbudowanego w średniowieczu kościoła i niespożyta energia mnichów budowały ich naturalne środowisko. Czas spędzony w świątyni zmarłych wprowadził ich w przygnębienie.

– I nawet wiatr ustał – zameldował Spajor. – Idealne warunki na spacer.

– Czujecie coś? – zapytał Wesoły. – W głowach. Czujecie jego dotyk?

– Odpowiadać! – poparła ducha Kamila. – Spajor?

– Czuję tylko swoje żebra.

– Ja jestem trochę głodna – poskarżyła się Dalia.

Wiking tylko pokręcił głową, a Dzejkej oświadczył, że czuje tylko chęć, by wreszcie komuś przywalić.

– Jeszcze nas nie dostał – Kamila obróciła się w stronę ducha.

– I nigdy nie dostanie. Prowadź, Wesoły!

Zerkając podejrzliwie na niebo, dotarli do szerokiej ulicy. Przykucnęli, bo tu nic ich nie osłaniało. Po jej drugiej stronie marniał szkielet wielkiego budynku odartego całkowicie z murów.

– Był ze szkła – wyjaśnił Wesoły. – Tak słyszałem.

– To zamek? – zainteresował się Dzejkej.

– Nie, durniu – syknął Spajor. – Zamek jest po drugiej stronie rzeki. Spójrz w lewo. Tam będzie.

– Ożeż – jęknął najmłodszy członek oddziału. – Jaki wielki!

Myślałem, że będzie jak nasz klasztor! A to...

– A to jest cholerny, przeklęty Wawel – zgrzytnął zębami Wesoły. – Pani porucznik, cel twojej wyprawy. Co teraz?

W milczeniu oceniała wzrokiem wysokość murów, dotkniętych erozją, nadkruszonych z lewej strony. Wyjęła lornetkę, ustawiła ostrość. Dostrzegła coś, co mogło być ogonem samolotu wystającym z rzeki tuż pod zamkiem. To o tym mówił Mawte? Rzeczywiście, draństwo musiało być spore. Długo nie mogła oderwać wzroku od kawałka latającej maszyny. Jeśli nawet widziała w dzieciństwie jakiś przecinający niebo samolot, nie pamiętała tego. Wpatrywała się w symbol upadku ludzkości, zanurzony w rzece u stóp starożytnego zamku. Nie pierwszy raz zwróciła uwagę, że najlepiej zachowały się budowle, ale te sprzed gwałtownego rozwoju ludzkości. Z czasów gdy siły mięśni nie zastępowały nowoczesne maszyny, a nauka i technika nie odcięły jeszcze ludzi od ich zwierzęcego dziedzictwa. Dla Kamili stanowiło to jeszcze jeden dowód, że ścieżka rozwoju, jaką wybrała ludzkość sprzed Pożogi, okazała się ślepą uliczką. Powrót na nią byłby błędem.

Nagle od strony wzgórza rozległo się bicie dzwonu. Ale jakiego dzwonu! Nie brzmiał jak dzwony klasztorne, ale jakoś potężniej, dumniej. Kamila miała pewność, że słyhać go było w całym mieście, nawet w Twierdzy. Ciekawe, czy pomyślą, że to na cześć Umarłych?

– To Zygmunt – odezwał się Wesoły. – Tak się nazywa.

– Dzwon?

– Dzwon. W dawnych czasach nadawano im imiona. A ten jest legendą. Dawniej miasto zamierało, gdy bił. Ludzie wychodzili z domów, żeby go usłyszeć.

– No, dźwięk ma niezły – przyznała. – Może nas trochę zagłuszy?

– Może – mruknął. – Gorzej, że dawniej bił tylko przy szczególnych okazjach.

– Przybycie Szóstej jest szczególną okazją – mruknęła do niego.

Nie uśmiechnął się.

Nawet wydawało się, że spoważniał.

Ponownie przyjrzała się lewej stronie muru. Tak, tamtędy pewnie łatwo byłoby wejść, ale trzeba by prześlizgnąć się pod całym zamkiem. A to byłoby niebezpieczne, nawet gdyby brzegu rzeki nie patrolowały gromady dziwnie sztywno poruszających się ludzi w towarzystwie zwierząt, wśród których z całą pewnością potrafiła rozpoznać tylko psy. Policzyła potencjalnych przeciwników. Dwudziestu trzech...? I to tylko ci na widoku.

– Zawsze jest tu taki ruch? – zapytała ducha, podając mu lornetkę.

– Nie pamiętam. Może coś się stało? Deszcz ich wypłoszył?

– Każde zamieszanie jest nam na rękę. Co możesz mi jeszcze powiedzieć?

– Popatrz mniej więcej na środek – oddał lornetkę. – Będzie tam stał jakby pomnik.

– Widzę. To oni go postavili? Mutantowi?

– To nie mutant. To smok. Taki z legend. Przed wojną zbudowali to na pamiątkę smoka, który miał żyć w tej jaskini. I ta jaskinia jest za pomnikiem.

– Aha. Nie widzę.

– Bo ona jest poniżej poziomu gruntu. W każdym razie w niej mieszka stworzenie, które chcecie zabić.

– Jak smok? – zachichotała. – Ironia, co?

– Ironia – zgodził się. – Świat bywa dowcipny, nie? Słuchaj, jakby się okazało, że wejście tamtędy jest zbyt niebezpieczne, to pamiętaj, że istnieje inna droga, może mniej strzeżona, choć pewnie ryzykowna. Na zamku, od góry, jest ścieżka, która prowadzi do jaskini. Mogą jej słabiej strzec, jeśli uznali, że jej wybór to głupota.

– Czyli w sam raz dla nas... Czekał, tam coś się dzieje!

– U wejścia do jaskini?

– Nie, na moście. Jacyś dwaj... No, ludzie to chyba nie są. To znaczy jeden jest, ale to drugie coś, co przy nim biegnie, już nie... Uciekają. Goni ich cała grupa stworzeń, pewnie z zamku. Uuuu... Ten twój most chyba też jest zerwany, Wesoly. No i jeden spadł. Drugi przeskoczył. Ooo... Coś niesie... No, pluton,

bierzemy ich! Przyda się język.

Poderwała się i pobiegła, cały czas pochylona, ku mostowi. Za nią ruszył pluton. Przemknęli przez skrzyżowanie, wbiegli na most, a tam przypadli do ziemi. Kilka metrów przed nimi niewysoki, chudy mężczyzna zatrzymał się, odwrócił ku prześladowcom. Nie zauważył Umarłych. Skupiał się tylko na sforze, która zbliżała się ku niemu pewna, że zdobycz już jej nie ucieknie.

– No proszę, przeżył! – sapnął Wesoły. – Kamila, musimy uratować tego gówniarza! Ale jak się pokażecie, tamci was zobaczą, a to, co żyje pod zamkiem, zobaczy was ich oczami.

– Kiedyś musi – mruknęła Kamila, naciągając cięciwę. – Pluton, na mój znak!

– Czekaj! Ja mu się pokażę. Może potwór mnie rozpozna i skupi atak na mnie? Wtedy wy rozwalcie jego niewolników. Ale żeby żaden nie uszedł z życiem. Potem będę musiał was opuścić, żeby to coś ścigało mnie. Odciągnę jego uwagę od oddziału. Wtedy macie szansę.

– Nie powiem, żeby mi się to podobało, przewodniku.

– Jesteście na miejscu! A ten chłopak was poprowadzi dalej. Powodzenia, Umarli!

Nie czekając na jej decyzję, zerwał się na nogi i podszedł do chłopca celującego z łuku do sfory.

– Oddaj mi ten łuk, chłopcze – powiedział Wesoły. – Za cholerę nie umiesz z niego strzelać.

To mógł być znak od niego, ale nie musiał. Kamila nie zamierzała czekać.

– Ognia! – zawołała i bełty pomknęły ku sforze.

Trafiły wszystkie cztery. Ale cztery to było zdecydowanie za mało, a porucznik szybko zdała sobie sprawę, że nie zdążą naciągnąć cięciw wystarczająco szybko, by zabić pozostałe przy życiu stworzenia.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### Złamane obietnice

#### Rozdział 36

Gdy świat ogarnia szal, zwyczajni ludzie widzą w nim tylko chaos. Ale jeśli ktoś okaże się na tyle odważny, by wpuścić do umysłu nieco szaleństwa, zwariowany świat okazuje się poukładany i pełny nawzajem uzupełniających się wzorów.

Dlatego tam, gdzie jego towarzysze miotali się w ciemnościach, daremnie poszukując odpowiedzi, Mikołaj dostrzegał ład. I dzięki temu doznał uczucia spokoju, jaki nigdy wcześniej nie był jego udziałem. Przyglądał się zmieszaniu na twarzy Pitali, zaciekawieniu Halnego, radości, wręcz szczęściu malującemu się na gębie Szurniętego Stacha. Odczytał właściwie wzory i zareagował należycie. Podkradł się za plecy Marcina i chwycił go za rękę, którą chłopak położył już na rękojeści noża.

– Nie – warknął.

Marcin spojrzął na niego oszołomiony. Jeszcze nie ocknął się z narkotyku, którym nafaszerowały go staruchy. Mikołajowi było to na rękę.

– Nie! – powtórzył.

– Nie... – szepnął chłopak, znów spojrzął na Ewę leżącą w barłogu z zamkniętymi oczami, na dziecko, które Szurnięty tulił do piersi, na trzy staruchy. Przypadł do ciała Ewy. Chwycił ją za rękę. – Siostra! Ocknij się, siostra!

– Musi zostać nakarmiony mlekiem Matki – powtórzyła jedna ze starych, wyciągając ręce ku Szurniętemu, by odebrać od niego dziecko.



Mechanizm w głowie Mikołaja znów wystartował i nowe wzory trafiły na właściwe miejsca. Tęsknota, która przepęniała go, odkąd dziecko Króla i Ewy po raz pierwszy dotknęło jego umysłu, teraz napłynęła nową falą, silną jak nigdy dotąd. Gdy Szurnięty cofnął się o krok, Mikołaj wpadł między niego a staruchy.

– Nigdy! – wrzasnął. – Nigdy go nie dostaniecie! Uciekaj!

I Szurnięty, jego współnik, jak mówiły wzory, pobiegł w głąb korytarza z dzieckiem na rękę. Mikołaj z całej siły popchnął staruchę, poleciała z krzykiem na następną, zatoczyły się i upadły.

– W nogi! – zawołał ze śmiechem sprawca tego zamieszania i pognał za Szurniętym.

Za jego plecami Ewa otworzyła oczy i zaczęła krzyczeć, miotać się w więzach.

– Zabrał dziecko! – krzyczała – Zabrał! Zabrał!

Marcin próbował ją uspokoić, ale jeśli nawet go rozpoznawała, nie zwracała uwagi na jego słowa. W końcu Halny uderzył ją w głowę płazem ostrza topora. Zwiotczała i padła z powrotem w barłóg.

– Jeśli chcesz ją zabrać, będziesz musiał ją nieść – wyjaśnił chłopcu, przecinając więzy Ewy. – I dawać w łeb za każdym razem, gdy się ocknie. Teraz rób, co chcesz, ale ja ruszam za tamtymi dwoma.

– I ja! – zawołał Pitala, kończąc ładować pistolet. – Sukinsyni, ukradli moje dziecko!

Wszystko to Mikołaj widział poprzez umysł dzieciaka, z którym był związany, i jeszcze przez niejasne myśli na w pół tylko przytomnej Ewy. Wszystkich troje wypełniała tęsknota niemożliwa do zaspokojenia w tych ponurych ciemnych piwnicach, w których banda staruch czyhała, by opętać ich, zniewolić swoim narkotykiem i odciąć od Źródła. Szurnięty był z dzieckiem i nie był równocześnie. Mikołaj nie współdzielił z nim umysłu, nie dostrzegał myśli. Jedyne wzory, w jakie układał się pozorny chaos, wskazywały na to, że ów krętacz i samolub w jakiś sposób podporządkował się dziecku, choć nie wyczuwał jego tęsknoty.

Marcin wziął Ewę na ręce i niósł ją, biegnąc za Pitałą. Halny z Piętaszkim zamykali grupę, strzegąc pleców chłopaka. Wystartowali z opóźnieniem i zgubiliby Szurniętego, gdyby pojękująca cały czas Ewa słabym głosem nie udzielała im wskazówek.

„Marcin! Marcin!” – szeptała. – „Uciekaj!”

Uciekał więc, nie rozumiejąc tego, co było oczywiste dla Mikołaja, że Ewa błagała go nie o uratowanie od staruch, lecz by porzucił ją i całą tę szaloną wyprawę. By nie szedł za nimi do Źródła. Biedna dziewczyna wciąż zachowała w sercu nieco miejsca dla swojego przyszywanego brata. Częstka dawnego Mikołaja na myśl o tym poczuła smutek, ale zaraz zgasła zalana tęsknotą i nadzieją na jej rychłe ugaszenie.

Muszą tylko dotrzeć do Źródła, z którego ta podła kobieta, znana Mikołajowi tylko przez przebłyski pamięci dziecka, odziedziczonej po Królu, ukradła kiedyś dziecko narodzone, by stać się częstką wielkiej szczęśliwej całości. Dziecko, które miało być pierwszym z wielu posłańców, nasion, z których mogłyby wykluć się nowe Źródła. Te opłotłyby cały Kraków wielką siecią współdzielenia umysłu i okaleczony świat znalazłby wreszcie swoją pełnię.

Na samą myśl o takim rajku Mikołajowi ze wzruszenia chciało się płakać.

Wstrętne babsko, przestraszone wizją, której nie potrafiło ogarnąć, wykradło dziecko i nauczyło je strachu i nienawiści do Źródła. A przedtem poważyło się nawet o zbrodnię – zraniło Źródło, przez co to długó było zbyt słabe, by odbić chłopca.

Myśl o zdrajczyni wywoływała w Mikołaju wściekły gniew. Szkoda, że już nie żyła, że nie mógł jej dorwać w swoje ręce!

Biegli! Słabo oświetlanymi, wilgotnymi korytarzami, objijając się o ściany, czasem twarde i zimne, gdy docierali w wyższe, zbudowane z kamienia partie korytarzy, a czasem ciepłe, miękkie, wilgotne i niebezpieczne, bo pełne życia, gdy znów zbiegali na niższe poziomy. Nie znali planów tego miejsca, stanowiącego istny labirynt, i pogubiliby się w nim, gdyby nie tęsknota dziecka nieodmiennie kierującego ich w stronę Źródła.

## Rozdział 37

Marcin ślaniał się na nogach. Jak długo można było tak biec? Nawet nieustępliwy, zdawałoby się, Pitala mylił kroki, potykał się. Wreszcie kapitan musiał się poddać i zarządzić postój.

Znajdowali się w ciasnej jamie, z której korytarze rozchodziły się w trzy strony.

– Którędy teraz, do diabła? – wysapał Pitala, opierając się dłonią o ziemną ścianę. Cofnął ją zaraz ze wstrętem, bo zdało mu się, że wyczuł za nią ruch.

– Nie wiem – Marcin ostrożnie ułożył Ewę na ziemi. Znów krwawiła. Sięgnął do plecaka, by wydobyć bandażę i choć spróbować zatrzymać krwawienie.

– No to zapytaj tę swoją laskę!

– Straciła przytomność. I nie jest moją laską, tylko siostrą.

Pitala zaczął przeklinać, ale Marcin nie przejął się nim. Halny także ignorował kapitana. Przykleknął obok chłopca, zdjął lewą rękawicę i przyłożył dłoń do czoła Ewy. Skrzywił się.

– Ma gorączkę. Wysoką. Może nie przeżyć tej ucieczki.

– Nie przeżyje, jeśli zostawimy ją ze staruchami! – zawołał gniewnie Marcin. – Sami widzieliście! A ten drań ukradł jej dziecko!

– Ukradł, uratował... – wzruszył ramionami Halny. – Tego nie wiesz. Może też ratuje je przed staruchami?

– Szurnięty? – prychnął Pitala. – Ten sukinsyn myśli tylko o sobie. Od początku to planował! Musimy go dorwać i....

– I co? Odebrać mu dziecko i zanieść do Kombinatoru?

– Znasz lepsze miejsce, wielkoludzie?

– Przestańcie – krzyknął na nich Marcin. – Obaj! Jeśli zgubiliśmy staruchy, ściągacie je tu swoimi wrzaskami!

Ucichli posłusznie. Pitala wydawał się nawet zakłopotany.

– Nie zgubiliśmy staruch – mruknął Halny. – To ich świat. A te ściany żyją. Póki nie wyjdziemy do kamiennych piwnic,

będą wiedzieć, gdzie jesteśmy.

– Nie możemy iść, gdzie chcemy – zaprotestował Marcin. – Musimy odzyskać dziecko. Iść za Szurniętym.

– Nie rozumiem, o co to całe zamieszanie z dzieckiem – westchnął Halny. – Przecież pokonaliście poprzednią armię jednomyślnych. Nowy Król zbierze następną, to znów ją pokonacie, nie?

– Nie – Pitala mówił zaskakująco cicho, jak na niego. – Możemy już nie pokonać. Pierwsza bitwa wiele nas kosztowała. Jeśli nadciągną podobne siły, jeśli opanują umysły choćby jednej trzeciej naszych... – pokręcił głową. – Nie przetrwamy. W dodatku napór ze wschodu narasta. Coś paskudnego dzieje się na pustyni. Przez całe lata przybywały stamtąd potwory, ale małe i słabe. Często same padały, gdy docierały do murów Kombinat. Teraz są silniejsze. Każda kolejna potyczka z nimi jest trudniejsza. Przybywają co dwa, trzy tygodnie, wielkie i silne. Pierwszy był wąż długi na dziesięć metrów. Drugi... Nie wiem nawet, jak to nazwać, przypominał byka, ale miał chwytne przednie łapy. Wspiął się na mur i prawie wdarł ta teren Kombinat. Ale trzeci... Trzeci wydawał się z nich wszystkich najmniejszy. Mierzył niewiele ponad dwa metry, ważył też najwyżej z ćwierć tony. Jego pazury były groźne, to prawda. I kły robiły wrażenie. Ale nic tak nami nie wstrząsnęło jak fakt, że nosił zbroję. Może zrobił ją sam? Oby. Ale jeśli nie... Kombinat musi dostać to dziecko, stworzyć własnych jednomyślnych, zdolnych zapanować nad umysłami potworów z pustyni. Inaczej przepadniemy.

– Nic o tym nie wiedziałem – szepnął Marcin, wciąż oczyszczając ciało Ewy z krwi i starając się zatamować krwawienie.

– Mało kto wie. Teraz – kapitan uśmiechnął się niewesoło – będę musiał was zabić, żeby zachować tajemnicę.

– Wsadź sobie w dupę to poczucie humoru, kapitanie – Halny podał Marcinowi manierkę, w której wymieszał jakieś zioła. – Wlej jej to do gardła, chłopcze. Choćby siłą. Powinno zbić gorączkę. Pitala, weź mi tu nie pieprz, że cały Kombinat nie może sobie poradzić z jakimiś przerośniętymi zwierzakami!

– Nie widzieliście ich – kapitan przymknął oczy. – One... Płoną. W każdym razie wyglądają, jakby płonęły. Są całe rozpalone od promieniowania. Wystarczy, że się do ciebie zbliżą, a twoja skóra pokryje się bąblami od oparzeń. Mogą zabić dziesiątki ludzi, po prostu obok nich przechodząc. A nie ograniczają się do przechodzenia. Są wściekle, chcą zabijać.

– Pieprzenie! Tak napromieniowane stwory nie mogłyby żyć!

– Toteż długo nie żyją. Nasi naukowcy robili im sekcje. Być może ta furia bierze się stąd, że całe ich życie to jedno bolesne konanie. Komórki ich organizmów dosłownie płoną, a ich ciała to jedna wielka płatanina nowotworów. A teraz najlepsze, zdaniem naszych uczonych one żyją nie dłużej niż te trzy, cztery tygodnie. Rodzą się, wykluwają – tego nie wiem. I od razu zaczynają pędzić w stronę Kombinatu. Jakby coś zaprogramowało je, by nas zabijać. Może to celowe działanie, może coś żyje na pustyni, nie wiem. A może do nas dociera tylko część z nich, bo inne, równie cierpiące i wściekle, rozbiegają się na wszystkie strony, by zabijać i umierać? My jednak musimy przyjąć najgorsze założenie. Że tam żyje coś, co nas nienawidzi i szykuje się do prawdziwego szturmu.

– Czyli popadliście w paranoję i przyjęliście ją jako rację stanu – pokiwał głową Halny. – A teraz chcecie, żeby cały świat się podporządkował waszemu szaleństwu.

– Kiedy upadniemy, z całego świata zostaną tylko te płonące mutanty i jednomyślni – warknął Pitala. – Podoba ci się taka wizja?

– A może i podoba? Nie przepadam za ludźmi, kapitanie. A już na pewno nie lubię tych waszych pokręconych dyktatur przekonanych, że przewyższają całą resztę i stanowią ostatnią nadzieję ludzkości. Świat się zawali, jak upadniecie? Nie wiemy, co się dzieje w innych miastach. W Warszawie, w Gdańsku. A w innych krajach? Do diabła, nie wiemy nawet, co się dzieje piętnaście, dwadzieścia kilometrów stąd! Więc nie pitol mi o zagładzie ludzkości, gdy upadnie Kombinat!

– To, że nie wiemy, co dzieje się w innych miastach, może też oznaczać, że innych miast nie ma! Pomyślałeś o tym, mądralo? My, w Kombinacie, zawsze przyjmujemy najgorsze założenia!

To nam pozwala przetrwać!

– Wy w Kombinacie zawsze przyjmujecie założenia najwygodniejsze dla was!

– Przestańcie! – wtrącił się Marcin. – Ocknęła się!

– Marcin, uciekaj! – szepnęła Ewa. Wyciągnęła dłoń, by pogłaskać go po policzku, ale zabrakło jej sił. – Czemu stoisz?

– To rozstaje. Nie wiemy, w którą stronę teraz iść. I potrzebowaliśmy odpoczynku.

– W prawo. Oni nie odpoczywają. Uciekaj, Marcin! Uciekaj!

Zamknęła oczy.

– No to, w prawo – Marcin spróbował wziąć Ewę na rękę, ale Halny powstrzymał go.

– Tak daleko jej nie zaniesiesz. I tak cud, że jeszcze ci ręce nie omdlały. Musisz wziąć ją na plecy.

– A plecak?

– Trudno, zostawisz. Przepakuj, ile się da do mojego.

– Ale ona mi się nie utrzyma na plecach! Jest zbyt słaba!

– Przywiążemy ją. No już. Ten łuk i strzały też.

– Nigdy nie zostawię łuku!

– Umiesz choć z niego strzelać? No dobra... Jakoś to pogodzimy. Kucnij, schyl się trochę. Dobra!

Halny podniósł Ewę bez wysiłku. Położył ją na plecach Marcina, a potem przeciągnął sznur przez jej plecy, przewiązał.

– Wstań – polecił chłopakowi. Podciągnął nogi dziewczyny, zarzucił je przez pas Marcina i związał z przodu. Z jej rękoma postąpił podobnie, przekładając je nad ramionami chłopaka i wiążąc w nadgarstkach.

– Teraz są szanse, że nie spadnie, choćby omdlała. Ale lepiej nie przewróć się na plecy. No, prowadźcie nas do tamtych!

– Do dziecka! – Pitala poderwał się z ziemi. Gdy Marcin i Piętaszek ruszyli przodem, kapitan obejrzał się na Halnego. – Myślisz, że dziewczyna przeżyje? – zapytał szeptem.

– Nie ma szans. Na jej szczęście nie ma szans.

## Rozdział 38

Dopadli tamtych w ostatniej chwili. Szurnięty i Mikołaj leżeli bez sił w płytkiej jamie wykopanej w jednym z najgłębszych korytarzy, a wokół nich krążyły gąsienice wielkości męskiego ramienia. Nie atakowały jeszcze wyczerpanych uciekinierów, którzy ułożyli swoje ciała tak, by osłaniać nimi dziecko, ale muskały ich, wyciągały ku nim wydłużone gęby, cofając się gwałtownie, reagując na każdy ruch ludzi czy choćby drgnięcie. Któraś z odważniejszych wspinała się po ramieniu Szurniętego, próbując sięgnąć po dziecko. Inna owijała się wokół nogi Mikołaja.

Piętaszek warknął, dopadł jednej z gąsienic, chwycił ją w ręce, wcisnął do ust i przegryzł. Pozostałe natychmiast uciekły, wgrzyły się w ziemne ściany, by zniknąć w nich bez śladu.

– Szybkie bestie – sapnął Halny. Pochylił się, oparł dłonie na kolanach i ciężko dyszał.

Piętaszek podał Marcinowi połowę jeszcze poruszającej się gąsienicy. Chłopiec pokręcił głową.

– A ja chętnie – Halny wyciągnął do szarego rękę.

Ten cofnął się odruchowo, zawarczał. Posłał spłoszone spojrzenie Marcinowi i dopiero gdy chłopak skinął głową, zbliżył się ostrożnie do Halnego, położył mu na dłoni konającego robala. Żołnierz zjadł go bez chwili wahania.

– Nawet smaczny, sukinsyn – ocenił. – Powinieneś spróbować, chłopcze. Żarcie to żarcie.

– Bałem się, że naćpam się nim, jak mlekiem. Jeszcze mi od niego szumi w głowie. Widzę wszystko jak przez mgłę.

– Kurwa! – Halny wypluł resztki przeżuwanego mięsa. – Nie mogłeś mnie uprzedzić?

– Pewności nie miałem. A mała dawka pewnie panu nie zaszkodzi.

– Niech to szlag! Następnym razem nie baw się w takie

eksperymenty, gówniarzu!

Dogonił ich Pitala. Od razu przypadł do leżących.

– Żyją! – zawołał. – Dzieciak też! Padli chyba tylko ze zmęczenia.

Nagle cofnął się gwałtownie.

– Won z mojej głowy, gówniarzu! – wrzasnął.

Otrząsnął się, zaklął.

– Chciał mnie dorwać, gnojek – uśmiechnął się tryumfująco.

– Ale ja się nie dam! Badaliśmy to, wiecie? Jedni są bardziej podatni na jednomyślność, inni mniej. Ale każdy może się przed nią obronić. Wystarczy być odpowiednio zmotywowanym. Albo zamknąć umysł, powtarzając głupie, proste rymowanki.

– I ty rymujesz? – prychnął Halny. – Śpiewasz w głowie hymn Kombinatatu?

– Nie ma hymnu Kombinatatu... Nie, ja jestem zmotywowany. To co, bierzemy dzieciaka i spadamy?

– Chce pan ich zostawić? – zdumiał się Marcin.

– Oni nas zostawili, nie? Słuchaj, chłopcze, są opętani. Sam widzisz, że biegli, póki nie padli. Oni nawet nie myślą. Jeśli zaczniemy tu czekać, aż wydobrzeją, staruchy mogą nas dopaść. A jeśli nawet nie dopadną, to ci dwaj rzucą się nam do gardeł albo w inny sposób spróbują ukraść dziecko. To już nie są ludzie.

– Łatwo wydaje pan wyroki!

– Dlatego żyję.

– Musimy ich zostawić – niespodziewanie poparł Pitalę Halny. – Siedzimy w samym środku labiryntu staruch. Śledzą nas te robale. Jesteśmy zmęczeni i nie możemy być pewni, jak ci dwaj zareagują, gdy dojdą do siebie. Jeden przeciwnik naraz, chłopcze. No i kapitan ma rację. Oni zostawili nas pierwsi.

– To rozsądne – Marcin spuścił głowę. – Ale nieludzkie.

– Ludzkie jak cholera! – nie zgodził się Pitala, pochylając się nad leżącymi i próbujący dostać się do dziecka. – Halny, pomóż mi, ci dwaj szcepili się z całej siły. Trzeba będzie im połamać te łapy albo co.

Wspólnymi siłami odciągnęli mężczyzn od siebie, choć ci



niemrawo starali się stawiać opór i wyjękiwali protesty. Wreszcie Pitala wyszarpnął z zaciskających się kurczowo ramion Szurniętego dziecko i przytulił je do siebie. Na ten widok palce oprzytomniałej w tym momencie Ewy wpiły się w pierś Marcina tak mocno, że poczuł to nawet przez kombinezon.

– Spokojnie, nic mu nie zrobimy – szepnął.

– Biegnijcie! – wierzgnęła na jego plecach. – Naprzód!

– Jeśli mamy iść, to teraz – upomniał pozostałych. – Póki Ewa jest przytomna.

– Nie wiadomo, dokąd nas zaprowadzi – Pitala cofnął się o krok, byle dalej od dziecka płaczącego teraz w głos, gdy daremnie spróbowało odnaleźć umysł, którym mogłoby sterować. Jedynie matka i dwóch leżących na ziemi mężczyzn odpowiadało na jego zew, ale żadne nie było w stanie mu pomóc.

– Wiadomo. Na Wawel. Ale tylko ona może nas stąd w ogóle wyprowadzić – nie ustępował Marcin. – Gdy wydostaniemy się na powierzchnię, zdecydujemy, co dalej.

– Nie jest nam potrzebna! Możemy znaleźć drogę inaczej! Ludzkie umysły pracują w określony sposób. Jeśli tylko rozszyfrujemy, jak myślały staruchy...

– Po pierwsze to może nam zająć lata, a nie mamy nawet minut – tym razem Halny stanął po stronie Marcina. – Po drugie, tych korytarzy nie wydrążyli ludzie.

– Co ty mówisz!

– No to popatrz! – Halny przybliżył ukradzioną staruchom pochodnię do ściany. – Widzisz to? Od kiedy ludzie kopią zaokrąglane ściany zamiast prostych? A fluorescencyjne grzyby, które dają nam tę odrobinę światła? To kokony, zobacz, gdy szturcham je, coś rusza się w środku. Widziałeś gdzieś jakieś stemple podtrzymujące strop? No to jak się trzyma? Weź przejedź dłonią po ścianach, wyczujesz stwardniały śluz. Jesteśmy w gnieździe tej ich matki, kapitanie. Jak chcesz wejść w jej umysł i go rozszyfrować?

Pitala milczał. Przyglądał się temu, co jeszcze niedawno i Marcin uważał za grzyby, przejechał dłonią po ścianie.

Skrzywił się. Zaklął. Obejrzał się na Marcina i Ewę. Dziewczyna wciąż zachowywała przytomność. Długo mierzyli się spojrzeniami.

– Niech prowadzi – poddał się Pitala. – Ale jak tylko będzie to możliwe, przejmujemy kontrolę.

– Gdy będziemy na zewnątrz!

– Tak, chłopcze, gdy będziemy na zewnątrz. A teraz naprzód, nie traćmy więcej czasu.

– Gdy tylko będzie to możliwe, skręcimy w lewo – szepnęła Ewa. Jej głos wydał się Marcinowi spokojny i pewny. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że przecież słyszała i rozumiała ich rozmowę i że zapewne wyciągnęła z niej własne wnioski.

Gdy widział ją ostatnio, była opętana przez dziecko. Jego wpływ okazał się silniejszy nawet od wpływu Króla. Tamtemu wprawdzie się podporządkowała, ale potrafiła zachować własną osobowość, pomogła nawet Marcinowi uciec z Kombinat. Ale gdy spotkał ją w Muzeum, prawie go nie rozpoznawała. W rzadkich chwilach nieco większej trzeźwości umysłu sądziła, że był duchem, wizualizacją wspomnień. Wtedy mówiła do niego, tłumaczyła, co musiała zrobić i po co. Przepraszała za to, że pozwoliła mu umrzeć. A potem znów zapadała w ośpienie i parła przed siebie, byle ku Wawelowi, zatrzymując się tylko po to, by odpocząć, zjeść coś, cokolwiek, nabrać sił i ruszyć dalej. Była niczym zwierzę prowadzone przez instynkt, ośladnięte jedną myślą: dotrzeć na Wawel.

Wtedy, wstrząśnięty, być może pod wpływem szoku, uznał, że musi ją powstrzymać, nawet gdyby oznaczało to konieczność zabicia jej i dziecka. Teraz nie był już tak pewny swoich racji. Czy zdołałby podnieść na nią rękę? A na niemowlę?

Dobiegli do rozstajów.

– W lewo! – zawołał. – Ewa, którądy później?

Nie odpowiedziała. Znów straciła przytomność. Modlił się, by odzyskała ją na czas. Teraz i on dostrzegł, że ściany, wzdłuż których biegli, nie pozostawały nieruchome, ale wyrzuszały się, gdy gąsienice wędrowały nimi. Dorównywały szybkością ludziom albo też było ich tak wiele, że tempo przemieszczania się nie miało znaczenia. Nie atakowały. Jeszcze nie. Być może

bały się, być może czekały na właściwy moment.

Przyspieszył kroku.

Za nimi, w niecce, którą opuścili, Szurnięty otworzył oczy. Powoli poruszył rękami, szukając dziecka. Gdy go nie znalazł, krzyknął rozzłością. Przypomniał sobie, co się stało, gdy leżał zamoczony. Pitala! Przeklęty człowiek cień ukradł jego dziecko!

– Czuję ich – stęknął Mikołaj. – Czuję, dokąd bieżą.

– Więc prowadź!

Nie tyle poszli, ile popełzli w ślad za złodziejami.

## Rozdział 39

Halny pozwolił im się zatrzymać dopiero, gdy wspięli się dwa poziomy w górę. Tu ściany wciąż były jednak ziemne, wolne od śluzu gąsienic, zaś sufit podtrzymywały drewniane stemple. Marcin opadł na kolana, oparł się dłońmi o ziemię i zamarł na czworakach. Wolałby usiąść, ale bał się, że może zrobić krzywdę Ewie. Plecy przeszywał mu tępy ból, miał wrażenie, że czuje każdą kostkę kręgosłupa. Ramiona paliły go żywym ogniem, odnosił wrażenie, że krwawi w miejscach, w których sznury wrzynały się w ciało, nawet pomimo osłony kombinezonu.

Prawie tęsknił za niedawnymi czasami, gdy tylko przymierał głodem.

– Zdjąć ci ją z pleców? – zapytał Halny, kucając przy nim i przykładając manierkę do ust Marcina.

Chłopak pokręcił głową, nie przestając pić. Woda była ciepła, trochę za gęsta. Ale teraz smakowała niczym ambrozja.

– Jak ją zdejmiesz, to nie wiem, czy ją potem jeszcze dam radę unieść – szepnął. – Boję się, że plecy mi odpadną, jeśli ją odwiążesz.

– Odpocznijmy kilka minut. Nabierz tyle sił, ile zdołasz.

Piętaszek podszedł do Marcina, trącił go nosem w twarz. Zamruczał coś po swojemu. Choć wędrowali kilka miesięcy, Marcin nadal nie potrafił rozróżniać pojedynczych słów w wydawanych przez szarego dźwiękach. Nie wiedział nawet, czy istniały jakieś słowa w języku tej rasy. Bez trudu rozpoznawał jednak intencje towarzysza.

– Nie martw się – pocieszył go. – Wydostanę nas stąd.

– Nie martwię się – wyszeptala Ewa. – Pójdziemy do domu. Wielkiego, ciepłego domu, gdzie rozplyniemy się w mnogości. Nie będzie bólu, tęsknoty, samotności, tylko jedność i szczęście.

Aż się wzdrygnął. Co za przerażająca wizja! Wyrzec się osobowości, istoty tego, czym się było? Zapomnieć o wszystkim, co było ważne dla jednostki, i żyć tysiącami innych przeżyć i wspomnień, z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej tracąc siebie samego? To był raj, do którego tak się jej spieszyło? Co się stało z jego Ewą? Silną, może zbyt poważną, ale pewną swoich potrzeb i celów. To ona wyciągała ich z kłopotów, to ona знаła większość odpowiedzi. Ona wreszcie posiadała tę mocniejszą osobowość, której koniec końców zawsze ulegał. A teraz marzyła tylko, by się zatracić w uludzie stworzonej przez jakiegoś potwora.

Czy dziecko mogło ją tak odmienić? Może myślała już tylko o nim? Przełamało ostatnie bariery, rozsiało się w jej umyśle niczym tłusty pasożyt i pożerało osobowość dziewczyny, z którą Marcin wychowywał się i którą kochał.

– Gówniarz przestał się drzeć – odetchnął z ulgą Pitala. – Albo opadł z sił, albo się cieszy, że jesteśmy na właściwej drodze. Czyli najgorszej, jaka może być, moim zdaniem.

– Muszę go nakarmić – tylko Ewa zareagowała na słowa kapitana. – Odwiążcie mnie.

– Jeszcze czego! – zachnął się Pitala. – Jak tylko weźmiesz go na ręce...

– To co? Ucieknę? Ledwie mówię. Chcesz, żeby twoja cenna zdobycz umarła z głodu?

– Nie drze się, więc nie jest głodny.

– Może nie ma sił, żeby krzyczeć?

Ustał niechętnie. Marcin protestował, gdy Halny zdejmował mu z pleców Ewę, ale kiedy poczuł się wolny od jej ciężaru, westchnął z ulgą. A zaraz potem krzyknął z bólu, gdy żołnierz odciągał liny, którymi przywiązał doń Ewę. Miał wrażenie, jakby obdzierano go ze skóry.

– Tylko szybko – warknął Pitala, podając dziecko matce. – Minutę, dwie. Nie mamy wiele czasu!

Tak naprawdę nie wiedzieli, czy staruchy ich ścigają. Nawet na tym poziomie widać było czasem poruszenia w ścianach, ale równie dobrze mogły to być zwyczajne wędrówki żyjących w nich gąsienic, jak i pościg.

Halny pomógł Marcinowi wstać i oprzeć się o ścianę. Plecy znów zaboląły, ale dobrze było rozprostować nogi. Marcin przyglądał się, jak Ewa bierze dziecko na ręce, spróbował ocenić, czy szczęście malujące się na jej twarzy pochodziło od niej i było naturalnym uczuciem, czy też stanowiło odpowiedź na zew małego potworka. Odwrócił wzrok, dopiero gdy zorientował się, że Ewa starała się odsłonić pierś, by podsunąć ją dziecku. Tego obrazka nie chciał widzieć.

Spojrzał w prawo i jęknął. Gapiła się na niego czaszka jakiejś mniszki uhonorowanej wiecznym wystawieniem na pokaz. Kości kręgosłupa musiały się ukruszyć, bo czaszka spadła do stóp szkieletu. Nikt nie spróbował zaczepić jej ponownie na szczycie, a i Marcin nie zamierzał tracić na to energii. Krzywiąc się z bólu, sięgnął do kieszeni na piersi. Wydobył dwa kawałki suszonego mięsa. Jeden rzucił Piętaszkowi, a drugi sam zaczął żuć.

Halny usiadł obok niego. On nie miał zahamowań, bezczelnie gapił się na Ewę.

– Taka chudzina – mruknął. – Droбина. A cycki takie solidne!

– Mówisz o mojej siostrze! – jęknął Marcin. – Daruj sobie!

– Nie myślałeś, że może lepiej byłoby ją tu zostawić?

– Nie wiem, co jest dla niej lepsze. Ja widzę same złe rozwiązania. Tu staruchy pewnie odbiorą jej dziecko, a ona zwariowałaby od tego. Nawet gdyby ogłosiły ją nową Matką Boską, umarłaby prędko i skończyła jako jeden z tych szkieletów wciśniętych w ścianę. Jak zabierze ją Pitala, będą eksperymentować na niej i na dziecku, aż je zabiją. Pewnie umrą w mękach. Jeśli przedostanie się na Wawel... – Wzruszył ramionami. – Tam też tak jakby umrze. Rozpłynie się w umysłach wszystkich istot pożartych przez potwora.

– Jak to: w pożartych umysłach?

– Tyle wiem, co usłyszałem od niej w malignie, gdy bredziła w Muzeum. Brała mnie za ducha, wiesz? Myślała, że umarłem i teraz ją nawiedzam. Ten stwór nie tyle pożera ofiary, ile je wchłania, trawi, ale powoli. Nie czują bólu. Umierają przez parę dni, czasem dłużej, a w tym czasie ich umysły stapiają się w jedno z jego umysłem. I już tam pozostają. Tak jakby nie

umierały po stracie ciała, bo potwór potrafi w jakiś sposób absorbować te osobowości, utrzymuje je w sobie. Ciało umiera, umysł zostaje. Nie wiem, może nie trawi mózgów, tylko buduje z nich swoje cielsko i dostarcza im energii z pożeranych ciał?

– Prawie raj, co? Wieczne życie.

– Nie do końca. Bo ostatecznie twoja osobowość roztapia się w setkach innych, tych pożartych wcześniej. I już nie wiesz, czy jesteś sobą czy tym potworem, czy jakimś psem ze sfory. A potem jesteś już nimi wszystkimi naraz, a one są tobą. Czasem może się ockniesz na chwilę, gdy przypadkiem trafisz na własne wspomnienie. Ale to już nie jesteś ty. Zostałeś pożarty, tak czy owak.

– I ona do tego tęskni?

– O niczym innym nie marzy. Ale może to nie ona, tylko dzieciak? Nie wiem. Podporządkowała mu się całkowicie.

– Skąd ty to wszystko wiesz, co?

– Powiedziała mi. No, prawie wszystko. Część musiałem sobie dopowiedzieć sam.

– Czyli tak naprawdę nie wiesz, tak?

– Tak naprawdę wiem, że jeśli tam pójdzie, to zginie. Jeśli tu zostanie, zginie. Jeśli zabierze ją Pitala...

– Więc może niech zginie jak chce?

– Kim ty właściwie jesteś, Halny? – zapytał Marcin po chwili milczenia. – Czemu z nami idziesz? Tłumaczyłeś to jakoś, ale teraz te twoje tłumaczenia nie brzmią dla mnie sensownie.

– Dla mnie też już nie – roześmiał się cicho żołnierz. – Na początku miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o swoich. To był dobry oddział, wiesz? Najlepszy w Federacji. No i chłopaki... Byli dla mnie jak rodzina. Cały czas mam nadzieję, że nie wszyscy zginęli. Do tego łudziłem się, że znajdę kogoś, na kim będę mógł się zemścić. Potem uświadomiłem sobie, że tak naprawdę chciałem do czegoś przynależeć. Wasza zwariowana wyprawa wydawała mi się lepsza od zamknięcia w murach Kombinatoru albo Farmy Konopków.

– A teraz?

– Teraz chyba po prostu ciekaw jestem, jak się to skończy. I marzę o tym, żeby wreszcie wypełznąć z tych katakumb. Nie

masz pojęcia, jak chciałbym poczuć na twarzy wiatr.

– Wiatr to straszny syf. Naszcza ci na tę twarz pyłem.

– Nic nie rozumiesz – uśmiechnął się Halny. – Marzę o innym wietrze. Tym, który sprawia, że zapominam o wszystkim. O halnym. Ta twoja Ewa może mieć trochę racji. To nie takie złe zwariować i zatracić się w tym szaleństwie.

– Nie jest moja – mruknął Marcin. – Już nie. Ale pomyślę o tym, co powiedziałeś.

– Nagadaliście się już? – ofuknął ich Pitala, bezceremonialnie wrywając niemowlę z rąk matki. – Bo dzieciak się już obżarł. Możemy ruszać.

Przycisnął dziecko do piersi i zaraz zaklął szpetnie, gdy zapaskudziło mu kombinezon.

– Małeństwu się odbiło – roześmiała się Ewa. – To dobrze, to zdrowo!

Spróbowała wstać, ale zaraz osunęła się na ziemię.

– Znowu krwawi – zauważył Halny, wskazując krew ściekającą po jej nogach. – Zanim ruszymy, musimy cię opatrzeć.

– To chyba będzie musiało poczekać – szepnęła, odpełzając pod ścianę. Z wyrazem ulgi na twarzy przytuliła się do niej. – Macie teraz... ważniejsze problemy.

Nie zrozumieli, o czym mówiła, póki nie dostrzegli staruch i ich mężczyzn z larwami wczepionymi w plecy, wyłaniających się z ciemności.

Z obu stron korytarza.



## Rozdział 40

– Nikt nie musi umierać – oznajmiła starucha prowadząca oddział przybywający ze strony, w którą zmierzali. Mogła być jedną z tych, które ich witały, albo zupełnie inną.

Marcinowi trudno było odróżnić jedną od drugiej. Wszystkie były pomarszczone, na wpół łyse i przygarbione, ubierały się w podobne szmaty i przemawiały drżącymi, zachrypniętymi głosami.

Pitala cofał się przed nimi, aż dotknął plecami ściany. Zaklął. Pochylił się i ponownie oddał dziecko Ewie.

– Nikt nie musi umierać – powtórzył za staruchą. – Po prostu zejździe nam z drogi.

– Nie możemy. Chcecie oddać dziecko Złemu. Antychryst pożre świat, jeśli tak zrobicie. Zostawcie je nam. Tu będzie bezpieczne. Matka zaopiekuje się nim. Nikt nie musi umierać.

– Nie zdążę przywiązać ci jej do pleców – szepnął Halny, pochylając się nad uchem Marcina. – Będziesz musiał znów ponieść ją na rękach. Na mój znak bierz dziewczynę i wiej. Otworzymy ci drogę.

– A nie możemy jakoś negocjować?

– Jeśli ktoś zaczyna negocjacje od: „Nikt nie musi umierać”, to znaczy, że już zdążył wykopać dla ciebie grób. TERAZ!

Halny skoczył z toporem na staruchę. Strop był tu zbyt niski, a korytarz zbyt ciasny, by mógł się nim zamachnąć, dlatego pchnął ją w twarz. Krzyknęła, upadła na plecy, a wtedy Pitala, nie zwlekając, wystrzelił w mężczyzn cisnących się za nią. Błysk oślepił a huk spotęgowany echem ogłuszył wszystkich, łącznie z Marcinem.

– TERAZ! – ryknął powtórnie Halny, obracając się i znów wykonując niewprawne pchnięcie nieprzystosowaną do tego rodzaju manewrów bronią, tym razem w grupę zachodzącą ich od tyłu.

Marcin schylił się nad Ewą.

– Trzymaj dzieciaka! – zawołał, podrywając ją z ziemi. Starał się nie zwracać uwagi na przebudzony ból w plecach i ramionach. Pobiegł prosto w chmurę dymu powstałą po wystrzale kapitana i tworzącego teraz wcale wygodną zasłonę.

Piętaszek skoczył na jakiegoś mężczyznę próbującego na oślep zagradzać drogę uciekinierom. Obalił go i jednym kłapnięciem zębów przegryzł mu gardło. Porzucił konającą ofiarę i natychmiast pognął za Marcinem.

Pitala zostawił Halnemu walkę z napierającymi od tyłu. Nie tracąc czasu na przeładowywanie pistoletu, zatknął go za pas i wyszarpnął spod płaszcza karabin wyniesiony z Muzeum. Nie wypróbował go dotąd, zabrakło okazji. Nawet gdy odpoczywali gdzieś przez chwilę, nie chciał ryzykować przyciągania uwagi wytrzymałymi. Wycelował w jednego z mężczyzn podnoszących się z ziemi, nacisnął spust i zaklął. Nic się nie stało. Halny miał rację. Broń okazała się nic niewartym złomem, marnowaniem dobrej stali.

Co gorsza, nie mógł wyrzucić karabinu, bo przewiesił go przez ramię na skórzanym pasku. Wypuścił tylko z rąk i pozwolił, by majtał mu się przy boku. Nie mogąc zastrzelić mężczyzny, kopnął go z całej siły w twarz, a gdy ten upadł na plecy, skoczył mu na pierś i podeszwą buta wgniótł jego głowę w ziemię.

Wtedy coś chwyciło go za płaszcz od tyłu. Szarpnął się, wyrwał, ale już coś pętało mu nogi. Spojrzał w dół. Gąsienice! Wypełzały ze ścian, okręcały się wokół jego butów i wpijały w nie żuwaczkami, próbując przegryźć się przez skórę. Nie udało mu się ich tak po prostu zrzucić, więc wyjął nóż i zaczął je wściekle ciąć i dźgać, aż pozostały przy nim tylko ich łby, odcięte od ciała, ale wciąż wgryzające się w buty.

Z chęcią by je oderwał, ale miał teraz inne problemy. Dwaj inni mężczyźni i trzy staruchy podnieśli się z ziemi.

– Halny! – wrzasnął. – Mam tutaj problem!

– To go zabij! – odwarknęła żołnierz. – Ja mam własne.

Niech to wszystko jasny szlag! Pitala był kapitanem Straży Wewnętrznej, a nie jakimś trepem! Powinien siedzieć w schronie i prowadzić śledztwa, przesłuchiwać świadków

i przeprowadzać kontrole, a nie umierać w jakichś cuchnących tunelach przez dwadzieścia lat wykopywanych połączonymi siłami nawiedzonych staruch i gąsienic!

Nie umrze tutaj!

Rzucił się na przeciwników, rycząc niczym zranione zwierzę. Miał nadzieję, że przypominał bestię piekielną. Suki chciały Antychrysta, to, do wszystkich diabłów, go dostaną!

Pierwszą z nich nadział na nóż i pchał przed sobą niczym taran, wbijając ostrze coraz głębiej w jej ciało. Wrzeszczał na nią, choć sam nie do końca rozumiał co. Na pewno coś o prawie i końcu świata, o tym, że nie trzeba było z nim zadzierać i że wypatroszy ich wszystkich, jeśli trzeba. Ona też wrzeszczała, bezwładnie i bezcelowo machała rękami. Staruchy i ich mężczyźni odwykli od walki, bezpieczni w swoich tunelach, chronieni przez Matkę i jej potomstwo. Na nożu Pitali kobieta była równie bezbronna jak motyl nabity na szpilę. A wstrząśnięci furją Pitali mężczyźni odsuwali mu się z drogi.

Nikt nie chciał umierać. Nikt nie musiał. Jeśli tylko ustępował furii wcielonej, w jaką zmienił się kapitan Straży Wewnętrznej.

I nagle miał już przed sobą tylko uciekających: Marcina z Ewą na rękach i szarego. Wyszarpnął nóż z charczącej już tylko staruchy i pchnął ją na ziemię. Przeskoczył nad jej ciałem, nie oglądając się za siebie. Jeśli Halny miał tam jakieś problemy, to niech je teraz sam zabija.

Przypomniawszy sobie o głowach gąsienic wciąż wgryzających mu się w buty, jakby nie przyjmowały do wiadomości śmierci swoich ciał. Zatrzymał się na moment i przewyciężając wstręt, poodrywał niechcące dać za wygraną łby. Ciągłe poruszały szczękami. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zabrać ich ze sobą. Może naukowcy Kombinatów byliby w stanie jakoś je wykorzystać? Po raz pierwszy jednak jego osobiste odczucia wygrały z poczuciem obowiązku. Chcą próbek tych stworów, niech je sobie, kurwa, sami zdobędą. On ma dość.

Złapie dzieciaka. Reszta już go nie obchodzi.

Marcin czekał na nich na rozstajach.

– Czemu stoicie? – zirytował się Pitala.

– Żebyście wy dwaj wiedzieli, dokąd iść.

Dwaj? Kapitan po raz pierwszy obejrzał się za siebie. Halny biegł ledwie trzy, cztery metry za nim. Utykał, z lewego ramienia sączyła mu się krew. A więc nie był tak niezniszczalny, jak mogło się wydawać!

– Zabiłem ich wszystkich – zameldował Halny. – Chyba. Gąsienice... – skrzywił się. – W każdym razie mamy chwilę, żebym znowu przywiązał ci dziewczynę do pleców.

– Czasu akurat nie mamy! – nie zgodził się kapitan. – Nie wiemy, ile ich tu jeszcze jest! To fanatyczki! Zrobią wszystko, żeby odnaleźć dzieciaka!

– Sporo wiesz o fanatyzmie, co? – Halny odepchnął go, podchodząc do Marcina. – Ale mniej o ludziach. Chłopak nie poniesie jej na rękach zbyt długo. Chcesz zatrzymać się co chwilę?

– Lekka jest – próbował bagatelizować Marcin.

– Ale z ciebie też nie Herkules. Kładź ją. Teraz kucaj. Weźmiesz dziecko, kapitanie? No jasne, że weźmiesz. Tylko o nie ci chodzi, nie?

– Przynajmniej mam cel. A ty?

– A ja... Nie wiem... – zgodził się niespodziewanie Halny. – Nie walczę za coś, raczej za kogoś. Za kumpli. A teraz ci dwaj – skinał głową w kierunku Marcina i Piętaszka – chyba zostali moimi kumplami.

– Nie oszukuj się. Walczysz, bo lubisz zabijać.

– Może być i tak. – Halny skończył przywiązywać Ewę do pleców Marcina i pomógł mu wstać. Odwrócił się do kapitana, zmierzył go wzrokiem. – Lepiej o tym pamiętaj. No, ruszamy!

## Rozdział 41

Jeszcze dwa razy musieli odpierać ataki staruch i gąsienic. Tym razem były one jednak ostrożniejsze i mniej niebezpieczne. Kobiety zamiast ich atakować, wołały raczej przekonywać, by porzucili ścieżkę grzechu i zagłady. Jedynie, gdy uciekinierzy ignorowali ich argumenty, dawały znak i ze ścian rzucały się na nich gąsienice. Przygotowani na to, radzili sobie z nimi bez większego trudu.

Kiedy nareszcie dotarli do piwnic o kamiennych ścianach, odpoczęli. Ewa znów nakarmiła dzieciaka, pozostali przegryźli zimne zapasy.

– Nigdy bym nie pomyślał, że będzie mi brakowało Szurniętego – zażartował Pitala.

– Idzie za nami. On i Mikołaj – poinformowała go Ewa, ale nie odezwała się więcej do kapitana.

Marniała w oczach. Nie chciała nic jeść, przyjmowała tylko wodę wymieszaną z ziołami na gorączkę. Gdy Marcin próbował karmić ją siłą, powstrzymała go.

– To niepotrzebne, braciszku. Już niedługo będę w domu.

Pitala, słysząc to, zaklął. Odciągnął Halnego na bok.

– Prowadzi nas prosto na Wawel. Musimy z tym coś zrobić?

– Niby co? Ciągłe jesteśmy pod ziemią. Nie wiemy gdzie.

– Więc mam czekać, aż wyjdziemy pod samym zamkiem?

– A masz inny pomysł? Zresztą te korytarze nie mogą się ciągnąć tak daleko!

A jednak, im dłużej nimi szli wiedzeni tęsknotą Ewy i jej dziecka, tym częściej przychodziło im do głowy że piwnice pod piwnicami nie mają końca. Zmęczeni, pogubili się w nich kompletnie i pogodzili z tym, że Ewa zaprowadzi ich, dokąd będzie chciała. Pitala sarknął jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu nawet on skapitulował. Przeładował demonstracyjnie swój pistolet, by wiedzieli, kto tu dysponował najbardziej

niszczyielską bronią.

Rozumieli, że przechodzili pod kolejnymi kamienicami, bo co jakiś czas przeciskali się przez otwory wybijane w ścianach między piwnicami. Kto tworzył te przejścia, nie mieli pojęcia. Czy to imperium staruch rozciągało się pod całym miastem, czy też istniały tu inne społeczności? Raz trafili na wielki podziemny cmentarz, zbiorowisko ludzkich kości, poobgryzanych i porozrzucanych bez ładu.

– Są stare – zbagatelizował obawy pozostałych Halny, ocierając pot z czoła. Oczy błyszczały mu dziwnie, a gdy mówił, robił przerwy między słowami, jakby zmęczony. – Dawno nie było tu żadnego drapieźnika.

– A jednak! – zawołał Marcin, wskazując szkielet wielkiego szczura leżący pod ścianą. Za życia bydlę musiało być długie na trzy metry. – Tu leży. Może to on wygryzał dziury w ścianach?

– Mógł – zgodził się Halny. – Odpoczniemy?

Nie czekając na aprobatę, usiadł ciężko.

– Tutaj? – zdziwił się Marcin.

– Sporo tu miejsca, nie?

– Coś ostatnio często odpoczywasz – Pitala podszedł do Halnego i nim tamten zdążył zareagować, przyłożył dłoń do jego czoła. – Masz gorączkę!

– Jedna z tych gąsienic mogła mnie dziabnąć podczas walki – przyznał niechętnie Halny. – Trochę piecze.

– Trochę piecze! – powtórzył Marcin, podchodząc do żołnierza. Obciążony półprzytomną Ewą, kroki stawiał ciężko, powoli. – Zdejmuj kombinezon. Ale już!

– Daj spokój! Dam radę...

– Ściągaj, mówię! Nie pozwolę, żebyś tu umarł!

– Marcinie! – jęknęła Ewa. – Słabnę. Proszę. Chodźmy dalej.

Chłopak zatrzymał się niezdecydowany, Halny uśmiechnął się do niego słabo i spróbował wstać.

– Nie ma mowy! – powstrzymał go Marcin. – Ściągaj kombinezon, mówię! Kapitanie, ma pan jeszcze lampę? Te pochodnie zdychają!

Z dala od terytorium staruch żadne fluorescencyjne kokony nie oświetlały już korytarzy. Spalali pochodnię za pochodnią,

by oświetlać sobie drogę w ciemnościach. Zapasy źródeł światła kończyły im się w zbyt szybkim tempie. Toteż Pitala niechętnie wyjął z plecaka lampę olejową z resztkami paliwa. Potarł krzesiwem o ostrze pochodzącego z dawnych czasów noża, zrobionego z czarnej, łatwo krzeszącej iskry stali. Gdy padły na rozpalkę, którą trzymał w jednym z metalowych pudełek, wystrzelił z niej nikły błękitny płomyk, który prędko przytknął do lontu.

Aż syknął, widząc ranę Halnego. Wielka, czerwona w środku, wciąż krwawiła. Otaczał ją fioletowy siniec, zieleniejący już na obrzeżach.

– Niedobrze to wygląda – mruknął. – Trzeba ją oczyścić. Czekać...

Podkreślił knot w lampie i przysunął ją bliżej rany, nachylając się nad ramieniem Halnego. Coś przyciągnęło jego uwagę. Jakby...

Nagle cofnął się ze wstrętem. Zaklął. Splunął.

– Co jest? – zapytał zaniepokojony Marcin.

Pitala nie zwrócił na niego uwagi.

– Nic nie czujesz? – krzyknął do rannego. – Halny, naprawdę nic? Że coś ci się rusza w pieprzonym ramieniu?

– Jak to: „rusza”? – dopytywał Marcin. Znów nikt się nim nie przejął.

– Myślałem, że to tylko ból – wychrypiał olbrzym. – A co? Co tam jest?

– Pieprzony łeb pieprzonej gąsienicy! – Pitala przypomniał sobie głowy robali wpijające mu się w buty i aż się wzdrygnął z obrzydzenia. Co by się stało, gdyby je zlekceważył? Odgryzłyby mu stopy? – One jakby nie przyjmują do wiadomości śmierci. Może to jakiś rodzaj odruchu bezwarunkowego, nie wiem. W każdym razie ten gówniany łeb cały czas wgryza ci się w ramię. Zszedł już chyba na dwa centymetry w mięso! Dobrze, że trafił ci się mały osobnik. Ale...

– Ale? – zawołał Marcin.

Zignorowali go.

– Będziesz musiał mi to wyjąć – Halny nie wahał się ani chwili. Pogrzebał przy pasie i wyjął zza niego niewielki

składany scyzoryk o kilku ostrzach. Jedno z nich było dość wąskie i długie. – Oczyszczyć to ogniem. Wydłub pieprzonego robala. A potem zdezynfekuj ranę.

– Czym?

– Też ogniem, do cholery!

– Przekręcisz się z bólu.

– Nie przekręczę. Zresztą to lepsze niż zostać pożartym od środka, nie?

– Właściwie czemu mam ci pomagać? – szepnął nagle Pitala.

– To tamci dwaj są twoimi kumplami. Sam ich wskazałeś, nie mnie.

– Takiś się nagle zrobił wrażliwy? Uraziłem cię?

– Wiesz, jaka jest stawka. A ja nie wiem, czy mogę ci ufać.

– Nie wiesz też, co czeka nas na górze. I czy facet z toporem, którego nie jesteś pewny, nie jest jednak lepszy od samotnego stawania przeciw bandzie mutantów. Rozważ to, kapitanie, byle szybko!

Rozważył. Po jego minie można było poznać, że nie spodobały mu się wnioski, jakie wyciągnął.

– A to miało być takie proste – westchnął, zdejmując plecak. Położył go, wymościł kawałkiem koca, a potem, ostrożnie, położył na nim dzieciaka, którego dodatkowo przewiązał chustą tak, by przewleczona przez ramiona plecaka uttrzymała na nim dziecko. – Trzy elitarne oddziały Straży Wewnętrznej wyruszyły za samotną, osłabioną uciekinierką. Kontrolowaliśmy teren. Byliśmy świetnie wyposażeni i uzbrojeni. A jak się to skończyło? Jestem zdany na łaskę tej opętanej przez potwora dziewczyny, moi ludzie nie żyją, a ja zaraz będę operował prawie wrogiego mi świra w samym środku jamy gigantycznego szczura. Jak to się mogło tak popieprzyć? Chodź tu, Marcin, potrzywasz mi lampę. Będę potrzebował obu rąk. Daj no tę pochodnię.

Zanurzył ostrze scyzoryka w płomieniu i przytrzymał go w nim przez kilkanaście sekund.

– Powinniśmy cię związać – mruknął, pochylając się nad Halnym. – Albo trzech silnych facetów powinno cię trzymać. Jak zaczniesz mi się miotać, mogę cię dodatkowo pokaleczyć.



– Nie pieprz już, tylko wyciągaj to gówno!

– Jak chcesz. Wrzeszcz, jakby co. Ulżyj sobie. Zaciskający zęby twardziele to durnie, wiesz? W dodatku z połamanymi zębami. Pamiętam, jak kiedyś...

Wetknął nóż w ranę bez uprzedzenia, w pół zdania. Halny drgnął, ale zapanował nad sobą. Zacisnął zęby, aż zatrzeszczały, pot wystąpił mu na czoło.

– Czyli wolisz być głupi – mrucał do siebie Pitala, zanurzając ostrze coraz głębiej w ranie. – Jak ta głupia gąsienica, co to już nie żyje, ale ciągle gryzie. Może jej się coś w szczękach zacięło? Hej, wiecie, to nawet niezła metafora ludzkości. Nie żyjemy, ale wciąż wgrzamy się w mięso świata. Przecież to nawet nie trawi, bo nie ma czym. Po prostu przemiela mięso w papkę, i tyle. Może to jakiś cud ewolucji? Zabijać wrogów nawet po śmierci... Oj, nie wierzgaj!

Halny szarpnął się i jęknął po raz pierwszy.

– Wybacz – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Ja wybaczam, ale czy ty sobie sam wybaczysz, jak zostaniesz przez to inwalidą? Kontynuując moją poprzednią myśl. Czy nie jesteśmy jak ten łeb gąsienicy? Nawet martwi nie oddamy ani skrawka naszego świata komuś innemu. Raczej zniszczymy wszystko. No, i jest. Mam ten pieprzony łeb!

Wyjął ostrożnie nóż, na którego końcu pozbawiona odwłoka głowa, choć nabita na ostrze, ciągle poruszała żuwaczkami.

– Panowie, panie – Pitala ukłonił się kpiąco. – Oto ludzkość!

Strącił łeb z noża i czym prędzej rozgniół go obcasem.

– Skończyłeś pieprzyć? To jeszcze raz przypał nóż i oczyść ranę! – zażądał Halny. Głos mu drżał.

– Marcinie – przypomniała o sobie Ewa. – Oni dadzą sobie radę. Weź nasze dziecko i chodźmy już. Cierpię, wiesz? Kochasz mnie jeszcze?

– Już za chwilę, siostra.

– A jeśli umrę za chwilę?

Marcin spróbował ją ignorować.

– Nie spodziewałbym się po panu takiego gadania – zwrócił się do Pitali. – Myślałem, że oficer Kombinatoru widzi tylko świetlaną przyszłość.

– W tych ciemnościach? – Kapitan zmrużył oczy, gdy zbliżył się do pochodni, by znów opalić ostrze scyzoryka w ogniu. – W tej gównianej jamie, w której stoję po kolana w ludzkich kościach? Nie zrozum mnie niewłaściwie, chłopcze. Zrobię dla Kombinatoru wszystko, bo tylko jego prawo odróżnia nas od zwierząt. Ale jedyne światło, jakie widzę w przyszłości ludzkości, to blask ognia, który ją pożera. No, szykuj się, Halny, teraz dopiero będzie wesoło! Dobrze ci radzę, wrzeszcz.

I tym razem, gdy Pitala wetknął mu rozpalony nóż w ranę, Halny posłuchał rady i wrzasnął. A chwilę potem zemdłał.

## Rozdział 42

Szurniętemu zdawało się, że zabłądzili w ciemnościach. Prowadzeni przez Mikołaja, przeczołgali się po trupach pozostawianych przez zdrajców, którzy ukradli im dziecko. Gąsienice przyglądały się im ze ścian, czasem wychylały się ku nim, ale nie atakowały. Nie mieli ze sobą nic, co mogłoby je zainteresować.

Porzucili większość sprzętu. Przeszkadzałyby im tylko, ciążył i spowalniał. Szurniętemu żal było wielu zgromadzonych po drodze fantów. Pocieszał się jednak, że zapamiętał umiejscowienie kryjówki Halnego i schowków w Muzeum. Wiele w nich było jeszcze do zdobycia. Kiedy odbije nareszcie chłopca, wróci po te wszystkie bogactwa ze swoim synem... Zaraz po tym jak rozwiążą tę sprawę na Wawelu. Szurnięty nie rozumiał do końca, czym była, wiedział tylko, że tam gdzieś, pod zamkowym wzgórzem, czeka fałszywy ojciec dzieciaka. Trzeba się będzie jakoś z nim dogadać, rozliczyć. Odda mu na przykład tę do niczego mu już niepotrzebna dziewczuchę, Ewę. Niech sobie z nią płodzi nowe dzieci.

On, Stach, dziedzic Farmy, może przecież wychować to dziecko i następne z Ninel. Komunistka sprawiała wrażenie kobiety zdolnej urodzić całą armię rozkosznych bachorów.

Czasami przypominał sobie, że Ninel zginęła. Zatrzymywał się wtedy, próbując ustalić, czy ukradzione dziecko jest synem jego i Ninel czy też kogoś innego. Mikołaj popędzał go w takich chwilach i Szurnięty, chcąc nie chcąc, gnał za przewodnikiem, mamrocząc o potędze miłości i przeznaczenia.

Przy kolejnym pobojuwisku nie wytrzymał i oświadczył, że musi trochę odpocząć.

– Odpoczywaj sobie, jak chcesz, ja idę dalej! – warknął na niego Mikołaj, ani myśląc się zatrzymać.

– A to nie takie gnanie bez wytchnienia załatwiło nas

poprzednio? – naskoczył na niego Stach. – Pędziliśmy jak wariaci, a gdy tamci nas dopadli, nie mieliśmy nawet sił, żeby za nimi splunąć. Będziesz ich teraz ścigał bez odpoczynku, a jak wreszcie ich dopadniesz, starczy ci sił akurat na to, żeby zemdleć.

– Może masz i rację – zawahał się Mikołaj.

– Myślisz, że tamci nie odpoczywają? Oho ho i to jak! Więcej niż my!

– Skąd wiesz?

– Bo to łajzy. Ten kapitan ma tyle kondycji ile te staruchy, co tu sobie gniją. A chłopak jest nie lepszy. I kiedy my sobie spokojnie wędrujemy czystą drogą, oni muszą się ciągle bić, czego poszatkowane dowody widzisz tu naokoło. Do tego niosą dziewczynę. A ona pewnie musi co jakiś czas karmić dziecko. Jaki z tego wniosek? Że idą wolno, męczą się bardziej i zatrzymują co chwila.

– Tym bardziej powinniśmy iść. Dogonimy ich i...

– I zginiemy głupią chwalebłą śmiercią. Siadaj, mówię ci. Zjedz coś, odpocznij. Nabierz sił. Zaraz pójdziemy dalej. Słowo! Przecież wyczuwasz tego dzieciaka, nie zgubisz go!

– Ale... – Mikołaj poruszył się niespokojnie. Usiadł. Wstał. Ponownie usiadł. – Ty nie rozumiesz! Ta tęsknota jest jak ból!

– Wszystko rozumiem. Mnie też boli serce, gdy myślę o mojej Ninel. A pęka mi na samą myśl o naszym rozkosznym bobasie uprowadzonym przez tych przeklętych porywaczy. Ale – uniósł znacząco palec – ja przy tym zachowuję rozsądek!

Wydawało mu się, że Mikołaj powtórzył: „rozsądek”, ale że w jego ustach to słowo zabrzmiało jak splunięcie. Czyżby zamiast zyskać przyjaciela, znalazł kolejnego człowieka, który nim gardził? Niech będzie. Przywykł do tego, że ludzie patrzyli na niego z góry. Wiedział, że wszyscy ci wywyższający się pyszałkowie w końcu płacili za swoją butę. Tylu silnych, twardych ludzi umierało, a on ciągle żył. I nawet nie musiał się mścić. Świat sam zabijał jego wrogów.

Nie pierwszy raz Stach doszedł do wniosku, że Pożoga musiała go kochać.

Uległ w końcu marudzeniu chwilowego sojusznika i znów

puścili się w pogoń za złodziejami. O ile Mikołajowi wystarczyło najwyraźniej, że ich dogonią, Stach musiał przemyśleć nieco bardziej skomplikowane plany. Nie miał szans w walce z Halnym ani z Pitalą. Nawet Marcinowi mógłby nie sprostać, skoro tamtego strzegł przeklęty szary. Czy zdoła ich oszukać? Cóż, zapewne byłby w stanie, kłopot polegał na tym, że nie uznawali go już za potrzebnego w ich wyprawie. Dopóki nie znaleźli dziecka, pasowali wszyscy do siebie. Każdy dysponował jakąś wiedzą niedostępną innym albo przynajmniej umiejętnościami, jak Halny. Ale teraz? Co takiego mógł im zaoferować Stach, poza swoją niewątpliwą inteligencją? Och, on ją cenił, ale oni raczej niespecjalnie.

Nie doceniali go, ot co.

Pozostawało mu liczyć, że gdy dotrą do zamku, nastąpi tam coś nieoczekiwanego, co będzie mógł wykorzystać.

Na razie starał się nadażyć za Mikołajem, co wcale nie było proste. Tamten nie zwalniałby ani nie zatrzymywałby się, gdyby nie nawoływania i upomnienia Stacha. Nawet gdy opuścili terytoria staruch i wkroczyli w nieznane, ciemniejsze piwnice, Mikołaj utrzymywał równe tempo. Raz Stach wręcz siłą zmusił go do przerwy.

– Nie wiemy, od jak dawna biegniemy – sapał, przygniatając tamtego do wilgotnego podłoża. – Może dzień? Może tydzień? Zlitujże się, człowieku! Nie nade mną, nie nad sobą nawet, ale nad tym dzieckiem!

– Nad dzieckiem? – wyrzeźił przyduszany Mikołaj.

– Naprawdę muszę się powtarzać? A co jeśli dopadniemy ich i będziemy zupełnie bez sił?

– Źródło sobie poradzi! Puść mnie!

– Już zaraz cię puszcze, tylko sobie porozmawiamy. Źródło, powiadasz? Skoro tak, to czemu tak się spieszysz? Źródło sobie poradzi! Świetnie! Możemy więc odpocząć, wręcz się wyspać.

– Nie! – Mikołaj się szarpnął, ale Stach trzymał go mocno.

– Czemu nie?

– A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Wtedy, i mówię ci to nie po raz pierwszy, będziemy potrzebni Źródłu wypoczęci. Czy mogę cię teraz puścić i mieć

pewność, że nie pobiegiesz dalej jak szaleniec?

– Możesz – oklapł Mikołaj. – Masz rację. Powinniśmy odpocząć. Ale gdy ogarnia mnie tęsknota za Źródłem, przestaję nad sobą panować.

– Pozwól więc, że ja będę nad tobą panował. – Stach ostrożnie poluzował uścisk. Odczekał, aż nabrał przekonania, że Mikołaj naprawdę pogodził się z losem. – Dobrze więc. Usiądźmy, zjedzmy coś i porozmawiajmy jak ludzie cywilizowani. O co chodzi z tym Źródłem?

– Naprawdę go nie wyczuwasz?

– Nic a nic. Słuchaj, jedyne, co czuję, to bezbrzeżną miłość do tego słodkiego berbecia, mojego syna.

– Ach! Ale...

– Wiem – Stach uniósł dłonie w pojedynczym geście. – Wiem, nie ja go spłodziłem. Ale czy miłość nie liczy się bardziej od plemników? Toteż kocham go jak ojciec i w związku z tym niewątpliwie jestem mu ojcem. A teraz mów, co to za Źródło.

Mikołaj otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Ponownie otworzył i zamknął. Chrząknął zakłopotany.

– Nie wiesz – odgadł Stach.

– Wiem! Tylko brak mi słów, by o nim opowiedzieć. Ono jest wszystkim. Mieszka pod Wawelem i przyciąga do siebie tych, którzy słyszą jego zew. Kiedy, jeszcze w Kombinacie, dziecko dotknęło mnie, poczułem jego tęsknotę za tym miejscem. Ono pamiętało rzeczy, o których zapomniał Król. Nie wiem jak. Jajogłowi głądzili coś o pamięci komórkowej...

– Że niby co?

– No, że jak nauczysz czegoś robaka, a potem nakarmisz nim dwa inne, to one potrafią to co ten, którego zjedli. Robili takie eksperymenty.

– Aha. Czyli pamięć komórkowa to to samo co wiara kanibali. Bo im się też zdaje, że jak kogoś zjadają, to tak jakby przejmowali jego talenty. Bzdura.

– Też mi się tak wydaje. Sądzę, że to przez Ewę. Ona była związana z Królem, ale mądrzejsza od niego. Widzisz, Król był bardziej jak zwierzę niż jak człowiek. A ona to inteligentna

dziewczyna, analizowała to, co widziała w jego wspomnieniach. Ich dziecko poznało jej myśli i zaraziło się jej pragnieniami. I zrozumiało, jak ona, czym jest Źródło.

– A jest... – Stach zawiesił znacząco głos, a gdy nie doczekał się właściwej reakcji, westchnął. – Mikołaju, głędzisz mi o historii Króla i mądrości Ewy. A one mnie obchodzą mniej niż odchody starożytnych. Czym, do cholery, jest Źródło?

– Wszystkim tym, za czym tęsknię – odparł mocniejszym głosem Mikołaj i Stach zrozumiał, że nie wyciągnie już zeń nic więcej. – Ruszamy?

– Ruszamy – poddał się Szurnięty.

Niech to! Zaciekawilo go to całe Źródło. Może dałoby się je wytresować? Albo sprzedać? Skoro sprawiało ludziom tyle radości, skoro tęsknili za nim, nawet jeśli nigdy go nie widzieli, pewnie byliby skłonni sporo zapłacić za okazję do spotkania z nim? Może nawet dałoby się jakoś dawkować? Na przykład odcinać po kawałku i sprzedawać na porcje? Odkąd upadli komuniści, rynek narkotyków prawie zdechł, za to Stachowi udało się wzmocnić swoją rolę wśród handlarzy używek. Dysponując tym Źródłem, czymkolwiek by się miało okazać, mógłby zbić niezły majątek.

A potrzebował majątku, by zabezpieczyć przyszłość swojego syna i dziedzica.

Upojony tą myślą, biegł za Mikołajem i nawet nie próbował go zbyt spowalniać. Uznał, że jakoś za nim nadąży.

Wędrowali w kompletnych ciemnościach, a jednak Mikołaj bez trudu odnajdował wśród nich drogę. Wskazywał bez pudła wykuwane w ścianach piwnic przejścia. Skręcał też w te odnogi korytarzy, które uznawał za stosowne. Zmieniało się podłoże, po którym biegli, i zapachy w pomieszczeniach, przez które przechodzili. Wszędzie panowała wilgoć, przenikająca zatęchłe powietrze, czasem jednak aromat podziemi wzbogacony był słodką wonią rozkładu, czasem kwaśnym zapachem dawno zepsutego alkoholu. Szurnięty co jakiś czas potykał się o kamienie albo jakieś tajemnicze, niezidentyfikowane w ciemnościach przedmioty, które Mikołaj omijał wiedziony jakimś dodatkowym zmysłem. Wywrócił się kilkakrotnie i choć

za każdym razem krzyczał, by przyciągnąć uwagę przewodnika, ten tylko na początku zatrzymywał się i zawracał, by pomóc Stachowi się pozbierać.

W pewnym momencie przestał zawracać, a jakiś czas później nawet zatrzymywać się czy choćby zwalniać, gdy słyszał zza pleców pełen zaskoczenia i skargi okrzyk.

Aż wreszcie po kolejnej wywrotce Stach odkrył, że został w ciemnościach sam.

Usiadł na mokrym podłożu. Spróbował uspokoić oddech, by nie zagłuszał odgłosów mogących naprowadzić go na właściwy trop. Ile już tak biegli? Gdzie się znajdowali? Jak mówiła ta stara? Piwnice pod piwnicami, pod piwnicami, miasto budowane na mieście. Całe labirynty zapomnianych tuneli wykuwanych od średniowiecza, a może nawet jeszcze starszych, z czasów, gdy nie pisano kronik. Kryjótki, w których mieszczanie chowali swoje skarby przed poborcami podatkowymi, albo starożytnie schrony tworzone na wypadek najazdów Tatarów albo innych Szwedów. Podziemna metropolia odkryta na nowo, gdy ludzie postanowili żyć jak krety.

Przecież dokądkolwiek się skieruje, zawsze dokądś dotrze. Znajdzie po omacku schody albo drabinę i wyjdzie na świeże powietrze, do światła. Nie żeby chciał tam spędzić wiele czasu. Jak większość popielnych, także i Stach czuł niepokój na myśl o życiu pod gołym niebem. Te olbrzymie przestrzenie wydawały mu się stanowczo zbyt niepokojące. Na samą myśl o nich dostawał dreszczy. Zatęchłym powietrzem w krakowskich piwnicach oddychało mu się lepiej niż całą tą niepokojącą przewiewnością na górze. Niemal nieprzeniknione ciemności wydawały mu się lepsze od oślepiającego słońca.

Mimo wszystko chciałby wiedzieć, gdzie się znajduje. Określić jakieś punkty odniesienia. No i przede wszystkim dowiedzieć się, gdzie jest w tej chwili jego syn.

Nasłuchiwał, ale ciemność nie przynosiła żadnych odgłosów. Nie było oznak życia w tych piwnicach. Życie w Krakowie całkowicie nie zamarło, ale te jego resztki, które przetrwały Pożogę, nadwyrężył potem Król, a może nawet te obłąkane



staruchy szukające nosicieli dla larw gąsienic. Co za wstrętny los szykowały mężczyznom! Cholera, faceci z Farmy mieli rację!

Mylili się tylko co do Ninel.

Skoro nie mógł liczyć ani na wzrok, ani na słuch, ani tym bardziej na czyjąś pomoc, pozostawało mu zdać się na swoją legendarną intuicję i nie mniej słynne szczęście. Na chybił trafił wybrał kierunek i zaczął pełznąć przed siebie.

Nie wiadomo, dokąd by zaszedł, gdyby przez podziemia nie przetoczył się czyjś straszny, pełen bólu, ale jednak ludzki wrzask, który dobiegł Stacha gdzieś z lewej strony. Nie zastanawiając się wiele, zerwał się na równe nogi i ruszył w jego kierunku.

Choć się zataczał i potykał, tym razem jakoś zdołał utrzymać równowagę. Odnalazł otwór w ścianie, niski, ale dość szeroki, by udało mu się go pokonać. Aż wreszcie zobaczył przed sobą nikłe, ciepłe światło, błękitno-pomarańczowy płomień. Wokół niego gromadziły się znajome głosy, choć nie dostrzegał jeszcze sylwetek.

Zwolnił. Przypadł do ziemi, dalej poruszając się na czworakach. Nie chciał, by tamci go dostrzegli, bał się, jak mogą na niego zareagować. Odnosił wrażenie, że trochę im podpadł. I choć racja w stu procentach była po jego stronie, niebagatelna inteligencja Szurniętego podpowiadała mu, że ich prostackie umysły nie zdołałyby jej pojąć.

Zapomniał o Mikołaju. I kiedy tak ostrożnie a przemyślnie skradał się ku złodziejom dziecka, zastanawiając się, w jaki sposób odbić swojego dziedzica, Mikołaj zaszedł go niespodziewanie od tyłu, przygniótł do podłoża i zasłonił mu usta dłonią.

– Cicho! – wyszczał mu do ucha. – Bo nas usłyszą, durniu!

Szurnięty wymamrotał coś niewyraźnie.

– Potem! – szepnął Mikołaj, niepewny, czy zrozumiał Stacha czy nie. – Wszystko potem! Dorwiemy ich! Ale na razie musimy ich śledzić. Cicho!

Szurnięty skinął głową na znak, że się zgadza. Mimo to Mikołaj nie puścił go od razu. Odczekali, aż tamci pozbierają

się i ruszą w dalszą drogę. Halny, posapując jakby od wysiłku, pomógł Pitali posadzić Marcinowi na plecy Ewę i przywiązał ją do chłopaka. Dziecko kapitan Kombinatoru sam wziął na ręce. Ewa westchnęła, wyszeptała coś i dopiero wtedy mężczyźni podjęli wędrówkę. Widać, to ona wskazywała im drogę. Szli powoli, stawiając ciężko kroki. Musieli być zmęczeni. Nawet Halny przygarbił się i sprawiał wrażenie wyczerpanego.

„Dobra nasza!” – chciał szepnąć Stach, ale dłoń Mikołaja ciągle go knebłowała. Szarpnął się.

– Jeszcze nie. Jeszcze mogą nas usłyszeć.

Stach musiał więc czekać, aż Mikołaj uzna, że jest wystarczająco bezpiecznie.

– A jeśli znowu nam uciekną? – zachnął się, gdy mógł już mówić. Potarł usta. Dłoń Mikołaja nie należała do najczystszych, unurzana w błocie, pyłe i jakimś rodzaju smaru, zostawiła na twarzy Stacha klejący odcisk.

– Wiem, dokąd idą. Ewa prowadzi ich do Źródła. Teraz nie trzeba się spieszyć, tylko trzymać się blisko, by zareagować, gdy Pitala spróbuje uciec z synem Króla.

– Chcesz oddać malca temu Źródłu?

– A ty nie?

– Oczywiście, że tak! – zapewnił gorączkowo Szurnięty. – Źródło! To musi być coś wspaniałego! Marzę, by wreszcie je poczuć!

Mikołaj uśmiechnął się zadowolony i nareszcie ruszyli tropem porywaczy.

Ku uldze Szurniętego tamci robili teraz sporo przerw, pomimo protestów Ewy, które dobiegały do uszu tropicieli, choć trzymali się od porywaczy na odległość kilkunastu metrów. Dziewczyna protestowała za każdym razem, gdy się zatrzymywali. Histeryzowała. Oskarżała ich o to, że próbują ją zabić. Głód Źródła nie dopuszczał do niej żadnych rozsądnych argumentów. Uciekłyby im, gdyby nie była taka słaba.

W przeciwieństwie do niej, dziecko wydawało się spokojne. Nie płakało, jakby pewne, że zmierzają w dobrym kierunku.

– Wyczuwasz je cały czas? – zapytał szeptem Stach podczas jednego z licznych postojów.

– Bez przerwy.  
– Więc wie, że tu jesteśmy?  
– Oczywiście. Ale nie zdradzi nas. Nie martw się.  
– Taki berbeć a taki przemyślny! Moja krew!  
– On niezupełnie myśli. Są w nim echa umysłu ojca, jest też stale połączony z matką. Ale to jeszcze niemowlę. Działa instynktownie. Jedyne, co je obchodzi, to proste pragnienia: żeby zjeść, wysrać się, wyspać i być z tym, co je kocha. A kocha je Źródło.

– Jakiś mądrzejszy się zrobiłeś. Jak cię poznałem, tylko chichotałeś.

– Blokował mnie ten cholerny niuchacz. Dzieliliśmy umysły, a jego był spaczony.

– Ale stał po twojej stronie, co? Obaj planowaliście ukraść dzieciaka?

– Nie „ukraść”, tylko zwrócić rodzinie. No, zbierają się. Zaraz i my ruszamy.

Znów na poły szli, na poły czołgali się w ciemnościach wiedzeni tylko jednomyślnością Mikołaja i nikłym płomykiem lampy. Szurnięty ponownie stracił poczucie czasu. Przestał liczyć kroki i postoje, stracił ochotę, by rozmawiać z opętanym przez Źródło Mikołajem. Próbował rozwiązać zagadkę intencji porywaczy. Co nimi kierowało? Pitala był bez wątpienia fanatykiem, ale jego Stachowi przychodziło zrozumieć najłatwiej. Facet miał swoją misję. Z całą pewnością normalny nie był z tym swoim opętaniem prawem. Jakby prawo zmieniało cokolwiek. Przed wojną też je mieli i jakoś nie przeszkodziło im to zniszczyć świata.

Ale przynajmniej filozofia tego fanatyka była jasna. A co kierowało Marcinem? Miłość do Ewy? To Stach też mógłby zrozumieć. Ale gdy spotkał chłopaka po raz pierwszy, ten jasno powiedział, że trzeba dziewczynę zabić. Co więc to miała być za miłość?

Nie lepiej było z Halnym. Ten to już musiał być zupełnie szalony. Prawdę mówiąc, był taki zawsze. Stach pamiętał go ze wcześniejszych wizyt, gdy istniał jeszcze oddział Szramy. Halny zawsze miał to dziwne, niespokojne spojrzenie. Rzuczał nim na

wszystkie strony, jakby spodziewał się ataku z białego cienia. A jeśli już zatrzymywał na kimś wzrok, to świdrował go nim w tak niepokojący sposób, że po człowieku aż przechodziły ciarki. No i co parę miesięcy, czasem częściej, wpadał w ten swój szal i znikał. Popielni, którzy widzieli go w takim stanie, mówili, że nawet Pożoga u szczytu swojej niszczycielskiej chwały nie była tak straszna jak Halny opętany przez wiatr, po którym przyjął imię.

Czemu on ciągle szedł z tamtymi? To jego bajanie o potrzebie poznania losu kumpli brzmiało sensownie na początku ich wyprawy. Ale teraz?

Nie, olbrzymiemu żołnierzowi też musiało chodzić o dziecko. Albo dał się opętać temu całemu Źródłu, albo chciał jakoś wykorzystać dzieciaka. Syna Stacha!

Będzie trzeba policzyć się i z nim.

– Znowu się zatrzymali! – Mikołaj złapał Stacha za ramię.

– Przecież dopiero co odpoczywali!

## Rozdział 43

Marcin wpatrywał się tępo w kratę blokującą im dalszą drogę.

– Tego nie przewidziałaś, co? – burknął pod adresem Ewy, coraz nieznośniejszej, na przemian tracącej przytomność i odzyskującej ją tylko po to, by robić Marcinowi wyrzuty, że jeszcze nie dotarli na miejsce. Im bliżej znajdowali się tego przekłętego Źródła, tym większy wpływ miało na dziewczynę. – Oj, siostra, siostra.

– Kraty to dobry znak – ocenił po chwili zastanowienia Pitala. – Najpewniej doszliśmy do kanałów.

– Cudownie – westchnął Halny. – Jeszcze jakieś dobre wieści?

– Jak pokonamy tę przeszkodę, powinniśmy łatwo znaleźć własną drogę na zewnątrz.

– No tak, jak pokonamy tę drobną przeszkodę – prychnął Marcin.

– To akurat jest do zrobienia. – Halny nie tyle zdjął plecak, ile zsunął uprząż z jednego ramienia, po czym pozwolił upaść bagażowi na ziemię. Nie pochylił się nad nim, ale usiadł, a właściwie upadł obok niego i zaczął rozsypywać sznury jednej z bocznych kieszeni. Wyjął z niej dwa brzeszczoty, nagie, szczerbate, o drobnych zębach ciasno przylegających do siebie.

– Piłka – usta drgnęły mu w żalonym cieniu uśmiechu. – A teraz się skupcie: do metalu! Dwie! Owińcie je szmatami, inaczej zniszczycie te swoje muzealne rękawice. I tnijcie.

– Tym? – Marcin przyglądał się brzeszczotowi bez entuzjazmu. – Skąd to wzięłeś?

– Znalazłem. – Halny oparł się o ścianę. – W rzeczach Szurniętego, prawdę mówiąc. Wziąłem sobie, bo przezorny zawsze ubezpieczony. Chodź, Marcinie, pomogę ci zdjąć ukochaną z pleców...

– Siostrę!

– Jak zwał, tak zwał. Połóżmy ją obok mnie, przywiążemy... Ty, kapitanie, daj mi dziecko. Potrzymam.

– Wyglądasz, jakbyś znowu miał zemdleć.

– I tak się czuję. Więc dziecko też do mnie przywiążcie.

– Tymi piłkami przepiłowanie nawet jednego pręta może nam zająć i dwie godziny – ocenił Pitala, przyglądając się brzeszczotowi.

– Myślę, że jak przetniecie ze cztery, to wystarczy.

– Pół dnia roboty!

– Bardzo dobrze. Akurat się prześpię i odzyskam siły – Halnemu opadały już powieki. – A macie coś innego do roboty?

Nie mieli. Marcin wolał choćby i tydzień piłować kraty, niż znowu pokonywać trasę pod piwnicami. Choć też ledwo trzymał się na nogach, a narkotyk staruch wciąż wprawiał go w otępienie, z zapalem zabrał się za piłowanie krat. Entuzjazmu starczyło mu może na kwadrans. Potem poruszał brzeszczotem coraz wolniej i wolniej... Nagle poczuł szarpnięcie za ramię.

– Zasnąłeś przy tym cholernym piłowaniu?! – krzyknął na niego Pitala. – Bierz się do roboty!

– Tak jest – bez entuzjazmu wymamrotał Marcin.

Robota im nie szła. Szczęście, że metal okazał się tak skorodowany, że ustępowałby pewnie i pod pilnikiem do paznokci, inaczej sfatygowane brzeszczoty mogłyby nie dać mu rady. Po blisko godzinie nieustannego piłowania, kiedy Marcinowi udało się wyłamać jedną z krat, a Pitali sąsiednią, chłopak oświadczył, że ma dość na jakiś czas.

– Nie wiem, jak długo już idziemy – poskarżył się. – Nie wiem, czy to noc, czy dzień. Muszę odpocząć. Coś zjeść. Pospać.

– Ja też mam dość. Szlag, ty pewnie byś się przecisnął przez ten otwór. I twój szary, i dziewucha. Ale Halny już na pewno nie. Jeszcze trochę wysiłku, mały. Ty tnij na dole, ja na górze. Może to będzie już ostatnia.

– A nie możemy najpierw odpocząć?

– Nie tu. Rzygać mi się chce tymi piwnicami.

– Ja tam jestem przyzwyczajony do życia pod ziemią –

wzruszył ramionami Marcin, posłusznie jednak biorąc się do roboty

– Bo wy w Federacji żyliście prawie jak zwierzęta. Przez dwadzieścia lat drążyliście tunele w ziemi, jak robale. W Kombinacie też żyjemy pod ziemią, ale w cywilizowanych warunkach.

– Pamiętam te wasze „cywilizowane warunki”. Proszę mi nie ściemniać.

– Nie miałeś pełni praw obywatelskich, nie rozumiesz, o czym mówię.

– Doskonale rozumiem. Macie u siebie niewolnictwo, eksperymentujecie na ludziach i dzielicie ich na lepszych i gorszych.

– Mamy prawo! – zirytował się Pitala. – Mówisz o rzeczach, których nie pojmujesz! Tnij, nie gadaj!

Nie rozmawiali więcej. „Prawo!” – dumiał Marcin. – „Gadanie! Jasne, że kapitanowi żyło się wygodnie w Kombinacie. Pewnie tak samo jak wojskowym w Federacji. Nie przejmowali się, że reszta świata gnęła”.

Musiał sam przed sobą przyznać, że też się tym nie przejmował, póki niemal opływał w dostatki dzięki pracy w teatrze Pana Onufrego. Loteria, którą zarządzali, przynosiła im niezłe zyski. Nigdy nie czuli głodu, nie musieli dołączać do brygad szperaczy przetrząsających ruiny w poszukiwaniu użytecznych pozostałości po upadłej cywilizacji. Nigdy nie musieli walczyć o życie. Aż ktoś uznał, że żyło im się zbyt dobrze, i zakończył tę sielankę. Z całej trupy ocalili tylko Ewa i on.

Ewa...

Obejrzał się na przyszywaną siostrę. Nie przypominała tamtej zuchwałej, pewnej siebie dziewczyny, którą pamiętał. Była chyba ze trzy razy chudsza, a głębokie cienie zalegające pod jej oczami i kości policzkowe tak teraz wyraziste, że sprawiające wrażenie, jakby lada moment mogły przebić skórę na policzkach, niepokojąco upodabniały jej twarz do trupiej czaszki. Gdy czasem otwierała oczy, widać w nich było przede wszystkim głód.

Ale czy on przypominał jeszcze Marcina sprzed paru miesięcy? Od tygodni nie robił notatek w zeszytach. Ocalał, by zostać kronikarzem odradzającego się świata, tak jak marzył. Ale świat wolał umierać, zamiast się odradzać, a Marcinowi szybko zabrakło zapachu, by zapisywać kolejne klęski.

– Jeszcze trochę! – ponaglił go Pitala. – Już prawie to mamy!

Zdaniem Marcina mieli głównie odciski na rękach, jakby szmaty, którymi owinięli brzeszczoty i rękawiczki, nie zdały się na nic. Zachował jednak to zdanie dla siebie. Po pierwsze dlatego, że nie chciał przyjąć roli zrzędy, marudzącego cokolwiek by się działo, a po drugie dlatego, że wydawało mu się, iż usłyszał krzyki.

Przerwał na chwilę pracę.

– Odpoczniesz później! – warknął Pitala.

– Chwileczkę. Niech pan przerwie i posłucha.

Teraz krzyki brzmiały wyraźniej. I dało się nawet rozpoznać głosy. Piętaszek zawarczał, szykując się do skoku. Pitala wsunął piłkę do szerokiej kieszeni w nogawce kombinezonu, wyjął pistolet. Marcin oparł dłoń na rękojeści noża. Zerknął na Halnego. Ale potężny żołnierz wciąż spał. Za to Ewa szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ciemność, z której dobiegały krzyki.

– Uciekaj, Marcinie! – wyszeptała.

– Stójcie! – zawołał Pitala, mierząc z pistoletu prosto w wybiegających z korytarza Szurniętego i Mikołaja.

Zatrzymali się gwałtownie, niemal w miejscu. Wielka lufa nowego pistoletu kapitana robiła takie samo wrażenie jak w przypadku jego poprzedniej broni. Nikt nie chciał znaleźć się po jej niewłaściwej stronie.

– Pan możesz mieć do nas pewne nieuzasadnione zarzuty – zaczął swoją śpiewkę Szurnięty. – I ja jestem w stanie do pewnego stopnia to zrozumieć...

– Gonią nas! – przerwał mu Mikołaj. – Was też!

– Kto?

– Staruchy! Cały czas szły naszym tropem. Mają te swoje robale, mężczyzn... Chyba nawet ta ich Matka się wkurzyła! Zaraz tu będą!



– Zaraz... – Pitala spojrział na lichą szczerbę w kracie. – Mikołaj! Bierz brzeszczot od dzieciaka i tnij, ile masz sił! Marcin! Budź Halnego!

Teraz i oni słyszeli narastający hałas dobiegający z ciemności. Nawołujące się głosy, skrzeczenie staruch i coś, co przypominało mlaskanie. Zbliżały się.

Marcin oddał brzeszczot zaskoczonemu Mikołajowi. Mężczyzna niepewnie zważył narzędzie w rękach.

– Tnij, ile sił! – zawołał Marcin i odwrócił się do Halnego.

Jak go obudzić? Szarpnął za prawe, zdrowe ramię. Nic to nie dało.

– Halny! – wrzasnął mu prosto w ucho. – Wstawaj!

Mężczyzna pokręcił głową, zamruczał coś. Marcin, sam się sobie dziwiąc, trzasnął go z rozmachem w twarz. Raz, drugi. Trzeciego ciosu nie zdołał zadać, bo Halny chwycił go za rękę i ścisnął z całej siły.

– No! – huknął. – Co jest?

– Staruchy! – krzyknął Marcin. – Boli! Puść pan! Staruchy nas dopadły! Robale!

Halny zamrugał, potrząsnął głową. Budził się z trudem. Puścił Marcina, potarł dłonią lewe ramię. Spróbował wstać, ale coś go powstrzymało. Spojrzął ze zdumieniem na dziecko, które miał przywiązane do piersi, i Ewę przywiązaną do pasa. Zaklął.

– Wyplącz mnie z nich! – polecił Marcinowi.

Mikołaj piłował z całych sił. Wydawało mu się, że staruchy były tuż, że ich robale prawie wpijały mu się w kark. Chciał się obejrzeć, ale bał się, że w ten sposób wybije się z rytmu, zmarnuje cenne sekundy. A i tak zmitrężył sporo czasu, nim znalazł skuteczny sposób piłowania. Przez pierwszych kilkadziesiąt sekund brzeszczot nie chciał go słuchać. Wyginał się, przerywał na byle nierówności. Mikołaj klął, prawie wyl, wrzeszczał na niewdzięczne narzędzie, ale piłował.

Jakim cudem staruchy ich znalazły? Skąd w nich tyle sił, taka zawziętość? Tak bardzo chciały dorwać dziecko? Ale po co? Mikołaj musiał zanieść je do Źródła, tęsknota, jaką dzielił z małym, nie pozwoliłaby mu go porzucić. Byli niemal jednością.

– Są blisko! – ostrzegł Szurnięty.

Mikołaj chciał przyspieszyć piłowanie, nacisnąć mocniej. Ale wiedział, że nie wolno mu tego zrobić, jeśli zgubi rytm, brzeszczot znów podskoczy, zatnie się. Straci sekundy, zamiast je zyskać. Zostało tak niewiele! Trzy milimetry? Ile można ciąć trzy milimetry?

– Nie zdążymy! – wrzasnął histerycznie Szurnięty. – Widzę je!

– Nie zdążymy! – zgodził się Pitala, choć on już skończył piłować swoją część. Odepchnął brutalnie Mikołaja, a potem z całej siły kopnął w kratę. I jeszcze raz. I jeszcze.

Ustała za czwartym kopnięciem. Żelazny pręt piasnął w błoto po drugiej stronie kraty.

Szurnięty pisnął i pierwszy przecisnął się przez otwór. Mikołaj przeszedł z nieco większym trudem, ale dał radę.

– Podajcie mi dziecko! – zawołał, wyciągając ręce.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Marcin podpierał chwiejącego się Halnego. Ewa porwała syna, przytuliła go i z dzieckiem na rękach posuwała się ku kracie na kolanach. Ani było jej w głowie oddawać komukolwiek syna.

– No i są – zawołał Pitala, widząc pierwszego mężczyznę wyłaniającego się z ciemności.

Strzelił mu prosto w twarz.

Huk ogłuszył wszystkich. W rozbłysku wystrzału Marcin zobaczył twarze kilkunastu mężczyzn i gąsienice pełznące po stropie nad ich głowami, szykujące się do skoku. Ale dym przesłonił mu widok.

Pospiesznie pomógł Ewie przedostać się na drugą stronę, potem ruszył za nią. Przez jedną straszną chwilę sądził, że utknął, gdy przerzucony przez ramię łuk zahaczył o kraty. Wierzgnął, szarpnął się rozpaczliwie. Miał tu umrzeć z powodu broni, którą targał ze sobą niemal wyłącznie z sentymentu? Nawet nie potrafił z niej porządnie strzelać! Czuł dumę, posiadając takie cudo, wydawało mu się, że nieliczni spotykani popielni patrzą na niego z szacunkiem dzięki łukowi Wesolego. Ale nigdy w nic z niego nie trafił! A teraz miał przez niego

umrzeć?!

– Teraz! – Marcin rozpoznał głos Pitali. – Teraz! Szybciej!

Nie odwracał się. Przeciskał się jak najszybciej, modląc się, by łuk znowu o coś nie zahaczył. Za sobą słyszał krzyki przestraszonych i mordowanych ludzi. I jeszcze jeden głos. Jak ryk wzbierającej burzy.

Halny.

Gdy już był po drugiej stronie krat, obrócił się, by spojrzeć za siebie. Dym już opadł, dlatego w nikłym świetle porzuconej w panice latarni dostrzegł Halnego, który wydał mu się wielki, jak nigdy dotąd. Unosił nad sobą topór, a trzech stojących przed nim mężczyzn zamarło, próbując rękami zasłonić się przed ciosem. Za nimi, wrzeszcząc coś, tłoczyły się staruchy. Gąsienice spadały na żołnierza ze stropu, wpijały się w jego kaptur i ramiona kombinezonu, w buty, owijały wokół nogawek spodni.

Były ich dziesiątki.

Z tyłu, za staruchami, majaczył jeszcze jakiś cień. Wielki, posykujący. Biła od niego słodka woń mleka Matki.

Wszystko to Marcin ujrzał niczym obraz, zastygłe w ułamku sekundy. Jakby każdy z uczestników walki zamarł na ten moment, by chłopak mógł przyjrzeć się każdemu szczegółowi i zapamiętać go.

Marcin zamrugał i czas znowu ruszył z miejsca. Topór opadł. Dwie odcięte ręce zwisały na skórze, krew trysnęła tak mocno, że zalała Marcinowi twarz. Otarł ją odruchowo i zobaczył już tylko miazgę, w jaką zmieniła się głowa jednego z mężczyzn. Drugi trzymał się za kikut i wpatrywał weń rozszerzonymi do granic możliwości oczami. Trzeci próbował złapać Halnego za rękę. Daremnie. Ostrze uniosło się i opadło, znów trysnęła krew.

– Halny! – zawołał Marcin. – Uciekaj!

Możliwe, że nawet go nie usłyszał. Szarpnięciem nogi stracił dwie gąsienice, rozdeptał je. Opuścił topór, by szeroko ciąć nim od prawej. Jeden z mężczyzn zdołał odskoczyć, ale dwie staruchy okazały się zbyt wolne.

– Halny!

– Zostaw go! – Pitala chwycił Marcina za kombinezon i zaczął

odciągać do tyłu. – Już po nim!

– Co pan...

– Nie zmieści się! Widzisz? Otwór jest dla niego za mały! Daje nam czas, gówniarzu! Nie zmarnuj go!

Nawet Piętaszek chwycił Marcina za rękaw, by go odciągnąć od kraty. Chłopiec jeszcze raz zawołał Halnego, ale gdy nie doczekał się żadnej reakcji, odwrócił się i uciekł.

Zza pleców długo jeszcze dobiegały ich odgłosy walki i ryk oszalałego z wściekłości i bólu ostatniego żołnierza zwiadowców Szramy.

## Rozdział 44

Znów biegli w ciemnościach, póki nie zatrzymali się na chwilę i Pitala nie zapalił pochodni wydobytej z plecaka.

– Ostatnia porządna – mruknął ponuro. Mieli prócz niej jeszcze kości pozbierane w jamie gigantycznego szczura. Poowijane starymi szmatami, mogły przydać się w rozpaczliwej sytuacji. Woleli jednak nie korzystać z więcej niż jednego źródła światła naraz. Nie wiedzieli, jak długa droga jeszcze przed nimi.

Mikołaj chciał wziąć Ewę na rękę, ale Marcin odepchnął go ze złością.

– Przywiąż ją do mnie! – polecił Stachowi, pochylając się.

Nie spodobały mu się spojrzenia, jakie wymienili tamci dwaj. Ale Szurnięty skinął głową i pomógł Ewie wspiąć się na plecy Marcina, i przywiązał ją pewnie, mocno zaciągając węzły.

– Dziecko wezmę ja – uprzedził Pitala, ponownie nabijając pistolet. – Ty, Mikołaju, weź pochodnię. I prowadź.

– Ciągle wrzeszczy – Szurnięty obejrzał się w stronę miejsca, z którego przybiegli.

– Czyli ciągle walczy. Nie zmarnujmy jego poświęcenia! Naprzód!

Jak wielkim miastem mógł być Kraków? Marcin znał go prawie wyłącznie z legend. W czasach rozwoju ludzkości Kraków pożerał otaczające go wioski i miasteczka, wchłaniał je i zmieniał w swoje dzielnice. Podobno budowano go od tysięcy lat. Czy takie miasto w ogóle mogło kiedykolwiek się skończyć?

Z pewnością w Hucie nie było tak długich korytarzy jak tutaj. „No, ale myśmy kopali je przez dwadzieścia lat, a nie przez stulecia!” – pomyślał dumny z osiągnięć ludzi z Federacji.

W jednym legendy miały rację. Kraków okazał się przeklętym miastem. A równocześnie pustym. Te olbrzymie, ciągnące się bez końca piwnice pod piwnicami nie były przez nikogo

zamieszkane. Zmieściłyby się w nich i ze cztery Federacje, których mieszkańcy mogli tylko marzyć o takich luksusach. Nawet ludność Kombinatu mogłaby tu zamieszkać i jeszcze zostałyby mnóstwo miejsca. A mimo to jedyne ślady życia, jakie znaleźli, to staruchy i szkielet gigantycznego szczura. Może mieszkańcy Krakowa nie wiedzieli, że dysponowali całkiem niezłymi schronami, nie dokopali się do nich i pomarli od promieniowania, z głodu albo pozabijali się, walcząc między sobą na powierzchni?

Albo też żyli tutaj, dopóki nie dopadło ich i nie pożarło Źródło.

Tyle że niewiele było dowodów na to, iż ktokolwiek zamieszkiwał krakowskie podziemia. Nie było śladów szalałów, ognisk, jakiegokolwiek organizacji. Nic, poza przejściami wybitymi w ścianach między piwnicami.

Biegli po kostki w wodzie i Marcin nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że coś mogło żyć w tym bagienku, w jakie zmieniała się nawierzchnia pod ich stopami. Tam gdzie jest woda, życie samo się do niej pcha. A gdy ugasi pragnienie, zaczyna myśleć o jedzeniu. To odwieczna zasada.

– Słyszycie? – Szurnięty zatrzymał się na chwilę. – Ucichły. Wrzaski Halnego ucichły.

– Może po prostu odeszliśmy za daleko? – spróbował dodać sobie otuchy Marcin. Potężny żołnierz wydawał mu się niezniszczalny. Nie potrafił przyjąć do wiadomości jego śmierci.

Odnosił wrażenie, że Halny był, nie licząc Piętaszka, jego jedynym prawdziwym sprzymierzeńcem.

– Lepiej przyjąć, że go zabiły i teraz gnają za nami – Pitala zadzierał głowę, przyglądając się ceglanemu stropowi. – Najlepiej przyjmować najgorsze założenia, pamiętasz? Kurde, skoro to są kanały, to powinny tu chyba być studzienki ściekowe, nie? Czemu nie wpada przez nie światło?

– Może jest noc? – zgadywał Mikołaj.

– A może po dwudziestu latach deszczów niosących pył zostały kompletnie zapchane tonami syfu? – warknęła poirytowany Stach. – Tak jak w całym cholernym mieście?

– W Kombinacie czyściliśmy je – bąknął wyraźnie zakłopotany Pitala.

– To nie Kombinat. To rzeczywistość. Paskudna, zasyfiona i skrzeczy, i chce cię zabić. Pogadamy, czekając, aż staruchy dołączą do rozmowy, czy spieprzamy?

Uznali, że wolą spieprzać.

Żadne światło nie przebijało się z góry do kanałów. Ale woda jakoś do nich docierała, bo szybko zaczęli brodzić w niej po kostki. Na rozstajach Mikołaj bez wahania wybierał kierunki, a Ewa, jeśli się akurat ocknęła, potwierdzała jego wybór coraz słabszym szeptem. Marcin zdawał sobie sprawę, że z dziewczyną nie było dobrze, ale nie miał pojęcia, jak mógłby jej pomóc. Będzie musiała wytrzymać, póki nie dotrą w jakieś bezpieczne miejsce, pewni, że staruchy ich nie dopadną.

Obrócił się przez ramię, ale nie dostrzegł pościgu w ciemnościach za sobą. Kto wie, może Halny na tyle je przeraził, że ustąpiły?

Zatrzymali się, gdy Pitala znalazł metalową drabinkę wiodącą w górę.

– Właz! – zawołał uradowany. – Wyjście!

Postawił nogę na pierwszym szczeblu. Ten ugiął się, ale wytrzymał. Mimo to kapitan nie wspinał się dalej. Spojrzał na dziecko, które trzymał w lewej ręce. Skrzywił się.

– Nie dasz z nim rady unieść włazu – odgadł Szurnięty. – Daj, ja je przytrzymam.

– Akurat! – prychnął Pitala. – Ty właz, Szurnięty.

– Ja? Słaby jestem, nie to co oficer SW!

– Właz, mówię!

Narzekając na zły los, Stach wspiął się ostrożnie po drabince. Za każdym razem, gdy stawiał stopę na kolejnym szczeblu, zaciskał z całych sił powieki, jakby mogło go to jakimś magicznym sposobem uchronić przed upadkiem, gdyby skorodowany metal nie wytrzymał. Magia czy nie – podziałało. Dotarł na szczyt. Spróbował unieść właz prawą ręką. Ani drgnął.

– Pchaj dwoma! – zawołał Pitala. – Zaprzyj się nogami!

– A jak spadnę?

– To niewysoko. A woda złagodzi upadek. Pchaj!  
Stach pchał więc z całych sił. Bez rezultatu.

– Do dupy z taką robotą – marudził, schodząc. – Nigdy stąd nie wyjdziemy.

Jeszcze sześć razy Pitala kazał mu się wspinać na kolejne znajdowane drabinki. Za każdym razem kończyło się tak samo. Tylko Stach był coraz bardziej poirytowany.

Im dalej szli, tym bardziej przybywało wody. Cuchnęła, a Marcin był pewny, że kilka razy czuł, jak coś musnęło jego nogę. Może jakiś ostrożny łowca czaił się przed atakiem? Badał zdolności i siłę ofiary? Co mogło tu żyć? Węże? Zmutowane ryby? Przypomniawszy sobie, jak Pan Onufry opowiadał mu o piraniach: niewielkich rybach pływających stadami, zdolnych w kilkanaście sekund obgryźć ciało człowieka do kości.

„Musicie wiedzieć, dzieci” – zniżał głos do mrukliwego szeptu, ilekroć snuł co bardziej przerażające opowieści, pochylał się nad nimi, skulonymi i przytulonymi do siebie pod jednym kocem – „że przed Pożogą panowała moda na ściąganie do Krakowa różnych dziwnych stworzeń z całego świata. Im bardziej były przerażające i niebezpieczne, tym lepiej. Ludzie trzymali w domach egzotyczne węże dusiciele, ogromne jadowite pająki, modliszki i, oczywiście, piranie. Gdy nadszedł koniec świata, wiele z tych stworzeń przeżyło. Posiłały się ciałami zmarłych właścicieli, a potem opuszczały ruiny domów w poszukiwaniu ofiar. Drapieżne ryby kanałami przedostawały się do rzek, pająki rozpinały ogromne pajęczyny między domami. Modliszki...” – urwał, potrząsnął głową, jakby chcąc pozbyć się szczególnie paskudnego wspomnienia. – „Ci najprostszy łowcy potrzebują najmniej do przetrwania, przetrwają tam, gdzie nie poradzą sobie inni. Trzymajcie się z dala od rzeki, dzieciaki, gdybyście jakimś cudem do niej dotarły. Nie wiecie, co może w niej żyć. I jak zmutowało”.

Marcin przypomniał sobie tę opowieść w najgorszym możliwym momencie. Czy w tych kanałach mogły żyć piranie?

– Daleko jeszcze? – zapytał. – Za chwilę będziemy musieli pływać.

– To popływamy – fuknął Mikołaj.



– Ja nie umiem! – jęknął Marcin.

Na szczęście nie tylko on miał dość.

– Czy ta woda oznacza, że zbliżamy się do rzeki? – Pitala zatrzymał się i szarpnął Mikołaja za ramię. – Dokąd nas prowadzisz? Zamek stał, zdaje się, nad rzeką!

– Chcesz zawracać? – wrzasnął na niego Mikołaj. – To zawracaj! Znajdziesz sam wyjście?

– Mijaliśmy drabinki. Któryś włąz wreszcie...

– Wszystkie włązy kanalizacyjne są czymś przysypane! – nie pozwolił mu dokończyć Mikołaj. – Nie wiem, przygniatają je zawalone domy, może wraki samochodów, może tony pyłu? Może zarosły zielskiem? Nie wyjdziemy nimi! Ale ja znam drogę.

– Skąd? Nigdy tędy nie szedłeś!

– Wyczuwam!

– Tego się właśnie obawiam! – Pitala cofnął się o krok. – Pamiętaj, że to ja mam dzieciaka. Jeśli uznam, że coś jest nie tak, jeśli poczuję, że coś próbuje mi mieszać w głowie, skręcę mu kark! Jeśli Kombinat nie może go mieć, nikt go nie dostanie!

Mikołaj tylko warknął w odpowiedzi. Oczy błysnęły mu dziko.

Stach wpadł między nich, unosząc pokojowo dłonie.

– Panowie! – zawołał. – Panowie! Wszyscy jesteście zmęczeni, zdenerwowani. Ja to rozumiem. Ale wszyscy chcemy się stąd wydostać, prawda?

– Pytanie, któredy – odparł kapitan. – I co nas czeka dalej.

– Skupmy się na jednym problemie naraz, dobrze? A naszym głównym problemem jest, jak stąd wyjść, prawda? Mikołaj zna odpowiedź. Być może jedyną. Ma pan jakieś inne pomysły, kapitanie?

Pitala, jak wcześniej Marcin, obejrzał się za siebie, na korytarz, z którego przybyli. A jeśli można było nim bezpiecznie wrócić? Staruchy póki co ich nie dogoniły. Z drugiej strony, Halny też nie przyszedł. Może pozabijali się nawzajem?

Ale przeszli już taki szmat drogi...

– Prowadź, Mikołaju! – westchnął zdecydowany. – Ale

pamiętajcie, co mówiłem o dzieciaku. I będziemy sprawdzać wszystkie włazy w okolicy.

Nie było więcej włazów, tylko wąski korytarz pnący się stromo pod górę. Marcin przyglądał mu się bez entuzjazmu.

– Nie wiem, czy zmieszczę się tu z Ewą – ocenił.

– W ostateczności będziesz ją ciągnął za sobą. Na sznurze – pospieszał go Mikołaj. – No, nie zwlekajmy! Tam jest wyjście!

– Tylko wyjście? Czy jeszcze coś? – warknął na niego Pitala.

– Czuje pan, jak coś miesza panu w głowie, kapitanie? Gdybyśmy byli blisko Źródła, już by panem zawładnęło!

– Próbowałoby. A mogłoby nie dać rady... Może się przyczaiło?

– Róbcie, co chcecie. – Wzruszył ramionami Mikołaj. – Ja wychodzę.

I zaczął się wspinać jako pierwszy. Szurnięty po chwili wahania podążył za nim.

– Poczekaj chwilę! – Pitala odwrócił się do Marcina. – Nie wiem, co knują ci dwaj, ale instynktownie wyczuwam pułapkę. Masz, trzymaj – wcisnął chłopakowi do ręki niewielki przedmiot ze stali. – To odznaka SW. Z moim numerem służbowym. Jakby coś się stało tam na górze, wiej, ile sił w nogach. Nie oglądaj się na mnie. Pójdę za tobą albo nie. Ale jakbym zginął, masz iść do Kombinat i opowiedzieć o wszystkim. O ogrodzie botanicznym, o staruchach i o zamku. Zrozumiałeś?

– A może ja w dupie mam Kombinat?

– Wolisz staruchy? To całe Źródło? Słuchaj, gówniarzu, wiem, że może ci się nie podobać to, jak żyjemy w Kombinacie. Że możesz mnie nie znosić. Ale jesteś człowiekiem. A co bardziej przypominało ci ludzkość? Zły, ciemniący maluczki Kombinat, czy staruchy hodujące larwy na ludziach, albo jednomyślne monstra? Kurwa, jeśli chcesz, możesz nas nawet nienawidzić i przeklinać prawo. Ale tylko my staramy się zapewnić ludzkości przetrwanie.

– A może ludzkość nie zasługuje na to, żeby przetrwać? Swoje widziałem. Napatrzyłem się na tę całą „ludzkość”. Na morderców, kanibali, zdrajców i dyktatorów. Na tępych

niewolników. Jaka w tym wszystkim wartość?

Niespodziewanie Pitala się uśmiechnął.

– Umiesz gadać, co? Nauczył cię szczekać ten twój Pan Onufry. Co, myślałeś, że o nim nie wiem?

– Guzik mnie obchodzi, co pan wie, a czego nie...

– A powinno. Bo ja cię znam, smarkaczu. Czytałem meldunki w Kombinacie. I przyglądałem ci się podczas podróży. Jesteś mocny w gębie, ale słaby tu – dźgnął Marcina palcem w pierś.

– Dla mnie ludzkość może być stadem baranów, które trzeba trzymać za pysk i hodować tak, żeby nie zdechło. A czasem zabijać dla wyższej idei. Ale ty taszczysz na plecach tę swoją dziewczynę, choć jest już bezużyteczna. Nie chciałeś zostawić Halnego. Obserwowałem cię, gdy mówiłeś o tej całej Ninel i ludziach z Muzeum. Dla ciebie ludzkość to właśnie ci wszyscy, do których zdążyłeś się przywiązać. Dlatego wiem, że polecisz do Kombinatoru ratować, co się da.

– Nie przegapił pan czegoś, kapitanie? Ci wszyscy ludzie, na których mi niby tak zależy, już zginęli. Przetrwały tylko ścierwa, takie jak pan.

– Twoja Ewcia jeszcze żyje, nie? Poza tym mam rację co do zasady, szczeniaku. Należysz do tych naiwnych jak dzieci frajerów, którym spokoju nie da myśl, że tam, w Kombinacie, może jednak żyć paru dobrych ludzi. Pójdiesz ich ratować. Znam takich jak ty, błędnych rycerzyków. Nie zgub blachy, święty Marcinie, otworzy ci drzwi do Kombinatoru.

Odwrócił się i zaczął się wspinać.

Marcin poczuł pokusę, by cisnąć w niego odznaką, choćby po to, by zbić nieznośną pewność siebie tamtego. Zapanował jednak nad sobą. To byłby pusty, dziecinny gest. A odznaka mogła mu się przydać.

– Gównu wie, prawda?– zapytał Piętaszka.

Szary zaskomlał cicho w odpowiedzi. Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem, bez słowa, ruszyli za tamtymi.

## Rozdział 45

Kamila słuchała opowieści jeńca, ale przed oczami wciąż miała wydarzenia sprzed kilkunastu minut.

Każdy z wystrzelonych przez nich bełtów trafił w cel. Trzy psy fiknęły kozła i runęły na ziemię targane drgawkami. Dwóch ludzi, dziwnych, obszarpanych, pozbawionych broni, za to szczerzących zęby niczym zwierzęta, poleciało na plecy i już nie wstało.

Ale pozostało jeszcze czterech i dwa psy. Tylko kilka sekund zmarnowali na otrząśnięcie się z zaskoczenia. Potem odwrócili się i rzucili do ucieczki.

Porucznik nadal nie potrafiła uwierzyć w to, co się stało potem.

Wesoły zagarnął garść strzał z kołczanu, porwał łuk. Wydawało się, że wcale nie celował, ale jeden z psów zacharczał, zachwiał się i upadł. Nim pierwsza strzała osiągnęła cel, druga już była w powietrzu. Ostatni pies zaskowyczał: krótko, boleśnie.

Zostali tylko ludzie. Duch ruszył za nimi w pościg. Strzelił w biegu i pierwszy z uciekinierów wrzasnął, gdy strzała przebiła mu gardło.

– Tak! – zawołał Wesoły, śmiejąc się w głos chyba po raz pierwszy, odkąd Kamila go poznała. – To ja! Wróciłem!

Przeskoczył nad wyrwą w moście. Następną strzałę wypuścił, ledwo wylądował po drugiej stronie, i już ponownie naciągał łuk. Zaklął, bo chybił po raz pierwszy strzała trafiła uciekającego mężczyznę w nogę. Musiał go dobić, przez co zmarnował kilka sekund. Dwaj ostatni zdążyli dopaść końca mostu. Teraz duch zatrzymał się na chwilę, wycelował staranniej.

– I został tylko jeden! – zawołał, na powrót ruszając biegiem.

Niespodziewanie ostatni z obszarpańców zatrzymał się

i odwrócił ku łucznikowi. Przekrzywił głowę, przypatrując mu się, a gdy Wesoly podszedł bliżej, zasyczał.

– Widzimy cię! – oznajmił.

Duch wrzasnął. Teraz on się zachwiał, osunął na kolana. Ale nie wypuścił łuku z ręki.

– Widzimy cię – powtórzył, sycząc, obszarpaniec. – Chodź, bądź z nami. Tu jest dobrze. Tu jest miło...

Wesoly pokręcił głową, wrzasnął i strzelił mu prosto w oko. Zaraz wstał i nie oglądając się na pluton Umarłych, ruszył pędem w stronę zamku.

Kamila obserwowała przez lornetkę, jak spod Wawelu wybiegło ku niemu kilkanaście stworów. Zdołał zastrzelić cztery, nim skończyły mu się strzały. Potem to on musiał uciekać. Ostatni raz widziała go, jak gnał ulicą ku ruinom jakiegoś kościoła. A za nim pędziła cała wataha potworów.

Zrobił, jak powiedział. Odciągnął od nich uwagę stworzenia spod zamku. Niech to szlag! Czy mężczyźni, których szanowała i lubiła, ciągle musieli za nią ginąć?

– Czyli tam jest jeszcze trzech twoich? – zwróciła się do nowego przewodnika, Marcina. – I niosą dziecko do tego...  
Źródła?

– Jeden – pokręcił głową. – Został tylko jeden. Z moich został tylko jeden. Chyba, bo może i żaden...

I znów zaczął opowiadać, jak przez otwór, który okazał się wyjściem ze starej kanalizacji odsłoniętej podczas prac archeologicznych przed Pożogą, wyszli nareszcie z kanałów, by odkryć, że Mikołaj zaprowadził ich prosto na Wawel. Marcin zdążył jeszcze jakimś cudem zapamiętać nadzwyczaj dobrze zachowaną tabliczkę z napisem: „tą ścieżką podczas konfederacji barskiej polsko-francuski oddział konfederatów przedostał się na Wawel i odbił go z rąk rosyjskiej załogi...”, gdy nagle na jego umysł spadło potężne mentalne uderzenie i zważyło go z nóg.

Tęsknota i radość, wymieszane ze sobą, próbowały go omotać. Obce uczucia wdzierały się do mózgu Marcina, starając się wyprzeć zeń jego własne myśli i pragnienia. Choć szczyił się swoją odpornością, tym razem przegrywał.

Aż nagle poczuł ból. Urok prysnął. Marcin otworzył oczy. Potrząsnął głową. Ujrzał Piętaszka szykującego się do ponownego ukąszenia go w nogę. Za plecami szarego wznosiły się dziwne, potężne budynki: jakaś smukła wieża wyrastająca z przysadzistego kompleksu, niczym długa szyja z cielska potężnego żółwia. Zwieńczona zielonym szpikulcem, dudniła dziwnie, miarowo, w hipnotycznym rytmie. BOM! BOM! – przetaczało się przez cały zamek i jego dziedziniec, wybrzmiewało w myślach Marcina. Niełatwo było się temu oprzeć, ale noga po ukąszeniu wciąż pulsowała bólem pomagającym przewyciężyć otepienie.

– Już! – sapnął chłopak. – Wróciłem!

Szary posłał mu nieufne spojrzenie, ale gdy przekonał się, że Marcin nie kłamie, jego pomarszczona twarz rozpogodziła się.

– Wiej! – wrzask Pitali zabrzmiał przerażająco. Kapitan Kombinat uklęczał, trzymając się oburącz za głowę. Wypuścił z ręki dzieciaka, który szczęśliwie, bądź nie, zależy z czyjego punktu widzenia patrzeć, upadł miękko na trawę. – Wieeeej, głupcze!

Marcin nie miał pojęcia, jakim cudem Pitala stawiał opór Źródłu. On sam, mimo pomocy Piętaszka, z trudem odparł drugi atak tego potwora. Teraz jednak, gdy się skupił, gdy myślał tylko o swoich uczuciach do Ewy tak bardzo skrzywdzonej przez Źródło, zdołał odeprzeć atak. Spróbował wstać.

Kopniak Mikołaja odesłał go z powrotem na ziemię.

– Leż! – roześmiał się niegdysiejszy tramwajarz. – Już po wszystkim! Przegraliście. Ale nie martw się, roztopienie w Źródle uszczęśliwi cię! Patrz, ja jestem szczęśliwy, spełniony! Już prawie nie tęsknię!

Nie zdążył powiedzieć więcej, bo Piętaszek skoczył mu do gardła. Mikołaj spróbował się zasłonić, ale był zbyt wolny dla ostatniego z szarych. Piętaszek wpił się w niego zębami, szarpnął z całej siły głową, wrywając kawał mięsa. Mikołaj otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, wydał jednak z siebie tylko charczenie. Zamachał rękami, upadł. A wtedy szary, który jak uświadomił sobie nagle Marcin, musiał mieć wprawę w walce

z ludźmi, dokończył dzieła.

– Wiej! – wrzeszczał Pitala, jakby nie pamiętał już innego słowa z ludzkiego języka. – Wieeeeej!

Kapitan sięgnął za pas, po nóż. Uniósł go nad płaczącym w trawie dzieckiem. Zadrzał. Opuścił ostrze, ale nie dosięgnął nim ofiary. Chwiał się na nogach. Wrzeszczał niezrozumiale. Wreszcie znów uniósł nóż.

– Albo Kombinat, albo nikt! – ryknął i uderzył. – Tak mówi prawo!

Szurnięty dopadł dziecka w ostatniej chwili. Porwał je na ręce, przetoczył się tuż pod ostrzem Pitali. Krzyknął, gdy musnęło jego plecy, rozrywając kombinezon i wrywając krwawą linię. Udało mu się wstać i odskoczyć poza zasięg ramion Pitali.

– Mój! – zawołał głosem pełnym rozpacz. – Mój syn!

Piętaszek skończył z Mikołajem. Tramwajarz dogorywał, ale wciąż próbował się czołgać ku Pitali. Zdołał pokonać może pół metra, nim głowa ostatecznie opadła mu w trawę i pył. Szary doskoczył do Marcina, próbował go pociągnąć za sobą. Ale chłopak nie potrafił oderwać wzroku od Pitali i Stacha. Za nimi błyszczała złota kopuła, tak lśniąca, jakby polerowano ją codziennie. Dziwny, dźwięczny i miarowy odgłos wciąż dobywał się z wieży. Marcinowi zdawało się, że wszystko, co widział, rozgrywało się w rytm tego dźwięku. Dziesiątki istot wypadały z bram budynków, gnały ku dwóm stojącym naprzeciw siebie mężczyznom. Wydawały się ledwie niewyraźnymi plamami na ich tle.

– Mój! – powtórzył Stach.

– Jesteś opętany! – wrzasnął na niego Pitala. Upuścił nóż, wycelował w Szurniętego pistolet, który trzymał w drugiej ręce. Odciągnął kurek.

– Mój syn! – zaskowyczał Szurnięty, rzucając się do ucieczki.

Wybrał taki jej kierunek, by uniknąć też biegnących ku niemu stworzeń. Marcin, widząc to, zrozumiał, że Stach także zdołał się jakoś oprzeć zewowi Źródła albo wykoślawił go na swój sposób, jak robił to ze wszystkim. Umysł Szurniętego był tak pokrecony, że człowiek nigdy nie mógł wiedzieć, co się za nim kryje ani jak do końca Stach postrzega rzeczywistość. Być może

teraz szalonemu popielnemu udało się oszukać nawet potwora spod zamku?

Ale to, co stało się nagle jasne dla Marcina, nie docierało do Pitali. Przez dziedziniec zamku przetoczył się grom wystrzału. Ohydny, krwawy kwiat rozkwitł na plecach Szurniętego. Impet pocisku cisnął nim o ziemię. Jakimś cudem Szurnięty zdołał się jeszcze tak obrócić, by nie przygnieść swoim ciężarem dziecka.

– Mój! – sapnął.

Zakaszła niedobrą, ciemną czerwienią. Spróbował wstać, osłonić dziecko przed nadbiegającym kapitanem, ale zabrakło mu sił. Załkał, jeszcze raz odkaslnął krwawo. Obejrzał się na stojącego nad nim Pitalę. Wyciągnął ku niemu dłoń, spróbował coś powiedzieć, ale usta miał pełne krwi.

– Prawo! – zawołał Pitala.

Unióśł pistolet za lufę, by uderzyć nim jak maczugą.

Wielki pies, który wyprzedził całą resztę ludzi i zwierząt, zdołał doskoczyć do niego i zwalić go z nóg nim zadał cios.

Marcin nie patrzył dalej. Ponaglany przez Piętaszka, uciekł, unosząc ze sobą Ewę, choć ocknęła się i krzyczała, by ją uwolnił, pozwolił rozpląnąć się w Źródle. Że tylko tak ją ocali. Biła go pięściami po głowie i próbowała wydrapać mu oczy. Błagała go, a on nie zwracał na nią uwagi. Biegł jak najdalej od zamku. Gdy zbliżał się do mostu, zorientował się, że Źródło nie zapomniało o matce obiecanego dziecka. Wysłało za Marcinem pościg.

Przegralby, gdyby nie Wesoły i jego dziwni towarzysze. A teraz Ewa leżała martwa na moście, krew zasychała już na jej udach, całe mnóstwo krwi, którą Marcin przegapił, choć pokrywała też jego plecy i nogi. Nigdy jej nie domyje. Zginęli Halny i Mikołaj, i nawet Piętaszek. A on znowu był sam. Sam pośród obcych, owładniętych własnymi obsesjami, prowadzony przez cele, których nie rozumiał.

– Jeden – powtórzyła Kamila. – Czyli możemy pewnie przyjąć, że nie żyje.

Marcin skinął głową.

– Pluton! – zawołała. – Ruszamy za most!

Po raz pierwszy jej ludzie zareagowali z lekkim opóźnieniem.



Spojrzała na nich zdziwiona. Spajor chwiał się. Spojrzenie miał jakieś dziwne, zamglone. Dalia pocierała czoło wyraźnie zdziwiona. Dzejkej kręcił głową, rozglądając się na wszystkie strony. Wiking wpatrywał się w Kamilę tak zdziwiony, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

– Pluton! – krzyknęła na nich. – Co jest?

– Zew ich dopadł – odezwał się Marcin. – Źródło was dostrzegło albo przestało się rozpraszać. Nic nie czujesz?

– Zew?

– Głos w twojej głowie.

– Nie ma żadnych głosów w mojej głowie!

– Och, dziewczyno, jesteś niezwykła. – Pomyślał, że tak właśnie mogliby odezwać się w takiej chwili Halny albo Wesoly. Spróbował uśmiechnąć się niczym twardy wojownik z bezdroży. – Powinniśmy mieć dzieci, ty i ja. Jednomyślni mogliby nam naskoczyć.

– Oszalałeś?

– Ja nie. Też jestem dość odporny. Ale twoi ludzie... Oni już nie są twoi.

– Zobaczymy, czy nie są moi! Pluton, do cholery! Szóóóóosta!

Dalia drgnęła. Spojrzała na Kamilę, zamrugęła. Porucznik podbiegła do Spajora, potrząsnęła nim, a potem z całej siły uderzyła go w twarz. Niedobrze, że poczuła przy tym tyle satysfakcji, ale ocknął się.

Dalia właśnie waliła po gębie Wikinga, gdy Kamila zaczęła potrząsać Dzejkejem.

– Czwarty pluton! – zawołała. – Nie spać! Nie dać się opętać! Mamy robotę do wykonania!

– To wciąż chce mi się wedrzeć do głowy! – poskarżyła się Dalia.

– Pamiętacie ptaki? Te wchodzące do głowy? Daliśmy radę! Pluton, śpiewać! I za mną!

Nie rozumieli słów, żadne z nich nie poznało tajników łaciny. Ale tyle czasu spędzali na odprawianych w opactwie nabożeństwach, że nauczyli się na pamięć dziwnych, niezrozumiałych wersetów, które kiedyś uratowały Twierdzę. Z początku niezbyt szybko, czasem nawet zataczając się trochę,

ruszyli ku Wawelowi, na którym wciąż grzmiał starożytny dzwon, stworzenia opętane jedną myślą i wołą kłębiły się na dziedzińcu, a Źródło nie skąpiło wysiłków, by opanować wszystkie te nowe umysły, które przybyły do niego, by je zniszczyć.

*Salve, Regina, Mater misericordiae, vita, dulcedo, et spes nostra, salve. Ad te clamamus, exsules filii Hevae. Ad te suspiramus gementes et flentes in hac lacrimarum valle*<sup>3</sup> – śpiewał pluton, gubiąc może rytm i przekręcając słowa. Ale biegł.

Marcin położył dłoń na twarzy Ewy. Zamknął jej oczy, pocałował zimne czoło. A potem ruszył za tamtymi, obcymi ludźmi; niepewnymi, w każdej chwili mogącymi ulec wpływowi Źródła.

Być może stanowili dla niego jedyną szansę na zemstę.

---

<sup>3</sup> *Salve, Regina* (łac. *Witaj Królowo*): „Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia, życie, słodyczy i nadziejo nasza, witaj! Do Ciebie wołamy wygnańcy, synowie Ewy; do Ciebie wzdychamy, jęcząc i płacząc na tym łez padole”.

## Rozdział 46

Śpiew nie wystarczył.

Zdołali dostać się na zamek ścieżką, którą opuścił go Marcin. Wbiegli po stromych, skorodowanych schodach i dysząc, minęli bramę, w której całe lata wcześniej ktoś wprawdzie opuścił kratę, ale coś popsuło się w mechanizmie i ciężka żelazna przesłona zerwała się z jednego z łańcuchów, przekrzywiła, zostawiając przesmyk, którym można było się precysnąć. Minęli wieżę z brązowej cegły, dziwiąc się, że mogła istnieć na tym świecie twierdza potężniejsza od ich klasztoru. Gdy Kamila obróciła głowę w lewo, ujrzała panoramę miasta: dziesiątki pogruchotanych bloków o ścianach porośniętych zielskiem toczącym niekończące się boje z sinymi pnączami, jasną wieżę kościoła, w którym przeczekali deszcz, zrujnowany szklany budynek niedaleko niego, a nawet wzgórze z białym klasztorem, z którego ktoś każdej nocy wysyłał niezrozumiałe sygnały świetlne. Widziała burą Wisłę zaplątaną w cały ten krajobraz, dziwaczny kopiec, słowem: prawie cały świat.

I tylko domu nie udało jej się dostrzec.

Myśl o Twierdzy i zamieszkujących ją żołnierzach dodała porucznik sił. Nieważne, że ją zdegradowali, że może po raz ostatni pełni funkcję dowódcy plutonu. Trzeba wykonać zadanie, zabić to, co mieszka pod zamkiem.

Wejście bezpośrednio do jaskini było zbyt dobrze strzeżone, ale mogli wykorzystać to, o którym mówił Wesół.

Dzwon na wieży wciąż próbował nadawać rytm ich biegowi, ale przeciwstawiali mu własny, uparty, mozolny rytm pieśni, której słów nie rozumieli, ale które dodawały im sił.

Tyle że śpiew nie wystarczył.

– Tam! – zawołał Marcin, który jak ze zdziwieniem zorientowała się Kamila, wyprzedził pozostałych i biegł teraz obok niej. – Zobacz, tam ciągną kogoś. To... Pitala?

Gromada obszarpańców poruszała się dziwnie sztywno, jakby

to obca wola panowała nad ich mięśniami, a ciała wciąż stawiały jej opór. Ale było ich wystarczająco wielu, by mogli zaciągnąć mężczyznę do przytulonej do murów budki w cieniu drzewa o rozłożystych konarach. Mężczyzna w strzępach czarnego płaszcza szarpał się, krzyczał coś o prawie, ale nie potrafił się wyrwać. Człowiek za nim, właściwie dziecko, niósł na rękach niemowlę.

Obszarpańcy zaczęli znikać pod ziemią. Tak, to musiała być druga droga do Źródła! Zwierzęta, które szły za obszarpańcami: psy, ale też szczury, koty, zmutowane kuny i łasice, coś, co przypominało gigantycznego dzika – wszystkie zatrzymały się i zwróciły ku żołnierzom. Nie atakowały. Po prostu stały i patrzyły.

– Pluton! – rozkazała Kamila. – Szykuj broń!

Sama uniosła kuszę, którą przeładowała w biegu. Nie była pewna, w co celować, czy w przypatrujące się jej spokojnie zwierzęta, czy w obszarpańców ściągających coraz słabiej opierającego się Pitalę do wykutego w skale korytarza.

– Ogień na mój znak! – zdecydowała. – W zwierzaki!

Wycelowała. Uspokoila oddech. Wybrała wielkiego psa, z którego pyska zwiślał strzép zakrwawionego materiału.

– Ognia! – zawołała.

Tylko jeden bełt pomknął ku zwierzętom. Trafił psa jak trzeba, między oczy. Zwierzę umarło, nie wydając choćby dźwięku. Zwalilo się bezwładnie na bok. A wtedy pozostałe mutanty ruszyły ku Kamili. Niespiesznie, jakby wiedziały, że nie zdoła im uciec.

– Pluton, co jest? – krzyknęła, odwracając się ku swoim. – Ognia!

Żadne z nich nawet nie celowało. Opuścili broń i wpatrywali się w nią tępo. Potem Spajor uniósł kuszę. Skrzywił się, zacisnął zęby. Wydawało się, jakby walczył sam ze sobą, ale Kamila uświadomiła sobie, że za chwilę strzeli do niej. Odrzuciła własną kuszę, by sięgnąć po tarczę przerzuconą przez plecy. Zdawała sobie sprawę, że poruszała się straszliwie powoli, że nie miała szans wygrać z żołnierzem. Kiedy ona ledwie dotykała krawędzi tarczy, grot bełtu już celował w jej

pierś.

– Łukasz! – wrzasnęła, by go obudzić, ale on już uruchamiał mechanizm spustowy. Szczęknął, jęknięła zwalniana cięciwa.

Bełt pomknął wysoko nad jej głową. Spajor wygrał w ostatniej chwili i szarpnął kuszą. Ale to miało być jego ostatnie zwycięstwo tego dnia. Umarły odrzucił kuszę i powoli, wciąż wykrzywiając się dziwacznie, nieludzko, ruszył ku Kamili, wyciągając nóż.

Dał jej tyle czasu, że przynajmniej zdążyła się zasłonić tarczą, nim wystrzelili do niej pozostali członkowie jej oddziału. Stała jednak za blisko. Dwa groty przegryzły się przez tarczę, wysunęły pyski z drugiej strony, ledwie kilka centymetrów od twarzy Kamili. Na szczęście bełty ugrzęzły w grubym, wzmacnianym drewnie. Odrzuciło ją do tyłu i klapnęła na tyłek, ale dzięki temu trzeci pocisk musnął jej lewe ramię. Syknęła z bólu.

– Pluton, stój! – zawołała, wstając i wyciągając własny nóż. – Szósta! Umarli! Stać!

Nie słuchali jej. Poznawała po ich twarzach, że walczyli ze sobą, próbowali stawiać opór Źródłu, ale przegrywali. Dalia mamrotała coś pod nosem, chyba słowa łacińskiej pieśni. Ale szła cały czas ku Kamili, tnąc przed sobą powietrze nożem o szerokim ostrzu.

Poczuła, jak Marcin oparł się o jej plecy.

– I to by chyba było na tyle – mruknął, starając się być równie twardy jak ludzie, których podziwiał: duch, Halny. – Szkoda, taka ładna jesteś.

– Jeszcze nie wszystko stracone! Moi ludzie...

– To już nie są twoi ludzie. Chcesz się zamienić?

– Co?

– Żeby nie zabijać swoich. Albo żeby nie zginąć... od nich.

– Lepiej od nich, niż od kogoś innego. Jak twoje zwierzaki?

– Zaraz zaatakują, piękna.

– Moi też. – Odetchnęła głęboko. – Posłuchaj, Marcin.

– Tak?

– Ty wcale nie jesteś ładny. Nic by z tego nie było.

Roześmiał się cicho. Jeśli chciał coś odpyskować, zwierzęta

nie dały mu okazji. Zaatakowały.

Nie widziała, jak walczył. Poczowała pchnięcie, gdy coś skoczyło na niego. Na chwilę odpadł od jej pleców, ale wrócił, znów ją osłaniał. Czyjaś łapa spadła na ramię Kamili, ale Marcin odepchnął stwora, nim ten zdążył wbić pazury. Coś krzyczał, ale Kamila nie rozumiała co. Zbyt musiała się skupiać na odpieraniu ataków swojego oddziału. Zasłoniła się przed ciosem Spajora, po czym odepchnęła kaprała tarczą, by zaraz ją podnieść dla osłony przed uderzeniami Dalii. Gdy kopnęła Dżejkeja próbującego unieruchomić jej nogi, uświadomiła sobie, że będzie musiała zabijać swoich, jeśli miała mieć choćby cień szansy.

Jakiej szansy! – roześmiała się. Dwoje ludzi przeciw całej potędze Źródła! Jedyne, co mogła osiągnąć, to zabranie ze sobą jak największej liczby przeciwników. Ale mimo wszystko nie umiała zabijać swoich. Niech to szlag!

Sparowała nożem uderzenie Wikinga, równocześnie osłaniając siebie i Marcina przed atakiem Dalii.

A może, zabijając ich, okazałaby im litość? Uwolniła od niewoli tego całego Źródła? Trzasnęła Dżejkeja tarczą w twarz, łamiąc mu nos. Musiała w tym celu postąpić krok do przodu, w dodatku wyciągając lewe ramię, odsłoniła je nieco przed Dalią. Wytrawnej żołnierce, nad której umysłem Źródło panowało coraz lepiej, w związku z czym jej ruchy nabierały wprawy, nie trzeba było więcej. Dosięgła pchnięciem ramienia Kamili. Marcin, tknięty jakimś szóstym zmysłem, pojął, co się działo, obrócił się i dźgnął Dalię w bok. Obie kobiety krzyknęły. A po chwili krzyczał także Marcin, bo osłaniając Kamilę, odsłonił siebie. Kot, niewielki, ale agresywny, ominął zasłonę lewej ręki i wpił się zębami w pierś chłopaka.

„To już tylko kwestia czasu. Praktycznie nas mają” – uznała Kamila.

– Szósta! – zawołała. – Szósta!

Nawet cień zrozumienia nie pojawił się na twarzach przeciwników. Uświadomiła sobie, że naprawdę zostało ich tylko dwoje przeciw całemu pieprzonemu światu wawelskiego wzgórza.

## Rozdział 47

Nie było ich dwoje.

Setki umysłów wdzierają się do głowy kapitana Pitali, gdy nie tyle znoszono go po wyciętych w skale schodach, ile wleczono za sobą. Prawie nie czuł bólu, choć jego ciało boleśnie uderzało o kamień.

Czuł jedynie wściekłość.

Oczyma zwierząt, z których umysłami łączył się teraz, widział, jak jacyś obcy żołnierze atakują swojego dowódcę. Gdzieś w resztkach jego ginącej osobowości pojawiła się myśl, że istniała jeszcze jakaś siła poza Kombinatem, że nawet jeśli Nowa Huta padnie pod atakami mutantów, ludzkość ma szansę.

Szansę! – roześmiało się w nim setki umysłów, a może tylko jeden, wiążący je wszystkie. – Szansę!

Nie było żadnych szans. Nie swoimi oczyma widział Źródło: wielkie galaretowate cielsko wypełniające całą jaskinię pod skałą, rosnące nieprzerwanie od lat. Czuł błogość roztopiających się w nim, trawionych powoli, lecz nieubłaganie ludzi i zwierząt. Szansę! Jakie szansę mogli mieć ludzie w starciu z czymś takim?

„A jednak Król wam uciekł!” – nie poddawał się kapitan.

Uciekł, ale teraz powracał w osobie dziecka, kolejnego eksperymentu. Król uciekł, ale się udał. Miał być nasieniem, które zakwitłoby w innej części miasta, jednym z pierwszych. Zmieniłby się w nowe Źródło, gdyby nie oznaczyła go genetyczna skaza, która sprawiła, że dorastał i starzał się w niezwykle szybkim tempie. Nie szkodzi. Jego syn jest już lepszy. Dojrzeje błyskawicznie, ale pożyje wystarczająco długo, by przemienić się w Źródło. W Kombinacie albo może gdzieś tam, w tajemniczej kamiennej Twierdzy, dokąd zanoszą je opanowani przez Źródło żołnierze, gdy już skończą ze swoim

dowódcą i tym nieznośnym dzieciakiem stawiającym Źródłu opór już stanowczo zbyt długo.

Myśli, plany i pragnienia Źródła przepływały przez umysł Pitali, zastępując powoli jego myśli i pragnienia. Obserwował oczami zwierząt i ludzi atakujących w starym kościele ostatniego z duchów. Mężczyzna bronił się za drewnianym ołtarzem, za plecami mając wielki obraz, na którym śmierć tańczyła z łańcuchami umarłych ludzi. Światło z rozerwanego dachu spływało akurat na ducha krwawiącego z kilku ran, ślaniającego się na nogach. Mimo to wciąż walczył z uśmiechającą się śmiercią za plecami. Nieważne. Zginie za minutę, dwie lub pięć.

Dzikowi prawie udało się rozorać nogę Marcina, ale Pitali już to nie obchodziło. Spróbował przypomnieć sobie zapisy prawa Kombinat, jednak rozpraszała go rozkosz obserwowania świata z lotu ptaka, dla którego walczący na zamku byli tylko drobinami. Ptak krzyknął, a kapitan powtórzył jego okrzyk.

Otarł się o niego cień osobowości Mikołaja. Tramwajarz umarł zbyt szybko, by roztopić się w Źródle. Co za strata! Wszyscy ci marnujący swoje żywoty ludzie, ginący, nim zdążyli nakarmić sobą Źródło, by pozostać w nim na zawsze jako cienie i głosy... Pitala poczuł bezbrzeżny smutek na myśl o umierających bez sensu, stawiających opór wielkiej szczęśliwości, jakiej mogli stać się udziałem.

Poczuł, że zanurzano go w miękkiej, łatwo ustępującej pod ciężarem ciała galarecie. Krótki atak bólu otrzeźwił go na moment. Tysiące ssawek i zakończeń nerwowych istniejących wewnątrz Źródła wpijało się w ciało kapitana. Jedne sięgały żył, by wprowadzić do nich narkotyki, a potem spijać krew, inne wędrowały już przez ciało ku nerwom, by opanować je całkowicie i zapewnić pożeranemu błogość nie tylko poprzez telepatyczne opętanie, ale i pełne zespolenie z organizmem Źródła.

Już dobrze, już dobrze – uspokajało Źródło, a jednocześnie Pitala uspokajał sam siebie, bo już prawie sam był Źródłem.

W ostatniej być może sekundzie pozostania sobą, kapitanem Maciejem Pitalą, ujrzał coś, co go zdumiało. Kable. Zwyczajne,



izolowane kable ciągnęły się od Źródła w ciemność.

Już dobrze – fala błogości napłynęła z siłą, której nie sposób było się oprzeć. Co tam, że ducha przycisnęły do ołtarza dwa wielkie psy, że jakiś opętany mężczyzna zaciskał dłonie na jego szyi. Że Marcin padł na kolana, raczej spazmem niż atakiem rozorał bok dzika, że kobieta walcząca ze swoimi ludźmi została przygnieciona przez nich do ziemi. Co tam jakieś kable. Istnieje bóg i istnieje raj, a imię ich Źródło.

Poruszając bardzo powoli rękami w galaretowatym cielsku Źródła, Pitala pozbywał się ubrania, które mogło utrudniać Źródłu dostęp do jego ciała. Zagłębił dłoń w jednej z kieszeni kombinezonu, być może przypadkiem, a być może prowadzony ostatnimi przeblyskami swojej osobowości.

Chłód metalowego pudełka. Jakieś bolesne wspomnienie. Co to było...?

Źródło zadrżało.

Wspomnienie bólu i strachu przebiło się przez błogość.

Pitala otworzył pudełko. Jedną ręką szło mu powoli. Ale dał radę. Wydawało mu się, że słyszy krzyki: „Co on robi? Przekracza skalę! Powstrzymajcie go!”. Kto mógł tak krzyczeć? Musiało mu się wydawać.

Zresztą nawet gdyby było inaczej, nie miało to znaczenia.

Źródło przeskanowało jego myśli, zrozumiało zagrożenie. Tysiące umysłów, zarówno tych należących do istot jeszcze żyjących, jak i do tych przetrawionych, zaatakowało go. Zwierzęta, ludzie, owady, ptaki. Wszyscy skupili się tylko na tym, by powstrzymać dłoń kapitana Pitali zamykającą się powoli na milimetry do celu.

Wszystko na tym świecie jest bronią. Tylko trzeba wiedzieć, jak jej użyć.

– Nie ma prawa ponad prawo Kombinatoru, sukinsyny – wrzasnął, a może tylko pomyślał, że wrzasnął, i zacisnął dłoń na małym nasieniu, które tak niedawno i tak dawno zarazem wystrzeliło ku nim z ogrodu botanicznego.

Ból zabił osobowość Pitali szybciej i lepiej niż mogło zrobić to Źródło. Kapitan zmienił się w skowyt. Nie było już nic, poza bólem, jakiego nie mógłby sobie nawet wyobrazić, gdy zarodnik

dosłownie eksplodował w jego dłoni ledwie zetknął się z tak apetyczną materią ożywioną. W mgnieniu oka pożarł skórę i tkankę pod nią, a zaraz potem – zanim jeszcze układ nerwowy Źródła zdolał się zorientować, że już po nim, że dwadzieścia lat zbierania sił zostało w tym momencie przekreślone, że nie będzie żadnej sieci Źródeł, jednomyślnych monstrów połączonych ze sobą siecią rozplecioną w podziemnych korytarzach rozbudowywanych przez ludzi nieświadomych, że służą istocie, która miała zapanować nad światem – zaatakował potwora mieszkającego pod zamkiem.

Mikropędy pożerały wyjącego z bólu człowieka. Wnikały w jego mięso, pochłaniały krew, z ochotą wgryzały się w nerwy. Ale nagle, po dwóch sekundach niepowstrzymanego wzrostu, natknęły się na coś nowego, inny rodzaj tkanki. Ogromne, pyszne pole mięsa do pożarcia.

Budząca się do życia roślina nie była skażona inteligencją. Jedyne, co miała zapisane w genach, to potrzebę wzrostu. Każdą okazję witała z równie wielką radością.

W czwartej sekundzie zaczęła pożerać Źródło, znacznie ciekawszy kęs od miotającego się w udęce człowieka. Nie porzuciła go, ale zwolniła ekspansję w jego ciało. Nowe źródło pożywienia wydawało się ciekawsze.

W piątej sekundzie błogość skończyła się na zawsze. Całe Źródło eksplodowało bólem. I Kraków zawył jednym przeraźliwym głosem.

Wył i człowiek duszący ducha, i psy, które dotąd przytrzymały człowieka. I opętany Źródłem członek załogi Boruty, i trzy błotniaki z oddziału Świeżego. Zawyli Umarli próbujący zabić swoją porucznik. I część staruch, i kilku żołnierzy na Farmie Konopków. Skowyczały z bólu cienie pożartych przez Źródło i ci, którzy dopiero rozpuszczali się w nim powoli. A pośród nich wszystkich najgłośniej krzyczał kapitan Pitala, centrum całego tego bólu, pożerany wolniej, ale nieubłagane, rozsyłający kolejne fale cierpienia po Źródle i wszystkich jego nosicielach, ale też skupiający na sobie ból ich wszystkich.

W ósmej sekundzie udęczone ciało nie wytrzymało ogromu

cierpienia. Zabił je szok. Pitala przestał wierzcąc. Zamarł zeszywniały, z szeroko otwartymi ustami, jakby wyszczerzonymi mimo wszystko w szyderczym uśmiechu. A w jedenastej sekundzie spomiędzy nich wychylił się zielony pęd.

W trzydziestej sekundzie nie było już czegoś takiego jak Źródło. Została tylko biomasa pożerana przez wciąż rosnącą roślinę, niezdającą sobie sprawy, że właśnie zamordowała jednomyślność.

## Rozdział 48

Gdy wszechobecne wycie ustało, świat wydał się Kamili zbyt cichy.

Czy to już śmierć? Nie, nie umarła. Zbyt bolało.

Zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni rękojeść noża, którym dźgnęła Dzejkeja, gdy ten próbował ją dopaść. Przestraszona, wypuściła broń z ręki, jakby to mogło w czymkolwiek pomóc. Zbyt dobrze została wyszkolona. Chłopak już nie żył.

Zapłakałaby nad nim, ale nie miała sił. Spróbowała wyczołgać się spod ciała Dzejkeja. Cała była we krwi, ale nie wiedziała, jaka część była jej własną krwią. Na pewno piekło ją w ramieniu, tam gdzie otarł się o nią belt. Na pewno ktoś rozorał jej skórę na biodrze. I jeszcze czaszka na połowie twarzy nigdy już nie będzie wyglądać tak samo z tą blizną biegnącą przez pół policzka. No i ktoś rozciął jej usta – w jej przypadku słowa: „krzywy uśmiech”, nabrały nowego znaczenia. Przesunęła językiem po zębach. No tak, z paroma musiała się pożegnać na zawsze. Cholerny Spajor i jego pięść. Teraz już nikt nigdy się w niej nie zakocha.

– Cześć, piękna. – To ten dowcipas Marcin podczołgał się do niej. Chwycił za ramię, spróbował pomóc.

– Nie za to ramię, durniu! – jęknęła, uświadamiając sobie, że prawe bolało ją bardziej niż lewe. Prawda, przecież Dalia wbiła jej tam nóż.

– Każde jest do dupy.

– Wielkie dzięki. A ty jak?

– Pogryziony, bez dwóch palców. Co najmniej. Chyba straciłem oko... Takie tam. Co tu się właściwie stało?

– Nie wiem. Ciągnij, nie przestawaj, choćbym wyła i klęła.

Potraktował to poważnie, i w efekcie zemdląła z bólu.

Gdy się ocknęła, siedziała oparta o mur, za którym rozciągał

się widok na miasto. Naokoło siedzieli jej ludzie. Dalia opatrująca Wikinga, Spajor z nieodłącznym papierosem w gębie, Wiking.

Kamila szarpnęła się odruchowo, ale siedzący obok Marcin powstrzymał ją.

– Ocknęli się – powiedział. – Mieli szczęście. Zbyt krótko Źródło trzymało ich w opętaniu. Ci, którzy służyli mu od dawna...

Nie musiał mówić. Wszędzie zalegały ciała zwierząt i ludzi. Niektórzy jeszcze żyli, ale trzęśli się na ziemi albo pełzali bez celu, nie zwracając uwagi ani na siebie nawzajem, ani na żołnierzy.

– Co tu się stało? – spojrzała na Marcina. Bandaż na jego prawym oku nasiąkał powoli krwią.

– Źródło zdechło. Nie wiem jak. Może ten dzieciak stanął mu ością w gardle, a może cholerny kapitan Pitala? Pewnie jakbyśmy zeszli do jaskini, moglibyśmy się czegoś dowiedzieć, ale jakoś mi się tam nie spieszy.

– Zejdę, jak skończę was zszywać – odezwała się Dalia. – Pokroję to cholerstwo, to się czegoś dowiem.

Głos jej drżał. I nie patrzyła na Kamilę.

– Co pamiętacie, kapralu?

– Za dużo – Dalia zamarła na moment. Ale szybko wróciła do opatrywania rannego. – Jak przez mgłę, ale wciąż za dużo. Ja... Przepraszam, Kamila.

– Wszyscy daliśmy dupy – warknął Spajor. – Oprócz ciebie i... tego młodego.

– Zabiłam Dżejkeja – Kamila przymknęła oczy. Ledwie to pamiętała. Wiking rzucił się na tarczę, pociągnął ją w dół całym ciężarem ciała, a Dżejkej wykorzystał okazję i skoczył. Zareagowała odruchowo. Puściła bezużyteczną już tarczę, zablokowała lewą ręką, a prawą, uzbrojoną w nóż, pchnęła.

– Nie miałaś wyjścia... – szepnął Wiking. – Moja wina. Powinienem był...

– Powinieneś był, co? – naskoczyła na niego.

– Dostyc tego! – krzyknął na nich Marcin. Wstał, krzywiąc się z bólu. – Niczyja wina! Opętało was Źródło, nie byliście sobą.

A ty, piękna, musiałaś się bronić!

– Dla ciebie porucznik Czapnik – warknęła. – Dowódca czwartego plutonu Szóstej. No! Żadna tam piękna, żołnierzu.

– Wal się, piękna. Jestem cywilem.

– Widzę naszywki na kombinezonie, szeregowy.

– Nawet jeśli... To z Muzeum, a nie z tej waszej Szóstej.

– Z naszej, szeregowy! – zachichotał Spajor. – Jak szefowa cię zwerbowała, to nie masz już nic do gadania. Ciesz się, że trafiłeś do Umarłych. Najlepszy pluton.

Marcin wyglądał, jakby zamierzał protestować, ale w tym momencie zza długiego budynku ciągnącego się od brązowej wieży przy bramie, całego porośniętego brunatnozielonym bluszczem, wybiegło trzech mężczyzn w wojskowych mundurach przedwojennego typu, z najprawdziwszymi karabinami w rękach.

– Tu są! – wrzasnął prowadzący ich mężczyzna z dystynkcjami oficera.

Żołnierze Szóstej zaczęli się podnosić. Spajor sięgnął po kuszę, już naładowaną. Wiking wyjął nóż.

Marcin pomógł wstać Kamili. Jej lewą nogę przeszył nagły ból. Upadłaby, gdyby Marcin jej nie podtrzymał. Oparła się o mur. Otarła pot z czoła.

– Podaj mi kuszę, szeregowy – rozkazała.

Zajął mu chwilę, nim połapał się, że mówiła do niego. A wtedy mrugnął do niej porozumiewawczo, podszedł do miejsca, w którym walczyli, podniósł jej broń. Znalazł bełt. Naciągnął... I nim tamci trzej nadbiegli, zdążył nawet wrócić do Kamili i oddać jej broń.

– Dla ciebie wszystko, piękna.

– Za brak szacunku do oficera się płaci! – ofuknęła go. – Masz broń? No to szykuj się, ofiaro! Boże, co za rekrut mi się trafił!

Uzbrojeni mężczyźni podchodzili teraz ostrożnie. Lufy karabinów na razie trzymali opuszczone, ale broń była gotowa do użycia.

– Zidentyfikuj się! – Kamila krzyknęła na oficera, nim on zdążył przejąć inicjatywę.

– Generał Szesnastego Batalionu Powietrznodesantowego

Szóstej Brygady Powietrznodesantowej, Sławomir Szymańczyk!  
– zawołał. – Co, do diabła! Kim wy, kurwa, jesteście?

Powietrznodesantowa? Kamili zakręciło się w głowie.  
Szymańczyk? Gdzieś już słyszała to nazwisko...

– Dowódca Czwartego plutonu Szóstej... To znaczy Szóstej  
Brygady Powietrznodesantowej – poprawiła się. Jezu, już nikt  
tak nie mówił. Od lat byli po prostu „Szóstą” i tyle. –  
Samodzielny Batalion „Twierdza”, porucznik Kamila Czapnik.

– Samodzielny Batalion? – zmarszczył brwi Szymańczyk. –  
Jaka „Twierdza”? Nic takiego nie było w strukturach brygady!  
Coś ściemniacie!

Lufy karabinów uniosły się i wycelowały w Umarłych. Kamila  
uniosła dłoń do czoła, by zamachać temu kretynowi beretem,  
ale przypomniała sobie, że berety Świeży zostawił sobie jako  
trofea. Niech to szlag! Trzeba będzie je odzyskać przed  
powrotem do Twierdzy, inaczej będą im to wypominać do  
końca życia. No, wtedy już na pewno rozwiążą Umarłych.

Rozpięła szybko kombinezon, zsunęła rękaw z ramienia, by  
odślonąć stary emblemat. Widząc go, Szymańczyk wytrzeszczył  
oczy.

– Przez dwadzieścia lat struktury trochę się zmieniły, panie  
generale – powiedziała, siłąc się na spokój. – Samodzielny  
Batalion „Twierdza” utworzył generał Skrobosz. Dowodzi nami  
teraz. Stacjonujemy w... – urwała, nagle tknięta przeczuciem,  
że nie powinna mówić wszystkiego komuś, kto po prostu nosił  
odpowiedni mundur.

– Skrobosz? – powtórzył tamten. – Skorobosz! – zawołał. –  
Ten skurwiel jeszcze żyje? W 2013 był tylko sierżantem!

– Po tym jak zginęli wszyscy oficerowie, był najwyższy  
stopniem – przypomniała sobie, skąd znała nazwisko generała.  
To o nim wspominał Mawte. – Pan też wtedy był  
porucznikiem, generale.

– Mówił o mnie, co? – domyślił się. – Co za zbieg  
okoliczności, że trafiliście tu, kiedy akurat wszystko trafił szlag.  
Zaraz... Po co tu przyszliście?

– Otrzymałam rozkaz zbadania, czym jest istota żyjąca pod  
zamkiem. I zniszczenia tego, gdyby okazało się groźne.

– Zniszczenia? – oczy zaślnęły mu groźnie. – To wyście to zrobili? Wy zabiliście Startowego Jeden?

– Nie wiem, o czym pan mówi, generale – zerknęła na swoich ludzi. Spajor trzymał kuszę niedbale, jakby w głowie mu nie powstało strzelać do żołnierzy Szóstej, a już w żadnym razie do generała. Dalia udawała strasznie przejętą. Wiking po prostu patrzył, ale nóż ułożył w dłoni do rzutu. – Stoczyliśmy walkę z opętanymi zwierzętami. Moi ludzie też zostali opętani, a potem zaatakowali mnie. Walczyliśmy przeciwko sobie. A potem wszystko ustało.

– Chcesz mi powiedzieć, że przychodzi tutaj banda samozwańczych żołnierzy, ginie owoc dwudziestu lat naszej pracy, a wy nie macie z tym nic wspólnego? – krzyknął na nią.

– Czy wiecie, coście zrobili? Startowy Jeden był jedynym egzemplarzem na całym cholernym świecie! Spierdoliście przedwojenny program po tym, jak udało mi się go ocalić pomimo zdrady tego twojego Skrobosza! Wiesz, co musiałem poświęcić? Ilu ludzi... – urwał.

– Jedyny na świecie? – wykorzystał okazję, by się wtrącić Marcin. – No to całe szczęście, że jedyny i że zdechł. Wyróżnłby nas wszystkich.

– Nic nie rozumiesz, gówniarzu – głos Szymańczyka zabrzmiał lodowato. – Startowy Jeden stanowił jedyną nadzieję na odbudowanie ludzkości. Nowej, lepszej. Zjednoczonej. Nie byłoby już wojen.

– Ani ludzi! – krzyknął na niego Marcin.

– Szeregowy! – upomniała go Kamila. – Opanuj się!

– Ludzie – wzruszył ramionami Szymańczyk. – Definicja się zmienia. Cro Magnon różnił się od nas, a nazywamy go człowiekiem. Mogliśmy osiągnąć nowy poziom rozwoju. Ale spieprzyliście to popisowo. Banda pieprzonych gnojów! Dwadzieścia lat odpieraliśmy takich jak wy! A wszystko zniszczył pomiot Skrobosza.

– Nie mamy nic wspólnego ze śmiercią Źródła – próbowała przemówić mu do rozsądku Kamila, ale rozumiała, że nic to nie da. Tamten był wściekły, sens jego życia przepadł. Chciał już tylko znaleźć winnych i ukarać ich. – Niby jak mieliśmy to



zrobić? Walczyliśmy ze sobą nawzajem!

Nie słuchał jej. Skinieniem głowy dał znać swoim ludziom. Unieśli lufy karabinów.

– Umarli! – krzyknęła. – Ognia!

Karabin pierwszego z lewej plunął ogniem, zabijając na miejscu składającego się do rzutu Wikinga. Umarły zgiął się wpół, opadł na kolana. Spróbował jeszcze cisnąć nożem, ale nie starczyło mu sił. Stojący po prawej stronie Szymańczyka żołnierz nie zdążył wystrzelić. Bełt z kuszy Spajora trafił go w gardło.

Generał Szymańczyk wycelował prosto w Kamilę. Nacisnął spust. Dalia, krzycząc, weszła mu w linię strzału. Seria złamała jej bieg, odrzuciła dziewczynę na ziemię. Szymańczyk zaklął głośno, znów wycelował w Kamilę, ale ona zyskała dość czasu, by wpakować mu bełt w pierś. Cofnął się, zachwiał, usiadł. Jęknął, spojrzał z niedowierzaniem na pierś, z której wystawała końcówka drzewca bełtu. „Dwadzieścia lat” – wybełkotał. Pocisk musiał chybić serce, bo ciągle unosił ten cholerny karabin. Kamila rzuciła się na ziemię i następna seria przeleciała nad nią. Ku żołnierzowi ruszył Marcin, krzycząc, ale gdy go dopadł, generał już nie żył.

Pozostał tylko jeden. Celował w Marcina i Kamila zdała sobie sprawę, że nikt nie zdoła go powstrzymać przed zastrzeleniem jej nowego rekruta. Ani ona, ani Spajor nie zdążyliby tak szybko przeładować kusz.

– Stój! – zawołał Marcin, unosząc dłonie i rzucając na ziemię nóż. – Stój!

Żołnierz, wciąż oszołomiony wydarzeniami, wpatrywał się weń tępo.

Ale nie strzelił.

– Startowy Jeden nie żyje – Marcin starał się mówić spokojnie, ale głos mu drżał. – Twój generał nie żyje. O co chcesz walczyć? Już po wszystkim. Nie ma sensu dalej zabijać.

– Jesteście bandytami – krzyknął tamten, a po jego głosie Kamila poznała, że nerwy miał napięte do granic możliwości. Znajdował się na krawędzi hysterii. – Bez zasad!

– Jesteśmy Szóstą! – zawołała. – Sam słyszałeś, że generał

rozpoznał nazwisko Skrobosza! To wszystko pech, nieszczęśliwy wypadek! Niby po co nosimy oznaczenia Szóstej?

– Wszystko trafił szlag! – jęknął żołnierz. – Wszystko!

Ale opuścił broń. A wtedy Spajor, któremu gadka Marcina dała wystarczająco dużo czasu, zastrzelił go z kuszy jednym pięknym strzałem prosto w oko.

– Jak Adrian! – zawołał Spajor i podbiegł do pochlipującej Dalii. – Strzeliłem jak Adrian, nie?

– Co z Dalią? – zapytała Kamila.

– Żyje! Kule minęły serce, poszły po żebrach. Ale chyba już po Wikingu.

Marcin przyglądał się to jednemu, to drugiemu, zupełnie bez zrozumienia.

– Coście zrobili? – wrzasnął. – Po coście go zabili? Już się poddawał!

– Może poddawał, może nie poddawał – Kamila podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu. – Miał broń, był w szoku. W każdej chwili mógł cię zdjąć. A my w Szóstej, jeśli mamy do wyboru życie swoich albo obcych, zawsze wybieramy swoich, szeregowy.

– Swoich – powtórzył.

– Przestań się mazać i pomóż kapralowi! – pogoniła go. W takich chwilach nie należało się cackać.

Skinął głową.

– Jeśli oni mieli taką starożytną broń, mogą mieć tu więcej cudów – powiedział jeszcze. – Na przykład opatrunki i lekarstwa.

Dokuśtykał do Dalii. Kamila usłyszała jeszcze, jak dziewczyna zabrania im ją kroić, tak za życia, jak i po śmierci.

Śmierci.

Z całego plutonu zostało ich troje: ciężko ranna Dalia, poharatany Spajor i ledwie trzymająca się na nogach Kamila. Plus rekrut, chyba całkiem do rzeczy. W każdym razie potrafił myśleć.

Opatrunki. Przeszukała ciała żołnierzy. Niech to szlag, zabili oficera Szóstej. Nie, potrząsnęła głową, to nie była Szósta, nie ta prawdziwa, nie rodzina. Jakiś relikwyt przeklętej przeszłości.

Obląkańcy hodujący potwora i rzucający mu ludzi na pożarcie.

Została ich zaledwie garstka, ale wykonali zadanie. Zabili potwora. Miała tylko nadzieję, że nie będą musieli iść do cholernej Huty, żeby wytropić i zabić to, co z niego pozostało.

Znalazła opatrunki i zaniósła je chłopakom. Dalia klęła, płakała, głos jej drżał, ale instruowała ich, jak mają opatrywać jej rany, a nawet sama rwała się do pomocy.

Kamila zostawiła ich samych. Czworo to już tłum, tylko przeszkadzaliby sobie nawzajem. Mijając otępiałego obszarpańca, posapującego i wpatrującego się tępo w ziemię, podeszła do muru, oparła się o niego i spojrzała na miasto u stóp zamku ciągnące się hen, aż po horyzont. Zostało ich troje, plus rekrut. Byli poranieni i śmiertelnie wyczerpani. A przed nimi taki szmat drogi. I jeszcze muszą odzyskać swoje berety.

## Epilog

Nie pozwoliła im odpoczywać zbyt długo.

– Lada chwila wszyscy zorientują się, że Źródło nie żyje – oświadczyła. – I przylezie tu dosłownie wszystko. Świeży, te staruchy, o których mówił Marcin. Może nawet fanatycy z tego całego Kombinat. I diabli wiedzą kto. Musimy stąd spadać.

Kilka godzin poświęcili na przeszukiwanie zamku, aż znaleźli siedzibę Szymańczyka. Długo po prostu stali pośrodku komnaty o ścianach pokrytych arrasami przedstawiającymi sceny polowań. Cała była zavalona sprzętem. Dziwnymi maszynami, wciąż szemrzącymi, czerpiącymi energię z baterii słonecznych, którymi poobwieszany był dach. Podłączone do nich grube kable ciągnęły się przez pół zamku i kończyły w otworze prowadzącym do jaskini Źródła. Na jednym z foteli, cały poobwieszany kablami, ze słuchawkami na uszach siedział ostatni z żołnierzy Szymańczyka. Ślina ciekła mu z ust, gdy bełkotał niezrozumiale. Nawet gdy zdjęli mu z głowy słuchawki, zdawał się ich nie zauważać.

– Wypaliło mu mózg – ocenił Marcin. – Pewnie był na stałe podłączony do Źródła.

– Dwadzieścia lat – szepnęła Kamila. – Siedzieli tutaj, a Źródło broniło ich przed napastnikami. A oni dbali o nie, pilnowali, by żarło. I szykowali się do podboju świata. Rację miał Mawte, że czuł wyrzuty sumienia. Gdyby powstrzymali to dwadzieścia lat temu...

– Skąd wiesz, że powstrzymaliby? – odezwał się ponuro Spajor. – Może teraz oni siedzieliby w tym zamku i pomagali tamtemu fanatykowi? Nigdy nie dotarliby do klasztoru, nigdy by nas nie przeszkolili. Nie byłoby Szóstej. A to coś by wygrało.

– Nie myśmy to zabili – przypomniała mu.

– Cokolwiek go zabiło, sądzisz, że zdołaliby przejść obok Mawtego i zabić jego pupilka? Pomyśl, co by ci zrobił, gdybyś

spróbowała zabić te jego trzy potworne kozy.

– Raczej, co one by mi zrobiły – roześmiała się.

Zaraz spoważniała. Rzeczywiście, możliwe, że gdyby niesubordynacja Skrobosza i Mawtego, nigdy nie powstałaby Szosta, a Źródło pożarłoby świat. Rzuci im to w twarz, gdy wróci. Niech sobie przemyślą parę spraw.

Jedno ze znalezisk na zamku uszczęśliwiło ją. Samochód, ciężarówka. Wielka, ciężka, wytrzeszczająca gały potężnych reflektorów i przerobiona tak, by dało się napędzać ją gazem zgromadzonym w kilkudziesięciu butlach, poustawianych równo pod ścianami budynku przerobionego na garaż. Kluczyki czekały w stacyjce. Przekręcając jeden z nich, drżała z podniecenia. A gdy silnik zastartował, prawie oszalała z radości.

Zdobyła swój samochód! I nadzieję, na naprawienie autka pozostawionego w domu!

Załadowali na ciężarówkę połowę butli i medykamenty. Broni Kamila nie pozwoliła im tknąć. Niech przeszłość pozostanie w przeszłości, niech zmieni się w historię, o której z czasem zapomną.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – zapytał Marcin, gdy stali obok ciężarówki cztery godziny później. Silnik samochodu mruczał przyjemnie. Na opancerzonej pace leżała Dalia, teraz nafaszerowana prochami i śpiąca. Spajor czuwał przy niej. Na drzwiach szoferki Kamila namalowała białą farbą połowę czaszki. – To kawał historii tego miasta. Cholera, całego świata! Nie rozumiesz, że powinniśmy zachowywać takie cuda?

– Cudzej historii – odpowiedziała. – Jesteśmy Umarli, patrzymy w przyszłość, nie w przeszłość. Nauczysz się jeszcze, szeregowy.

Miała nadzieję, że duch powróci do nich. Chętnie nauczyłaby się strzelać z łuku tak jak on. Szosta wołała kusze, były prostsze w użyciu. Ale to, co Kamila zobaczyła wtedy, na moście, wzbudziło w niej wściekłą zazdrość. A także przekonanie, że łucznicy zdecydowanie przydadzą się Szostej. Jednak Wesoly nie wrócił na zamek. Pewnie zginął.

– Mimo wszystko – bąknął Marcin. – To symbol. Bardzo

wartościowy. Pan Onufry uczył mnie, że...

– Zaraz go obleżą – przypomniała mu. – Znajdą maszyny. Dokumenty. Broń. Może jakieś resztki Źródła. Może wyhodują sobie nowe. Chcesz, żeby to wszystko zaczęło się od początku?

– Nie – westchnął. – Niech się skończy na dobre.

Skrzesał ogień i podpałił lont. Przez chwilę obserwowali, jak się tlił, jak płomień powędrował na mur, a potem zaczął się po nim wspinać. Szybko, nieubłaganie.

– Do wozu! – zakomenderowała Kamila.

Odjechali w kierunku mostu. Wjeżdżali na niego, gdy eksplodowały pozostawione na zamku butle z gazem. Rozsadziły siedzibę Szymańczyka, wzniciły pożar, który wcześniej starannie zaplanowali, odpowiednio rozkładając butle i łatwopalne elementy. A przyłożyli się do pracy. Nie minęło kilka minut i cały Wawel płonął.

Nawet się na niego nie obejrżeli.

Koniec

 **VIRTUALO**  
Księgarnia Internetowa

**empik**